

# PROWINCJA

KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY DOLNEGO POWIŚLA I ŻUŁAW • NR 2 (40) • 2020





Publikacja została dofinansowana z budżetu  
Samorządu Województwa Pomorskiego w ramach programu  
„Rozwój kultury w województwie pomorskim w 2020 roku”



Wydawnictwo kwartalnika wspiera  
Jacek Szarycki Prezes Zarządu Fobos Invest

# PROWINCJA

**KWARTALNIK  
SPOŁECZNO-KULTURALNY  
DOLNEGO POWIŚLA I ŻUŁAW**

**Nr 2 (40)**

**2020**

### **Redakcja**

Leszek Sarnowski – redaktor naczelny  
Wacław Bielecki – sekretarz redakcji  
Piotr Napiwodzki  
Janusz Ryszkowski  
Andrzej Kasperek

### **Stali współpracownicy:**

Andrzej C. Leszczyński, Andrzej Lubiński, Bogumił Wiśniewski, Jan Chłosta,  
Wiesław Olszewski, Adam Langowski

### **Projekt okładki:** Mariusz Stawarski

Ilustracje na III i IV str. okładki: prace plastyczne Małgorzaty Dobrowolskiej

### **Skład komputerowy i przygotowanie do druku:**

KIMSO Marcin Żakiewicz

**Druk:** Wydawnictwo Region Jarosław Ellwart, ul. Goska 8, 81-574 Gdynia

### **Wydawca:**

Stowarzyszenie Inicjatyw Obywatelskich „TAKA GMINA” w Sztumie  
82-400 Sztum, ul. Królowej Jadwigi 10, tel. 693 527 614  
prowincja@onet.pl, www.prowincja.com.pl

### **Dziękujemy za współpracę przy promocji kwartalnika:**

Spółdzielni Socjalnej Fabryka Inicjatyw w Malborku, Sztumskiemu Centrum Kultury,  
Kwidzyńskiemu Centrum Kultury, Żuławskiemu Parkowi Historycznemu w Nowym Dworze Gdańskim,  
Żuławskiemu Ośrodkowi Kultury w Nowym Dworze Gdańskim

### **Miejsca w których można kupić kwartalnik „Prowincja”:**

Kwidzyńskie Centrum Kultury – sklep Tabularium  
Sztumskie Centrum Kultury  
Zakład fotograficzny Foto Mono II w Sztumie, Plac Wolności 19  
Sklep papierniczo-biurowy „Kopiał” w Malborku ul. Żeromskiego 5

Wszystkim, którzy zechcą wesprzeć finansowo nasz kwartalnik podajemy numer konta wydawcy –  
Stowarzyszenia Inicjatyw Obywatelskich „Taka Gmina” w Sztumie:

Bank Spółdzielczy w Sztumie: 42 8309 0000 0002 6741 2000 0010

ISSN 2082-0291

www.prowincja.com.pl  
Nakład 400 egzemplarzy

# CZTERDZIESTA „PROWINCJA”

## SPIS TREŚCI

|   |     |
|---|-----|
| Czterdziesta „Prowincja” .....  | 5   |
| <b>Poezja</b>   |     |
| Krzysztof D. Szatrawski .....   | 6   |
| Paweł Nieczuja-Ostrowski.....   | 11  |
| Małgorzata Wątor .....  | 13  |
| <b>Proza</b>  |     |
| Łukasz Staniszewski – Opowieści myszy.....  | 14  |
| <b>Esej</b>   |     |
| Andrzej C. Leszczyński – Okruchy.....   | 16  |
| Andrzej Kasperek – Dziesięć ważnych książek .....   | 22  |
| <b>Na tropach historii</b>  |     |
| Grażyna Nawrońska – Kat. Oprawca i ... businessmen .....  | 29  |
| Radosław Kubus – Wyrwizęby, litotomiści, olejarze...<br>Z dziejów medycyny na Żuławach do połowy XIX wieku .....              | 39  |
| Tomasz Jagielski – Powstańcy styczniowi na Kociewiu .....   | 45  |
| Wawrzyniec Mocny – Więzieni i upokorzeni – wojenne losy Pomorzan .....  | 51  |
| <b>Wędrowki po prowincji</b>  |     |
| Janusz Ryszkowski – Dama ze złotą przepaską.....  | 56  |
| Bogumił Wiśniewski – Złota legenda na ścianie katedry .....   | 62  |
| Wiesław Olszewski – Romantyczna żywa pompa .....  | 69  |
| Adam Kamiński – Wspomnienia kwidzyńskiego bajtla .....  | 76  |
| <b>Plebiscyt na Powiślu, Warmii i Mazurach</b>  |     |
| Andrzej Lubiński – Agitacja polska w czasie plebiscytu na Powiślu.....  | 91  |
| Krzysztof Zdziennicki – Kazimierz Donimirski – orędownik polskości<br>podczas kampanii plebiscytowej w latach 1919-1920 ..... | 104 |
| Jan Chłosta – Konsulat polski w Olsztynie.....  | 108 |
| Henryk Michalik – Przejęcie Janowa przez władze polskie 16 sierpnia 1920 roku ....  | 115 |
| Adam Langowski – Plebiscytowe rysunki Zbigniewa Jujki .....   | 125 |

## **Prowincje bliskie i dalekie**

- Krzysztof Czyżewski – Notatki słów i obrazów (11) ..... 128  
Paweł Zbierski – Dziennik kataloński (8)..... 139  
Radosław Wiśniewski – Listy do Tymoteusza (I) ..... 150

## **Muzyka**

- Wacław Bielecki – Zapiski melomana w czasie zarazy ..... 155

## **Galeria Prowincji**

- Alicja Bartnicka – Przy sztaludze Małgorzaty Dobrowolskiej ..... 168

## **Okiem fotosnajpera**

- Piotr Opacian – Historia młodych lisków ..... 170

## **Z dziennika epidemii**

- Leszek Sarnowski – Szyjemy maseczki, czytamy, pijemy wino,  
czyli wyjątki z dziennika czasu zarazy ..... 176

## **Felieton gościnny**

- Maria Migda – Kobiety są okrutne, czyli Śląsk wynicowany ..... 193

## **Recenzje**

- Wacław Bielecki – Industrialne flamenco ..... 196  
Alicja Łukawska – Gwiazda szeryfa ..... 198  
Anna Albrecht – Santyr ..... 200

- Noty o autorach** ..... 202

# CZTERDZIESTA „PROWINCJA”

Skoro jesteśmy, to znaczy, że przeżyliśmy lub ciągle przeżywamy. Epidemia, pandemia, zakażenie, wirus, koronawirus. Kolejne komunikaty z placu boju. Tu wygraliśmy, tam przegraliśmy, ale ciągle walczymy. W codziennej trwodze staramy się przetrwać.

Jedyną pociechą w naszym osamotnieniu, izolacji, kwarantannie obywatelskiej jest to, że możemy czytać, słuchać i oglądać. Zatem czytamy nowy numer kwartalnika „Prowincja”, już czterdziesty. Czytajmy poezję, czytamy prozę. Tym razem Krzysztof Szatravski, Małgorzata Wątor, Paweł Nieczuja-Ostrowski i Łukasz Staniszewski. Andrzej C. Leszczyński o drzewach, tych sadzonych, wycinanych, zakłętych, zwyczajnych, literackich i tych od poznania dobra i zła. Andrzej Kasperek z kolei chwali Boga, że wciąż znajduje ważne dla siebie książki. Czekamy zresztą z niecierpliwością na te, które sam dla nas napisze.

Grażyna Nawrońska w swoich archeologicznych opowieściach tym razem o otoczonych złą sławą katach, którzy, jak się okazuje, nie tylko ścinali głowy złoczyńcom, ale i czyścili ulice. Radosław Kubus o znachorach i medykamentach na Żuławach. Wawrzyniec Mocny o trudnych wojennych losach Pomorzan, mieszkańców Prabut. Janusz Ryszkowski uchyla rąbka tajemnicy ze swej najnowszej książki poświęconej Antoniemu Donimirskiemu. Bogumił Wiśniewski szuka śladów św. Jana na ścianach katedry kwidzyńskiej. Wiesław Olszewski odkrywa tajemnice wierzby, najbardziej rozpoznawalnego symbolu Żuław. Adam Kamiński wspomina Kwidzyn swego dzieciństwa, choć wielu z nas odnajdzie tu kawałek swoich wspomnień.

Z okazji setnej rocznicy Plebiscytu na Powiślu, Warmii i Mazurach postanowiliśmy część numeru poświęcić tym wydarzeniom. To niestety kolejna smutna rocznica w naszej historii, bo dotyczy przegranej sprawy, ale warto wspomnieć bohaterskie pokolenie, które w trudnym czasie i otoczeniu walczyło o przetrwanie. Jan Chłosta pisze o konsulacie polskim w Olsztynie i Kwidzynie, Andrzej Lubiński o agitacji polskiej przed plebiscytem, Krystian Zdziennicki o jednym z działaczy plebiscytowych, Kazimierzu Donimirskim, Henryk Michalik o przejęciu Janowa przez władze polskie po wygraniu w tej wsi plebiscycie, a Adam Langowski o unikatowych rysunkach Zbigniewa Jujki poświęconych plebiscytowi.

Krzysztof Czyżewski w odwiedzinach u litewskiego Żyda Grigorija Kanowicza, który od kilku lat mieszka w Izraelu i wydał nową książkę o żydowskiej prowincji, a także wspomina Lecha Raczaka, zmarłego niedawno twórcę poznańskiego Teatru Ósmego Dnia. Paweł Zbierski o życiu artystów na katalońskiej prowincji.

Radosław Wiśniewski, zaprzyjaźniony z nami poeta z Brzegu, rozmawia ze swoim synkiem o świecie, a Wacław Bielecki, nawet w zamkniętym świecie pandemii, odnajduje okazję do muzycznych fascynacji. Alicja Bartnicka wprowadza nas w klimat malarstwa Małgorzaty Dobrowolskiej, malarki ze Sztumu, a podróżnik Piotr Opacian podgląda dla nas tym razem młode liski.

Nie mogło zabraknąć w naszym kwartalniku pandemicznych refleksji, którymi dzieli się z Państwem Leszek Sarnowski, z nadzieją, że będzie jeszcze okazja do naszych ulubionych spotkań z Czytelnikami.

Tymczasem zbieramy kolejne teksty do następnego numeru, jak postaci z okładki Mariusza Stawarskiego łapią w siatkę pojedyncze litery. Dbajmy o siebie i swoich bliskich, byśmy w zdrowiu przetrwali trudny czas.

*Redakcja „Prowincji”*

Krzysztof D. Szatrawski

## KOLEDZY

pojawił się nagle  
w sąsiedztwie  
tłukli szyby, malowali po ścianach  
na studiach jeszcze tracili czas  
na dyskusje i polityczne spory  
o dziewczynach mówili z tym dziwnym akcentem  
z porozumiewawczym uśmiechem  
niezrozumiałe gesty  
równie dobrze mogły być językiem migowym  
zapomnianych cywilizacji  
kaznodziejów albo gości z kosmosu  
spotykałem ich po latach  
w dziwnych zakazanych miejscach  
w korytarzach urzędów, w dworcowych szaletach  
później cicho znikali  
albo intensywnie łykali tabletki nasenne  
na przeczyszczenie umysłu, od bólu głowy  
odchodzili nagle i cicho  
wyprowadzali się do innych dzielnic  
tracili świadomość po setce wódki  
wkładali głowę w pętlę  
i zapadali w niepamięć  
przeżalone koty znikają w okolicy  
która na zawsze  
przestała być bezpieczna

**JESIEŃ NA WYSPIE KANTA**

po czarnych śladach, przez wir żółtych liści  
milcząc przekraczam siódmy krąg tej ziemi  
słońce w kopule synagogi błyszczący  
rosą się złoci aleja jesieni

to miejsce wciąż jeszcze dźwięczy echem spotkań  
nad piwnicami Kneiphofu w milczeniu  
brzmia ciche kroki na kamiennych schodkach  
przychodzą znikąd i znikają w cieniu

pośród mostami  
ścieżką noc kroczy  
zagadek niechcianych księgę zamyka  
i rozwiązanie rzuca nam wprost w oczy  
i gdzieś umyka  
śladem pamięci  
listowiem w czarnej glebie  
mości myśli  
i szeleści  
w moich polskich słowach  
coś się dziś święci  
zachód w amarantach  
i nikt już nie wie  
co się dzieje w głowach  
na wyspie Kanta

**PATRZĄC Z KOLEJKI LINOWEJ NA RZEKĘ**

patrząc z kolejki linowej na rzekę  
w której odbija się zasma nieba  
widzę zapomniiał świat o mnie  
i czekam  
na wiosnę  
jak te hen w dole drzewa  
pod grubym kożuchem nie zasną  
kiedy uniosą nas sanie wspomnień  
a na wysokim brzegu miasto  
znieuruchomiałe  
spojrzenia zza firanek  
w powietrzu gęstym jak ciasto,  
jak galaretką o smaku truskawek  
a my lecimy jak obwarzanek  
jak hosanna  
w roztańczonym świetle  
daleko pod nogami Wołgi skrawek  
rozwija się jak biały pas startowy  
kobieta siedząca naprzeciw  
córkę strofuje  
dziewczyzna buntem się bawi  
i czuję  
kołysze się gruba lina  
na której świat cały zawisł

## LISY NA GRANICY

zatrzaśnięty w oczekiwaniu  
na granicy litewsko-rosyjskiej  
wracając z domu Tomasz Manna  
w maszynie kutej na cztery koła  
siadzę w bezruchu  
jakbym wciąż czekał na coś pięknego  
jak niegdyś w niepruskim już miasteczku  
gdy przystawałem przed witryną cukierni  
i spoglądałem na ciasta  
torty za szybą  
czasami  
jeszcze czuję ich słodki zapach

dlaczego taka pamięć  
powraca na litewskiej granicy  
kiedy lisy podchodzą do kolejki samochodów  
siadają po drugiej stronie szyby  
i patrzą podróżnym w oczy  
ich spojrzenia zagubione  
w falach grawitacji  
w oczekiwaniu na skrawek kanapki  
plasterek kielbasy  
który pozwoliłby skupić łaknienie  
na konkretnym lisim pojęciu  
i wyrazić wszystko  
na co brakuje wspólnego języka

jak zawsze na granicy  
oczekiwanie jest najlepszą metodą  
aby nadzieja mogła się okazać  
metaforą szczęścia

**MGLAWICA**

mgławica moich przyjaciół  
coraz szybciej ucieka w podczerwień  
nasyca się jak roztwór soli  
do płukania gardła przed koncertem  
i jak ławica gwiazd z nieba w czerwcu  
spływa nad jeziora z różnych stron  
i niczym dym gęstnieje, a ciśnienie  
zmienia ją w plazmę uczuć  
które kleją się do podniebienia, do palców  
jak rachatlukum do zębów  
i najbardziej torfowa whisky  
nie może złamać jej smaku  
mgławica moich przyjaciół  
niby kosów plejada  
pośród zwrotów żywota  
kluczy i nie wie nikt  
jakie zamki otwiera  
ich śpiew

Paweł Nieczuja-Ostrowski

## PRZĘDĄC Z NICI CHAOSU<sup>1</sup>

wydaje się że chaos nie sprzyja poezji  
która bez żmudnego wykuwania słó  
jest niczym malarstwo gestu

a co jeśli wicher kryje porządek  
cykliczność targnięć  
szarpania bieganiny i snu

jeśli wtlacza hałas z oddechem  
osacza rytmem spalin  
z częstotliwością ulicznych świateł  
odtworza dzień

i betonuje w głowie słowa  
nanosi hałdy zdań myśli znaczeń  
piętrzy wysypiska pragnień  
po horyzont umysłu

aż wreszcie dla chwilowej łaski  
mechanicznego ukojenia  
zmusza do wykrztuszenia się  
na papier

czyż nie w spazmach właśnie  
bohaterowie pokonują  
ostateczną drogę do wieczności

<sup>1</sup> Wiersze z najnowszego tomu Pawła Nieczui-Ostrowskiego – *Zakażenie*, Gdańsk 2019

## PRZYJACIELOWI Z ARMENII

porzuciłem bracie oblicze ojca wykute w granicie  
codzienne witanie zmarszczek matki  
toasty wujków pytania ciotek kuzynów bieganie

zostawiłem kontynent stąd  
lepką słodycz owoców figi na podbródku  
kojąc cień rozłożystej morwy  
pradawny chleb pachnący bazylią

opuściłem miejsce na skale zawieszane jak w niebie  
gdzie napotykałem oczy onyksowe  
rozchylałem koronkowe bluzki

porzuciłem to bracie nie dla swej próżności  
bogactw przyjemności łupów  
walki misji Boga ideologii

ale dla ciepłej dzieci kąpieli zbieganych stóp  
dla prostej ścieżki do szkoły nie przez gruzy i huk armat  
dla wolności powszedniej

porzuciłem więc bracie cały mój świat  
dla małego skrawka twojego nieba

Małgorzata Wątor

## PUBLIC RELATIONS<sup>1</sup>

odchylałam głowę do tyłu, odrywając ją od kręgosłupa,  
czasem bywam niewidzialna. Znam takie miejsca, gdzie  
odrywasz się pod naporem gniewu od komputera.  
smutek topi się jak lód, odchodzi od skóry.  
wszystko we mnie klęka, pod naporem kropidła  
święconych łez, aby przekroczyć dorosłość  
qui pro quo. Odrzucam wierność samej sobie,  
płaszcz z podszytym futerkiem też.

## CZŁOWIECZEŃSTWO

Wyczłowieczyłam się i  
Przeciąga się we mnie ludzkość.  
Pulsuje pod skórą i  
Mnoży się jak ropa w kości,  
Kupiona na promocji  
Więcej za mniej.  
Żąda abym stworzyła sobie  
Sztucznych wrogów i na nich klęła.  
Siedzę i jem bułkę z kielbasą.  
Scrolluję w dół.

<sup>1</sup> Wiersze z najnowszeo tomu Małgorzaty Wątor, *Przeznaczona*, K.I.T. Stowarzyszenie Żywych Poetów, Miejska Biblioteka Publiczna, Brzeg 2020

Łukasz Staniszewski

# OPOWIEŚCI MYSZY

Gdy mróz skuwa naszą łąkę na kamień, myszy gromadzą się, żeby szukać nadziei w opowieściach. Kiedy przychodzi kolej na mnie, opowiadam o czasach, kiedy zwierzęce kły, pazury i dzioby nie służyły do odbierania życia. Miało tak być do końca świata, ale pewnego dnia łąka z miłości do swoich dzieci, postanowiła obdarować każde zwierzę niezwykłym prezentem. Sowy otrzymały przenikliwy wzrok, żeby w ciemnościach potrafiły odnaleźć swoje potomstwo. Kotom przypadł wspaniały słuch, żeby usłyszały, kiedy dzieje się komuś krzywda. Tylko myszy nie dostały nic, bo o myszach łąka zapomniała.

Zwierzęta dzięki wspaniałym darom poznawały świat na nowo. Wiedziały już, o czym śpiewają larwy motyla zamknięte w kokonach. Jak pachnie miłość matki do nowonarodzonych dzieci. Jaki jest kolor powietrza w nocnym deszczu.

Zmieniał się świat i zmieniały się zwierzęta. Niektóre twardniały jak drzewa, a inne robiły się lekkie jak pajęczyna. Wybrańcom rosły mięśnie i pazury, a ciała innych stawały się miękkie i niezdolne do ucieczki. Nieznany nikomu wcześniej ból zapłonął w żyłach i żołądkach. Zaczęto odczuwać nowe chcenie, którego nie można było uśmierzyć.

W końcu, któreś z zrozpaczonych zwierząt, zrobiło coś, czego nie zrobił nikt przed nim. Dopuszcilo do siebie myśl, że do zaspokojenia głodu może posłużyć inne zwierzę. A najłatwiej można było zabić mysz.

Przerażona łąka nie poznawała już swoich dzieci. Powietrze wypełnił ryk i pisk walczących ze sobą zwierząt. Szczególnie żal zrobiło jej się myszy i żeby odmienić ich okrutny los, podarowała im wyjątkowo czuły węch, który potrafi przewidywać przyszłość.

Od tamtej pory wystarczy, że głęboko zaciągniemy się wiatrem, a wiemy, którądy uciekać. W zapachu żdźbła trawy odgadujemy zamiary kota. I wciąż umykamy przed śmiercią niesioną w mroku na sowych skrzydłach.

Od tamtej pory biegniemy zanim zdążymy pomyśleć, dlaczego biegniemy. Boimy się, chociaż nie wiemy, co nas przeraża. Każda żywa mysz słucha się swojego nosa.

Łąka podarowała nam coś jeszcze. Tylko my potrafimy poczuć zapach słońca. Bo światło ma zapach, ale trzeba być myszą, żeby o tym wiedzieć. Powietrze przepelnia tysiące światel i na tyle sposobów można je powąchać. Promienie nadają zapach kroplom wody spływającym po pniu drzewa i śluzowi ślimaka pozostawionym na gałęzi. Pachnie też żółty ptaszek na niebie, gdy wraca do gniazda z ważką w dziobie.

Brzask będzie miał czasami zapach surowego mięsa, które ktoś w nocy oddzielił od kości. Ale czuć go też resztkami zwierzęcej miłości zaskoczonych w mokrej trawie. Pomarańczowy zachód przypomina zapach matki. Łagodzi strach przed okropnościami nocy.

Taki oto dar myszy otrzymały od łąki. Na pociechę istotom przeznaczonym na rzeź. Nie mam odwagi pytać, czy moja opowieść przynosi komuś ulgę, gdy kulimy się do siebie w podmuchach zimnego wiatru.

Wielkie zimno w końcu przemija. Tym razem nowe słońce nad naszą łąką przepowiada śmierć kota. Już wcześniej podejrzewałyśmy, że nasz piękny morderca nie dożyje lata. Jego futro traciło zbyt dużo włosów, a oczy zachodziły ropą. Zgubił też szybkości ruchów, która pozwalała mu polować. Życie wyciekało z niego jak ślina z bezzębego pyska.

Kot z jakiegoś powodu chciał zdechnąć na łące. Jakby się wstydził przed człowiekiem, że nie będzie potrafił mu więcej służyć. Wolał mysie towarzystwo od ludzkiego domu.

Łąka z szacunkiem przyjęła ciało kota. Każde zwierzę, które gustowało w mięsie, mogło się nim nasycić. W ten sposób łąka obwieściła swoje prawo - każdy, kto zjada innych, też w końcu zostanie zjedzony.

Ja nie chciałam jeść, widząc przed sobą odsłonięte kły i pazury, których tak bardzo kiedyś się bałam. Ile to moich braci i sióstr zginęło w tych okropnych szczękach? Sam kot już nie pachniał pięknie. Czuć go było mokrą ziemią i odchodami zwierząt.

Jeszcze na chwilę ciało kota przykrył śnieg. A kiedy ostatecznie stopniał, pozostały tylko żebra, które po kilku tygodniach przebiły zielone łodygi. Latem po bestii nie było już śladu.

Fragment większej całości

Andrzej C. Leszczyński

# OKRUCHY

## „WIĘC WYOBRAŹMY SOBIE...”

Drzewo zakorzeniło się w kulturze od najdawniejszych czasów. Drzewo kosmiczne - Axis Mundi. Drzewo rodzące złote jabłka w ogrodzie Hesperyd. Biblia mówiąca, że na rozkaz Boga „wyrósł z gleby wszelkie drzewa miłe z wyglądu i smaczny owoc rodzące”<sup>1</sup>. Drzewo poznania dobra i zła. A zaraz obok drzewo życia. Odwołuje się do niego Mefistofeles w „Fauście” Goethego: „Szara jest wszelka teoria, drogi przyjacielu, zieleni się tylko złote drzewo życia”. Drzewo życia jest oczywiście figurą symboliczną. Prawdziwe drzewa mogą zabijać, jak stało się w Warszawie, w zabytkowym Parku Praskim, gdzie na matkę siedzącą na ławce z kilkumiesięczną córeczką spadł konar uśmiercając maleństwo („To drzewo miało piękną hubę. Oglądałyśmy ją z Lilą wcześniej. Bo ona kochała listki, gałązki. Czy to moje zaniedbanie, że nie zdawałam sobie sprawy, że huba zjada drzewo i ono może się złamać?”).

Zakorzeniło się też w języku potocznym, w którym pojawia się chłop jak dąb albo człowiek pozbawiony korzeni. Gdzie mówi się o drzewie genealogicznym (niedaleko pada jabłko od jabłoni), przestrzega się, by nie przesadzać starego drzewa itp.

Poezja pełna jest dendrologicznej symboliki. Rainer Maria Rilke w wierszu pt. „Nocne niebo i spadające gwiazdy” tak ją rysuje: „Więc wyobraźmy sobie drzewo, co wzrastając/ w górę pień wznosi dumny z ogromnych korzeni,/ a wieczny wiatr i ptaki przezeń przepływają [...]”. W kwietniu 1943 roku, kiedy w warszawskim getcie wybucha powstanie, Krzysztof Kamil Baczyński pisze wiersz adresowany do ginącego – swojego – narodu. „Byłeś jak wielkie, stare drzewo,/ narodzie mój jak dąb zuchwały,/ wezbrany ogniem soków żrących/ jak drzewo wiary, mocy, gniewu./ I jęli ciebie cieśle orać/ i ryć cię rylcem u korzeni,/ żeby twój głos, twój kształt odmienić,/ żeby cię zmienić w sen upiora./ Jęli ci liście drzeć i ścinać,/ byś nagi stał i głowę zginał. [...]”. Adam Mickiewicz w „Panu Tadeuszu” wyraża swą wdzięczność słowami: „Ja ileż wam winienem, o domowe drzewa!”. Czesław Miłosz w podobnym duchu wyznaje w „Ziemii Ulro”, że cała jego poezja wzięła się i bierze z dzieciństwa, czyli z lasu. W „Piesku przydrożnym” tłumaczy: „Ekolog w wieku dwunastu lat, rysowałem mapy mojego państwa, którego cała powierzchnia była lasem”. We „Wspomnieniu pewnej miłości” mówi o konkretnych tej miłości obiektach: sośnie, dębie czy jodle. Nie wiedział jeszcze, że istnieje siedemnaście gatunków sosen, pięć świerków czy szesnaście dębów. Dziś słowo las wywołuje inne skojarzenia niż za jego młodości, kiedy

<sup>1</sup> Zgodnie z Bożym zamysłem Adam i Ewa byli weganami: „Oto wam daję wszelką roślinę przynoszącą ziarno po całej ziemi i wszelkie drzewo, którego owoc ma w sobie nasienie: dla was będą one pokarmem” (Rdz 1, 29).

dominowały „lasy mieszane, z przewagą dębu wysokopiennego, grabu i lipy, czyli miały niewiele wspólnego z chudymi sosenkami, które zajęły ich miejsce”.

Zbigniew Herbert (w rozmowie z Markiem Oramusem) wspomina spacer z Miłozsem: „Chodzimy po lesie, on wszystkie ptaki nazywa po imieniu, ja rozglądam się za jakimś pniakiem, żeby usiąść i napić się wina, a on tam pohukiwał, wołał ptaki – cały wydany naturze”. Przecież i sam znajduje w obrazie drzewa wyraz trosk i odniesień metafizycznych. Oto słynny fragment z „Jaskini filozofów”: „Sokrates pozdrawia drzewo za oknem. Teraz wiemy oboje, że wszystko, co ma się zdarzyć, przychodzi do nas. Losu nie należy szukać – mówić. Trzeba dojrzewać, rosnać w górę, rzucać nasiona i cień – czekać. Aż kiedy przyjdzie to, co ma przyjść – przyjąć. Cokolwiek to będzie: wiatr wiosenny czy topór. Mam głowę pełną siwych włosów i ładu. Ty masz głowę pełną zielonego szumu. A jednak od ciebie nauczyłem się mądrości trwania. Korzeniom twoim kłania się Sokrates”.

Hugon Lasecki wyznaje, że tylko w lesie potrafi się modlić. „W tej katedrze, gdzie słońce/ maluje witraże,/ gdzie święte motyle i pajęczyny,/i anioły rozmaite drgają w pieśni;/ gdzie konary koroną,/ gdzie modlitwą igły i liście”. Wpadnie więc na chwilę do lasu by porozmawiać z ciszą, usłyszeć motyla, „Obejść pajęczynę i kroplę rosy,/ by spadając nie obudziła blasku poranka”.

## TRWAŁOŚĆ

Widoczny jest leksykalny związek wyrazów „drzewo” i „drzewiej”, co znaczy: dawniej, kiedy nas jeszcze na świecie nie było. Drzewo to „stanie silne” (Aleksander Brückner), stałe, pewne. W nim objawia się potęga życia. „Pod sękatymi pniami - pisze Manfred Lurker w »Przesłaniu symboli« – które przeżyły niejedno pokolenie, ludzie uświadamiali sobie krótkotrwałość własnego życia. W postaci owoców brali od drzewa siłę życiową, w liściach i kwiatach szukali lekarstwa na najrozmaitsze choroby, a tworzące dach gałęzie posłużyły im za wzór namiotu i domu”.

W kwietniu i we wrześniu - w okresie nasadzania - Krzysztof Penderecki nie koncertował. Jechał do swoich Łusławic, gdzie od lat, na wzór polifonicznej symfonii, komponował swój ogród. - Popatrzmy na drzewo: ono nas uczy, że dzieło sztuki musi być zakorzenione – w ziemi i na niebie. Bez korzeni nie ostoi się żadna twórczość – podkreślał, dodając, że jako dendrolog często czuje się pewniej niż jako kompozytor.

Bywa, że symboliczna trwałość drzewa w bolesny sposób zderza się z doświadczeniem ich realnej kruchości. Ks. Adam Boniecki wspomina w „Tygodniku Powszechnym” swój - w ścisłym sensie tego słowa – las. Posadził go jego ojciec dla upamiętnienia narodzin pierworodnego syna i nazwał jego imieniem: Adam. Ostatni raz widział go autor w wieku siedmiu lat. Dziś nie ma już śladu po rodzinnych zabudowaniach ani po tamtym lesie. Pisze Boniecki: „[...] drzewa są idealnym miejscem przechowywania pamięci. Spokojne trwanie drzewa, trwanie na jednym miejscu, do którego wracając po latach sprawdzamy, czy ono nadal tam jest, wydaje się zaprzeczeniem naszej zmienności i nieubłaganego przemijania”. Chyba wiem, co czuje ksiądz marianin, gdy pisze o lesie, którego już nie ma. Kilka lat temu odwiedziłem z siostrą nasze „miejsce pamięci” (określenie Pierre’a Nory), dawną posiadłość w Ostrówkach koło Chodzieży, gospodarstwo pełne drzew owocowych i leśnych, wśród

których chowaliśmy się, znikali ze świata. Nie zostało śladu po rozgrabionych zabudowaniach, powycinanych drzewach, najgłębszej studni we wsi. Stały tylko dwie osierocone lipy. Myślę teraz o dumnych dwustuletnich lipach, jakie widziałem pół wieku temu na al. Zwycięstwa. Dziś żalą się martwymi kikutami i kłębami rozrastającej się na nich jemioly. A przecież mogłyby rosnać czterysta lat i dłużej.

Podczas obozów teatralnych, jakie organizowaliśmy w Mierzvicach nad Bugiem, szczególnym szacunkiem darzyliśmy leciwą, rosochatą sosnę królującą nad wielobarwnymi nadbużańskimi łąkami. Chyba Basia Ulikowska zauważyła, że przypomina baobab, co z przedziwną gotowością uznaliśmy za nazwę magiczną. Pod Baobabem prowadziliśmy uczone debaty, ćwiczyliśmy sceny, spotykaliśmy się wieczorami na metafizyczne zwierzenia. Pamiętam wczesne zrywanie się z łóżka, witanie wschodzącego słońca i obejmowanie nie tak licznych tam brzoź, strażniczek lasu o pięknej łacińskiej nazwie *betula pendula*. Dało się czasami słyszeć, że stękają i jęczą. Wiele lat później dowiedziałem się o Chipko, hinduskim ruchu kobiet chroniących drzewa przed komercyjną wycinką. Chroniły drzewa własnym ciałem, przytulając je i obejmując: „chipko” w języku hindi oznacza „obejmować”. Urszula Zajączkowska, botaniczka i poetka, mówi, co czuje siedząc na drzewie i przytulając się do niego: „Zapach, szelesty, podmuchy. Delikatne drgania pnia poruszanego wiatrem. Tak jak człowiek przytula się do człowieka i czuje ruch klatki piersiowej, to tutaj czuć oddechy drzewa – poruszające się masy powietrza bijące w koronę. Poruszasz się razem z nią. Ptak blisko usiądzie i nawet się tobą nie zdziwi”.

Stanisław Vincenz („Prawda starowielki. Obrazy, dumy i gawędy z wierzchowiny huculskiej”) tak opisuje zaklęty w sobie, nieistniejący już świat drzew. „Był to las odwieczny, z pierwotnie niepokonany, smokowy. A sprzężony przeciw obcym natrętom nie wpuszczał do wnętrza nikogo, ani małych, ani wielkich gości. Nawet wichry nie miał tam dostępu. Nawet dla nowych pokoleń drzew nie było tam miejsca. Jedno drzewo trzymało tam drugie, jedno żyło się z drugim. Nawet zmurszałe już drzewa utrzymywały równowagę. Każdy spróchniały konar coś podtrzymywał, czemuś służył, znać coś w prawnikowej zgodzie”. Prof. Bogdan Jaroszewicz, kierujący Białowieską Stacją Geobotaniczną UW, podaje wiele przykładów współdziałania drzew. Pniak po ściętym drzewie może się zbliżnić dzięki pomocy, jakiej udzielają mu sąsiednie drzewa poprzez system korzeniowy. Gdy roślinożerca zaczyna objadać liście akacji afrykańskiej, emituje ona etylen przenoszony przez wiatr do otoczenia. Sąsiednie drzewa traktują go jako ostrzeżenie i przesuwiają do swych liści taninę, co pogarsza ich smak i obniża ich strawność.

Drzewa przestają być traktowane jako źródła drewna<sup>2</sup>. Same są wartością – rzucają cień, zasłaniają przed wiatrem, chronią przed utratą ciepła lub nadmiernym promieniowaniem słonecznym, regulują obieg wody i klimat, oczyszczają powietrze i glebę. Stają się współmieszkańcami, bez których trudno wyobrazić sobie życie. Indywidualne nazwy drzew są formą zapraszania ich do wspólnoty, jaką tworzą ludzie wraz z naturą. Na skraju Puszczy Białowieskiej góruje Strażnik Wsi Budy (nazwał go tak tutejszy miłośnik drzew, Tomasz Niechoda). Znana jest historia kilkusetletniego Dębu Jagielly (prawie 40 m wysokości,

<sup>2</sup> Władysław Kopalinski pisze („Opowieści o rzeczach powszednich”), że drewno, obok kamienia i gliny, to materiał używany przez człowieka najdawniej.

niespełna dwa metry średnicy), zwałonego w 1974 roku przez wichurę. Podczas pogrzebu, jaki urządzono mu kilka dni później, postanowiono, że – ogrodzony złamanymi konarami drzew – pozostanie tu do swego naturalnego końca. Spoczywa więc od kilkudziesięciu lat w pozycji leżącej trawiony przez wdzięczne mikroorganizmy wtapiając się powolutku w Puszcę. Kazimierz Orłoś w dedykowanym wnuczce Melanii „Śnie o brzozie” pisze o małym drzewku, które przyniósł z lasu w wiaderku i posadził blisko domu. „Brzoza, którą nazwałem na cześć żony imieniem Teresa, wyrosła na wielkie drzewo. W czasie upałów stawiamy leżaki w jej cieniu. Kiedy wieje wiatr, zwłaszcza jesienią, słyszymy szum. Cichy, jeśli wiatr jest słaby i liście jedynie poruszają się z szelestem. Głośny w silnych porywach wiatru. Miotane i szarpane gałęzie przypominają flagi powiewające na maszcie”.

## PANOWIE STWORZENIA, WŁADCY ROZKAZÓW

Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) od lat alarmuje, że kryzys ekologiczny to także kryzys zdrowotny. Efekt cieplarniany oraz bezmyślna, nastawiona na maksymalizację zysku<sup>3</sup> gospodarka sprzyjają pojawieniu się nowych patogenów, m.in. koronawirusów. Dziś widać jasno, że człowiek stał się protowirusem infekującym Ziemię i wywołującym skutki, jakich właśnie doświadczaliśmy pochowani w swych domowych więzieniach.

Na świecie rośnie dziś blisko trzy biliony drzew i jest miejsce do zasadzenia 1,2 bln kolejnych bez ograniczania powierzchni upraw. Dodatkowy bilion drzew pochłonąłby ponad 100 gigaton dwutlenku węgla. To tyle, ile ludzkość emituje przez 10 lat<sup>4</sup>. W książce Haliny Barbary Szczepanowskiej i Marka Sitarskiego pt. „Drzewa. Zielony kapitał miast” przedstawiono konkretne wyliczenia. „Jedno drzewo przyuliczne na badanym terenie Pragi-Północ przechwyciło średnio 1,69 m<sup>3</sup> opadów rocznie [...]. Na terenie badanych ulic 352 drzewa przechwyciły hipotetycznie 689 m<sup>3</sup> opadów w ciągu roku, a w stosunku do wszystkich drzew przyulicznych Pragi-Północ byłoby to 23 500 m<sup>3</sup> wody deszczowej. Wartość pieniężna tej usługi świadczona przez 352 drzewa badane rocznie wyniosłaby więc 7568 zł, a drzew przyulicznych na terenie dzielnicy Pragi-Północ 258 000 zł”. Najskuteczniej oczyszczają powietrze brzozy i dęby.

Prof. Jaroszewicz mówi o roli drzew chroniących środowisko przed ocieplającym się klimatem. O nieodwracalnych szkodach związanych z wycinaniem drzew starych o najwyższym w Europie stanie naturalności, co miało miejsce w Puszczy Białowieskiej<sup>5</sup>. Badacze ekosystemów mówią, że jedyną szansą przeciwdziałania klimatycznej katastrofie jest sadzenie drzew, a bardziej jeszcze – pozwolenie, by mogły rosnąć i rozkrzewiać się samodzielnie. Zdolność lasów do wylapywania z atmosfery dwutlenku węgla kazałaby zalesić ok. półtora

<sup>3</sup> Już Arystoteles pisał o chrematystyce (χηματιστική), sztuce bogacenia się za wszelką cenę.

<sup>4</sup> Prof. William Nordhaus, noblista w dziedzinie ekonomii, tak o tym mówi: „Elektrownie, fabryki, samochody, wszelka działalność produkcyjna, wszystko to, czego używamy, lub to, co posiadamy, powoduje emisję dwutlenku węgla lub innych gazów cieplarnianych”. Wśród innych gazów dominuje produkowany przez zwierzęta, groźniejszy od CO<sub>2</sub> metan. David Wallace-Wells („The Uninhabitable Earth. Life after Warming”) podaje, że w ostatnich trzydziestu latach wypuszczono do atmosfery więcej CO<sub>2</sub> niż w czasie, jaki upłynął od paleolitu.

<sup>5</sup> W oparciu o tzw. lex Szyszko (ustawę bez konsultacji i bez udziału opozycji uchwalono 16 grudnia 2016 roku w Sali Kolumnowej) w ciągu pół roku wycięto w Polsce 3 mln drzew.

miliardów hektarów wszystkich łądów<sup>6</sup>, głównie Rosji, Australii, Kanady, Brazylii i Chin. Niestety, trwa wylesianie, rzeź drzewostanu, czyli deforestacji (ang. forest – las). W ciągu ostatniego półwiecza największa na świecie, zajmująca 5,5 mln km<sup>2</sup> puszcza amazońska („płuca świata”), straciła 20% swego obszaru. Wycięto w niej prawie wszystkie (90%) skupiska drzew deszczowych wzdłuż wschodniego wybrzeża nad Atlantykiem, ich miejsca zajmują pastwiska oraz kopalnie żelaza i miedzi<sup>7</sup>. Współczesna cywilizacja to okres, w którym wycięto 46% drzew rosnących na Ziemi. Co roku ginie ich 15 miliardów, przybywa ledwie 5 miliardów. Są oczywiście wyjątki: najbardziej zalesiona w Europie Finlandia (lasy zajmują 74% powierzchni kraju) nie wycina swoich drzew, lecz kupuje je gdzie indziej, głównie w Polsce, gdzie panuje wciąż dendrofobia uzasadniana wydumaną ochroną interesów gospodarczych. 80% polskich lasów należy do Skarbu Państwa, czyli są to lasy publiczne, lecz publicznej kontroli nie było nad nimi nigdy. Choć i w naszym kraju zdarzają się takie cuda, jak ten w Rzeszowie, gdzie dwie nauczycielki, niczym hinduski z Chipko, własnym ciałem obroniły zdrowy, dwustuletni dąb przed urbanistycznymi planami władz miejskich. Dewastacji Puszczy Karpackiej przeciwstawia się społeczny ruch Dzikie Karpaty. Trójmiejskie lasy chce chronić przed zniszczeniem fundacja Fidelis Siluas (Wierni Lasom).

Moje obrazy zagłady lasu, od których nie mogę się uwolnić, to najpierw setki tysięcy drzew położonych na ziemi przez wichurę w Nadleśnictwie Ryteł pod Chojnicami. Oglądałem je wielokrotnie z okien pociągu, bez przerwy, od Gutowca, przez Ryteł aż po Krojanty. Złamane przy ziemi albo w połowie pnia. Nieliczne ocalałe jakimś cudem sprawiają wrażenie płaczków uzalających się nad losem tamtych, powalonych. Patrząc myślałem o sztuce Alejandro Casony „Drzewa umierają stojąc”. Te umierały jak ludzie, leżąc. A potem już ludzkie drzewobójstwo. Harwestery w Puszczy Białowieskiej, jedynym w Europie lesie trwającym od ostatniego zlodowacenia (12 tysięcy lat). Widziany najpierw w telewizji, a w styczniu tego roku bezpośrednio, czterohektarowy cmentarz ściętych w 2018 roku sosen, dębów i buków w Łebie. Pokot drzew na Mierzei Wiślanej po pięciu dniach pracy morderczych kombajnów w 2019 roku. O mierzei, którą po raz pierwszy zobaczyła pół wieku temu, w tonie lamentacyjnym pisze w „Znaku” Józefa Hennełowa: „Dlaczego to robimy? Dlaczego pozwalamy sobie wierzyć, że mamy takie prawo?”. I nieco dalej: „Można ogłosić, że nie liczą się ani morze, ani zatoka, ani piękno złocistej plaży nad samym Bałtykiem, że to my, władcy rozkazów i finansów, decydujemy, w którym kierunku płynąć mają rzeki i kiedy to, co raz stworzone i dane, zupełnie przestanie mieć znaczenie”. Andrzej Stasiuk zauważa, że wypędzamy ze swojego życia chaos, dzikość, to co naturalne. „Jakbyśmy się tego bali. Albo tego nienawidzili. A przecież bez tego po prostu nie przetrwamy. Będziemy panami stworzenia na dosłownej i metaforycznej pustyni”. Urszula Koziół stawia bardzo rzeczową diagnozę: „Polskie rzeki chorują, wysychają. Chorują drzewa. Gleba. Chorują owady. Znikają trzmiele, pszczoły. Znikają motyle. Maleją ptaki. Chorują. I płazy. I rośliny. Maleją ludzie – zwłaszcza gdy chodzi o ich wymiar duchowy. Ale i fizyczny. Chorują”. Przytaczam te słowa i myślę o opowiadaniu Olgi Tokarczuk pt. „Transfugium”. O jego bohaterce, Re-

<sup>6</sup> Na Ziemi mogłoby rosnąć 4,4 mld ha lasów; rośnie 2,8 mld.

<sup>7</sup> W październiku 2019 roku obradował w Wątykanie synod pod nazwą: „Amazonia – nowe drogi dla Kościoła i na rzecz ekologii integralnej”, podczas którego sprecyzowano pojęcie grzechu ekologicznego. Dominika Szkatuła, świecka misjonarka, mówi że dla miejscowej ludności dżungla to świątynia Boga. „Ścinając drzewo mówią do niego. Proszą o pozwolenie ścięcia, tłumacząc, że to dla utrzymania życia, nie dla zysku. Robią tak, wiedząc, że to drzewo jest częścią stworzenia”.

nacie (imię oznacza odrodzenie), która w klinice o tytułowej nazwie dezerceruje (takie jest znaczenie tego łacińskiego słowa) z człowieczeństwa, przeistacza się w zwierzę, w wilka.

## JUDI

Kiedy w zalesionym Surrey panuje zima, aktorka Judi Dench zamyka się w domu z mężem Davidem Millsem i książkami. Cichym, lekko zachrypniętym (przeziębionym ginem, przyznaje) głosem czyta sonety Szekspira. Sonet 97:

„Nad wszelkie braki

Gorszy brak ciebie: przezeń i letnie dni wieją

Chłodem, przezeń głos tracą najśpiwniejsze ptaki,

A gdy zabrzmią, to głosem tak głuchym, że drżymy

Jak liście, gdy poczują pierwsze tchnienie zimy” (tłum. Stanisława Barańczaka).

Za oknem widzą las. Wiele drzew posadzili własnymi rękami, na pamiątkę zmarłych bliskich. W ogrodzie rośnie między innymi Michael, który otrzymał imię po zmarłym w 2001 roku pierwszym małżonku Dench, Michaelu Williamsie. Spróbowali wspólnego życia po dziewięciu latach znajomości i wyszła im - mówi dziś - wielka miłość, największa. To właśnie z Michaelem aktorka rozpoczęła botaniczno-duchową działalność. Każda sadzonka ma za zadanie utrzymać ciągłość życia kogoś, kto odszedł.

Nie mogę oderwać wzroku od ekranu. Dokument BBC<sup>8</sup> to poetycko-naukowa podróż gwiazdy brytyjskiego kina przez cztery pory roku i cztery fazy rozwoju drzew. Dench, od dziecka miłośniczka przyrody, poznaje na przykład sekrety wiecznie zielonych cisów, potrafiących przetrwać największe mrozy. Słucha przez stetoskop niczym lekarz, jak pod korą płynie „krew” roślin, pijących hektolitry wody. Dowiaduje się, że gleba skrywa niesamowicie rozwinięty, korzeniowy system komunikacji. Albo że liście przesyłają sobie sygnały o zagrożeniu ze strony insektów. Albo że drzewa, tak jak inne organizmy, odczuwają ból. W jej twarzy nie ma cienia gry. Jest wzruszenie i zachwyt kogoś, kto odkrył piękno żywego sąsiedztwa.

<sup>8</sup> Judi Dench, *Moja miłość do drzew*, Wielka Brytania 2017.

Andrzej Kasperek

# DZIESIĘĆ ważnych książek

Czas obecnej zarazy, który pewnie kiedyś zasłuży na miano epoki koronawirusa i hasło #zostanwdomu, które pojawiało się tak często, że wzarło się w mózg i nie bardzo chce go opuścić, zmusiły wiele osób do alternatywnych rodzajów aktywności. Działań, które kiedyś ich wcale nie zajmowały lub którym poświęcali tylko chwilę. Nagle życie przeniosło się do sieci, zdalna nauka i zdalne nauczanie, śledzenie serwisów społecznościowych i grzebanie w zasobach Internetu... Ktoś to kiedyś zbada i opíše.

Jednym z ciekawszych zjawisk tego czasu były tak zwane *challenges*, czyli wyzwania. To angielskie słowo kojarzyło mi się wcześniej tylko z przedwojennymi zawodami lotniczymi. Od kilku lat *challenge* zaczęły rozmnażać się przez pączkowanie, coraz to nowe pomysły - oblewanie kubłem zimnej wody, śpiewanie/rapowanie, robienie nie zawsze mądrych i bezpiecznych rzeczy. A to wszystko oczywiście w szczytnym celu - zbieranie pieniędzy na ochronę przyrody i ratowanie środowiska, stypendia dla biednych uczniów, pomoc służbie zdrowia etc. Przymusowy pobyt w domu ogromnie rozwinął to zjawisko. Sam się dałem skusić, ale nie śpiewałem o mgie i jej ostrych kantach, nie dobierałem zdjęć do Dolly Parton Challenge... Wyzwany bawiłem się w pokazywanie scen z ulubionych filmów a także sporządziłem listę 10 ważnych dla mnie książek.

Potraktowałem to nie jako wyzwanie, ale raczej jako okazję do przypomnienia sobie pięknych filmów i sporządzenia listy książek, które są dla mnie ważne, które mnie uformowały, które kocham. Nie ukrywam, że była to nostalgiczna podróż w przeszłość. Czasem wzruszająca, bo przywoływałem ludzi, miejsca i zdarzenia, z którymi te lektury i pokazy filmów się mi kojarzą. Ale czasami sam się dziwiłem, bo ta swoista archeologia pamięci przynosiła wykopaliska zadziwiające...

Od dzieciństwa uwielbiałem czytać. Biblioteki, szkolna i gminna, były skromne, ale znalazłem tam bajki Brzechwy czy „Bajkę o rybaku i rybce” Puszkina. Te książki z cudownymi ilustracjami Szancera zachwyciły mnie. Treść i ilustracje – one stanowiły w nich jedność. Rysunki jms. (tak się podpisywał i te trzy małe literki z kropką wryto na jego nagrobku na Cmentarzu Powązkowskim) uwielbiam do dziś i wczoraj kupiłem niedawno wydany wspaniały album „Jan Marcin Szancer ambasador wyobraźni”. To przebogaty wybór jego najlepszych ilustracji. Już się cieszę na możliwość podziwiania olśniewającego stylu artysty, na możliwość powrotu do wspaniałego świata wykreowanego przez Mistrza.

Czytałem chciwie obłożone w szary papier pakowy książki: „Dzieci z Bullerbyn”, sagę Szklarskiego o Tomku wędrującym po świecie i „Chłopców z Placu Broni” Molnara. Łatwo się wzruszałem, szlochałem rozdzierająco przy opisie śmierci Nemezcza. Lektura książki dla dzieci, której akcja rozgrywała się w czasie powstania warszawskiego (niestety nie potrafiłem ustalić ani tytułu, ani autora) sprawiła, że ryczałem jak bóbr. Pamiętam, że ojciec odchylił się od warsztatu rymarskiego a mama wyprostowała się nad garnkiem stojącym na kafłowej kuchni i patrzyli zdziwieni a potem wyrzekali, że takie książki dają dzieciom do czytania. Działo się to w naszej kuchni, która była jednocześnie jadalnią, łazienką, bywała też warsztatem, bo zimą ojciec prznosił tu z szopy naprawianie butów i póższorków albo wyrabianie drewnianych łyżek. Trzeba było jakoś dorobić do nędznej pensji stelmacha. „Siedem fachów, ósma bieda” – to było ulubione powiedzenie taty.

Wtedy wstydzilem się tych łez. Dziś wiem, że niepotrzebnie. Niedawno pokazywałem uczniom na lekcji pierwszy odcinek „Dekalogu” Kieślowskiego. Pewien uczeń zaczął płakać po ukazanej tam śmierci chłopca. Oczywiście klasowi twardziele zaczęli z niego drwić, ale ja przechowując w pamięci obraz zapłakanego Andrzejka, stanąłem w jego obronie. Chamstwa i głupoty trzeba się wstydzić, a nie łez.

Czasem obrywałem (ale tylko słownie) za moje lektury, bo czegoś nie dopilnowałem, nie zrobiłem w domu na czas, nie przygotowałem. Moi rodzice byli prostymi ludźmi i nie bardzo rozumieli, po co kupuję książki. Zaczęło się to po I Komunii, kiedy trochę grosza mi wpadło. Czasem ukrywałem te zakupy, ale książek przybywało i tato nie narzekał, kiedy poprosiłem go o zrobienie mi biblioteczki. To był jego prezent dla syna na Gwiazdkę. Zmieściło się w niej przeszło sto książek. Myślę o tym ze wzruszeniem, bo za kilka dni stolarz ma montować nowe regały. Rozpaczliwie próbuje zmieścić kilka tysięcy woluminów w niewielkim mieszkaniu. Ale o mojej bibliotece napisze osobno.

Najszczęśliwszy byłem w czasie wakacji wypełnionych niekończącą się lekturą. Bo to było trochę jak w XXXIX sonecie „Z chałupy” Jana Kasprowicza:

„Latem, wolny, zastąpi pastucha,  
A pod pachą Homery, Wirgile;  
Ludzie czasem poszydzą niemile,  
Lecz on pasie i ludzi nie słucha...”

Nie zapomnę „Cudownej podróży” Selmy Lagerlöf. Trudno dziś uwierzyć, że przed laty uznano ją za „lekturę szkodliwą i zgubną dla dzieci, książkę niebezpieczną, której czytania zabroniono”. Pamiętam jak kiedyś w czerwcu moja siostra przyniosła mi ją ze szkolnej biblioteki, z tornistra wyjęła też kilka książek, które z niej wycofano. Jedną z nich czytałem z wypiekami na policzkach. I to jedno z tych dziwnych odpomnień, o których wspominałem. Tą lekturą (co udało mi się wytropić) była socrealistyczna powieść Aleksieja Musatowa pt. „Stożary”. Ustaliłem, że była to lektura w klasie VII szkoły podstawowej. Badaczka określa ją jako „powieść szkolno-kołchozową o schematycznej treści”. Pewnie ma rację, nie chcę dziś tego sprawdzać, ale coś w niej było takiego, że ją zapamiętałem.

W czasie letniej kanikuly najchętniej „leciałem” seriami: Centkiewiczowie, Wańkowicz, Boy Żeleński, Kąkolewski i dwa tuziny pisarzy, których czytałem namiętnie.

Sprawdziłem w swoim kajeciku - spisie lektur prowadzonym od czasów licealnych, że bardzo często pojawiają się ich nazwiska. Dziś nie potrafiłbym odpowiedzieć, dlaczego tak mnie fascynowali. Ale jakiś wpływ (pewnie niemały) na moje życie, i to nie tylko lekturowe, wywarli.

Brakowało mi mentora. Czytałem to, co wpadło mi w ręce. Dobrze, jeśli to był „Rękopis znaleziony w Saragossie” (sięgnąłem po książkę dzięki filmowi, co mi się nieraz zdarzało) albo „Odyseja”, ale czasem trafiałem na minę. Siódmoklasista, który naczytał się o genialnym przedstawieniu Wajdy i porwał się na „Biesy” Dostojewskiego niewiele zrozumiał z tej lektury. Bywało jednak, że przypadkiem trafiałem doskonale. Pamiętam swój zachwyty tomem opowiadań Guy de Maupassanta. Może z tamtej lektury bierze się moja fascynacja krótkimi formami, bo Maupassant to mistrz „sztuki krótkiego oddechu”. Podobnie jak Babel i Bunin, którymi zaczytywałem się w czasach liceum i Hrabal, mój ukochany pisarz od czasów studiów a może liceum, które kończyłem w połowie lat siedemdziesiątych. Telewizja pokazywała wówczas często czeskie i słowackie filmy. Także te ze złotego okresu kina czechosłowackiego. Po obejrzeniu „Pociągów pod specjalnym nadzorem”, zafascynowany pewnie słynną sceną, kiedy to dyżurny ruchu na stacji, pan Całusek, przybija pieczętki na gołej pupie Zdeniczki Świętej, poleciałem do biblioteki po książkę Hrabala i tak się zaczęła moja miłość do tego pisarza. Ostatnio w radiowej Dwójce Wiktor Zborowski czytał jego „Obsługiwałem angielskiego króla”. I to było tak piękne, że nie mogłem się oderwać, choć znam tę książkę prawie na pamięć od czasu, kiedy miesięcznik „Literatura na Świecie” w 1989 roku wydał specjalny numer poświęcony Hrabalowi, w którym opublikowano całą tę powieść. Kupiłem wtedy kilka egzemplarzy i obdarowałem nimi swych przyjaciół.

Bo do niektórych książek powracam co kilka lat. Wywołuje to pewien dyskomfort, przecież na półkach stoją setki nieprzeczytanych tomów, co z nimi? Jednak z drugiej strony wiem, że to będzie jak wizyta u starego przyjaciela, jak smak ulubionego dania lub kieliszek wybornego wina. Pięknie napisał Machiavelli w swym liście: „Kiedy zapada wieczór, wracam do domu, wchodzę do swojej biblioteki i już na jej progu zrzucam z siebie codzienną, zbrukaną błotem odzież, a przywdziewam szaty godne królewskiego dworu; [...] wkraczam w odwieczną dziedzinę ludzi starożytnych, gdzie uprzejmie przez nich przyjęty posiłam się tym pokarmem, który, tylko on, jest moim i do którego spożywania urodziłem się; gdzie nie wstydzę rozmawiać z nimi i pytać o racje ich czynów, a oni z właściwą sobie życzliwością odpowiadają”.

Oto moja dziesiątka, choć wiem, że każdy taki wybór jest kaleki, bo oznacza, że zabraknie miejsca dla innej książki, też ważnej. Ale cóż. Oto one:

1. Bohumil Hrabal „Zbyt głośna samotność” – książka, którą przeczytałem dawno temu w bardzo dla mnie trudnym momencie, ona pokazała mi drogę, może uratowała życie. To tak intymna sprawa, że jeszcze nie dojrzałem, żeby o niej napisać. Może kiedyś... Jedna z pierwszych książek opublikowanych przez Niezależną Oficynę Wydawniczą w 1978 roku. Udało mi się kupić drugie samizdatowe wydanie. Czytam ją co kilka lat z nieprzemijającym zachwytem.

2. Iwan Bunin „Gramatyka miłości” (i inne wybory opowiadań) – wspaniała proza, pełna barw, dźwięków, zmysłowa i jednocześnie dociekliwa psychologicznie. Co jakiś czas muszę do niej wrócić. Początki mojej fascynacji literaturą rosyjską. Od czasu do czasu wydaje się jego nowe rzeczy, polecam zbiór opowiadań emigracyjnych i dzienników pt. „Późna godzina” (2013).

3. Izaak Babel „Opowiadania odeskie” (i wszelkie inne dostępne zbiory opowiadań oraz „Armia konna”) – przeżyłem zauroczenie światem odeskich Żydów, bandytów, marzycieli... Sztuka opowiadania niezrównana. Tłumaczył go kongenialnie Jerzy Pomianowski, z którym kiedyś miałem zaszczyt rozmawiać. Z wielką skromnością przyjmował moje komplementy. To on ułożył i opatrzył posłowiem zbiór „Dziennik 1920. Opowiadania. Zmierzch” (2000).

4. Alfred Szklarski, saga o Tomku Wilmowskim – podróżowałem z Tomkiem po świecie, studiowałem mapy, wertowałem encyklopedie; ten cykl był polskim przedłużeniem książek Juliusa Verne’a. Mądrze napisał o nim krytyk: „siłą książek Szklarskiego jest marzenie. Główny bohater je realizuje. Ze zniewolonego, ciemionego kraju przenosi się w krainy pełne wolności”. Nie przeczytałem ostatnich tomów („Tomek w Gran Chaco” i „Tomek w grobowcach faraonów”), które ukazały się, kiedy byłem już studentem - bałem się wracać do młodzieńczych lektur, wolałem aurę, którą zapamiętałem sprzed lat.

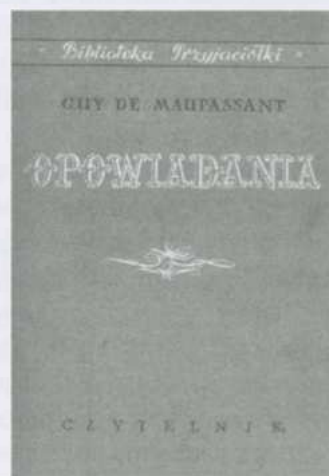
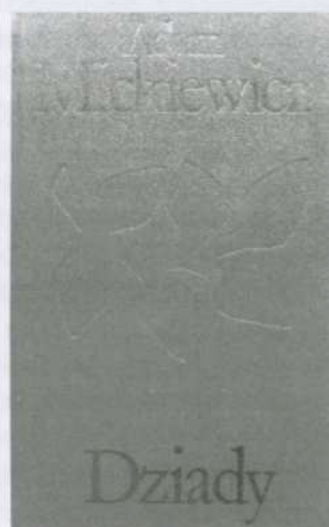
5. Astrid Lindgren „Dzieci z Bullerbyn” – cudowne wspomnienie dzieciństwa, sielskie, ale nie cukierkowe. Pamiętam całe fragmenty, bo później dwa razy czytałem ją swoim dzieciom. Kiedy jechałem przez Szwecję i patrzyłem na czerwone domki myślałem o dzieciach, które tam mieszkały - Lissa, Olle, Bosse. To „pogodna opowieść o dziecięcym raj, niezmacona żadnym buntem”. W Sztokholmie jest Junibacken - muzeum poświęcone postaciom szwedzkiej literatury dziecięcej, przede wszystkim z książek Astrid Lindgren. Nie mogłem sobie darować wizyty w nim. Z ogromną frajdą wsiadłem do specjalnej kolejki, z której można oglądać świat tak, jak Marcin (bohater „Cudownej podróży”) z lecącego nad Szwecją gąsiora. Wrażenie wspaniałe – wolę to niż wszystkie rollercoastery Disneylandu.



6. Adam Mickiewicz „Dziady”, cz. III – trudno mi wytłumaczyć moje uwielbienie dla tego utworu, kocham Mickiewicza, ale trzecie „Dziady” są fenomenem, który wymyka się analizom, arcy-polskie, szalone. Mam nadzieję, że moi uczniowie okażą mi miłosierdzie, że ich tak katowałem tym dramatem. Kilka lat temu byłem z moją ulubioną klasą na wycieczce w Wilnie i pękałem z dumy, gdy bez problemu rozpoznawali wszystkie sceny ukazane na sześciu płaskorzeźbach Henryka Kuny przy pomniku Mickiewicza. Ciągłe je czytam i oglądam. Wielka Improwizacja w wykonaniu Gustawa Holoubka wciąż mnie poraża. Jak tylko mogę, to zaraz wybieram się do teatru na kolejną inscenizację. Cóż robić, ale powszechnie chwalona wersja z teatru Narodowego w reżyserii Eimuntas Nekrošiusa mnie nie zachwycała. Prawie jak w „Ferdydurke” Gombrowicza: „Jak to nie zachwyca Kasperka, jeśli tysiąc razy tłumaczyłem Kasperkowi, że go zachwyca?”.

7. Guy de Maupassant „Opowiadania” – od niego pochodzi moja fascynacja krótkimi formami, pamiętam swój zachwyt lekturą tomu opowiadań, który znalazłem na strychu w domu bez książek, w którym byłem kilka dni gościem. To był ratunek, bo bez lektury nie zasnę, okropny nałóg. Maupassant to mistrz „sztuki krótkiego oddechu”. Nie mogę spokojnie myśleć o jego straszliwej śmierci opisanej przez Babla: „Ostatnie słowa z jego historii choroby brzmią: Pan de Maupassant przemienił się w zwierzę”.

8. Homer „Odyseja” – czytałem ja w przekładzie prozą Jana Parandowskiego. Dzięki temu, bez wzniosłego heksametru historia Odysa - rozbitka, człowieka walecznego i przebiegłego, słabego i nie poddającego się przeciwnościom stała się po prostu opowieścią o człowieku. Małym i wielki, odważnym i tchórzliwym, mądrym i głupim, pysznym i sponiewieranym rzez życie. Skąd ten ślepy Homer to wszystko wiedział? I jak on to potrafił opowiedzieć! Europa zaczynająca dzieje swej literatury od Homera i Sofoklesa, od Horacego i Wergilego, od geniuszy i tytanów! Mieliśmy wielkie szczęście. Moje, ciągle niezrealizowane, marzenie to podróż na Itakę oraz wałęsanie się po greckich wyspach i wysepkach, od portu do portu. Kiedy płynąłem promem z Patras



do Ancony poprosiłem oficera, żeby powiedział mi kiedy będziemy przepływać koło tej wyspy. W nocy szturchnął mnie i pokazał światelka po prawej stronie. Podszedłem do burty i pomachałem dzielnemu Odyseuszowi...

9. Jan Potocki „Rękopis znaleziony w Saragossie” – sięgnąłem po książkę dzięki genialnemu filmowi Wojciecha Hasa (co mi się nieraz zdarzało). Fascynująca historia opowiedziana w sposób tak kunsztowny, pełna zawijasów i dygresji. Jej autor to postać niezwykła. Szkoda, że nikt nie dał rady napisać o nim pełnokrwistej powieści. Ale doczekał dwóch dobrych książek biograficznych i nowego pełnego przekładu „Manuscrit trouvé à Saragosse” (2015). To dowody na niegasnące zainteresowanie tym dziełem i autorem.

10. Jan Józef Szczepański „Przed nieznanym trybunałem” – w czasach późnego PRL-u poezja Zbigniewa Herberta, książki Szczepańskiego czy Jana Strzeleckiego (przede wszystkim „Próby świadectwa”) były jak drogowskazy albo latarnie morskie, które pokazywały dokąd mamy zmierzać. Co jest ważne? Jak się zachować? Jak nie stracić twarzy? Pięknie określił to Władysław Bartoszewski: „Warto być uczciwym, choć nie zawsze się to opłaca. Opłaca się być nieuczciwym, ale nie warto”. Szkoda, że dziś te książki są trochę zapomniane. Dawne autorytety skutecznie się niszczy a nowych nie widać...

\*

I jeszcze dwa tuziny pisarzy, których kiedyś czytałem namiętnie; wszystko, co tylko mogłem znaleźć w bibliotekach, księgarniach i antykwariatach. Sprawdziłem w swoim spisie lektur, który prowadzę od pół wieku, od czasów licealnych. Bardzo często się tam pojawiają. Dziś często nie potrafiłbym odpowiedzieć, dlaczego tak mnie fascynowali. Ale jakiś wpływ (czasem pewnie niemały) na moje życie, i to nie tylko lekturowe, wywarli. Oto oni, w kolejności przypomnień:

Jerzy Andrzejewski, Melchior Wańkowicz, Janusz Głowacki, Marek Nowakowski, Blaise Cendrars, Tadeusz Boy-Żeleński, Krzysztof Kąkolowski, Janusz Odrowąż-Pieniążek, Graham Greene, Emil Zegadłowicz, Wasilij Aksjonow, Miodrag Bulatović, Flannery O'Connor, Michaił Bułhakow, Michał Choromański, Truman Capote,



Henryk Grynberg, Michaił Zoszczenko, Igor Neverly, Edward Redliński, Marek Hłasko, Stefan Żeromski, Raymond Chandler, Alina i Czesław Centkiewiczowie, Michaił Lermontow, Tadeusz Borowski.

Chwała Bogu, że wciąż jeszcze znajduję książki dla mnie ważne. Nie patrzę, czy to klasyk, czy nowe powieści. Najważniejsze jest, że mogę oddać się lekturze i zapomnieć o całym Bożym świecie. „Czarodziejska góra” Tomasza Manna i „Wojna i pokój” Lwa Tolstoja są wciąż zniewalająco piękne i mądre. A radość (i ból) z lektury „Wyznaję” Jaume Cabré, „Łaskawych” Jonathana Littella, „Życia i losu” Wassilija Grossmana są nie do przecenienia. Teraz wreszcie zabrałem się za tetralogię neapolitańską Eleny Ferrante. I bez znaczenia, kto ukrywa się za tym pseudonimem, to znowu cudowna podróż, która tylko literatura może nam dać. Nie mógłbym żyć bez czytania. Większość moich lektur to obowiązek – szkoła, studia, praca, ale nie zamieniłbym tego obowiązku na żaden inny.

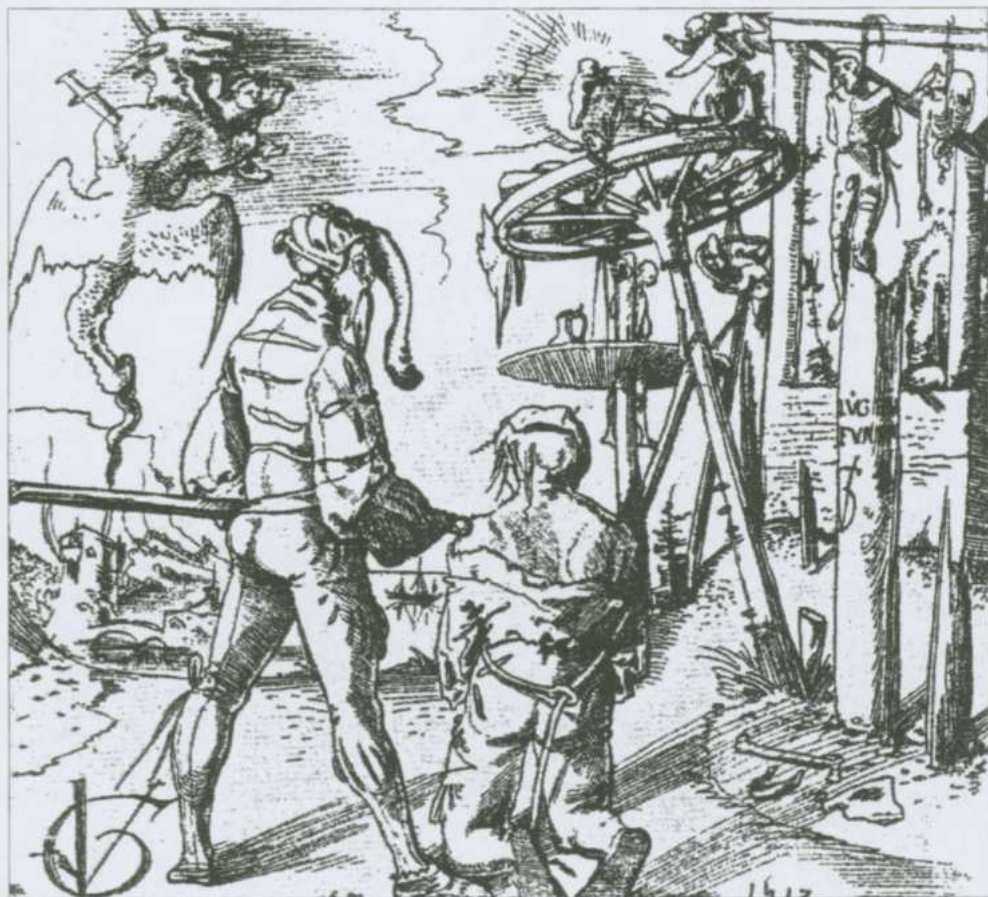
Kiedyś uczeń gimnazjum spytał mnie: Ale po co ja mam czytać? Mnie to tak męczy. Bezcelnie, ale szczerze. Odpowiedziałem mu bez złości: Bo czasem znajdziesz książkę, która stanie się balsamem dla skołatanej duszy. Czasem jakieś zdanie z wiersza podpowie ci jak żyć. A innym razem lektura będzie jak kąpiel w chłodnej rzece w bardzo upalny dzień. I po to warto czytać.

Na tropach historii

Grażyna Nawrońska

# KAT

## OPRAWCA I ... BIZNESMEN



*Kat ze skazańcem pod szubienicą, wg R. H. Foerster*

W miastach niemieckich w drugiej połowie XIII w. pojawili się pierwsi profesjonalni kaci, zatrudniani i opłacani przez rady miejskie. Najstarsza wzmianka źródłowa o istnieniu tego rodzaju funkcji odnotowana została w prawie miejskim Augsburga z 1276 r. Do zakresu podstawowych obowiązków kata należało wówczas egzekwowanie wyroków sądowych, nadzór nad miejskimi prostytutkami, pilnowanie nocą składowanych towarów na rynku miejskim, oczyszczanie toalet (latryn) i rynsztoków, jak również usuwanie z miasta osób chorych na trąd.

W większych miastach Europy Środkowo-Wschodniej, w tym również w Toruniu, Elblągu i Gdańsku, kat wykonujący swoje podstawowe obowiązki pojawia się w połowie XIV w. Chociaż w najzamożniejszych miastach średniowiecznych, głównie niemieckich, władze zlecały egzekucje wyroków sądowych także innym sługom miejskim. Katów otaczała zawsze zła sława, chociaż posiadali zgodę i akceptację społeczną (rada miasta) na wykonywanie wyroków czy okaleczanie osób (tortury) w majestacie prawa. Za swoje usługi byli stosownie wynagradzani. Często byli zatrudniani na stałe; jednak obok takiej formy pracy otrzymywali również konkretne jednorazowe zadania. Kaci wywodzili się najczęściej z kręgów miejskiej biedoty, a pełnienie przez nich tej funkcji pomagało niekiedy na polepszenie swojego statusu majątkowego.

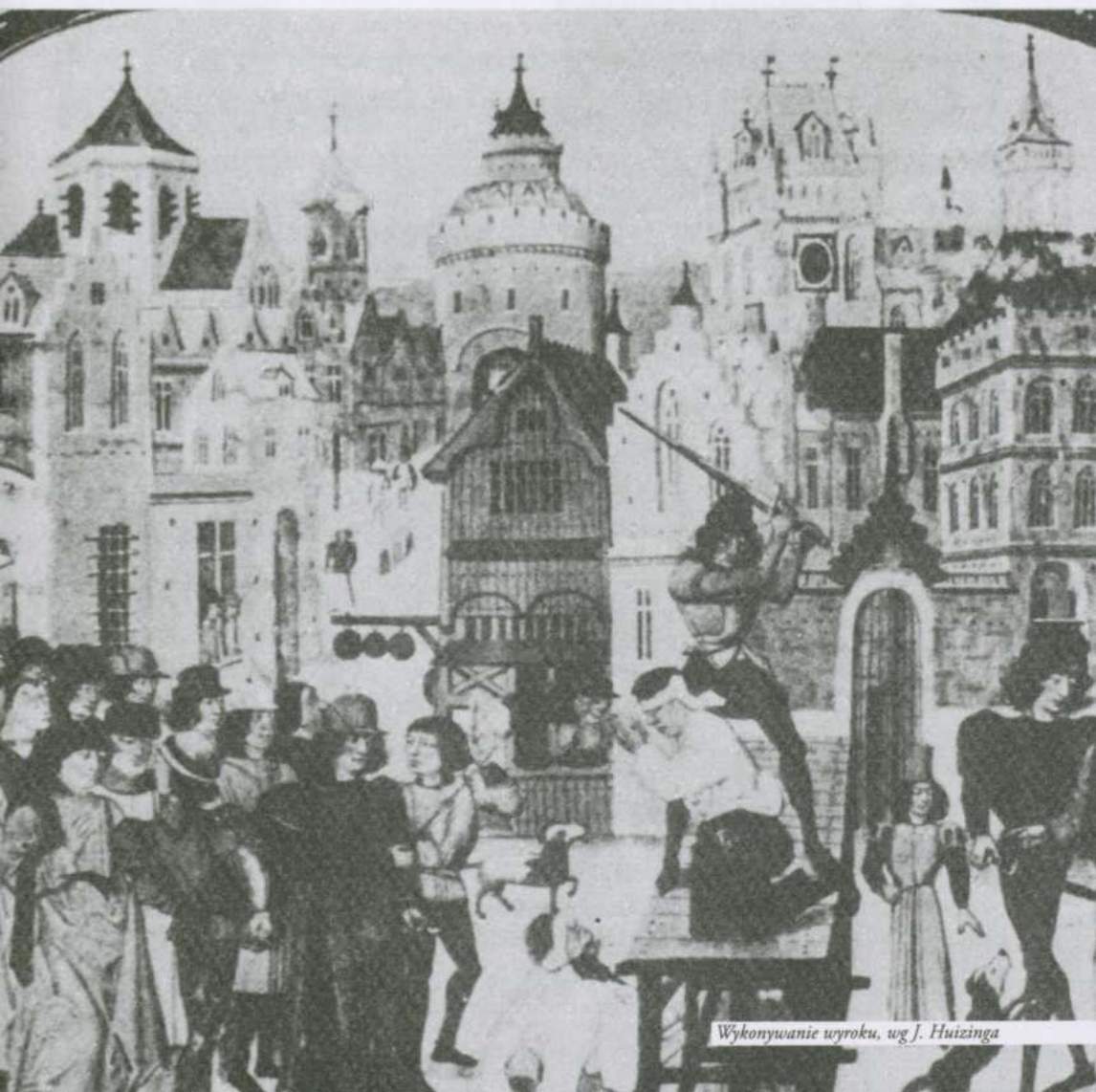
Nie posiadamy niestety bezpośrednich informacji zawartych w średniowiecznych źródłach pisanych na temat katów i należnych im obowiązków, którzy pozostawali na usługach władz Starego Miasta Elbląga. Nie możemy jednak stwierdzić, że nie funkcjonowali oni w społeczności miejskiej. Bowiem w miastach w których obowiązywało prawo lubeckie - a takim był Elbląg - rolę katów pełniły osoby określane mianem *butli*. Niektórzy badacze sugerują, że pierwszym katem w Elblągu mógł być mieszczanin elbląski Baldewinus, zmarły przypuszczalnie pod koniec lat trzydziestych XIV w. Tym bardziej, że źródła potwierdzają



Elbląg, Stare Miasto. Gliniane skarbonki, fot. A. Kolecki

obecność przedstawiciela tej profesji około połowy XIV w. Kaci podlegali bezpośrednio Radzie Miasta Elbląga, a ściślej urzędującemu aktualnie burmistrzowi. Zakres ich obowiązków w średniowieczu ograniczony był przede wszystkim do wykonywania wyroków sądowych. Zdecydowanie więcej informacji o działalności i różnorodnych obowiązkach które dotyczyły katów, dostarczają nam nowożytnie archiwalia. Podstawowymi źródłami są ustalane przez Radę Miasta ordynacje katowskie, wydawane wilkierze, kontrakty czyli tzw. *kapitulacje* i rachunki miejskie.

Co więc należało do zakresu codziennych obowiązków katów pracujących w dużych miastach pruskich, w tym także w Elblągu, w średniowieczu i nowożytności. Jakie inne prace wykonywali, oprócz swojego podstawowego zadania jakim było przeprowadzanie egzekucji zasądzanych przez sąd miejski?



Wykonywanie wyroku, wg J. Huizinga

## KAT - OPRAWCA

Do podstawowych obowiązków katów zatrudnianych przez Radę Miasta lub realizujących na jej zlecenie „konkretne zadanie” należało wykonywanie egzekucji zlecanych - zasądzonych przez sąd. Jeżeli zapadały lekkie wyroki, np. chłosta, to ich wypełnienie były także egzekwowane przez jego pomocników. Kaci prowadzili także przesłuchania podejrzanych przy użyciu tortur w celu uzyskania zeznań. Musieli dobrze znać anatomię człowieka, żeby podczas śledztwa podejrzany zbyt szybko nie opuścił tego świata. Niekiedy mogli pomóc odejść wcześniej, gdy tortury stawały się trudne do wytrzymania, a skazany lub rodzina potrafili się wcześniej odwdziżyć. Takie przypadki mogły mieć miejsce np. w Lubece. Otóż w jednej z latryn na podwórku miejskiej działki odkryto kilkadziesiąt skarbonek, które były uszkodzone i nie zawierały monet. Biorąc pod uwagę kontekst chronologiczny oraz źródła pisane dotyczące tej parceli ustalono, że w tym czasie mieszkał tutaj miejski kat. Czy to on był właścicielem skarbonek, których zawartość wcześniej opróżnił skracając cierpienia skazanych?

W dokumentach miejskich były precyzyjne przepisy wymieniające rodzaje kar oraz wyceny poszczególnych zadań, za które kat otrzymywał wynagrodzenie. Przykładowo za ucięcie uszu lub nosa Rada Miejska płaciła od czterech do dwudziestu grajcarów, za obcięcie głowy mieczem lub języka wypłacano katowi sześć guldenów. Tak samo wyceniono wbicie pała w serce i pogrzebanie zwłok. Tylko jednego guldena więcej kat otrzymywał za spalenie, ćwiartowanie czy łamanie kołem. Zwykła chłosta przy pręgierzu szacowana była na dwa guldeny i tę karę kat najczęściej wykonywał osobiście. Karze pręgierza podlegali wszyscy ukarani prawomocnymi wyrokami bez względu na płeć, stan i pochodzenie społeczne. Była ona często związana z banicją, wydaleniem i wykluczeniem ze społeczności miejskiej. Sam akt stanowił rodzaj ulicznego widowiska z korowodami i niesionymi flagami, którym towarzyszyła muzyka wykonywana przez ulicznych grajków. Te wydarzenia stanowiły swego rodzaju theatrum i były finansowane przez urzędy kamlarii Rady Miasta.

## KAT - CZYŚCIELE

Najstarsze wzmianki źródłowe dotyczące informacji o pracach porządkowych w dużych miastach pruskich, finansowanych z kasy miejskiej, pochodzą z XV w. i pokazują, że koncentrowały się one przede wszystkim wokół miejsc reprezentacyjnych, jak również odgrywających w życiu codziennym ośrodką istotną rolę, np. rynki, główne ulice, nadbrzeża rzek, otoczenie ratusza. Polegały one na usuwaniu nieczystości, jak i na budowie sieci wodociągowo – kanalizacyjnej. W późnym średniowieczu zapoczątkowany został proces profesjonalizacji służb sanitarno-porządkowych, co w efekcie prowadziło do wykształcenia specjalistycznych funkcji o ściśle sprecyzowanym zakresie obowiązków. Początkowo tymi obowiązkami zajmowali się studzy miejscy i robotnicy najemni, a później tę rolę przejęli kaci ze swoimi pomocnikami. Równoległe powstaje także w późnym średniowieczu jeszcze jedna bardzo istotna funkcja - rakarza - *Raker*, *Wasendinst* - której zadania i obowiązki były bardzo zbliżone do katowskich. W zachowanych rachunkach Starego Miasta Elbląga z początku XV w. wspomniany jest rakarz Stolpmann, który za sprzątnięcie terenu przed siedzibą sądu, czyszczenie rur kanalizacyjnych oraz wyrzucanie nieczystości do rowów (czyżby były to fosy miejskie?) otrzymał z kasy miasta dwanaście skojców i pół grzywny.



Usuwanie nieczystości czy „koncert pod domem prostytutki”, wg Heege

Wykonywanie czynności sanitarno-porządkowych i odpowiedzialność za utrzymanie czystości w mieście należały do osób o najniższym statusie społecznym.

W rozwijającym się szybko Elblągu gwałtownie wzrastało zanieczyszczenie w obrębie ulic, w miejscach publicznych, na podwórkach działek mieszczańskich czy przebiegających przez miasto rynsztokach. Wydawane przez Radę Miasta wilkierze, a potem ordynacje katowskie zawierały przepisy regulujące zasady utrzymywania czystości, m.in. dotyczące opróżniania latryn i przydomowych abortów, publicznych przywet oraz wywożenia nieczystości za miasto. Zgodnie z ordynacjami potrzebę opróżniania własnych latryn mieszczanie zgłaszali w Radzie Miasta, uiszczając obowiązkową opłatę wstępną, co warunkowało podjęcie się pracy przez kata i jego pomocników; a po zakończeniu robót regulowano pozostałą należność. Wypełnione nieczystościami płynnymi beczki ładowano na specjalnie przeznaczone do tego wozy, na których nie mogło być mniej niż sześć. W ciągu jednej nocy kat ze swoimi pomocnikami był w stanie wywieźć od czterech do dziesięciu wozów (czyli od 24 do 60 beczek), a ich zawartość zamykała się w granicach od 3024 do 12600 litrów nieczystości płynnych. Wywożono je poza miasto do określonych miejsc: w *Kranach-See* lub w okolicy podmiejskiej szubienicy na Wzgórzu Wisielców, gdzie wylewano je do uprzednio wykopanych dołów. Czynności te odbywały się pod osłoną nocy, co wynikało ze statusu zwyczajowej niegodności rzemiosła katowskiego, gdyż nocna praca uwłaczała ludziom ją wykonującym. Także otwieranie latryn, ładowanie i wywóz nieczystości byłoby nad wyraz uciążliwe dla mieszkańców miasta, gdyby odbywało się w dzień. Dla zobrazowania, jak ogromne ilości śmieci i różnych brudów „produkowali” mieszkańcy miasta, warto przytoczyć obliczenia przeprowadzone dla Getyngi: otóż około roku 1400 sześć tysięcy jej miesz-



Szubienica w Muzeum w San Gimignano, fot. I. Szalaty-Marszewska

kańców szacunkowo „wytwarzało” (bez odpadów pochodzących z działalności rzemieślniczej i budowlanej) 1200 ton stałych i 89 milionów litrów płynnych nieczystości rocznie.

Elbląski kompleks osadniczy w średniowieczu liczył około dziewięciu tysięcy mieszkańców. Na każdej działce miejskiej znajdowały się od jednej do trzech latryn, które systematycznie musiały być opróżniane co kilka lub kilkanaście lat. Tak więc tylko tego typu wywożenie nieczystości przysparzały katu i jego pomocnikom ogromnej pracy.

Drugim istotnym zadaniem elbląskich katów i jego pomocników w procesie usuwania nieczystości w obrębie miasta było sprzątanie zwłok martwych zwierząt z ulic i przykościelnych cmentarzy. Wyróżniano padlinę małych zwierząt (psy i koty) i dużych (konie, bydło), co znajdowało także odbicie w zróżnicowanych z tego tytułu wypłatach z kasy miejskiej. Natomiast zwierzęta, które zdechły na terenie prywatnych posesji były usuwane na koszt ich właścicieli. Jednak stawki za te usługi były dwukrotnie wyższe niż w przypadku sprzątania padliny z miejsc publicznych.

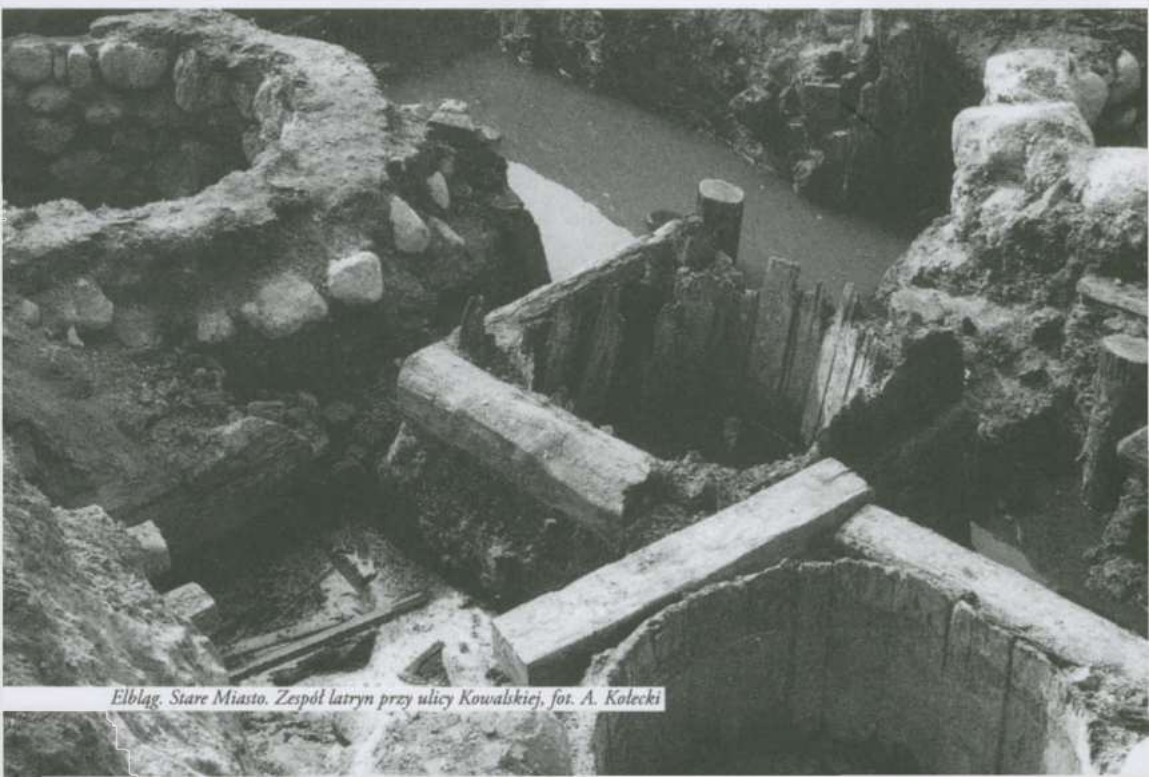
Kolejnym ważnym aspektem roli kata w ramach systemu utrzymania czystości w mieście było wyłapywanie i zabijanie bezpańskich wałęsających się psów. Stanowiły one bowiem bezpośrednie zagrożenie dla zdrowia i życia jego mieszkańców, a w niektórych miastach wprowadzono nawet z tego powodu zakaz wyprowadzania psów nocą na miejskie ulice. W XV w. pojawiła się specjalna funkcja - tzw. *Hundepeitscher*, do którego zadań należało m.in. przepędzanie psów ze świątyń i wyłapywanie czworonogów grasujących po cmentarzach przykościelnych. Uśmiercanie bezpańskich psów odbywało się bezpośrednio na ulicy we wczesnych godzinach porannych - przed siódmą, zanim na dobre zaczął się ruch w mieście; po czym niezwłocznie wywożono ubite zwierzęta poza miasto. W uchwałach Rady Miasta Elbląga odnotowano, że w pierwszej połowie XVIII w. każda łapanka na bezpańskie psy trwała średnio od dwóch do sześciu tygodni. Na podstawie skąpych danych możemy przypuszczać, że w niektórych latach stróżę porządku zabijali w roku około 400 psów, a niekiedy np. 90 czworonogów. Z obławy czynionej przez pomocników katowskich względnie rakarza mogły być wyłączone psy mające obroź, a więc posiadające swoich właścicieli. Po złapaniu czworonogów mogli je oni odebrać w rakarni, oczywiście za stosowną opłatą.

Do obowiązków elbląskiego kata należało także pilnowanie, żeby po ulicach nie wałęsały się świny - niekiedy także bydło - nielegalnie hodowane przez mieszkańców w obrębie murów miejskich. Zwierzęta były konfiskowane i przekazywane władzom miejskim. Istotnym zadaniem czyszciciela miasta - kata - było usuwanie nieczystości zalegających w miejskich rynsztokach, tzw. *Dromme*, które znajdowały się w obrębie wszystkich miejskich ulic, przebiegając środkiem lub wzdłuż frontów kamienic po obu stronach ulicy. Zbierali nieczystości zarówno z poszczególnych budynków, jak i śmieci wyrzucane bezpośrednio na ulice. Czynności opróżniania rynsztoków odbywały się raz na kwartał; natomiast ulice były sprzątane zdecydowanie częściej. Kosztami prac byli częściowo obciążani także mieszkańcy Elbląga, którzy płacili stosowne kwoty w zależności od wielkości domu, którego byli właścicielami lub najemcami. Do wykonywania tych zadań, które także odbywały się wieczorową lub nocną porą, przeznaczone były charakterystyczne długie i niskie wozy mieszczące jednorazowo dwanaście specjalnych przygotowanych do tego celu drewnianych beczek.

Oprócz usuwania nieczystości z miejskich rynsztoków elbląscy kaci zatrudniani byli również przy czyszczeniu tzw. skrzyń szlamowych, zlokalizowanych na brzegu przepływającej przez miasto rzeki Elbląg. Płynne nieczystości spływały specjalnymi kanałami zwanymi *gossen* do rozmieszczonych skrzyń - *slamkisten*, w których zbierał się szlam. Pełniły one funkcje oczyszczalni - osadzały się w nich nieczystości, a „przefiltrowana” woda wpływała do rzeki. Muł, fragmenty gruzu ceglanego i inne „większe śmieci” były systematycznie ze skrzyń usuwane, mimo to pewne ilości zanieczyszczeń trafiały do rzeki, będącej przecież także źródłem wody dla mieszkańców Elbląga. W księdze rachunkowej Starego Miasta Elbląga podano lokalizację skrzyń: znajdowały się one przed bramami Tobiasza oraz Ducha Świętego, koło żurawia, miejskiej łaźni i pod mostem Kogi.

Do zakresu obowiązków katów elbląskich należało także odśnieżanie centrum miasta, gdzie znajdowały się obiekty użyteczności publicznej, m.in. ratusz, cmentarz, kościół, apteka, szkoła oraz główne miejskie ulice. Takie działania miały miejsce jedynie w XVII w. i na początku XVIII w., co zostało skrzętnie odnotowane w ordynacjach katowskich. Tego typu usługi wykonywane np. w Gdańsku i Toruniu nie są specjalnie wyszczególniane i odnotowywane w wilkierzach i ordynacjach. Tylko w przypadku bardzo obfitych opadów śniegu, które miały miejsce w Gdańsku m.in. w 1539 r., 1576 r. czy na przełomie 1657/1658 r., Rada Miasta wydała edykt o obowiązkowym usuwaniu śniegu i lodu, zobowiązując przede wszystkim mieszkańców do podjęcia takich działań w obawie przed późniejszymi gwałtownymi roztopami. W XVIII w. do usuwania śniegu i lodu zatrudniano także więźniów.

Władze miejskie Elbląga nakładały na kata także obowiązek uprzątnięcia cel więziennych, usuwania i wywożenia poza miasto nieczystości z abortu miejskiego więzienia



Elbląg. Stare Miasto. Zespół latryn przy ulicy Kowalskiej, fot. A. Kolecki

i prywet znajdujących się w wieżach, basztach i bastionach miejskich fortyfikacji. Miało to z pewnością związek z funkcją i „pracą”, jaką pełnił kat w systemie penitencjarnym miasta. Sprawowanie takiej funkcji, jak i oczywiście jego niska pozycja społeczna, skazywała go na wykonywanie takich robót.

Oprócz wykonywania różnorodnych wyroków sądowych i szerokiego zakresu działań związanych z oczyszczaniem miasta, do obowiązków katów w Elblągu należało również przeprowadzenie kontroli przestrzegania przez mieszczan czystości na terenach przylegających do ich parcel. Kaci ogłaszali również mieszkańcom Elbląga decyzje władz miejskich o obowiązkach dotyczących usuwania nieczystości z własnych posesji, jak również pobierali podatki od oczyszczania rynsztoków i studni.

Kaci pracujący w dużych miastach pruskich zajmowali się również – w okresie nowożytnym – leczeniem. Ich działalność w tym zakresie poświadczona jest w źródłach pisanych dotyczących Gdańska i Torunia, o Elblągu źródła milczą. Kaci i ich żony udzielali porad, sporządzali lekarstwa, nastawiali zwichnięte kończyny, a nawet wykonywali amputacje. Spotykało się to jednak ze zdecydowanym sprzeciwem balwierzy i cyrulików, a niektórzy z nich z tego powodu wnosili skargi do władz miejskich. Ostatecznie kaci zaprzestali takiej formy działalności w połowie XVIII w.

## NA ZAKOŃCZENIE

W każdym z wielkich miast pruskich – Gdańsku, Elblągu, Toruniu – w XVI-XVIII w. funkcjonował jeden kat. W zachowanych ordynacjach katowskich odnotowano nazwiska niektórych elbląskich przedstawicieli tego zawodu, np. Caspera Gebhardta (1687 r.), Franza Friedericha Stengla (1712 r.). Wiadomo, że kat nie mógł sam wykonywać wszystkich obowiązków powierzonych mu przez Radę Miasta. Jako „mistrz” i „szef” posiadał do dyspozycji grupę pomagających mu pachołków, zwłaszcza w realizowaniu zadań czy uchodzących za szczególnie hańbiące, np. niektóre rodzaje egzekucji czy uwłaczające w największym stopniu godności czynności sanitarno-porządkowe (czyszczenie prywetów więziennych). W źródłach pisanych byli oni określani mianem *oprawców*, *hycli* czy *thurmknechte*. W jednym z dokumentów z 1634 r. odnoszącym się do kata Gregera Straucha jego pomocnicy nazwani zostali *katowczykami*. Trudno jest zdecydowanie określić na podstawie źródeł pisanych liczbę pracujących dla kata pomocników. W księgach elbląskiej kamlarii (XVII-XVIII w.) znajdujemy informacje o zatrudnianiu przez kata na stałe siedmiu- ośmiu osób. W przypadku większego zakresu prac liczba pomocników była zwiększona i przyjmowana tylko do wykonania określonego zadania.

W nowożytnym Gdańsku (XVI-XVIII w.) można ostrożnie szacować liczbę pomocników „sezonowych” na około sto osób; w Elblągu i Toruniu na mniej więcej pięćdziesiąt osób. Na tak duży zakres obowiązków kata i powierzchni miast jakie były im podległe, nie jest to liczba imponująca. Dlatego często pojawiały się skargi miejskich włodarzy na prowadzoną przez niego działalność. Również niesubordynowani mieszkańcy Elbląga nie ułatwiali im pracy, ponieważ bardzo często, nielegalnie, pod osłoną nocy, usuwali śmieci ze swoich domów bezpośrednio na ulice, do rzeki lub fos otaczających miasto. Zresztą elbląscy kaci w porównaniu ze swoimi kolegami z Gdańska i Torunia byli obarczani największą

ilością obowiązków. Ich zakres prac obejmował bowiem dwanaście różnych zadań, a tymczasem toruńscy i gdańscy kaci mieli ich tylko sześć.

Prace wykonywane przez elbląskich katów (podobnie jak w innych wielkich miastach pruskich) dotyczące zadań związanych z realizacją wyroków sądowych były finansowane z kasy miejskiej. W XIII-XIV w. dominował zwyczaj opłacania wyłącznie poszczególnych zadań; wówczas też ustalano pierwsze cenniki za wykonanie roboty. Stopniowo zmieniano zasady rozliczeń i kat wraz ze swoimi pomocnikami otrzymywał zapłatę raz na kwartał. W okresie nowożytnym (XVI-XVIII) wprowadzono zwyczaj wypłacania katu pensji w stałym wymiarze, co stwarzało mu podstawy do społecznej stabilizacji.

Za wszystkie prace związane z utrzymaniem czystości i zapewnieniem względnie dobrego stanu sanitarnego Elbląga kat otrzymywał dodatkowe wynagrodzenie. Do prac tych należało: opróżnianie latryn i przywetów i wywóz nieczystości za miasto, czyszczenie skrzyń szlamowych, usuwanie padliny i wyłapywanie bezpańskich psów, oczyszczanie rynsztoków i publicznych studni, sprzątanie ulic i odśnieżanie miasta, konfiskata nielegalnie hodowanych świń, „sanitarne kontrolne” prywatnych posesji.

Charakter pracy kata odzwierciedlał jego pozycję w ramach lokalnej wspólnoty. Podobnie jak miejsce zamieszkiwania, które najczęściej znajdowało się w bezpośrednim sąsiedztwie murów miejskich (niekiedy w bramach i basztach) względnie na terenach przedmieść. Zła sława kata w średniowieczu powoli zaczęła ulegać zmianie na początku nowożytności. Następuje pewnego rodzaju normalizacja w podejściu do wykonywanych przez niego i jego pomocników różnorodnych prac. Przecież ktoś te działania musiał realizować. Nigdy jednak nie doszło do oparcia na racjonalnych podstawach relacji między katami i jego pomocnikami a resztą społeczeństwa. Pewne granice trudno było przekroczyć.



Elbląg. Stare Miasto. Średniowieczna latryna, fot. G. Nawrołska

Radosław Kubus

# WYRWIZĘBY, LITOTOMIŚCI, OLEJARZE...

## Z dziejów medycyny na Żuławach do połowy XIX wieku

Żuławy kojarzą się przeważnie z bogactwem, by nie powiedzieć przepychem miejscowych chłopów. Zamożnych gospodarzy ziemskich, którzy dzierżawili potężne gospodarstwa rolne, średnio o areale rzędu 6-8 łanów. Wolności nadane licznymi przywilejami wydawanymi i potwierdzanymi przez kolejnych władców Rzeczypospolitej oraz żyzna ziemia sprawiała, że warunki bytowe tych gospodarzy, którzy sami siebie określali mianem sąsiadów (*Nachbar*), nijak miały się do nędzy chłopów pańszczyźnianych z głębi Rzeczypospolitej, o których Jakub Kazimierz Haur pisał: „ledwieby pies powąchał, co ci niebożęta z głodu zażywać muszą, bo jeśli się który chłop ma dobrze, to sobie i czeladzi śmierdzącym jadło okrasa olejem. Jeśli zaś niedostatnio, gdy go i na taką nie stanie okrasę, to tylko z wodą samą, jałowo, lada chwasty nadgniłe, jarzyny z pośladami krup lub grubych klusków zażywają, wody się po tym napijają, stąd też krwie u nich i żołądka pochodzi zepsowanie, stąd różnych chorób rozszerzenie, żółtych, łoznych, maglin, puchlin, na koniec i powietrze zaraźliwe przypada, przez co wiele ludzi ginie i umiera dla niedostatku”<sup>1</sup>. Nic nie jest w stanie oddać w pełni tragicznego losu chłopów pańszczyźnianego – to nędza, niedostatek, ubóstwo i zabobon...

Na Żuławach żyzne ziemie przynoszące obfity plon powodowały, że jadano tu w sposób zgoła odmienny, tj. tłusto i treściwie. Również inaczej wyglądało gospodarstwo domowe. Schludne duże domy, bogato zdobione intarsjowane meble, łóża z baldachimem i wiele innych sprzętów o których chłop pańszczyźniany mógłby jedynie pomarzyć, a które zestawiać można niekiedy nawet z wyposażeniem wnętrz domów co zamożniejszej szlachty.

Urodzaj był jednak okupiony trudnymi warunkami geograficznymi, w ramach których gospodarowali żuławscy sąsiedzi. Dodatkowym czynnikiem chorobotwórczym był również klimat. W późnym średniowieczu i epoce nowożytnej (do połowy XIX wieku) mamy bowiem do czynienia z tzw. małą epoką lodowcową. Mróz był wówczas tak duży, że na Bałtyku stawiano karczmy. Katastrofy klimatyczne opisywali już XV-wieczni gdańscy kronikarze. Czynili tak również późniejsi dziejopisarze. Pewien pastor z Elbląga, który w połowie XVII wieku pisał o jednej z zim, iż była tak mroźna, że ptaki zamarzały w locie, a jeziora zamarzały do samego dna. Mroźne zimy determinowały na Żuławach pomory bydła<sup>2</sup>. Za-

<sup>1</sup> J. K. Haur, *Skład albo skarbiec znakomych sekretów oeconomiej ziemiańskiej...*, Kraków 1693, s. 507.

<sup>2</sup> E. Kizik, *Gdańsk na początku XVIII wieku. Próba syntezy. [w:] Dżuma, ospa, cholera. W trzecieście rocznicę wielkiej epidemii*

zwyczaj najpierw chorowało bydło, później zaś ludzie. Wilgotność terenu, będąca efektem jego usytuowania poniżej poziomu morza, miała wpływ na pojawiające się dość często w zapisach metrykalnych zapalenia płuc oraz zmiany reumatoidalne.

Nawiedzające teren Deltę Wisły regularne powodzie miały katastrofalny wpływ na mieszkańców i określały w dużym stopniu rodzaj powstającej zabudowy. Równie niekorzystne były silne wiatry, głównie z tego powodu, iż w przypadku miejscowości o zwartej zabudowie mogły prowadzić do rozprzestrzeniania się pożarów. Stąd na przykład zagrody olęderskie przedzielano tzw. murem ogniowym. W końcu poza powodziami i pożarami rzeczywistym zagrożeniem była bliska egzystencja ludzi i zwierząt. Powodowało to łatwość przenoszenia się chorób odzwierzęcych na ludzi. Dodatkowo wałęsające się po żuławskich wsiach dzikie zwierzęta, przede wszystkim psy, zarażały wścieklizną, którą wówczas próbowano bezskutecznie leczyć, starając się uzyskać w tym względzie wstawiennictwo u św. Huberta.

Nie należy także bagatelizować urazów odniesionych podczas wykonywanej pracy czy podczas bójek. Do przemocy dochodziło często w przydrożnych szynkach i karczmach, gdzie miejscowi spotykali się z wędrującymi przez teren Żuław przybyszami, i gdzie nawet drobna zniewaga słowna wypowiedziana pod wpływem serwowanych tam trunków, mogła stać się zarzewiem do bójki. W jednej z takich karczm na terenie Lichnow, jak wskazuje gdański kronikarz Simon Grunau, lokalni chłopcy mieli powiesić pielgrzymującego zakonika nad ogniem i piec go żywcem<sup>3</sup>.

Szczególnie katastrofalnymi dla mieszkańców całego Pomorza, w tym również dla mieszkańców Żuław, były choroby epidemiczne. Przez niemal cały okres nowożytny, tj. od połowy XIV w. po II połowę wieku XVIII, w całej Rzeczypospolitej mamy do czynienia z szerzącymi się epidemiami dżumy, które współwystępowały z chorobami takimi jak tyfus plamisty, ospa naturalna, dur brzuszny, czerwonka, czy też grypa. Jeżeli chodzi o Pomorze, ostatnia epidemia dżumy wystąpiła w latach 40. XVIII wieku, ale była ona nieporównywalna z wielką epidemią z lat 1708-1711. Dżuma szerzyła się głównie w dużych miastach Prus Królewskich takich jak Gdańsk, Elbląg, czy Toruń. Należy jednak pamiętać, że wraz z uciekającymi z zakażonych miast ludźmi, dżuma docierała również na tereny wiejskie. Żuławy leżały natomiast na szlaku komunikacyjnym między Gdańskiem, Elblągiem, Królewcem oraz Malborkiem. Uciekinierzy nieposiadający paszportów zdrowia nie mogli być wpuszczeni w obręb murów miejskich, zatem wałęsali się oni po terenie osad podmiejskich, bądź po terenie posiadłości wiejskich owych miast. Z pewnością dżuma szalejąca na terenie dużych miast na Żuławach miała przebieg łagodniejszy za sprawą rozproszonego, emfiteutycznego osadnictwa, które powodowało że choroba nie mogła się łatwo przenosić.

W okresie pomiędzy zanikiem w Europie epidemii dżumy a pojawieniem się cholery, chorobą zakaźną, która dziesiątkowała mieszkańców była ospa. W praktyce już od koń-

*w Gdańsku i na ziemiach Rzeczypospolitej w latach 1708-1711. Materiały z konferencji naukowej zorganizowanej przez Muzeum Historyczne Miasta Gdańska i Instytut Historii PAN w dniach 21-22 maja 2009 roku*, (red.) E. Kizik, Gdańsk 2012, s. 31-32.

<sup>3</sup> J. Moździerz, *Przedstawienie świata przez kronikarzy gdańskich na przełomie XV i XVI wieku*, Toruń 2016, s. 308, przyp. 1726.

ca XVIII w. przeciwko tej chorobie stosowano w Gdańsku szczepienia ochronne (jedną z pierwszych zaszczepionych była Joanna Schopenhauer), którymi od XIX w. obowiązkowo objęci byli mieszkańcy Pomorza, w tym również Żuław. Choroba zbierała jednak obfite żniwo, a na twarzach osób które ją przeżyły pozostawiała szpecące blizny, tzw. dzioby ospowe. Na terenie Nowego Dworu Gdańskiego w 1. połowie XIX wieku szczepienia przeprowadzali chirurdzy miejscy Polenz oraz Lederer, którzy tylko w roku 1821 łącznie przeprowadzili 817 szczepień.

W końcu maja roku 1831 na terenie Pomorza pojawiła się z kolei po raz pierwszy cholera, która od tej pory wielokrotnie pojawiała się w tym regionie. Jednym z pierwszych chorych odnotowanych w roku 1831 był robotnik portowy pochodzący z Mikoszewa. Świadczy to o tym, że wbrew powszechnym opiniom choroba nie przywędrowała do Gdańska wraz z uciekającymi z Kongresówki powstańcami listopadowymi, a raczej była wynikiem utrzymujących się kontaktów handlowych między Gdańskiem a miastami leżącymi we wschodniej części basenu Morza Bałtyckiego, takimi jak Ryga. Najwięcej ludzi w wyniku cholery roku 1831 zmarło w Gdańsku (około 1050) aczkolwiek zgony odnotowywano wówczas również na Żuławach Gdańskich, Malborskich oraz Elbląskich, m.in. w miejscowościach: Cedry Wielkie, Kiezmark, Miłocin, Trutnowy, Boręczyn, Krzywe Koło, Stara Wisła, Cyganek-Żelichowo, Krasnołęka.

Trudne warunki geograficzne i ich wpływ na zdrowotność Żuławiaków odnotowywali nawet ludzie z odleglejszych stron, takich jak Wielka Brytania. Niejaki Sanderson w XIX wieku wzmiankował, że podmokłe żuławskie ziemie stwarzały doskonałe warunki do rozwoju malarii, a stojąca w zbiornikach wodnych zatęchła woda skutkowała zachorowaniami na gruźlicę i febrę<sup>4</sup>.

Brakuje dokładniejszych badań nad demografią żuławskich wsi. Wystarczy jednak pobieżny przegląd w księgach zgonów, aby dostrzec zastraszającą umieralność dzieci do 10 roku życia. Wpisuje się to w ogólnoeuropejskie tendencje, które trafnie podsumował u progu XIX stulecia wybitny niemiecki lekarz, twórca terminu makrobiotyka, Christoph Wilhelm Friedrich Hufeland. Pisał on: „na tysiąc ludzi urodzonych, w tym samym czasie 24 zaraz przy porodzie umiera; wyżynanie się zębów zabiera ich 50, konwulsje i inne słabości dziecinne w pierwszych dwóch latach 277, ospa, która powszechnie co 10 zabija, gubi z nich 80 do 90, odra 10. Jeśli są to białogłowy, [to] 8 umiera w połogu, suchoty, wyniszczenie i słabości piersiowe (przynajmniej w Anglii) zabierają 190. Inne gorączkowe febry 150, appoplexye 12, puchlina 41 [...]. Słowem, wypadnie na to, że zawsze 9/10 przed czasem albo z przypadku ubywa”<sup>5</sup>.

Dostęp do służby zdrowia był ograniczony. Profesjonalna służba zdrowia zarezerwowana była wyłącznie dla mieszkańców miast, a że w okresie preindustrialnym współczynnik urbanizacji pozostawał na bardzo niskim poziomie, to możemy tu mówić wręcz o tym, że dostęp do tytułarnych promoti doctores był zarezerwowany wyłącznie dla elit. Nawet jeżeli przyszły doktor medycyny urodził się w żuławskiej wsi, tak jak to było z doktorem Jacobem

<sup>4</sup> B. Krysztopa-Czupryńska, *Żuławy Wiślane w dziewiętnastowiecznych publikacjach brytyjskich*, [w:] *Mniejszości religijne na Żuławach*, (red.) J. Hochleitner, Malbork 2016, s. 112.

<sup>5</sup> Cyt. za E. Kizik, *Śmierć w mieście hanzeatyckim w XVI-XVIII wieku. Studium z nowożytniej kultury funeralnej*, Gdańsk 1998, s. 23.

Martini urodzonym w Koszwałach, to praktykował w Gdańsku i mało prawdopodobne, aby swoją aktywność przenosił również na tereny wiejskie<sup>6</sup>. Należy zatem za Dariuszem Łukasiewiczem stwierdzić, że „na wsi uprawiano amatorską medycynę ludową, praktykowaną przez znanych od czasów słowiańskich znachorów, wróżbitów, szamanki, czarownice, wiejskie baby i zielarki. Znachorami byli zwykli, niepiśmienni chłopci. Leczyli też kaci, rakarze, owczarze i pasterze. Często z lekarskiej porady korzystano listownie”<sup>7</sup>.

Pod tym kątem Żuławy nie różniły się w znacznym stopniu od innych wsi z terenów Rzeczypospolitej. Zapewne i tu miast wykwalifikowanych położnych porody odbierały krewne rodzącej kobiety bądź wiejskie baby, o których pisał J. Krupiński w swojej pracy zatytułowanej *Splanchologia lub Nauka o trzewiach w ciele człowieczym się znajdujących*, że: „Zły i rodzącej bardzo często szkodzącym jest owych odbierających zwyczaj, które podle poborczych głowy części, jeden, dwa palce, a co więcej obie niekiedy ręce w macicy wtykają i dziecię za uszy biorą, aby onoż łatwiej dostały”<sup>8</sup>. Poza tym również na Żuławach leczeniem zajmowali się pseudo-uzdrowiciele mianowani samozwańczo i cieszący się, o dziwo, często bezgranicznym zaufaniem pacjentów. Cóż dziwić się ludności wsi, skoro nawet król Władysław IV w trakcie swojego pobytu w Prusach Królewskich, kiedy dostał ataku podagrycznego leczył się u pewnego przewoźnika przez Wisłę z Ostaszewa, będącego zresztą menonitą. Co więcej, król został przez niego wyleczony, o czym donosił z Warszawy sekretarz Rady Miasta Gdańska, Behm, w liście pisanym 22 XII 1646 roku.

Jeszcze w I połowie XIX wieku, kiedy szarlataneria była przez władze administracji pruskiej surowo karana, nie brakowało chętnych chcących świadczyć swoje usługi miejscowym pacjentom. Przykładem może być linoskoczek pochodzący z Saksonii, który wygnany z Kwidzyna zaczął leczyć ludzi z okolic Nowego Dworu Gdańskiego. W związku z tym, władze wystawiły za nim list gończy, z którego dowiadujemy się, że pseudolekarz nazywał się Carl Friedrich Müller, był ewangelikiem, miał 38 lat, 5 stóp wzrostu, był blondynem o brązowych oczach, miał długie i małe nos oraz małe usta, słaby zarost i pełne uzębienie. Jego twarz była owalna o świeżej cerze, a na prawym ramieniu posiadał znamię. Mówił po niemiecku. Ubrany był w brązowy płaszcz wykonany z sukna z kołnierzem obitym manchesterem. Ponadto nosił białą lnianą kamizelkę i nankinowe spodnie, na szyi czerwoną jedwabną chustę, z kolei na głowie filcowy okrągły kapelusz. Na nogach nosił odświętne buty (Wichsstiefel). Daje się dostrzec zatem, że strój był istotnym atrybutem lekarza, który to strój im wytworniejszy, tym lepiej świadczył o biegłości i umiejętnościach jego posiadacza.

Najlepszą okazją na spotkanie wszelkiej maści szarlatanów były targi i jarmarki. Wówczas żuławscy chłopci zmierzali wraz ze swymi płodami rolnymi, które pragnęli spieniężyć, na rynki dużych miast. Mogli tam spotkać całą rzeszę bezimiennych ludzi, którzy oferowali swoje usługi medyczne w całej rozciągłości, poczynawszy od konkretnych zabiegów, a skończywszy na różnego rodzaju medykamentach. Byli tam okuliści, wyrwizęby, litotomiści<sup>9</sup>,

<sup>6</sup> S. Sokół, *Medycyna w Gdańsku w dobie Odrodzenia*, Wrocław-Warszawa 1960, s. 223.

<sup>7</sup> D. Łukasiewicz, *Balwierze, cyrulicy, wyrwizęby. Z dziejów choroby i zdrowia*, Poznań 2019, s. 140.

<sup>8</sup> Cyt. za: W. Piotrowski, *Medycyna polska epoki kontrreformacji (1600-1764)*, Jawor 1996, s. 77.

<sup>9</sup> Zajmowali się chirurgicznym usuwaniem kamieni nerkowych.

paracelsiści<sup>10</sup>, naturaliści<sup>11</sup>, sprzedawcy teriaku<sup>12</sup>, olejarze, unguentariusze<sup>13</sup> i wielu innych cudownych uzdrowicieli. Szczególnie corocznie odbywający się w Gdańsku jarmark świętego Dominika (5 VIII - 2 IX) był wyśmienitą okazją do zaprezentowania przez różnych cudownych uzdrowicieli swojego arsenału środków leczniczych. Każdy pseudolekarz krzykiem, ulotkami a czasami nawet mniej wyrafinowanymi środkami reklamy próbował przyciągnąć do siebie klientelę.

Przykładem takiej niestandardowej reklamy może być casus niejakiego Dionizego Fischera, który pewnemu parobkowi z Oliwy usunął guz o wadzę trzech funtów i prosił władze Gdańska o pozwolenie na wywieszenie owego guza na moście lub na placu, jako widomego znaku biegłości operacyjnej. Należy przypuszczać, że nie była to jedyna prośba tego rodzaju.

Przybywający na jarmarki żuławscy sąsiedzi mogli zaopatrzyć się tam w środki lecznicze, bądź też rzadsze i trudno dostępne surowce niezbędne do ich przygotowania. Szczególnie w XVI i XVII w. wierzono, że to co egzotyczne ma większą moc leczniczą od surowców miejscowych. Pogląd ten uległ zmianie dopiero w XVIII w. wraz z nadejściem oświecenia, które skierowało uwagę na rodzime surowce lecznicze. W każdym razie, na owych jarmarkach można było zakupić na przykład róg jednorożca, którym nie bez powodzenia niejaki Eustachy Holwell leczył gdańszczan w latach 30. XVII w. A także różnego rodzaju inne środki, których działanie wpisywało się w funkcjonującą w medycynie przez cały okres nowożytny teorię humoralną.

Uzyskane gotowe medykamenty, które oczywiście można również było nabyć w miejskich aptekach, włączano następnie do domowych apteczek. Z pewnością tego typu domowe apteczki mieściły się w domach bogatszych Żuławiaków. Przykładowo, taką domową apteczkę posiadał w XVIII w. zarządca dworu w Sztutowie. Znajdowały się w niej różnego rodzaju szkła apteczne w których przetrzymywano substancje lecznicze, ale i również gorzałka, która mogła służyć zarówno jako roztwór do przygotowania lekarstw zażywanych doustnie, jak i do zastosowania zewnętrznego, tj. do nacierania ciała. Klucze do apteczki posiadały z reguły kobiety, które uzupełniały, dozorowały i zarządzały ich wnętrzem. Poza droższymi substancjami zakupywanymi w mieście, z pewnością zbierano również rodzime zioła, które po wysuszeniu stanowiły doskonały surowiec do przygotowywania lekarstw. Do XVI w. surowce lecznicze pozyskiwano głównie z trzech królestw natury, tj. królestwa roślin, zwierząt i minerałów. W XVI w. jednak, wraz z rewolucją zapoczątkowaną przez ojca nowożytnej medycyny - Paracelsusa, zaczęto wprowadzać do użytku również środki chemiczne, takie jak związki ołowiu, rtęci, czy też pitne złoto (*aurum potabile*).

Jak widać, życie na Żuławach nie było sielanką. Widziane dziś w krajobrazie regionu potężne drewniane domy podcieniowe o kubaturze niejednokrotnie przekraczającej 1000 m<sup>2</sup>

<sup>10</sup> Leczyli za pomocą preparatów chemicznych, takich jak związki rtęci, czy ołowiu.

<sup>11</sup> Leczyli przy pomocy środków naturalnych.

<sup>12</sup> Teriak inaczej drakiew, to wieloskładnikowy lek uważany w okresie nowożytnym za swoiste panaceum. Stosowano go jako środek leczniczy przeciwko dżumie, trucznom i „złym wyziewom ziemi”, jako odtrutkę przeciwko ukąszeniom węży oraz pogryzieniu przez wściekłe zwierzęta. Lek miał działać także w przypadku zachorowania na odrę, ospę, gorączki, bezsenność, wysypki i „oziębienie głowy”.

<sup>13</sup> Sprzedawali maści.

przysyłają nam obraz przykraj egzystencji ich gospodarzy, którzy choć bogaci, mierzyli się z wieloma przeciwnościami losu. Pamiętajmy również, że poza właścicielami, w domach tych mieszkała służba, która wykonywała niezbędne w gospodarstwie prace narażając się tym samym na różnego rodzaju urazy mechaniczne. Nie należy również bagatelizować czynnika, jakim była przemoc stosowana wobec tej grupy społecznej.

Ciężka praca, przemoc, znaczna wilgotność terenu, kłęski naturalne oraz klimat znacznie wpływały na zdrowotność Żuławiaków, a obfite i tłuste jedzenie, nie zawsze korzystnie wpływało na zdrowotność, niejednokrotnie przyczyniając się do występowania chorób serca, zakrzepów oraz dny moczanowej, tj. podagry. Ówczesny poziom medycyny nie pozwalał skutecznie chronić się przed nękającymi chorobami, które z naszej dzisiejszej perspektywy wydają się błahymi, tj. na przykład wyrzynanie się zębów. Prawdziwymi kłeskami były choroby epidemiczne. Choć na terenach wiejskich ich przebieg był znacznie łagodniejszy niż w zatłoczonych miastach, to jednak również tam zdarzały się przypadki licznych zachorowań.

Tomasz Jagielski

# POWSTAŃCY STYCZNIOWI na Kociewiu

Powstanie styczniowe było jednym z przykładów walki o niepodległość Polski podczas zaborów. Walki rozpoczęły się 22 stycznia 1863 roku. Bezpośrednią przyczyną zrywu powstańczego było zarządzenie branki, czyli poboru Polaków do wojska rosyjskiego. Walki i potyczki toczyły się na przełomie 1863 i 1864 roku na terenie Królestwa Polskiego, które było częścią zaboru rosyjskiego. Mieszkańcy Pomorza i Kociewia wchodzili w skład Królestwa Pruskiego, ale również czynnie przyłączyli się do walki prowadzonej przez rodaków z Moskalami. Stosowali różne formy oporu - od manifestacji, mszy za ojczyznę, zbiórek funduszy na rzecz powstania, aż po czynny udział mieszkańców Kociewia w powstaniu styczniowym.

Oto kilka przykładów bohaterów walczących w powstaniu styczniowym 157 lat temu z terenu Kociewia.

## TCZEW

W grodzie nad Wisłą znajduje się kilka miejsc związanych z powstańcami styczniowymi. Na miejskim cmentarzu spoczywa jeden z weteranów walk w 1863 roku. To Feliks Andrzej Pohoski, herbu Półkozic.

Urodził się 22 sierpnia 1841 roku na Litwie. Mieszkał w rodzinnym majątku niedaleko Rogowa. W pobliskich lasach stacjonował oddział Zygmunta Sierakowskiego, do którego dołączył i w jego szeregach walczył 22-letni Pohoski. Po zakończonych walkach został skazany na 10 lat zsyłki na Syberię w okolicach Irkucka i konfiskatę rodzinnego majątku. Po powrocie z zesłania ożenił się i założył rodzinę z Emilią Mickiewicz. Mieszkał w okolicach Lublina i Podola. Do kraju Feliks Pohoski wrócił w 1922, po rewolucji bolszewickiej. Rok później w 60.



Tczew K. Porauski



Nagrobek Feliksa Pohoskiego w Tczewie, fot. T. Jagielski



Tablica upamiętniająca powstańców styczniowych w Tczewie, fot. T. Jagielski

rocznicę wybuchu powstania styczniowego został odznaczony krzyżem *Virtuti Militari* i awansowany do stopnia porucznika. Mieszkał w Tczewie, do którego sprowadził go syn Stefan inżynier w tczewskiej cukrowni. Umarł 22 sierpnia 1925 roku. Pierwszy pomnik na jego grobie ufundowali tczewscy policjanci, obecny wystawił jego prawnuk.

Na kolejnej tczewskiej nekropoli spoczywają szczątki Kazimierza Porawskiego, herbu Poraj. Urodzony 4 marca 1838 roku. Podczas powstania walczył w oddziale hrabiego płk. Aleksandra Krukowieckiego. Po zakończonych walkach został administratorem dóbr. W kościele pw. Podwyższenia Krzyża Św. w Tczewie w 2013 roku wmurowano pamiątkową tablicę z okazji 150. rocznicy wybuchu powstania styczniowego.

## PELPLIN

W Pelplinie na cmentarzu przy kościele Bożego Ciała spoczywają Anastazy Pruszek i Walenty Stefański bohaterowie powstania styczniowego. Walenty Stefański urodził się w 1813 roku. Był uczestnikiem powstania listopadowego w latach 1830-31, księgarzem w Poznaniu i przywódcą Związku Plebejuszy w tym mieście podczas Wiosny Ludów w 1848 roku. Za napisany tekst w piśmie „Nadwiślanin” pt. „Co teraz zrobić?” został za „zbrodnię stanu” skazany na dwa lata twierdzy w Wisłoujściu w latach 1863-64. Po odbyciu kary osiadł w Pelplinie i założył Towarzystwo Rolnicze i kasę pożyczkową. Zmarł w mieście nad Wierzą w roku 1877.

Anastazy Pruszek urodzony 15 kwietnia 1846 roku w Bytoni jako syn nauczyciela Stanisława Prusaka. Podczas powstania styczniowego był żandarmem narodowym. Do zadań

tego oddziału należała ochrona władz powstańczych oraz egzekwowanie wyroków na zdrajcach, szpiegach i osobach szkodzących polskiemu sprawom.

Po zakończonych walkach zesłany w głąb Rosji. Po powrocie osiadł w Pelplinie, gdzie wspólnie z żoną Kazimiერą z Dzierzgowskich prowadzili hotel „Pólko”. Należał do pelplińskiego Towarzystwa Śpiewu św. Cecylii i Towarzystwa Czeladzi Katolickiej. Zmarł 31 lipca 1902 roku, a pochowano go na cmentarzu w Pelplinie.

Tu znalazł także miejsce spoczynku Stanisław Dzierzgowski, który zmarł w 1890 roku. W chwili śmierci miał 76 lat, był ziemianinem z Komorowa w powiecie brodnickim. Brał udział w powstaniu, które wybuchło w Wielkopolsce w 1848 roku. Walczył w bitwach pod Książem i Mirosławiem. Popierał ideę walki powstańczej w kolejnych latach. W grudniu 1862 roku w jego posiadłości przeprowadzono rewizję w poszukiwaniu broni. W 1864 roku zamieszkał w Pelplinie, gdzie wspólnie z teściem Walentym Stefańskim wybudowali okazały dom. Ozdabiały go rzeźby z popiersiami polskich królów oraz malowidłami Orła, Pogoni i Trójcy Świętej. W budynku odbywały się liczne uroczystości kulturalne, zabawy, przedstawienia teatralne i spotkania mieszkańców Pelplina.

W lipcu 1930 roku na pelplińskim cmentarzu parafialnym pochowano weterana powstania Władysława Kłoskowskiego. Pochodzący z Tczewa żołnierz w chwili śmierci miał 87 lat. Niestety, jego mogiła nie przetrwała do dzisiaj.

Wśród powstańców styczniowych wielu było uczniami Collegium Marianum w Pelplinie, a także seminarium duchownego. Z murów tych uczelni wywodziło się wielu polskich patriotów.

## NOWA CERKIEW

Z położonej niedaleko Pelplina wsi kociewskiej Nowa Cerkiew pochodził Emil Karliński z zawodu agronom. Pracował na terenie Wielkopolski. Podczas powstania został pojmany pod Witkowem na początku 1863 roku. Zmarł w 1901 roku.

## GNIEW

Ważną i niezwykle istotną rolę w okresie powstania styczniowego na terenie Pomorza Gdańskiego odgrywała propaganda zachęcająca do walki lub jej wspierania. Wielkie znaczenie odgrywała polska prasa: „Nadwiślanin” czy „Przyjaciel Ludu”. Najpowszechniejsza była jednak agitacja osobista lub szeptana.

W Gniewie i okolicy prowadził ją Franciszek Suchewicz. Policja pruska często penetrowała teren i przeprowadzała zatrzymania. 15 marca 1864 roku w Gniewie aresztowano głównego agitatora w okolicy czeladnika ciesielskiego Franciszka Suchewicza oraz 4 inne osoby. Razem z nim zatrzymano kupca Bartkowskiego. Suchewicza aresztowano i skazano na trzy miesiące więzienia za działalność patriotyczną. W Tymawie w okolicach Gniewu 19 kwietnia 1864 roku przeprowadzono rewizję u Juliusza Kraziewiczza. Ten twórca pierwszego w Polsce kółka rolniczego w Piasecznie zmarł w 1895 roku.

Ludwik Wolski z Gniewu, który pracował jako ekonom, zgłosił się jako ochotnik do powstania. Został aresztowany 5 stycznia 1864 w Mysłowicach, a następnie wydany władzom pruskim.

Miasteczko Gniew, położone nad Wisłą, odgrywało w planach powstańców niezwykle ważną rolę. Ochotnicy z Kociewia przepływali się przez Wisłę w okolicach Nowego i Opalenia w pobliżu osad Wielkie Wiosło i Małe Wiosło. Granicę pruską przekraczali w rejonie Brodnicy i Torunia. Przed skierowaniem do walki przechodzili specjalne szkolenie w okolicy Nowego. Trwało to nawet w okresie schyłkowym dla walk powstańczych.

Relacja chełmińskiego landrata Schroettera o powstaniu polskim z dnia 22 kwietnia 1864 roku - Chełmo: (...) *posiłki z Pomorza lewobrzeżnego były spóźnione, ponieważ oddział 16 ludzi z powiatu starogardzkiego i z okolic Gniewa dopiero w nocy na 2-go kwietnia przeprawił się przez Wisłę i dotarł do Wabcza, gdzie niektórych aresztowano.*

## RAJKOWY

Do powstania styczniowego poszli także młodzi synowie chłopscy z innych wsi kociewskich, którzy zapłacili za to wysoką cenę. Na Sybir za udział w walkach wywieziono trzech powstańców ze wsi Rajkowy. Byli to Bernard Górski i bracia Dombrowscy. O Bernardzie tak pisał jego kuzyn Jan w roku 1930: *Bernard Górski, urodził się 18 maja 1846 roku w Pelplinie. Jego ojciec Józef był rzeźnikiem. W 1856 roku był uczniem Collegium Marianum. Na wieść o wybuchu powstania nawiązał kontakt z ochotnikami i po przeszkoleniu w Nowem, przedarł się na teren Królestwa Polskiego. Walczył w oddziale pułkownika Younga de Blankenheima. Podczas walk został ranny – dziewięć ran od bagnetu w piersi i trafił do rosyjskiej niewoli. Początkowo przebywał w szpitalu w Płocku, a później przeniesiony do Warszawy i Petersburga. Następnie skierowany na zesłanie na Syberię w okolice Irkucka. Przeniesiony w okolice Archangielska, nauczył się od innego zesłańca z Francuza języka francuskiego. Po odbyciu kary w 1870 roku powrócił na Pomorze. Mając opinię buntownika i patrioty wcielono go do wojska pruskiego i skierowano na front wojny prusko – francuskiej. Po odbyciu służby wojskowej założył rodzinę i pracował jako sekretarz celny. Będąc na emeryturze zamieszkał w Starogardzie Gdańskim, gdzie zmarł 17 kwietnia 1914 roku.*

Bracia Dombrowscy – Franciszek, 24 lata i Jan, 23 lata, z zawodu kołodzieje, uczestniczyli w walkach powstańczych, podczas których jeden został ranny. Zesłani na Syberię, gdzie przebywali 3,5 roku. Po powrocie władze pruskie nie chciały ich nigdzie zatrudnić, bojąc się ich polskiego patriotyzmu.

## DĄBRÓWKA

Bardzo często policja pruska penetrowała wieś Dąbrówka w powiecie starogardzkim, podejrzewając, iż we wsi organizują się powstańcy ochotnicy. Mieli powody do obaw, bo z tej osady w powstaniu uczestniczyły następujące osoby:

Józef Błędzki, syn rolnika i uczestnik powstania, Andrzej Ćwikliński, miejscowy gospodarz, podejrzewany o przechowywanie broni, poddany ścisłej rewizji 6 maja 1864 roku przez władze pruskie ze Starogardu Gdańskiego, Andrzej Dylewski, gospodarz, aresztowany 15 maja 1864 roku za przechowywanie broni przeznaczonej dla powstańców, Franciszek Dylewski, uczeń gimnazjum chełmińskiego, uczestnik walk powstańczych oraz Andrzej Kosecki, gospodarz i sołtys w Dąbrówce, podejrzewany o przechowywanie broni i ukrywanie ochotników. Jego gospodarstwo poddano rewizji 6 maja 1864 roku, podobnie jak

szereg innych obejść na terenie wsi. Podczas przeszukiwania osadę obstawiało 30 huzarów ze Starogardu Gdańskiego. Zatrzymano i aresztowano dwóch młodych ludzi. Relację z tego zdarzenia przekazał 80-letni Józef Ćwikliński 31 lipca 1963 roku,

Franciszek Kosecki, powstaniec wzięty do niewoli i zesłany do Włodzimierza nad Kłazmą, do Moskwy przybył 16 lutego 1864 roku wraz z grupą aresztantów. Na zesłaniu przebywał jeszcze w roku 1866.

W styczniu 1863 roku pojawili się w Wysokiej emisariusze Tymczasowego Rządu Narodowego agitujący chłopów do udziału w powstaniu styczniowym. Jednym z nich był Ignacy Kuchta, który urodził się w Wysokiej 9 marca 1840 roku w rodzinie chłopskiej. Po zakończonych walkach powrócił w rodzinne strony i założył rodzinę z Józefiną, z którą mieli sześcioro dzieci. Nie wiadomo, kiedy przeprowadził się do Dąbrówki. Zapewne po odzyskaniu niepodległości. W 1924 roku w Dąbrówce założono

koło Towarzystwa Powstańców i Wojaków. Ignacy został wybrany jego pierwszym prezesem. Sztandar Towarzystwa przetrwał wojnę, eksponowany jest w kościele parafialnym w Dąbrówce. W 1931 roku został odznaczony Krzyżem Niepodległości z Mieczami. Zmarł 14.08.1932 roku w Dąbrówce. Ceremonia pogrzebowa stała się patriotyczną manifestacją, na którą przybyli mieszkańcy Dąbrówki, starosta starogardzki oraz wiele delegacji z sztandarami Towarzystw Powstańców i Wojaków. Ignacy Kuchta miał 92 lata. Był wówczas najstarszym żyjącym uczestnikiem powstania styczniowego z terenu Kociewia.

Prabucki w okresie po powstaniu powrócił z zesłania na Syberię i osiedlił się w Dąbrówce, pracował jako kowal.

## BOBOWO

Z tej kociewskiej wsi uczestnikami powstania styczniowego byli: Hiacenty Błażek, Franciszek Bojanowski, Franciszek Michna, Piątek, Reszke i Piotr Trebnau.

## JABŁOWO I OKOLICE

Na terenie wsi znajduje się grobowiec rodziny Jackowskich, których wkład w walki powstańcze był niebanalny. Cywilnym naczelnikiem województwa pomorskie na lewym brzegu Wisły został Teodor Jackowski z Lipinek Szlacheckich. Wcześniej także pracował na rzecz powstania w Paryżu nawiązując kontakty z emigracją. Na Kociewie powrócił w 1863 r., od lipca też roku objął obowiązki pomocnika komisarza Rządu Narodowego w guberni płockiej. W październiku udał się do Drezna po wsparcie finansowe. Zebrał 5 tys. rubli, które przekazał władzom powstania w Warszawie. Organizował także przerzuty broni z Pomorza do Królestwa. W tym celu dzierżawił majątek Łapinówek w powiecie



*Nagrobek Ignacego Kuchty w Dąbrówce, fot. T. Jagielski.*

lipnowskim. Był to ruchliwy punkt przetrzutu broni i ochotników. Jackowski wpadł w ręce policji pruskiej 18 grudnia 1863 roku. Przebywał w aresztach w Poznaniu, Berlinie i twierdzy Wisłoujście przez osiemnaście miesięcy.

Przerzutem broni przez granicę zajmował się także Edward Kalkstein z Jabłówka. Pod fałszywym nazwiskiem kupca Müllera kupował i przewoził broń. W maju 1863 r. także i on został pojmany przez władze pruskie.



Grób rodziny Jackowskich w Jabłowie,  
fot. T. Jagielski

## STAROGARD GDAŃSKI

W tym mieście na cmentarzu w 1929 został pochowany powstaniec Edward Przanowski. Walczył w oddziale generała Taczanowskiego. Podczas bitwy pod Kruszyną 29 sierpnia 1863 roku został dwukrotnie ciężko ranny. Tak wspominał to Przanowski: *Kozacy uganiający się po pobojowisku sprawdzali kto jeszcze z powstańców żyje. Sprawdzanie polegało na tym, że ktuli piką ciała leżących, a gdy zauważyli odruch - mordowali.* Nasz bohater pchnięty piką nie drgnął mimo bólu, został uznany za nieżywego i w ten sposób uniknął śmierci.

Wszyscy wymienieni powstańcy styczniowi z Kociewia, wykazali się wielkim patriotyzmem i świadomością narodową. Swoją walką i krwią ukazali pragnienie zrzucenia jarzma zaborców i przyłączenia Pomorza do Polski. Wszystkim bohaterskim powstańcom styczniowym z Kociewia należy się pamięć i cześć.



Nagrobek Edwarda Przanowskiego w Starogardzie Gdańskim, fot. T. Jagielski

Wawrzyniec Mocny

# WIĘZIENI I UPOKORZENI

## WOJENNE LOSY POMORZAN

- Zehn minuten raus! - taki wrzask zapowiadał najgorsze, co miało nadejść. Ten zwrot słyszeli wszyscy, który 1 listopada 1939 r. zostali wysiedleni do zamku w Gniewie. Stąd część osób przewieziono najpierw do obozu w Riesenburgu (Prabuty), później na roboty przymusowe do majątków lub fabryk III Rzeszy. Pozostali trafiali z zamku do Generalnej Guberni, a inni, niestety, prosto do szpęgawskiego lasu lub do piekła obozu w Stutthofie...

Zenon Weiss, przewodniczący Stowarzyszenia Polaków Poszkodowanych przez III Rzeszę, od wielu lat zbiera dokumenty oraz wspomnienia przesiedlonych mieszkańców. Odkrył wiele cennych faktów, które wcześniej bez zeznań osób, które przeżyły tamten dramat, byłyby niemożliwe do potwierdzenia. W swoim archiwum zgromadził wspomnienia wojenne ok. 100 osób, najpierw internowanych, a następnie skierowanych na przymusowe roboty.

### DRANG NACH OSTEN

Rodzin wyrwanych z normalnego życia, zdegradowanych do roli niewolników i wypędzonych z własnych domów, mieszkań i rodzinnej ziemi, były dziesiątki tysięcy w całej Polsce. Stanowiło to efekt zbrodniczego planu całkowitego zniemczenia zajmowanych ziem, zwłaszcza polskiego Pomorza.

Przymusowe wysiedlenia były efektem dekretu Adolfa Hitlera oraz realizowania integralnej części General Plan Ost – Generalnego Planu Wschodniego, który tylko na skutek przegranej przez Niemców wojny nie został wcielony w życie. Jego załączek jednak – jak najbardziej. Naziści rozpatrywali możliwość, aby po wojnie zgładzić 30-40 mln obywateli narodów słowiańskich, których podobnie jak Żydów miała spotkać biologiczna eksterminacja. W pierwszych miesiącach wojny poddano jej polskie elity, w tym elity kociewskie: rozstrzelania w tczewskich koszarach i w lesie szpęgawskim. Kolejną częścią planu było zastosowanie planu osadnictwa przez wyznaczonych do tego celu kilka milionów Niemców lub ludności pochodzenia germańskiego: volksdeutschów (osób z narodowościowej listy niemieckiej), Holendrów i Norwegów<sup>1</sup>.

Oprócz wyrugowania polskiej ludności z zajmowanych terenów, chodziło o pozyskanie niewolniczej siły roboczej na tzw. robotach przymusowych w Trzeciej Rzeszy, głównie na potrzeby przemysłu zbrojeniowego i rolnictwa. Ludności tej nie planowano germanizować. Przewidziano dla nich statut helotów, nowoczesnych niewolników. Planem tym w czasie II wojny zajmował się SS-Oberführer Konrad Meyer, kierownik i zwierzchnik Rzeszy w wydziale Planowania RKF (Komisariatu Rzeszy dla Umocnienia Niemczyzny)<sup>2</sup>.

W wyniku dokonanego na podstawie dekretu Hitlera z 8 października 1939 r. podziału administracyjnego okupowanej Polski, z ziem Pomorza Gdańskiego utworzono, włączony

<sup>1</sup> K. Piechowski, *My i Niemcy*, Warszawa 2008, s. 143.

<sup>2</sup> Tamże, s. 145.

do III Rzeszy, Okręg Rzeszy Gdańsk - Prusy Zachodnie, którego namiestnikiem został Albert Forster. W skład Okręgu Gdańsk - Prusy Zachodnie weszły również Prabuty (Riesenburg) pow. Susz (Rosenberg), które przed wojną leżały na terenie Rejencji zachodniopruskiej, po 1939 r. przemianowanej na rejencję kwidzyńską<sup>3</sup>. Dekret dawał też nowym władzom wolną rękę w postępowaniu z polską ludnością.

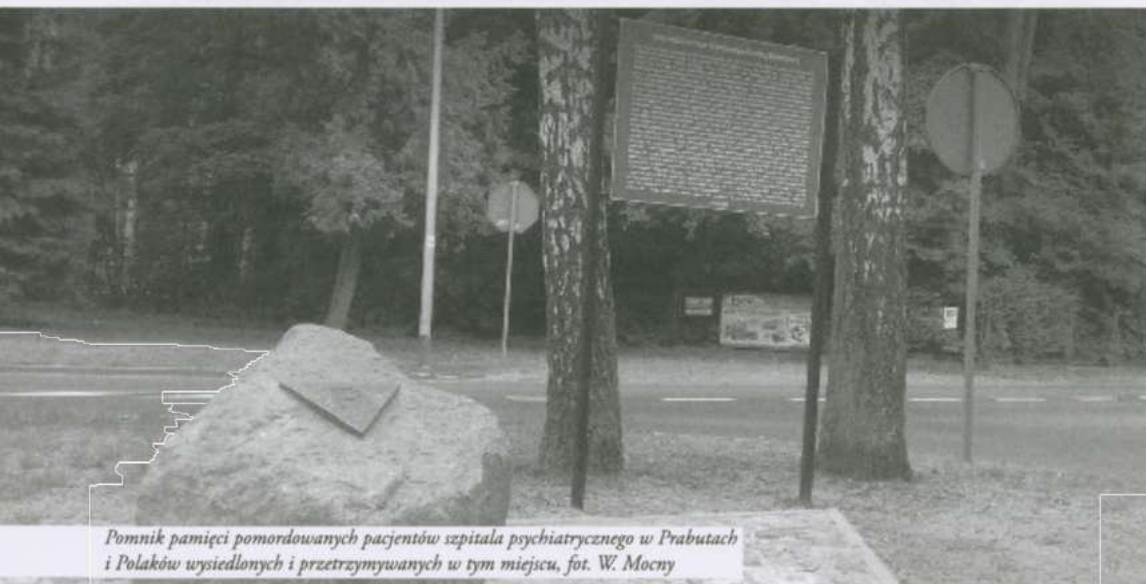
### NAJPIERW ARKONA, PÓŹNIEJ ZAMEK

1 listopada 1939 r. całą kolumnę wysiedlonych tczewskich rodzin poprowadzono do fabryki Arkona - dzisiejszego muzeum Fabryka Sztuk, gdzie na dziedzińcu kłębiły się już tłumy tczewian. Stamtąd ciężarówki (samochody wojskowe z plandeką) masowo wywoziły ludność na zamek w Gniewie, gdzie hitlerowcy naprędce urządzili obóz przejściowy. Tam też podczas apelu odbyła się wstępna selekcja - podział na niewolników i tych do wymordowania. Przez obóz przejściowy w Gniewie mogło przewinąć się nawet 2 tys. osób. Nie obyło się bez koszmarnego zdarzenia. Po starciu Polaków z SS-manami, w którym zginęło wielu Niemców, ci ostatni chcieli odwetu. Zarządzili zbiórkę i odliczanie. Wówczas wybrano pana Sylwestra z małą Olą na rękach. Jak podaje rodzina we wspomnieniach, podszedł do niego esesman, zapytał po niemiecku, czy to jego córka. Niemiec usłyszał potwierdzenie i nakazał cofnięcie się. Wyznaczył równocześnie kolejnego Polaka, którego wraz z innymi wybranymi rozstrzelano pod zamkiem<sup>4</sup>.

Jak wspominała po latach Aleksandra Wierzbowska z d. Kaleta (najmłodsza córka w rodzinie), w czasie podróży do zamku w Gniewie kilka razy odbywały się naloty niemieckich samolotów. Kilka osób zginęło. Było wielu rannych... Internowanych, jak już wspominaliśmy, rozlokowano w fatalnych warunkach sanitarnych. O myciu można było pomarzyć. Za posłanie posłużyła słoma, w której wkrótce pojawiły się wszy i pluskwy. Toalety stanowiły

<sup>3</sup> Danuta Drywa (oprac.), *Obóz przejściowy w Prabutach w latach 1939 – 1940*, (broшура wydana przez Muzeum Stutthof w Sztutowie), Prabuty 2018, s. 7.

<sup>4</sup> „Wysiedleńcy spotkali się po 70-ciu latach”, *tcz.pl*, 2.10.2009.



*Pomnik pamięci pomordowanych pacjentów szpitala psychiatrycznego w Prabutach i Polaków wysiedlonych i przetrzymywanych w tym miejscu, fot. W. Mocny*

odkryte latryny. Jak wspominają świadkowie tamtych dni – przestało się liczyć, kto kim był – obok siebie siadali np. właścicielka dużego sklepu i drobny wyrobnik. Te koszarne warunki powodowały tyfus, przeziębienia i biegunki. Wiele dzieci i dorosłych umierało, a zmarłych grzebano w pobliżu zamku.

- Z ogromną wdzięcznością moi rodzice wspominali panią Marię Czapiewską z domu Krebs. Ta nastoletnia wówczas dziewczyna organizowała mleko od pobliskich gospodarzy dla małej Oli i jej sióstr. Ludzie modlili się i śpiewali kościelne pieśni. Umierało wiele dzieci, więc Niemcy zezwolili na ich przekazywanie do rodzin, które mogły podjąć się opieki. Mój ojciec – Sylwester, wysłał list do swojej siostry Józefy, która wkrótce zabrała troje dzieci Kaletów w bezpieczne miejsce, choć sama miała czwórkę własnych<sup>5</sup>. O wzorowej postawie niezyszącej już niestety pani Marii Czapiewskiej poświadczył również internowany w tym czasie wspomniany już Zenon Weiss.

### CHOROBY, ROZSTANIA I NOWY OBÓZ...

W styczniu 1940 r. rodzice Oli Wierzbowskiej - Zofia i Sylwester, zostali razem z innymi załadowani do pociągu i wysłani w ciężkich warunkach do kolejnego obozu przejściowego w Prabutach (Riesenburg). Pani Zofia zachorowała, ale dzięki listowi teść Michał Kłaman dowiedział się o tym i spróbował interweniować. Co ciekawe, administracja obozowa zgodziła się na zabranie synowej, aby wyzdrowiała, oczywiście po tym, jak obiecał, że dostarczy ją z powrotem... To szczęśliwe rozstanie z mężem trwało potem przez prawie cały okres okupacji. Według relacji rodziny zamek opuszczono po 6 tygodiach.

Tata pani Oli Wierzbowskiej z targu niewolników w Prabutach trafił do składnicy węgla u Niemca Bawarczyka, u którego pracował jako kierowca. Z rodziną zobaczył się dopiero w 1946 r.<sup>6</sup>.

Do budynków szpitala w Prabutach trafiały z zamku w Gniewie rodziny z Wolnego Miasta Gdańska, Tczewa, Gniewu czy Starogardu Gdańskiego oraz osoby zwalniane z obozu koncentracyjnego w Stutthofie. Do połowy lutego 1940 r. wywieziono tam łącznie 120 polskich rodzin z samego tylko Pelplina, m.in. rodziny Knastów i Burdaków, siostrę ks. Chudzińskiego z córką, córki starosty Dytkiewica, krawca Rezmera, rodzinę Germanów, rodziny Zaborowskich, restauratora Lewandowskiego, Sliżewskich i wielu innych. Do Prabut trafił też tczewski kolejarz Józef Banacki z żoną.

Zaraz po przyjeździe przesiedleńców zebrano na placu przed budynkami szpitala. Skierowano wszystkich do łaźni na dezynfekcję. Tam kazano wszystkim rozebrać się do naga. Nie zważano, że dziewczynki i chłopcy stoją razem z matkami i ojcami. Jak wspomina 7-letni wówczas pan Zenon, rzeczy przesiedleńców były brudne, pokryte wszami i innymi insektami. Niemcy zgromadzili je na wielkim stosie, który szybko spalono. Wszystkich ostrzyżono. Rozdzielono mężczyzn i kobiety z dziećmi. Potem kazano się wykapać. Dano nam białe piżamy w granatowe pasy po pacjentach dawnego szpitala psychiatrycznego. Rodziny rozlokowano w pięciu blokach. Do dziś pamiętam, w którym byłem umieszczony.

<sup>5</sup> Jerzy Wrzałkowski, *Przeżycia wojenne Polaków*, Tczew 2013, s. 97-98.

<sup>6</sup> Tamże s. 101

Dla innego wysiedlonego, małego wówczas Rajmunda Głębina, piżama była zbyt wielka... - Mama zawięła mi rękawy i nogawki, ale wyglądałem dość dziwnie - zeznawał po latach. - Nie wiedząc co się dzieje, płakałem z zimna tuląc się do mamy. Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że Niemcy rozstrzelali chorych pacjentów tego szpitala<sup>7</sup>.

### NIE ROZMAWIAĆ!

W Riesenburg warunki bytowe były ciężkie. Według relacji Rajmunda Głębina więźniowie wręcz głodowali. - Dorośli dostawali dziennie ćwierć, a dzieci jedną ósmą Komissbrotu, czyli ciemnego twardego i kwaśnego chleba foremkowego. Ojciec Zenona Weissa był trzymany w oddzielnym pomieszczeniu niż pozostali członkowie jego rodziny. Około roczny braciszek małego Zenona pozostawał na szczęście z mamą.

- Nie wolno nam było rozmawiać, ale kiedy mijalem ojca w pawilonie, ten wciskał mi kromkę chleba do kieszeni - mówi. - Wyżywienie było bardzo skromne: kromka chleba i zupa na dzień. Rodzice mogli spotkać się na spacerze w niedzielę, ale trzeba było uważać. Kto za długo rozmawiał, stawał się podejrzany dla strażników i mogło dojść do tragedii, bo oni bardzo często byli pijani.

Każdy musiał pracować i uważać na niemieckich strażników, którzy z byle powodów potrafili zwzywać lub pobić. Mężczyzn zatrudniano w obozowym gospodarstwie rolnym, albo w gospodarstwach niemieckich bauerów lub w mieście. Do obozu przyjeżdżali okoliczni właściciele ziemscy, a następnie wybierali do pracy co lepszych, ich zdaniem, więźniów. Nagrodą za pracę było wyżywienie.

<sup>7</sup> Danuta Drywa (oprac.), *Obóz przejściowy w Prabutach w latach 1939 – 1940*, (Ubergangslager Riesenburg Westpreussen), Prabuty 2018, s. 17.



Pomoc zwłaszcza dla rodzin z małymi dziećmi, udzielana przez śp. Marię Czapiewską była nieoceniona, fot. W. Mocny

- Szczęście mieli „wypożyczeni” grossbauerom do pracy przy omlotach. Choć praca była szczególnie ciężka i „nagradzana” stekiem wyzwick, to mieli przynajmniej co jeść. Młodzi zbierali chrust na opał, a osoby starsze pracowały, jak się udało, w gospodarstwie. Znający niemiecki byli zatrudniani w obozowej kancelarii, co pozwalało im także na poruszanie się po terenie obozu. Kobiety albo pracowały w kuchni, pralni albo szyły worki. Dzieciom nakazano przez 3 miesiące chodzenie do szkoły, gdzie uczyły się głównie niemieckiego<sup>8</sup>.

## PODRÓŻ W NIEZNANE

- Trzymali nas w obozie do końca stycznia 1940 r.. Wtedy zapakowano nas do pociągu w nieznane - przypomina sobie Zenon Weiss. - Rodzice zdawali sobie sprawę, że trafiają na roboty przymusowe. Wcześniej tata zorientował się, że wśród więźniów są sami rzemieślnicy. Pociąg zatrzymał się dopiero na małej stacji towarowej przy ul. Pomorskiej w Tczewie. Ku naszemu zaskoczeniu do składu podbiegła moja ciocia Agnieszka z herbatą i prowiantem. Zobaczyłem też sporo tczewskich rodzin, które robiły to samo. Do dziś nie wiem, skąd tyłu tczewian dowiedziało się o naszym przejeździe...

Rodzina trafiła do majątku Heinrichshof w Anklam w landzie Vorpommern-Greifswald, gdzie zatrudniono w kuźni Alojzego, ojca Zenona. Co ciekawe, kuźnia była nieczynna od 3 lat, bo wszystkich młodych Niemców wysłano na front. Weissowie do Tczewa wrócili dopiero 15 sierpnia 1945 r. po przejściu ich przez Urząd Repatriacyjny w Szczecinie.

W obozie prabuckim przebywali też tczewscy kolejarze: Bigus, Pruski, Bianek, Banacki, Ćwikliński, Szyta, Poblócki z rodziną, dentysta Bronk, lekarz Redigier i Meger, nauczycielka Barańska<sup>9</sup>.

Losy więźniów obozu Riesenburg są częścią dramatu wojennego wysiedlenia ludności Kociewia i Pomorza Gdańskiego, zwłaszcza dramatu internowania. Ta historia skrywa w sobie jeszcze wiele białych plam, a zasługuje na przypomnienie, dlatego prosimy za pośrednictwem kwartalnika „Prowincja” o przekazywanie wspomnień związanych z internowaniem na zamku, pobytem w prabuckim obozie oraz z tym, jak dalej wyglądała przymusowa praca Polaków wywiezionych z Prabut.

<sup>8</sup> Tamże, s. 17.

<sup>9</sup> Joanna Smół (oprac.), *Kto pamięta. Kto wiedział?*, „Gazeta Tczewska” nr 13, 27.03.1997.

Janusz Ryszkowski

## DAMA ZE ZŁOTĄ PRZEPASKĄ<sup>1</sup>

WITEBSK, 2 WRZEŚNIA 1883

Nacieszyłem i oczy widokiem pani Donimirskiej, która ze swoją tradycyjną złotą przepaską we włosach dziwnym trafem w drugim rzędzie się znalazła. (...) Nie rozmawiałem z nią, nie wiem nawet, czy mię poznała.

*Z listu Ignacego Jana Paderewskiego do Heleny Górskiej.*

- Od czego by tu zacząć? Niezapisywana kartka gryzła, paliła, męczyła. Była niczym gorszący wyrzut sumienia. - Od czego by tu... - powtarzał. - Nie myśl pan, tylko pisz pan - odezwał się nagle w jego głowie jakiś inny głos.

Janek Elmanowski, bystry chłopak na posyłki berlińskiej *anzajgierki*, dostał pierwsze, długo wyczekiwane zadanie dziennikarskie. Może na razie skromne, ale to już coś innego niż tylko bieganie z pocztą, pilnymi tekstami do drukarni, albo po sprawunki dla żony szefa. Zamiast tego miał pójść w piątek na mszę pogrzebową do kościoła św. Jadwigi. - Dobrze znasz polski - upewnił się jeszcze redaktor Felske. - To będzie potrzebne.

Trzymał w rękę wczorajszą depeszę. „Wracający do Warszawy z wypoczynku we Włoszech dr praw Antoni Donimirski zmarł po krótkiej chorobie w Berlinie. Był wcześniej posłem do parlamentu niemieckiego z ramienia frakcji polskiej i przed długi czas redaktorem warszawskiego dziennika *Słowo*”.

- Kolega po fachu, można powiedzieć - mruknął. - Spiesz mi chłopcze, dokładnie, kogo tam widziałeś, może ktoś miał ładną przemowę, no, takie tam. Coś z tego wykorzystamy.

Janek, który przyjechał do Berlina przed kilkoma miesiącami i zamieszkał u stryja, znał dobrze centrum miasta z monumentalnym kościołem św. Jadwigi. Jakże był inny od znanej mu smukłej katedry w Pelplinie, w jego stronach rodzinnych? Okrągła budowla jakby przeniesiona zupełnie z innego świata. Teraz ona mogła jakoś sprawić (och niech sprawi, niech sprawi), że i on poszybuje w inne rejony.

Prawie nieprzytomny z przejęcia oddał w sobotę redaktorowi dwie zapisane kartki. Ten szybko zlustrował tekst, oddał mu pierwszą stronę i odłożył sobie na biurko drugą. - To zostawiam. Kiedyś na pewno zostaniesz sławny, chłopcze...



*Eugenia Leszetycka, wcześniej Donimirska.  
Reprodukcja z książki Angeli Potockiej „Theodor  
Leschetzycki. An intimate study of the man and  
the musician” (New York, 1903)*

<sup>1</sup> Fragment opowieści biograficznej o Antonim Donimirskim (ur. 1846 w Buchwałdzie, pow. sztumski – zm. 1912 w Berlinie), powstającej w ramach Stypendium Marszałka Województwa Pomorskiego dla twórców kultury na rok 2020.

W poniedziałkowym wydaniu ukazała się trzyzdaniowa wzmianka o pogrzebie Donimirskiego. Z tekstu przyniesionego przez Janka ocalał fragment o wieńcach na trumnie: *Światłemu kierownikowi - Redakcja „Słowa”, Ukochanemu Bratu - Janostwo Donimirsy, Zarząd Stronnictwa Polityki Realnej - Koledze, Stowarzyszenie Kooperatystów - Prezesowi, Ukochanemu Przyjacielowi - Eugenia.*

Eugenia? Kim była?

## ŻABA Z ALABASTRU

Gorący pasaż fortepianowy, rozpoczynający koncert Es-dur Franciszka Liszta, ożywił wielką salę toruńskiego gimnazjum ewangelickiego. Nie była całkowicie wypełniona publicznością, co Donimirski stwierdził z tym większą przykrością, że cel przygotowanych z trudem popisów muzycznych był nader szlachetny - zebranie datków dla tutejszego domu sierot i biednych dzieci. Nawet przed sobą nie chciał się przyznać, że zależało mu także na tym, by Eugenia po raz pierwszy mogła w mieście pokazać swoją wirtuozerię. Koncert Liszta, wykonany po raz pierwszy w Weimarze w 1855 roku, przez długie lata był uznawany za niewykonalny.

Trwał w zachwyceniu, słuchając, co było słodką nagrodą za to, że w ostatnim czasie małżonka, solidnie przygotowująca się do występu, stała się mocno rozdrażniona, kapryśna, wprost nieznośna. Przyjmował to wszystko z właściwą sobie dobroduszością i pogodą ducha. Nic nie trwa wiecznie...

Wykonanie było naprawdę znakomite. Grała z pamięci, a do wysokiego poziomu dostroił się towarzyszący jej na drugim fortepianie poczciwy Neumann. W najbliższym numerze „Gazety Toruńskiej” napisze sprawozdawca o występie Antoniowej Donimirskiej (tak została przedstawiona, bez własnego imienia): „Jeżeli tu [przy Liszcie] zadziwiała technika wysoka i precyzja, dwa następne utwory Szopena (Nokturn b-moll i Polonez a-dur) znamionowało delikatne wycieniowanie i werwa a siła”. Nie były to słowa recenzji przesadzzone, choć zawistnicy, których przecież nikomu nie brakuje, zapewne szeptali potem, że nic innego ponad pochwały być nie mogło. Przecież wiadomo, jakie wpływy mają w tej gazecie Donimirsy. Ojciec zakładał „Toruniankę”, a bank ją finansował.

Eugenia akompaniowała jeszcze obdarzonemu pięknym barytonem Radkiewiczowi, który zaśpiewał trzy pieśni Schuberta i arie z „Halki” Stanisława Moniuszki oraz Langowi i Schaplerowi (skrzypce i wiolonczela) w Trio fortepianowym d-moll Felixa Mendelsohna-Bartoldyego.

Patrzył na jej drobną postać z nieukrywaną dumą, może nawet miną zdobywcy drogo-cennego skarbu przywiezionego z Inflant Polskich na Pomorze.



Ignacy Jan Paderewski. Fotografia portretowa z ok. 1890 roku, zbiory Muzeum Narodowego w Warszawie

Czy była bardzo piękna? Podobno za taką uchodziła. Kanony urody zmieniają się z czasem, zdjęcie, które tu mamy, sprawy znacząco nie rozstrzyga. Rysy regularne, włosy krucze. Na koncercie w Toruniu pewnie założyła złotą przepaskę, którą Ignacy Paderewski uważał za jej niemal znak firmowy.

Gdzie ją Pader (tak podpisywał czasem swoje listy) poznał? Niewiele o tym wiemy i pewnie tak zostanie, choć pewien ciekawy ślad pozostał.

We wrześniu 1883 roku owdowiały Paderewski był w podróży do Rudni na Wołyniu. Mieszkający tam teściowie, państwo Korsakowie, opiekowali się jego synem Alfredem, a teraz pieczę nad trzylatkiem miał przejąć drugi dziadek, Jan Paderewski. W pociągu z Warszawy do Wilna przytrafiło się Ignacemu nieszczęście. Kiedy usnął, poczęstowany wcześniej dobrym papierosem przez przygodnego pasażera w rewanżu za rozminienie pieniędzy (obok grano w karty), skradziono mu 130 rubli srebrnych. Było to tym dotkliwsze, że miały być na nagrobek dla żony i dalszą podróż z synkiem do rodziny.

W Dyneburgu musiał czekać prawie 10 godzin na kolejny pociąg. Znał to miasteczko, był tu przecież już jako szesnastolatek, gdy z pochodzącym stąd skrzypkiem Romanem Cielewiczem, przyjacielem z warszawskiego instytutu muzycznego, urządzili sobie tournée po okolicy. Jak wtedy, tak i teraz, Paderewski był goły... Zaczął więc pilnie rozglądać się nad szybką możliwością zarobku, zorganizowaniem płatnego koncertu w Dyneburgu. Niestety, dla niego, okazało się, że właśnie taki zorganizowano „pod miastem” na cele miejscowego kościoła. Mając dużo czasu, pojechał tam Paderewski. Dał się namówić Cielewiczowi i księdzu, by akompaniować przy dwóch utworach skrzypcowych belgijskiego kompozytora Henri Vieuxtempsa. Jednak na popisy solowe nie pozwoliły inne wykonawczynie koncertu - „amatorki”, grożące bojkotem imprezy. Więc tylko na akompaniamencie poprzestał. Za to nacieszył (...) *uszy wykonaniem Kwintetu Hummela, o jakim nawet w Paryżu marzyć nie można. Nacieszyłem i oczy widokiem pani Donimirskiej, która ze swoją tradycyjną złotą przepaską we włosach dziwnym trafem w drugim rzędzie się znalazła. Wszak to nie był koncert Sarasatego, nie było na nim nawet Goldschmidta. Nie rozmawiałem z nią, nie wiem nawet, czy mię poznała.*

Od uszczypliwości w tym liście aż kipi. To porównanie Dyneburga do Paryża, ta Donimirska siedząca w drugim rzędzie... Coś sprawiało, że Paderewski odnosił się do niej z rezerwą, może i niechęcią. Jest prawdopodobne, że poznał ją już podczas wcześniejszych koncertów w dawnych Polskich Infantach. A może w Warszawie, gdzie Benisławscy zjeżdżali na zimę?

Pod koniec października 1884 roku Paderewski przyjechał do Wiednia, by doskonalić swoje umiejętności gry na fortepianie u słynnego pedagoga Teodora Leszetyckiego. Mistrz przyjął go serdecznie, pierwsza wizyta trwała cztery godziny. Paderewski zagrał mu swoje utwory, jeden z nich - „Album majowy” Leszetycki uznał za świetnie pasujący do repertuaru koncertowego żony, Annety Jesipowej, wybitnej pianistki rosyjskiej, co się potem, z korzyścią dla Ignacego, urzeczywistniło. Mistrz obiecał nie tylko dawać lekcje, ale także wprowadzić w wiedeńskie środowisko muzyczne.

Po wielu latach Paderewski, spisującej opowieść jego życia Mary Lewton, przedstawi to pierwsze spotkanie inaczej, bardziej dramatycznie, w takim hollywoodzkim stylu. Miał

wtedy usłyszeć od Leszetyckiego, że przybył do niego zbyt późno, by ten mógł uczynić z niego wielkiego muzyka. Ale wielką życzliwość mistrza nadal podkreślał.

9 listopada 1884 roku Leszetycki obchodził imieniny. W jego trzypiętrowej willi z ogrodem zebrało się liczne grono, wśród nich był i Paderewski. Jako człowiek nowy w tym środowisku rozglądał się bacznie i wypatrzył Eugenię Donimirską. Ona także należała do uczennic Leszetyckiego. „Jaka niemiła kobieta” - napisze Paderewski w liście do Heleny Górskiej. „To jest wodna żaba zrobiona z najpiękniejszego alabastru”. Kąśliwej uwadze towarzyszyło, jak widać, podkreślenie niewątpliwego powabu Donimirskiej. Jak to wytłumaczyć? Może pani Helenie, wtedy już bliskiej przyjaciółce 24-letniego muzyka (potem żonie), o innej kobiecie nie wypadało pisać zbyt ciepło. Mogło ją to zboleć, zranić, wzbudzić dziwne podejrzenia....

Z tego już wynika, że Eugenia była jednak piękną kobietą. Donimirski, w sali toruńskiego gimnazjum, wpatrzony w jej drobną postać, wyczarowującą dźwięki, nie przypuszczał, że złamie niejedno męskie serce, że w Ischel zakochany w niej śmiertelnie początkujący pianista targnie się na życie... Że wielki Leszetycki zadekuje jej kilka swoich utworów salonowych i straci dla niej głowę?

Dziś jednak zbliżali się od świętowania pierwszej rocznicy ślubu. Koncert, na którym wystąpiła, miał i przez to charakter szczególny. Tyle zebrała pochwał, tyle usłyszała ciepłych słów od najważniejszych osób w mieście. Burmistrz Torunia Banke, gospodarz wieczoru, nie szczędził jej komplementów. Ale co tam burmistrz! Kilkanaście tygodni wcześniej oczarowała samego mistrza Jana Matejkę, którego Donimirscy podejmowali na uroczystej kolacji podczas wizyty malarza w grodzie Kopernika.

## POKÓJ U DONIMIRSKIEGO

Po wyprowadzce z Torunia, niedługim pobycie w Warszawie, Donimirski na kilka lat osiadł w Wiedniu. Zajął się dziennikarstwem, może jeszcze prowadzeniem jakiś interesów, bo wiadomo, że z samego pióra wyżyć ciężko. Nie był człowiekiem biednym, to prawda, ale przecież kapitał także kiedyś się wyczerpuje. A życie na poziomie, do którego był przyzwyczajony, kosztuje. Zwłaszcza w naddunajskiej stolicy.

„Mam już mieszkanie u jednego z dawnych znajomych, Polaka, pana Donimirskiego. Płacę niedrogo, jak na Wiedeń - 20 guldenów miesięcznie, a mieszkam w najpiękniejszej części miasta. Pokój duży, widny, spokój mam do pracy, tylko, jak wszystko, moje mieszkanie ma wadę, że jest za wysoko. Muszę na piąte piętro wlaźić, a to praca niemała. Za to mam widok na jeden z najpiękniejszych kościołów tutejszych: Wotiven-Kirche.

Wspomniałem o drożyznie. Rzeczywiście Wiedeń jest szalenie drogi miastem. Pieniądzy tu leca nie wiadomo na co.” - pisał Ignacy Paderewski do ojca w listopadzie 1884 roku, gdy



Antoni Donimirski. Rysunek z dziennika „Słowo”

- o czym pewnie pamiętamy - przyjechał tu po raz pierwszy doskonalić swoją grę u Teodora Leszetyckiego. Podał też adres: Schottenring nr 4, drzwi 25.

W pokoju tuż obok miał swoje biuro Antoni Donimirski i codziennie przez kilka godzin załatwiał swoje sprawy. Pewnie pisał tam także korespondencje z Wiednia, artykuły ekonomiczne i filozoficzne, które drukowały krakowski „Przegląd Powszechny”, warszawska „Niwa”, petersburskich „Kraj”.

To sąsiedztwo było zarazem początkiem narodzin trwałej więzi między starszym o 15 lat Antonim, a 24-letnim pianistą. Nie chcę nazywać tego przyjaźnią, widzę to początkowo raczej jako ojcowską opiekę nad utalentowanym przybyszem z Warszawy. Paderewski był w tym czasie na obiadach u państwa Donimirskich, co przy jego skromnych finansach znaczyło bardzo wiele. A przy okazji goszczenia tak ich charakteryzował: „On ma zącną dużą, wcale dobrą głowę i ogromny brzuch. Ona tego wszystkiego ma za mało... szczególnie głowa szwankuje”. To, co pisał wówczas do przyjaciółki, nie brzmi jakoś nadzwyczajnie, ale już sławny i bogaty Paderewski, nie zapomniał o Donimirskim, ani jego rodzinie, czego dawał różne dowody.

## ARTYSTYCZNIE EGZALTOWANA ISTOTA

22 czerwca 1930 roku dziennik „Neue Wiener Journal” zamieścił rozmowę z Eugenią zatytułowaną „Jak wyszłam za Leszetyckiego i jak się z nim rozwiodłam”. Okazja po temu była szczególna. W Wiedniu fetowano 100 rocznicę urodzin Teodora Leszetyckiego, a częścią uroczystości było odsłonięcie tablicy pamiątkowej w ścianie domu artysty przy Weimarerstrasse 60. Urodzony w Łąncucie pianista, dyrygent, kompozytor i pedagog, należał do najbarwniejszych postaci Wiednia. Czterokrotnie żonaty (wszystkie wybranki były wcześniej jego uczennicami), przy czym ostatnia, Maria Gabriela Rozborska, miała od niego równo 50 lat mniej.

Niewiele posiadamy świadectw dotyczących Eugenii z okresu, gdy pozostawała w związku małżeńskim z Antonim Donimirskim. Dlatego ta rozmowa nabiera znaczenia, choć dotyczy głównie lat późniejszych. Trzeba uważnie wsłuchać się w jej głos, co prawda przepuszczony przez zapiski dziennikarza, potem może nożyce redaktora, wreszcie zdania zagubione w tłumaczeniu z niemieckiego na polski, ale zawsze to coś. Ta opowieść może okazać się kluczowa, by ją lepiej poznać i zrozumieć. Nawet mówiąc o innych, pokazujemy też siebie.

Gdy ta rozmowa ukazała się drukiem, Leszetycka już nie żyła (zmarła po dłuższej chorobie 12 kwietnia 1928 roku), czego redakcja nie raczyła zaznaczyć. Może więc dlatego „wystąpiła” tu pod panińskim nazwiskiem Benisławska?

Zapewne rozmowa toczyła się w jej niewielkim mieszkanku, w saloniku z pianinem, gdzie przez lata udzielała lekcji muzyki, przy kawie, niespiesznie, z rwącymi się wątkami i licznymi dygresjami. Zanim zaczęła opowiadać o wiedeńskich czasach i Leszetyckim, musiała cofnąć kadry pamięci do wczesnej młodości. Mówiła więc zapewne o tym, że jej przodkowie pieczętujący się herbem Pobóg wywodzili się z Litwy, może - znowu dodajmy sugestię - wspomniła coś o Inflantach Polskich. Tak jak wiele zacnych i utytułowanych rodzin na zimę i karnawał zjeżdżali Benisławscy do Warszawy. Rodzice kochali muzykę, a przez ich dom przewijali się znani wykonawcy i kompozytorzy: pianiści bracia Rubin-

steinowie - Antoni i Mikołaj, Karl Klindworth, skrzypkowie - Ferdynand Laub, Henryk Wieniawski i Pablo Sarasate oraz Piotr Czajkowski. Wzrastała w tym artystycznym świecie, muzyka przepełniała jej życie od początku. Gdy jej małżeństwo z Antonim Dominirskim (toruńskim bankierem, co podkreśliła) zaczęło przechodzić kryzys, Rubinstein poradził jej, aby wyjechała do Wiednia studiować u Leszetyckiego.

Tu się zatrzymamy. Dowiadujemy się o tym z dziennikarskiego wprowadzenia do następujących potem wypowiedzi Eugenii. Nie może zatem rozmówczyni (zwłaszcza po latach) ponosić za to pełnej odpowiedzialności. O co dokładnie chodzi? Głównie o tę galerię wielkich muzyków goszczących w ich domu. Nie traktujmy tych słów dosłownie, choć wiele tych postaci Eugenia poznała, ale to raczej później. Inna rzecz - po co dziennikarz miałaby coś zmyślać, Benislawska może tak naprawdę opowiadała? Chciała dodać sobie splendoru?

Donimirski po oddaniu dyrekcji polskiego banku w Toruniu, zamierzał osiąść w Warszawie, jednak wybrał Wiedeń. Nikt do tej pory nie napisał, dlaczego? Może podążył tam za małżonką?

Czytajmy rozmowę dalej. Leszetycki, mężczyzna wtedy po sześćdziesiątce, ujrawszy piękną Polkę, od razu zrozumiał, że ma do czynienia z „artystycznie egzaltowaną istotą o impulsywnej naturze”. Ona, jak wspominała po latach, obdarzyła go od razu bezgranicznym zaufaniem. Powiedziała o rozpadzie małżeństwa, o tym że pragnie poświęcić się tylko sztuce. I tak została jego studentką. „Leszetycki, kiedy uznał, że osiągnęłam już odpowiedni poziom, powierzył mi opiekę nad częścią swoich uczniów. Ze względu na ogromne zainteresowanie jego szkołą nie był w stanie zajmować się wszystkimi osobiście. Asystentów wybierał zawsze spośród swych najlepszych wychowanków” - mówiła.

Wskazania bibliograficzne: Ignacy Jan Paderewski, *Listy do Ojca i Heleny Górskiej (1872-1924)*, opracowanie Małgorzata Perkowska-Waszek, redakcja Małgorzata Sułek, Justyna Szombora, Narodowy Instytut Fryderyka Chopina, Warszawa 2018; Ignacy Jan Paderewski, *Pamiętniki*, spisała: Mary Lewton, z angielskiego przełożyły Wanda Lisowska i Teresa Mogilnicka, posłowie Witold Rudziński, Kraków 1984; Barbara Chmara-Żaczkiewicz, *Teodor Leszetycki. Notatki do biografii artysty i pedagoga w świetle stosunków z rodziną, przyjaciółmi i uczniami* (cz. 2), „Muzyka. Kwartalnik poświęcony historii i teorii muzyki”, 2019, nr 1 (252); „Gazeta Toruńska”, 1877, nr 289; „Słowo” (Warszawa), 1912, nr 135; „Neue Wiener Journal”, 1930, nr 41.

Bogumił Wiśniewski

# ZŁOTA LEGENDA

## na ścianie katedry

Fresk, którym obecnie się zainteresowałem, namalowano na północnej ścianie kwidzyńskiej katedry. Tym razem fresk powiązę z mozaiką znajdującą się nad głównym wejściem do katedry, która została wykonana w 1380 roku. Dlaczego na wstępie łączę mozaikę z freskiem? Ponieważ pierwsza opowieść jest naturalną kontynuacją drugiej przypowieści. Stanowią w przekazie jednolitą treść. Każdy wchodzący do kościoła zobaczy nad swoją głową kłęczącego biskupa przed świętym Janem, natomiast drugą część opowieści zobaczy dopiero po przekroczeniu progu świątyni. Rozgrywa się ona od wieków na ścianie kościoła. Ta legenda zapisana przez średniowiecznego malarza dopiero wtedy nabiera pełnego przekazu, gdy zaczynają wychodzić z nich kolory podczas zachodzącego słońca. Dzięki temu mozaika lśni blaskiem złota, a fresk nabiera odpowiedniej soczystości w przekazie.

Pozłacane szkło z mozaiki bije blaskiem w przypadkowych przechodniów, zaprasza jednocześnie do zadumy. Inaczej ma się z freskiem: promienie słoneczne wpadające do świątyni inicjują na nowo sceny, które toczą się od wieków na płaszczyźnie otynkowanego muru. Niby dwa autonomiczne dzieła, a jednak niosą te same przesłanie. Tym bardziej, że omawiane zabytki położone są względem siebie w linii prostej. Umieszczone są na wprost obserwatora, ponadto zaobserwować można, że w przesileniu wiosenno-letnim mają taki sam kąt odbicia promieni słonecznych.

Te dwa *magna opera* przywołują opowieści z tzw. „Złotej legendy”. Złota legenda to dzieło Jakuba de Voragine, włoskiego dominikanina, który stare legendy o świętych, zebrał i wydał w połowie XIII wieku. Złota legenda obejmuje wszystkich ważniejszych świętych czczonych owym czasie<sup>1</sup>. Autor książki czerpał swoje informacje przede wszystkim z „*Historii kościelnej*” Euzebiusza, „*Historii trójdziałnej*” Kasjodora oraz z „*Historii szkolnej*” Piotra Komestora. Te dwie pierwsze powstały od IV do VI wieku, natomiast ostatnia napisana została około 1170 roku. Historie powyższe umacniały w wierze pierwszych wyznawców. Opowieści o świętych tworzone były od samego zarania Kościoła, a przedstawione legendy były na tyle starożytne, że prawie zaliczano je do apokryfów. Dlatego były tak cenne i ich

<sup>1</sup> Jakub de Voragine – *Złota legenda. Wybór*, przełożyła Janina Pleziowa. Wyboru dokonał, wstępem, przypisami i postłowie opatrzył Marian Plezia, Warszawa 2000, s. 34.

przekaz tak wartościowy. Dzięki nim możemy poznać mentalność i religijność pierwszych wyznawców Chrystusa. Podsumowując: Jakub nie jest twórcą ani jednej z zapisanych przez siebie legend, ale na charakter wydanej książki wpłynął jego indywidualny wybór i odpowiednio zinterpretowanie wybranych żywotów świętych<sup>2</sup>. „Złota legenda stanowi też znakomity klucz do poznania i rozumienia strony fabularnej niekończącej się wręcz galerii plastyki religijnej wieków od XIII do XVI wieku”<sup>3</sup>. I z tym stwierdzeniem wypada się w pełni zgodzić.

W przypadku kwidzyńskich dzieł mamy do czynienia z opowieścią o św. Janie Ewangelście. Nie ma się co dziwić, wszak katedra jest pod wezwaniem świętego Jana. Dziwne jedynie jest to, że biskup odważył się ręką malarza na motywy zaczerpnięte wprost nie z Ewangelii, tylko z inkunabułu o złotej legendzie. Spowodowane to mogło być chęcią przedstawienia bohaterów jako niezłomnych cudotwórców. Czyny i bogobojna postawa świętych pociągała za sobą odpowiedni wpływ na wyobraźnię odbiorców. Mocny przekaz namalowanych obrazów miał za zadanie silne uderzenie w psychikę odbiorcy. Miały wpłynąć na prawidłową pobożność niepiśmiennych parafian. O tych namalowanych scenach w kościele było głośno, wierni po wyjściu z kościoła z zapalem zapewne komentowali między sobą widziane przed chwilą niespotykane cuda, a przecież o to właśnie chodziło twórcom. Któż z nich chciałby być ugotowanym w oleju? Pewnie, że nikt. Ale pokonanie takich kłopotów i wyjście z takiej opresji bez uszczerbku na zdrowiu, to było coś, to był po prostu cud zarejestrowany na ścianie. W tamtym okresie niejedynym z mieszczan był poparzony gorącą wodą, wiedział, z czym się to wiąże, natomiast człowiek we wrzącym oleju był dla niego czymś niewyobrażalnym. O tym wyjątkowym oddziaływaniu sztuki wiedział jeden z najwybitniejszych biskupów pomezkańskich, Jan I Mnich (1376 – 1409), który zlecił wykonanie zewnętrznej mozaiki i fresku na północnej ścianie katedry. Nie trzeba też się dziwić, dlaczego akurat te dwa niepowtarzalne dzieła poruszają tematykę żywota św. Jana; biskup też był Janem. Przekaz więc musiał być prosty i zrozumiały. Jan dla Jana. To on jako biskup ustanowił codzienną służbę liturgiczną przy ołtarzach na głównym chórze, w krypcie i ołtarzu bocznym. To za jego panowania w diecezji została zamknięta w rekluzorium bł. Dorota z Mątów i wykonano freski na ścianach kościoła. Pobożność wymagała podkładu w postaci sztuki.

Mozaika. Widzimy na niej biskupa Jana I oraz świętego Jana Ewangelistę,



Mozaika, fot. B. Wiśniewski

<sup>2</sup> Tamże s. 40

<sup>3</sup> Tamże s. 42

który stoi w czarnym kotle ze złożonymi rękami do modlitwy. Czerwone języki ognia tańczą w dolnej części partii naczynia. Po lewej stronie klęczy biskup w mitrze, trzyma pastorał, widoczny jest na palcu również pierścień. Odziany jest w biskupie szaty oraz w czarne buty. Wzrok biskupa skierowany jest w stronę św. Jana. Ich spojrzenia krzyżują się w przestrzeni. Biskup błagalnie prosi o błogosławieństwo – zapewne dla siebie i wiernych. Zaskakujący czas i moment wybrał biskup na udzielenie błogosławieństwa. Po prawej stronie widnieje Brama Latyńska, której już na fresku nie zobaczymy.

Fresk ze ściany północnej podzielony jest na cztery niezależne obrazy, które stanowią w konsekwencji jedną niepowtarzalną opowieść wywodzące się ze złotej legendy. Wszystkie namalowane sceny mają wspólny motyw, a mianowicie palec wskazujący. Święty Jan i cesarz Domicjan, wskazują palcem w geście pouczania, machają nim na konkretną wskazaną w opowieści osobę. Zaczniemy od górnej kwatery. Pierwszy obraz przedstawia stojącego św. Jana, który rozkazująco wskazuje palcem na kowala. Kowal zawzięcie uderza młotem o kowadło, na którym jest położony i trzymany w kleszczach nieokreślony przedmiot metalowy. Pozycja kowala jest nieadekwatna do wykonywanej pracy, siedzi na tronie z baldachimem z trzema sterczynami. Za rozgrywającą się sceną stoją trzej statyści, którzy wpatrują się w świętego Jana. Ta scena zaczerpnięta z legendy na dzień św. Jana Apostoła Ewangelisty, przypadającego 27 grudnia, opowiada o pogardzie dla dóbr tego świata. Otóż filozof Kraton nakłonił dwóch braci, aby ci kupili klejnoty, które następnie kazał porozbijać na oczach zgromadzonej gawiedzi. Apostoł widząc to powiedział, że taka pogarda świata przez możliwych nie jest właściwa. Wymienił trzy powody, które są nie do przyjęcia dla niego.



Scena pierwsza, fot. B. Wiśniewski

W trzecim punkcie św. Jan rzekł do filozofa: „pogarda świata zdobywa nam zasługę wtedy, jeśli majątek nasz rozdamy ubogim, tak jak Pan rzekł do młodzieńca: Jeśli chcesz być doskonałym, idź i sprzedaj wszystko, co masz, i daj ubogim”. Kraton nie był zadowolony z tego pouczenia i w związku z tym wystawił apostoła na próbę. Chciał, aby święty Jan scalił rozbite klejnoty ponownie w jedną całość. Apostoł uczynił to bez trudu, „wobec czego filozof i dwaj młodzieńcy zaraz uwierzyli, sprzedali klejnoty, a uzyskaną sumę rozdali ubogim”.

Na drugim obrazie fresku z lewej strony widzimy stojącego Apostoła z otwartymi ramiarami w kierunku cesarza Domicjana. Dzieli ich pręgierz, na którym na samym szczycie widnieje szatan w postaci upadłego anioła. Anioł wychylony jest w stronę władcy. Władca wpatrzony w apostoła, siedzi na tronie trzymając atrybut władzy – berło. Ma wyciągniętą prawicę, a jego palec jest skierowany w stronę św. Jana. Tym razem to św. Jan jest pouczany przez cesarza, aby zaprzestał swoich praktyk religijnych oraz zakładania nowych kościołów w Azji. Dostojność i siłę władcy podkreśla pręgierz oraz podnóżki tronu, na które składają się powaleni na wznak dwaj przeciwnicy Cesarza. Jednak św. Jan rozkazu nie posłuchał. Cesarzowi nie pozostało nic innego, jak tylko skazać buntownika na śmierć.

Z trzeciego obrazu emanuje siła władcy. Dzięki nieposłuszeństwu i złamaniu nakazów przez apostoła, panujący monarcha wymierza mu za to odpowiednią zapłatę. Tą zapłatą staje się śmierć przez ugotowanie w oleju. „Cesarz kazał wrzucić go do kotła wrzącego oleju, ale on wyszedł zeń nietknięty, tak jak wolny był zupełnie od zepsucia cielesnego”<sup>4</sup>. Ta scena nakłada się na scenę wykonaną na mozaice. Jednak z tą różnicą, że nie ma już tu biskupa

<sup>4</sup> Tamże s. 73



Scena druga, fot. B. Wiśniewski

Jana I, którego teraz zastępuje zasiadający na tronie cesarz Domicjan. Charakterystyczny palec wskazujący u władcy podpowiada, że taki koniec czeka każdego człowieka, który nie słucha jego słów i rozkazów. W głębi sceny dworzanie Domicjana uwijają się jak mogą przy zleconej pracy. Jeden ze sług polewa chochlą ciało Jana gorącym olejem, drugi biczuje apostoła, a trzeci klęcząc roznieca miechem ogień pod kotłem, który obficie obejmuje spodnią część gara. I tak jak na mozaice, drewno pod kotłem ułożone jest w ruszt. Apostoł w białej szacie od pasa w dół stojący w kotle z rozpostartymi ramionami, raczej nie przejmuje się swoim aktualnie dramatycznym położeniem. Jest jakby niezainteresowany krzątaniem, która wokół niego akurat się rozpoczęła. W tej scenie brakuje fragmentu Bramy Łatyńskiej, która przedstawiona jest na mozaice. Jednocześnie wydarzenia rozgrywające się na fresku są bardziej dynamiczne niż na mozaice. Tam biskup czeka na błogosławieństwo apostoła, który cudownie przeżył próbę ugotowania, natomiast tu święty dopiero co jest poddawany obróbce termicznej w oleju i nie wiadomo, jaki będzie tego koniec. Rozgniewany cesarz widząc, że nic nie może zrobić świętemu Janowi, postanawia w końcu skazanego wygnąć na wyspę Patmos, gdzie nasz bohater spisał Apokalipsę.

Właśnie na tej wyspie rozgrywa się akcja czwartego obrazu naszej układanki. W ostatniej kwaterze fresku spotykamy się z apostołem oraz z piątką zafrasowanych osób. Apostoł wskazującym palcem prawej ręki naprowadza nas na drewniane mary, na których siedzi kobieta o imieniu Druzjana. „Kiedy wchodzi do miasta, właśnie wynoszono zeń zwłoki Druzjana, wielkiej jego miłośniczki, która najgoręcej pragnęła jego powrotu... Wtedy Jan kazał



Scena trzecia, fot. B. Wiśniewski

mary postawić na ziemi, odwinąć ciało i rzekł: Pan mój Jezus Chrystus niechaj cię wskrzesi, Druzjano... A ona zaraz wstała i poczęła iść, dbała o spełnienie rozkazu apostoła, tak iż jej się zdawało, że zbudził ją ze snu zwyczajnego, nie ze snu śmierci<sup>55</sup>. Dzięki błaganiom rodziców oraz prośbom sióstr, nasza wskrzeszona bohaterka z obrazu, pełna życia udała się do domu, aby przygotować posiłek utrudzonemu Apostołowi.

Złota legenda z drugiej połowy XIII wieku została przedstawiona wiernym w kwidzyńskiej katedrze w sposób jasny i zrozumiały. Historia świętego Jana musiała być dobrze znana modlącym się parafianom z Kwidzyna. Obraz robił piorunujące wrażenie na współwyznawcach. Ta baśniowa legenda uzmysławia nam jak bardzo ówczesni ludzie potrzebowali mocnych zewnętrznych bodźców, aby móc odnaleźć prostą drogę do Boga. Wynika stąd wniosek, że gorący olej oraz władca z tego świata nie mogą nic zrobić Świętemu. Przestanie jest jasne, a mówi nam ono, że władza świecka nigdy nie powstrzyma mocy i planów Bożych. Błogosławieństwo Boże podążało i chroniło św. Jana Ewangelistę przed zakusami ludzkimi. Jego słowa wskrzeszały zmarłych, wzmacniały ludzką słabość, a tego przecież ludzie codziennie potrzebowali i nadal potrzebują.



Scena czwarta, fot. B. Wiśniewski



*Fot. Dorota Andrzejewska*

Wiesław Olszewski

# ROMANTYCZNA ŻYWA POMPA

*Stoją rzędem smutne  
nad wstęgami dróg  
ronią drobne liście  
wokół swoich nóg  
a wiatr je roznosi  
wśród nizinnych pól  
jakby chciał zamienić  
w radość cichy ból.[...]<sup>1</sup>*

<sup>1</sup> Danuta Bieszczad-Patryka, *Żuławskie wierzy*, Prowincja nr 1 (23) 2016.

„Drzewa umierają stojąc” – to tytuł znanej sztuki hiszpańskiego dramaturga, Alejandro Casony, która nie ma wiele wspólnego z drzewami, aczkolwiek... , ale też fakt niezaprzeczalny i smutny zarazem. Umierają żuławskie wierzby, przycinane cyklicznie, tworzące majestatyczne głowy – jeden z koronnych symboli krajobrazu tej krainy.

Rosły tu od zawsze, gdy tylko morze stawało się lądem, wraz z topolami, jesionami i olchami tworzyły rozległe łągi. Stanowiły roślinność pionierską przy zagospodarowywaniu wcześniejszych nieużytków.

Wierzba (*Salix L.*) – rodzaj drzew, krzewów lub płożących krzewinek z rodziny wierzbowatych (*Salicaceae Mirb.*). Występuje około 400 gatunków tego rodzaju. Rośnie na wszystkich kontynentach z wyjątkiem Australii i Antarktydy. W Polsce dziko rośnie około 30 gatunków (ich liczba jest różna, zależnie od ujęcia taksonomicznego). Ponadto wiele gatunków jest uprawianych, głównie jako rośliny ozdobne ale i dla celów gospodarczych. Gatunkami najbardziej typowymi są wierzba biała (*Salix alba*) i wierzba krucha (*Salix fragilis*).<sup>2</sup>



Fot. Dorota Andrzejewska

Pisał o wierzbach piewca tej ziemi, Wincenty Pol: *Groble są obsadzone wikliną i wierzbnikami, starannie bardzo utrzymanymi: stąd też mają Żuławy paliwo własne i dostarczają go nawet miast poblizszych – a trzeba tu także dodać, że w rachunek paliwa idzie i drzewo, które Wisła i Nogata na każdej powodzi z sobą uprowadza [...] Dla Żuław rosną gdzieś tam po świecie lasy – dla siebie sadzi Żuławnik wierzby, które starannie utrzymywane i najlepiej grobel strzegą, i dają zawsze gotowy materiał do faszyn, do tam – i obfitość paliwa*<sup>3</sup>

Z kolei Ludwig Passarge opisując Żuławy relacjonował<sup>4</sup>: *Brzegi rowów obsadzone są wierzbami, rosnącymi po częstokroć w kilku rzędach, którym od czasu do czasu obcina się gałęzie, by użyć je po części jako faszynę, po części zaś na opał. Te szczególne, bardzo żywotne i odporne na klimat drzewa określają właściwą fizjonomię tych okolic. Tak jak charakter krajobrazu określa w Prusach Wschodnich jodła [...], tutaj rolę tę pełni wierzba [...] Zadmowiona we wszystkich częściach tych ziem, wita nas, jak stara znajoma, wszędzie tam, gdzie postawimy naszą stopę.*

Przez długie wieki doceniano tu jej wartość, ceniono pożytki jakie dawała. Każda wierzba na tych podmokłych polderach to „żywa pompa”, potrafiąca w ciągu doby odprowadzić nawet kilkadziesiąt litrów nadmiaru wody. Porastając brzegi rzek, kanałów czy rowów wzmacniają je, zapobiegają erozji bocznej, a co za tym idzie, zmniejszają ilość gleby zabie-

<sup>2</sup> Encyklopedia PWN.

<sup>3</sup> Wincenty Pol, *Na lodach, na wyspie, na groblach*, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1989.

<sup>4</sup> Ludwig Passarge, *Z wiślanej delty. Tezysy, Gdańsk, Żuławy, Malbork. Szkice z podróży 1856*, w tłum. Wawrzyńca Sawickiego, Wydawnictwo Oskar, Gdańsk 2016.

raniej z pól. W jakimś stopniu łagodzą też skutki suszy. Na tym bezleśnym terenie miała wierzba wszechstronne zastosowanie. Dzięki swym, nawet dziesięciokrotnie szybszym niż np. u sosny czy świerku przyrostom masy drzewnej, była źródłem opału, zdecydowanie odnawialnym. Nie bez powodu nazwę swą otrzymała od łacińskiego *salire* (skakać) – *Salix*. Oglawiane wierzby odrastają i po kilku latach nadają się do kolejnego cięcia i tak przez dziesiątki lat. Przy okazji pozyskiwane najmłodsze, długie, giętkie pędy były wikliną na kosze potrzebne w gospodarstwie oraz faszyną, którą umacniano brzegi kanałów melioracyjnych. Gałęziowymi płotami zabezpieczano warzywniki przed dostępem *practwa* domowego, z konarów pozyskiwano kołki do grodzenia pastwisk. Często, wbite w wilgotną ziemię, puszczały korzenie, wyrastały w kolejne drzewa. Szpalery wierzb przydrożnych dawały w upały cień wędrowcom, ograniczały siłę wiatru, zapobiegały erozji, zimą osłaniały drogi przed zawiewaniem przez śnieg. Chroniły zwierzęta na pastwiskach przed palącym słońcem ale i przed deszczem i wiatrem. Ich zbawienny cień był miejscem odpoczynku ludzi i koni pracujących w skwarne dni. Chroniły przed szarugami przelotnych deszczy.

Siedliska wierzbowe są biologiczną oczyszczalnią ścieków, nie wymagającą żadnych nakładów finansowych, pobierającą z wody azot, fosfor, pozostałości pestycydów i inne pierwiastki, oczyszczającą ścieki bytowe i rolnicze.

Wierzbowe baze - kotki to pierwsze wiosenne kwiaty miododajne. Wierzby są dominującym elementem wielu ekosystemów żuławskich. Ich formy głowiaste to naturalne wylęgarnie *practwa*. Pękające i próchniejące ich pnie dają wiosną schronienie pisklętom licznych ptaków: puszczykom, sowom, sokołom, pustułkom, dzięciołom zielonosiwym, sikorom modrym, sikorom bogatkom, dzikim kaczkom. Czasami, odnajduje się całe kolonie polnych wróbli. Korony drzew są siedzibą i źródłem pożywienia wielu skrzydlatym gatunkom. Jamy na dole drzewa ofiarują schronienie zającom, kuropatwom, jeżom, ropuchom, żółędnicom. Bywa, że w próchniejącej koronie, w opuszczonym ptasim gnieździe, wykielkuje inne drzewo: brzoza, jarzębina, bez czarny i tak żyją wspólnie nawet przez wiele lat. Pnie wierzbowe to siedlisko dla wielu grzybów i porostów.

Powykrzywianą, pokraczną wierzbę, za swój symbol, chętnie też uznają inne polskie krainy, zwłaszcza Mazowsze, Kujawy, Podlasie, lecz i dalsze. Ale ponoć sztuka jej praktycznego wykorzystania przyszła tam z Żuław, wraz z przesiedlającymi się w górę rzek „Oleđrami”, w tym i Mennonitami.<sup>5</sup> Cienkich, sprężystych gałęzi używali do budowy specjalnych płotów, stawianych na polach wzdłuż rzek. Wisła, Bug i inne, nad którymi się osiedlali, wylewały co roku. Gęsta plecionka zatrzymywała piasek, ale przepuszczała mul, który użyźniał pola i powiększał plony.

Przez swą rosochatą posturę, niejednokrotnie fantazyjnie wykoślawione, drzewo to na przestrzeni wieków rozbudzało ludzką fantazję. Przez wieki, pod wpływem fantastycznych kształtów wierzbowych głów powstawały liczne legendy i baśnie. W przekazach ludowych często wierzba postrzegana jest jako drzewo diabła, kojarzone z ciemnymi siłami. Przekonanie o wierzbie jako siedzibie złych mocy utrwaliło się w wielu przysłowiach i powiedzeniach. Ponad wszelką wątpliwość to z wierzbowych gałęzi czarownice wykonywały swe latające mioty.

<sup>5</sup> Peter J. Klassen, *Mennonici w Polsce i w Prusach w XVI-XIX w. Muzeum Etnograficzne im. Marii Znamierowskiej – Prüfflerowej w Toruniu*, Toruń 2016.

W kulturze ludowej utrzymuje się traktowanie wierzby jako drzewa magicznego, przywołującego szczęście, płodność, zdrowie i siły witalne. Nazywano ją rośliną „miłującą życie”, jej żywotność i siła napawały optymizmem, więc w symboliczny sposób starano się przekazać jej energię ludziom i zwierzętom. Takie myślenie wynika zapewne z postrzegania wierzby jako drzewa odradzającego się życia. Rozwijające się wczesną wiosną kwiaty i liście wierzby, łatwe ukorzenianie się gałązki, świadczyły o nieustannym, cyklicznym odradzaniu się świata po zimowej drętwocie. Skojarzenie wierzby z płodnością zdaje się być naturalne. W przeciwieństwie do innych, to drzewo potrafi wyrosnąć na wyjątkowo trudnych terenach. Swe pędy wczesną wiosną jest w stanie wypuścić nawet wyniszczona i wysuszona. Kielkujące wczesną wiosną wierzbowe pędy są do dziś powszechnie uznawanym symbolem świąt wiosennych, odradzającego się życia.

Wielość opisów wierzby w poezji zdaje się też potwierdzać, że jest ona drzewem poetów, zsyłającym na nich natchnienie twórcze. Jako królowa wierzba krzewiła się najobficiej w polskiej poezji. Nawiązując do mitologii w krajobrazie, pisał o nich w swych *Sielankach* Szymon Szymonowicz, szesnastowieczny poeta: *I wy, wierzby, byliście kiedyś boginiami. Teraz wód pilnujecie, stojąc nad brzegami*. Motyw tego drzewa istnieje w literaturze polskiej od jej zarania. Pojawia się u Reja, Klonowica, później u wieszczów, zwłaszcza u Słowackiego. Służy do gloryfikowania krajobrazu, ale i patriotycznej nostalgii. I tak przez wszystkie epoki aż po współczesność. Od kilkunastu lat odbywa się wiosną ogólnopolski konkurs poetycki dla młodych poetów „O koronę wierzbową” i o tytuł „Wierzbowego Króla”. Nie może zabraknąć wierzby w *Kwartalniku Dolnego Powiśla i Żuław - naszej „Prowincji”*. Motyw jej pojawia się wielokrotnie w prezentowanej poezji. Ją uczyniła głównym bohaterem swego opisu wiosny na Żuławach, Marta Falkowska, malborska poetka:

Sikorka nad mą głową  
 Płaczące cicho wierzby  
 Wokół rozlane błoto.  
 Nic wreszcie nie udaję  
 Wiosennie się rozbieram  
 Incognito

...

Zapuściłam korzenie  
 Wierzb rosochatych  
 Ich kruche  
 rozpuściłam włosy  
 a one rozpanoszyły się  
 na dobre  
 i szumią wciąż pod mym oknem  
 kruche wierzby  
 modre<sup>6</sup>

<sup>6</sup> Marta Falkowska, *Wiosenne incognito*, Prowincja nr 1(3) 2011.

Wierzba stanowiła motyw dzieł plastycznych. *Wierzby o zachodzie słońca* z 1888 roku to jeden z obrazów Vincenta van Gogha, krajobraz do złudzenia przypominający Żuławy. Z tego samego okresu pochodzą *Wierzby nad moczarami* Witolda Pruszkowskiego – pejzaż z wodą i wierzbami.

Nasi twórcy często malowali wierzby, szczególnie symboliści - Wyspiański, Malczewski, Mehoffer, a najwybitniejsi fotograficy namiętnie je utrwalali na kliszy. Nie ma drugiej tak silnie obecnej w polskiej literaturze, malarstwie i fotografii, fascynującej twórców. Motyw jej istnieje i w muzyce, pojawiał się na plakatach obwieszczających kolejne święta narodowej twórczości - Konkursy Chopinowskie. Za genialną uznawana jest intuicja Wacława Szymanowskiego, który wyrzeźbił w warszawskich Łazienkach Fryderyka Chopina, grającego na niewidocznym fortepianie, pod górującą nad nim, chroniącą go i udzielającą mu inspiracji wierzbą.



Fot. Dorota Andrzejewska

Charakterystyczne niegdyś dla krajobrazu dolin rzecznych i terenów wilgotnych wierzby znikają. Wypierane przez regulacje rzek i melioracje zastępuje się je kamieniami i betonowymi płytami. Mechaniczne przepompownie zminimalizowały znaczenie „żywych pomp”. Metal i plastik stały się materiałem na ogrodzenia czy domowe sprzęty, nie ogławia się wierzb dla pozyskania opału. Nie pokrywają się złotem i purpurą jesienią to i coraz rzadziej są sadzone w otoczeniu domostw czy w parkach. Te nawet sadzone, ale nie ogławiane, wyrastają wysoko, lecz jako kruche ulegają niszczeniu przez wichry.

Pomimo wielu doskonałych funkcji wierzb i ich zbiorowisk są to drzewa najbardziej pogardzane i niszczone, są wypalane i wycinane bo przeszkadzają przy tworzeniu nowoczesnych agrosystemów. Dzieje się tak nie od dzisiaj, „*Witam cię, drzewo, ty najmniej cenione*” – pisał już w swym poemacie „Na wierzbę” Teofil Lenartowicz, dziewiętnastowieczny poeta.

Obecnie stare, niegdyś ogławiane, nieogłowione przez wiele lat pękają i łamią się pod ciężarem konarów. Złamane drzewa atakowane są przez grzyby, próchnieją, umierają. Wraz z ich odejściem ubożeje, niestety, również krajobraz i środowisko, bo wierzby i nasadzenia śródpolne, w tworzeniu których wierzby odgrywają bardzo ważną rolę, mają olbrzymie znaczenie ekologiczne.

Coraz mniej ich w krajobrazie Żuław, a i te istniejące, to stare, często jeszcze „przedwojenne”, spróchniałe, umierają stojąc! Czy znikną całkowicie tak jak inne symbole tej ziemi?

Tak jak w przypadku wiatraków, cmentarzy pomennonickich, gotyckich kościołów a zwłaszcza domów podcieniowych, rodzi się iskierka nadziei także dla wierzb głowiących. Dzieje się tak za sprawą ich miłośników wśród właścicieli żuławskich pól ale i dzięki zorganizowanym działaniom niektórych samorządów i organizacji proekologicznych. Zachowanie łągów wymaga, oprócz biernej ochrony rezerwatowej i gatunkowej, prowa-

dzenia aktywnych zabiegów konserwatorskich i od-tworzeniowych. Dlatego też okres od 22 marca do 22 kwietnia Towarzystwo na rzecz Ziemi ustanowi-ło *Miesiącem Sadzenia Wierzby*. Są organizacje przy-rodnicze uznające pierwszy dzień wiosny – dniem wierzby. Inne ogłosiły 20 stycznia *Dniem Wierzby Głowiastej*.

Problem zanikania zadrzewień śródpolnych na Żuławach zaczęto postrzegać już w połowie ubie-głego wieku. Powstał wówczas rozległy system nasadzeń na terenie Żuław Gdańskich, gdzie za-łożono 300 szerokich pasów zadrzewieniowych na 40 000 ha gruntów<sup>7</sup>.

W proces odbudowy nasadzeń zaangażował się, od początku swego istnienia, samorząd Powiatu Nowodworskiego. Na szeroką skalę akcję tę prowa-dzi Wiesław Podsiadły, inspektor ds. leśnictwa, łowiectwa, ochrony przyrody i rybactwa: *W tej sytuacji odtwarzanie zadrzewień na Żuławach Wiślanych to konieczność i palący pro-blemem. Jedną z bardzo skutecznych metod jest odtwarzanie zadrzewień wierzbowych metodą żywokołów. Metoda ta polega na pozyskiwaniu 3-6 letnich gałęzi wierzbowych i pocięcie ich na odcinki o długości 2,5 do 3,5 m. Pozyskiwanie materiału powinno nastąpić wczesną wiosną przed rozwojem liści a przygotowane w ten sposób żywokoły dobrze jest przez kilka dni moczyć (zanurzone do połowy) w wodzie, może to być przydrożny rów. Następnie żywokoły wysadzamy do gruntu w dolki o głębokości od 80 do 100 cm a ziemię wokół nich ubijamy. Więżba czyli odległość między żywokołami powinna w zadrzewieniach jednorzędnych wynosić od 6 do 8 m. Należy dodać, że skuteczność tej metody sięga prawie 100% przyjęć posadzonych żywokołów. Tą metodą posadzono w ostatnich latach kilkanaście tysięcy drzew. Do niedawna pewne utrudnie-nia w tym działaniu powodowali niektórzy rolnicy i bobry. Dziś większość gospodarzy przeako-nali się do celowości działania, gryzonie pozostały przy swoim stanowisku.*

Doceniając ogromną rolę zadrzewień i widząc nagłą potrzebę kulturowej rewitalizacji pól żuławskich w procesy te włączył się Zarząd Parku Krajobrazowego „Mierzeja Wiślana”. Jak informuje mgr Jolanta Bulak, zajmująca się edukacją: *Park podjął się realizacji projektu nawiązującego do ogólnopolskiej akcji „Ożywić Pola” mającą na celu zainicjowanie i skoor-dynowanie działań na rzecz ochrony różnorodności przyrodniczej naszych pól. Projekt p.n. „Zachowanie walorów przyrodniczych i kulturowych obszarów wiejskich poprzez odtwarzanie i uzupełnianie korytarzy ekologicznych w żuławskiej części otuliny Parku” jest realizowany dzięki wsparciu finansowemu Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Gdańsku.*

Pierwsza akcja sadzenia drzew odbyła w 2008 roku w otulinie Parku, przy ujściowych odcinkach Szkarpawy i Wisły Królewieckiej. Dokonano wówczas nasadzeń szpalerów



Fot. Dorota Andrzejewska

<sup>7</sup> Jolanta Bulak, S. Nowakowski, W. Woch, *Zadrzewienia śródpolne - ważny element tradycyjnego rolnictwa na Żuławach Wiślanych*, Zarząd Parku Krajobrazowego „Mierzeja Wiślana”, Stegna 2010.

drzew i krzewów, wzbogacając w ten sposób ubogi krajobraz tej części Żuław i stwarzając dogodne warunki żerowe i osłonowe dla wielu zwierząt i ptaków tam bytujących. W ciągu kolejnych lat trwania akcji posadzono ponad 3,5 tysiąca żywokółów wierzbowych oraz 14 tys. szt. Drzew i krzewów różnych gatunków. Poza pracownikami Parku Krajobrazowego „Mierzeja Wiślana” w akcji czynnie uczestniczyli myśliwi, uczniowie z okolicznych szkół wraz z opiekunami oraz przedstawiciele lokalnych samorządów. Coraz liczniej włączają się rolnicy, którzy wyrazili chęć odtworzenia zadrzewień na swoich gruntach. Podczas prac mogli skorzystać z doświadczenia fachowców służb ochrony przyrody, leśników i myśliwych. Dowiedzieli się o sposobach sadzenia, rodzajach systemów korzeniowych, wymaganiach poszczególnych gatunków sadzonek oraz poznali wiele ciekawostek ze świata przyrody.



Fot. Dorota Andrzejewska

Prace nie kończą się jednak w momencie dokonania nasadzeń. Zadrzewienia wymagają odchwasczania w początkowej fazie wzrostu, a po 4-6 latach konieczne jest przeprowadzenie pierwszego zabiegu ogławiania wierzby, czyli pozbawienia ich korony lub jej części. Przez cięcie to uzyskuje się nowe żywokoły - materiał na następne drzewa.

Akcji „Ożywić Pola” towarzyszą kampanie edukacyjne, informujące dzieci, młodzież oraz mieszkańców o skutkach szkodliwych działań. Ponadto zaangażowanie młodzieży szkolnej w tego typu akcje pozwala na kontakt z żywą przyrodą i dostrzeżenie niepokojących zmian, które wpływają destrukcyjnie na środowisko naturalne. Młodzi ludzie mogą czerpać wiedzę o procesach zachodzących w przyrodzie z osobistych doświadczeń, a wiadomości teoretyczne zastosować w praktyce. Udział w projekcie pozwala wzbudzić w każdym młodym człowieku świadomość, że posiada on możliwość pozytywnego kształtowania najbliższego otoczenia oraz, że jego indywidualne działania są postrzegane jako niezwykle ważne dla przyszłości.

*Nasze dotychczasowe działania zaowocowały wzrostem zainteresowania zbawienną rolą zadrzewień w przyrodzie i rolnictwie ze strony społeczeństwa, również rolników ponownie dostrzegających dobroczynne oddziaływanie wierzby. W kolejce na sadzenie czekają już młode drzewka i krzewy, które posadzimy wspólnie tworząc remizy śródpolne - z optymizmem konkluduje Jolanta Bulak z Parku Krajobrazowego.*

Adam Kamiński

# Wspomnienia KWIDZYŃSKIEGO BAJTLA

Kwidzyn mojego dzieciństwa... Zawsze mam go przed oczami, chociaż czas zaciera coraz bardziej wspomnienia. Tak jak kiedyś jako dziecku każdy człowiek powyżej trzydziestu lat wydawał się starcem, dziś sam mając lat pięćdziesiąt duchem czuję się jak osiemnastolatek. Nieuchronna kolej rzeczy.

Wielokrotnie próbuję sobie przypomnieć właśnie te najwcześniejsze chwile w mojej pamięci. Dawny Kwidzyn, rodzinny dom, tamte ulice, sklepy, charakterystyczne punkty i wydarzenia. Od dziecka miałem szczęście, poczynając od tego, że urodziłem się w wielodzietnej rodzinie (dziś zabrzmiałoby to może i śmiesznie, bo kiedyś nikt nie używał takiego określenia - rodzinka z trojgiem dzieci wtedy uznawana była za małą). Przedemną na świat przyszło trzech braci i dwie siostry. Jak wspomniałem od dziecka miałem szczęście, gdyż po bracie Franciszku urodzonym przedemną, lekarze orzekli krótko - więcej dzieci pani Kamińska mieć nie będzie. A że Opatrzność lubi płatać psikusy, to po siedmiu latach zdarzyła się mała wpadka i na świat przyszedłem ja - mały Adaś. Radość była ogromna, nie tylko w domu, ale i w szpitalu, i oczywiście w największym wówczas zakładzie pracy w mieście, w ZEM-ie. Całe szczęście, że nikt wtedy na bramie zakładu nie sprawdzał pracowników



*Mój tatus (obejmuje ręką koło) - w warsztatach kolejowych (chyba w Grudziądzu). Lata powojenne., fot. archiwum*

pod względem wysokości spożycia napojów rozweselających. Beztróskie czasy. Tydzień później nasz dom odwiedzili wujostwo ze Szczecina, spadli jak z nieba i automatycznie stali się moimi chrzestnymi.

I tu pojawia się pierwsze wspomnienie z dzieciństwa - zapach podłogi z desek świeżo umytej gorącymi mydlinami. Do dziś czuję ten opar, gdy zamknę oczy. Zapach pastowanych podłóg, gdzie mama pastę rozpuszczała, rozgrzewając ją przy piecu. Jak już jesteśmy przy czystości, to nie sposób nie wspomnieć pewnych zasad kąpeli, które wówczas obowiązywały. W domowej kuchni stała tak zwana westfalka, czyli kuchenka na węgiel lub drewno z charakterystycznymi fajerkami. Kiedyś sobota była dniem pracy i świątecznie robiło się właśnie po południu tego dnia. Rytuał kąpeli był taki, że najpierw kąpały się kobiety - na kuchni cały czas gotowała się woda, cały czas wymieniana z brudną bądź dolewana do tej w miarę czystej, ale już lekko chłodnej - po nich mężczyźni, poczynając od najstarszego, czyli, jak łatwo obliczyć, ja zawsze byłem ostatni.

Zresztą ta słynna westfalka była bohaterką jeszcze jednej historii. Po którymś tam weselu w rodzinie mamusia schowała flaszkę spirytusu (tak na wszelki wypadek, do ciasta) właśnie do tej kuchenki. Było lato i nikt jej wówczas nie rozpałał. A schować musiała, bo ojciec miał szósty zmysł, jeśli chodzi o znalezienie alkoholu i zawsze znajdował skrytkę przypadkiem. Mama pracowała na drugą zmianę w Warmińskich, a brat strażak wrócił z dyżuru i postanowił się wykapać. Po rozpaleniu eksplozja wywaliła wszystkie fajerki pod sam sufit, a strachu było jeszcze więcej. Najśmieszniejsze, że mamuska udawała, że nic tam nie schowała, a brat udawał, że nic w kuchence nie było.

Jeśli chodzi o zabudowę dawnego Kwidzyna, to dzieliła się ona na stare kamienice - najczęściej dwuklatkowe i domki jednorodzinne. Ja miałem szczęście mieszkać w jednej z kamienic przy ulicy Staszica. W piwnicy od podwórka znajdowała się pralnia, gdzie mieszkańcy dokonywali większych prań całorodzinnych z nieodłącznym gotowaniem pościeli. Ponadto każde z mieszkań miało swój chlewik czy komórkę, gdzie zawsze coś hodowano do jedzenia. Często były to kurki, ale najważniejszy był zawsze świniak. Dziś wydaje się to nierealne, ale wtedy świniobiciem żyła cała klatka. Sąsiedzi pomagali w zabiciu i przerobieniu świniaka i na koniec dzielono go równo wśród wszystkich. Wówczas nie było lodówek i trzeba było jakoś sobie z tym radzić. Najczęściej mięsa wędzono lub zaprawiano w słoiki. A w następnym miesiącu świniaka bił kolejny sąsiad. I tak jakoś się żyło razem i zgodnie.

Jeśli już wspominamy o sobocie, to był to dzień rozrywki. Najczęściej do rodziców przychodzili goście i zwykle grano w karty. A niejednokrotnie grano tak, że zaczynała się gra w sobotę wieczorem, a kończyła wieczorem dzień później. Grano w „Başkę”, „Tysiąca” i „TysiącaKrzyżowego”. My jako dzieci lubiliśmy jak dorośli grali w „Başkę”, bo była to gra na pieniądze, a gra ta odbywała się na takim dużym składanym stole ze szparą pośrodku. Kto rano pierwszy wstawał, ten sprawdzał tę szparę i całą podłogę, bo zawsze można było tam znaleźć zeta, a jak się miało dużo szczęścia, to i „rybaka” (wówczas duża aluminiowa 5-złotówka). (...)

Miejsce, gdzie rozpoczął się mój ziemski żywot i trwa do dziś, to niezmiennie ulica Staszica 12. Pierwsze moje wspomnienie tej ulicy to bruk i jeżdżący po nim wozacy z węglem i ziemniakami. Zawsze będę słyszał ten tętent końskich kopyt po bruku. Nie wiem

czemu, ale wozacy zawsze mieli sumiaste wąsy i palili fajkę lub papierosy. Dziś może trudno w to uwierzyć, ale wówczas samochód na tej ulicy stanowił rzadkość. Naszym pierwszym boiskiem dzieciństwa była właśnie ulica. Tam stawialiśmy pierwsze bramki i graliśmy całąmi dniami, czasem 4-5 razy musieliśmy w ciągu dnia zwiijać boisko, bo jechał wozak lub budząc sensację jakiś pojazd mechaniczny. Z tą naszą grą związane jest kolejne śmieszne wspomnienie. Graliśmy pewnego razu na ulicy jak zawsze w piłkę, a gościła u nas wtedy moja chrzestna ze Szczecina, ciocia Terenia. Pech chciał, że tego dnia jakiś facet chciał przejechać ulicą, zbliżył się do naszych bramek i niechcący piłka wyładowała na masce samochodu. On wyskoczył z auta i do nas... to my w nogi i na górę do domu. Facet wpadł zdyszany za nami, my już w tym czasie powiedzieliśmy ciotce, o co chodzi i ta jak na niego wsiadła: że jak jeździ, a że mógł nam zrobić krzywdę, a że może i on jest wypity itp., itd. Facet uciekał aż się za nim kurzyło. Ale wtedy ulica Staszica kończyła się na wysokości „Koni” po jednej stronie ulicy i gospodarstwa Państwa Kraśniewskich po drugiej (dziś budynek WZPOW). Dalej w stronę Liwy były tylko pojedyncze gospodarstwa i pola oraz sady.

W tamtych latach na terenie miasta było bardzo dużo ogrodów i sadów i wówczas też kwitło zjawisko „pachty”. Nieopisany smak miały spachtowane jabłka, gruszki czy truskawki. Dziś zapewne mało kto wie, ale żeby dało radę zjeść jabłko kwaśne jak ocet (wręcz niejadalne), siedmiu złodziei obtłukiwało je tak długo, aż całe ciemniało i soki w nim wydawały się słodsze. Oczywiście każdy taki wypad wiązał się z ryzykiem przyłapania, a wtedy ojcowski pas szedł w ruch. Zwolennicy ochrony praw dziecka mogą opuścić ten akapit. Choć śmiało to potwierdzi chyba każdy ze starszego pokolenia, że mało w tym laniu było przemocy, a naprawdę wiele wychowania i najczęściej najgorsze było to oczekiwanie na karę, potem umoralnianie anizeli sama kara, która stanowiła swoiste rozgrzeszenie. Przy



*Moja mamusia Magdalena (siedzi pierwsza z lewej) z zespołem administracyjnym popularnej Tysiąclatki – początek lat 70-tych., fot. archiwum*

naszym domu, tam gdzie obecnie jest łąka przy SP nr 2, mieliśmy ogród warzywny, który rokrocznie zalewały nam roztopy i to takie, że mogliśmy pływać na byle jak skleconych tratwach, najczęściej kończąc przemoczeni i przemarznięci do suchej nitki. Gdy przychodziła wiosna rozpoczynały się wyprawy nad Liwkę (dzisiejsze Zatorze I kończyło się na wysokości obecnej ulicy Brzechwy) i zawsze prawdziwym bohaterem był ten, który jako pierwszy w roku zakosztował kąpieli w mroźnej wodzie. Najczęściej był to pierwszy dzień wiosny, ale na usprawiedliwienie trzeba dodać, że gdy wówczas nadchodziła wiosna, to od razu robiło się na tyle ciepło, aby chodzić bez kurtki. I tu jak sobie przypominam klimat, to wtedy był całkowicie inny. Jak była zima to po szyję, a jak było ciepło, to było ciepło. Teraz jako wędkarz z łezką w oku wspominam, kiedy jako dziecko ojciec zabierał mnie na nocne połowy węgorza z rybakami ze Sztumu. Sam wyjazd na noc stanowił dla mnie ogromne przeżycie, a co dopiero jeszcze połów tak tajemniczych ryb. Rybacy z ojcem cały wieczór przygotowywali i rozstawiali potem sznury. Koło godziny 23 siadali przy ognisku – pora na kolację i małe co nieco. Słuchając ich opowieści usypiałem, a około 3 w nocy wstawał świt i wypływaliśmy na jezioro. To jeszcze były takie czasy, że jak rybacy nie mieli 50% skuteczności, to był kiepski połów. Dziś o takim wyniku można tylko pomarzyć. A wracając do klimatu, to całą noc w zasadzie ubrany byłem w koszulkę z krótkim rękawem, bo noce były parne. Nad ranem jak osiadała rosa, to ubierałem na godzinę sweter lub kurtkę.

Dzieciaki zawsze skupiały się w grupach z danej ulicy czy też dzielnicy. Zawsze w tych grupach były to klany rodzinne. Należeli do nas przedstawiciele rodzin: Dydrych, Szemraj, Gerlach, Stosik, Wydra, Żarczyński, Krupa, Kamiński, Jankowski, Kowalak, Jaguszewski, Ponimasz. Miejscem naszych spotkań najczęściej były tereny Dwójki lub Ogólniaka. Tam też

pierwszy raz oglądałem mecze naszych szczypiornistów na niezbyt przyjaznym do upadku asfalcie. Latem spędzaliśmy całe dnie na grach i zabawach do domu wpadając tylko czasem coś przegryźć. Kto miał wówczas piłkę do nogi był prawdziwym królem podwórka. W zamian mógł zawsze jako pierwszy wybierać skład swojej drużyny, co miało ogromne znaczenie w każdym meczu. Najczęściej mecze odbywały się np. ulica na ulicę, a już prawdziwe wojny futbolowe stanowiły pojedynki pomiędzy dzielnicami. Poza tym graliśmy w noża, bawiliśmy się w chowanego i podchody i dni nie wiadomo kiedy mijały na wspólnej zabawie. Jedną z najlepszych zabaw po ciepłych wiosennych lub letnich burzach było puszczanie łódeczek w rynsztoku ulicy. Były to prawdziwe potoki, a puszczaliśmy łódki ze skorupy orzecha lub po prostu same zapalki – i co najciekawsze - wtedy mało kto się przeziębiał lub chorował. Zawsze były wyścigi kapsli, gdzie każdy wówczas chciał być oczywiście Szurkowskim. To były te czasy, gdy podczas transmisji wyścigu pustoszały ulice, a sygnał Wyścigu Pokoju do dziś rozpoznałbym obudzony nawet w środku nocy. Podczas deszczu graliśmy w „państwa-miasta”, w karty, bierki, a dziewczyny obowiązkowo od rana do wieczora w gumę. Kto miał możliwości zakupu dobrej gumy był posiadaczem dobrej procy, ale ta zabawa zawsze kończyła się jakimś laniem, bo niestety wtedy chyba szyby były bardziej kruche niż teraz. Jesienią obowiązkowo musiało być ognisko i pieczenie ziemniaków. Dwójka latem była idealnym miejscem spotkań, bo latem w szkole miały miejsce turnusy kolonijne – przyjeżdżała młodzież z całej Polski. Ławki z klas wystawione

były na dworze i nakryte w jednej kupie brezentem. Zawsze tam można było schować się przed deszczem. Wtedy dopiero docenialiśmy umiejętność gry na gitarze. Wszystkie dziewczyny z kolonii zawsze otaczały grajka i widać było w ich oczach uwielbienie. Niestety, co wieczór opiekunowie z kolonii przeganiali nas z naszego przecież terenu. To był czas tzw. wakacyjnych miłości.

Ale nie tylko zabawą żyliśmy. W domu było osiem wiecznie głodnych gęb, a od wiosny o pracę w polu było bardzo łatwo – od pielienia ogórków, buraków po zbiory warzyw, grochu, fasolki. Można było zarobić całkiem niezłe pieniądze. Gdy razem z mamą w pole ruszała szóstka dzieci, to udawało się zarobić pieniądze wystarczające nie tylko na jedzenie, ale i ubrania i na jesienne wyprawki do szkoły. Jak często wspominała mama, gospodarze nie raz widząc, jak sobie radzi taka miastowa rodzinka, na koniec okresu pracy np. tygodnia czy miesiąca dawali kilka worków ziemniaków czy też innych plonów, które się zbierało. Nie muszę chyba wspominać, że był to ogromny zastrzyk w domowym budżecie. Kiedyś domowe przetwory to był na zimę dobytek nie do przecenienia. Zaprawiało się ogórki kiszone i konserwowe, i to po kilkaset słoików, a także wszelakie przetwory owocowe w zależności od pory roku pojawiania się kolejnych odmian.

Smaki dzieciństwa. Nie wiem czemu, ale od zawsze bajka z przygodami Koziółka Małtka kojarzy mi się ze smakiem masła. I to tego dobrego, solonego, sprzedawanego na kilogramy w takich wielkich blokach z łezkami wody na wierzchu. Rarytasem były wtedy batony krymskie, niestety, główną ich wadą była cena 5 złotych. Lody jajeczne w ulicznych budkach – szukam tego smaku od wielu lat i nie mogę go nigdzie odnaleźć. Te lody były też najszybszym i najprostszym sposobem na spożycie spirytusu. Kiedy ojciec wraz z kolegami chcieli spożyć spirytus, a nie chcieli czekać aż popularnie mówiąc się „przegryzie”, to mieszały spirytus z tą masą jajeczną i było smacznie. Niestety, efekt mocy potrafił być czasami piorunujący. Tradycyjnym deserem w tamtych czasach był wczorajszy chleb moczony w zimnej wodzie i posypany cukrem. Taki McDonald lat sześćdziesiątych. Zresztą to były czasy, że chleba się nigdy nie wyrzucało. Stary chleb można było usmażyć na patelni (zresztą tak robię „do dziś - pychota, polecam), a bardzo stary zmielić na swojską a la bułkę tartą, jako domową panierkę do kotletów. A w ostateczności każdy wówczas hodował a to kurki, a to świnki, tak, że nic nie miało prawa się zmarnować.

Oprócz chleba priorytetem w naszym domu były dania ziemniaczane. Pomijam już tradycyjne placki ziemniaczane, ale prawdziwym rarytasem była zawsze zupa zagraj (ziemniaczana z kluskami na rosole) i „zabugajec” – taki rodzaj babki ziemniaczanej – tylko pieczonej na blasze z dużą ilością plasterów wędzonego boczk. Pychota! Zarówno na gorąco, jak i na zimno, a także kawałki w plasterach odsmażane na patelni. U nas w domu mieliśmy w piecu kaflowym tak zwaną „dochówkę”. Była to taka komórka w piecu z drzwiczkami, w której można było coś podgrzać a nawet upiec. Jesiennym żelaznym daniem były jabłka pieczone w „dochówce” – teraz można upiec je w piekarniku. Kiedyś zupę gotowało się tak, aby starczyła na 2-3 dni. To, co zostawało, mama dawała znajomym, którzy hodowali świnki.

Pewnego razu została jakaś reszta barszczu, jakieś końcówki mięsa i ziemniaków i mama wstawiła ten garnek właśnie do dochówki. Był to weekend i nad ranem najstarszy brat wra-

cał z jakiejś wiejskiej zabawy. Zmarznięty i wygłodniały ucieszył się, jak znalazł ciepłą i gęstą zupę. Rano znajoma nie dostała odpadków, bo brat w nocy zjadł je, myśląc, że to zupa. W niedzielę zawsze mama starała się, aby był rosół z domowym makaronem oraz schabowy lub kurczak z dodatkami. Kurczak piszę dosłownie, bo był to kurczak sztuk jeden i do dziś niejeden raz myślałem, jak mama to robiła, że wykarmiła nim całą naszą ósemkę, a przecież i czasem goście się przydarzyli.

Dziś, to może też nie do pomyslenia, ale w tamtych czasach zapychaczem jadłospisu, gdy brakowało pieniędzy na koniec miesiąca, były... ryby. Dorsz zwany był rybą biedoty. Wtedy „zapach” smażonej ryby na korytarzu świadczył o tym, że w tym domu ciężko się wiedzie.

Ale mimo, że było ciężko, zawsze też pomagaliśmy biedniejszym od nas. Pamiętam, były takie dwie rodziny zaprzyjaźnione z moją mamą i zawsze dawała tamtym dzieciom coś, czym mogła się podzielić. Zresztą kiedyś normalnym obyczajem było, że jak dzieciaki bawiły się np. podczas deszczu w jednym domu, to gospodyni robiła posiłek dla wszystkich. Najczęściej były to naleśniki, pierogi czy pyzy albo jakaś zupa w myśl zasady, że gdzie naje się ósemka, to i dwanaścioro też zje.

Pierwsze flaki w swoim życiu zjadłem w Barze „Zacisz” przy ulicy Warszawskiej (dziś za sklepem „Borys”). Stały tam bodajże 3-4 stoliczki i zawsze było tłoczno i pachniało daniem dnia. Wracając z rynku z ojcem, który zachodził tam na piwko czy setkę, przy okazji zjadaliśmy śniadanko, chyba że wcześniej tatko spotkał znajomych na rynku. Mówię o tym starym rynku w centrum miasta. Tuż przy końcu rynku stała buda szumnie nazwana „halą targową”. Gdy wchodziło się tam w słoneczny dzień, to jakbyśmy wstępowali do piekła – ciemno i duszno. Były tam takie boksy i pierwszym po lewej był boks masarni Zielińskich z przepyszными końskimi wyrobami, których byłem ogromnym fanem od dziecka (oczywiście wtedy konina była tańsza od innych mięs i także zwana pożywieniem biedoty). Jeśli ktoś nie jadł kiedykolwiek słynnej kielbasy „Belgijskiej”, to niech żałuje. Zawsze kupowaliśmy jej większą ilość, aby ususzyć nad piecem, wtedy zyskiwała na smaku podwójnie. Natomiast na samym końcu hali, po lewej stronie, był bar. Gęstość dymu tytoniowego sprawiała, że ciężko było kogokolwiek tam poznać, ale to tam właśnie dobijano targu w większych transakcjach, które trzeba było oblać obowiązkowym „litkupem”. Na dzisiejsze czasy śmiało można by powiedzieć, że był to smród, brud i ubóstwo,



*Piknik na podwórku kamienicy przy ulicy Staszica 12. Od lewej – moja sąsiadka Krysta, siostry Danusia i Bogusia i ja oraz mój siostrzeniec Maciek. W tle sklep spożywczy i warzywniak, fot. archiwum*

ale... Za barem obsługiwała słusznej tuszy pani, która wszystkich traktowała jak swoją rodzinę. Dbała o dzieci, kiedy dorośli omawiali te najważniejsze dla świata sprawy i serwowała takie serdelki z musztardą, o których dzisiejsza młodzież może sobie tylko pomarzyć. Poezja, poezja i jeszcze raz poezja. A może tylko zawsze byłem tam tak bardzo głodny? Albo te serdelki w ciełym flaku... Ale się rozmarzyłem. Wówczas to był prawdziwy rynek. Rolnicy ze wsi przyjeżdżali i sprzedawali swoje produkty. Targowano się, kłócono i godzono. I co najważniejsze, wówczas wszystko, co sprzedawano, było klasy bio, ale nikt tego wówczas nie doceniał, chyba dlatego, że na co dzień mieliśmy to pod samym nosem.

Najdziwniejszym w tamtych czasach był fakt, że jako dzieciom czy już młodzieży, mimo dużej wówczas biedy, nie brakowało pieniędzy na drobiazgi. Przy obecnej ulicy Kopernika mieścił się kiedyś ogromny skup makulatury i szmat. Rodzice byli zadowoleni, bo zawsze przed wakacjami robiliśmy porządki z materiałami wtórnymi, zarówno w domu, jak i w piwnicy i na strychu. Do tego butelki miały swoją wartość, a starsi dbali o to, byśmy mieli co sprzedawać. W późniejszych latach pracowaliśmy w wakacje u rolników. Miesiąc pracy wystarczał na naprawdę bardzo bogaty miesiąc wakacji. Raz tylko z kolegami wybraliśmy się na rozładunek wagonu. Do zarobienia były ogromne pieniądze za rozładowanie łopatami wagonu saletry potasowej. W czterech przeżyliśmy prawdziwy koszmar. Zajęło nam to chyba dwa dni, ręce popękane z bąblami od wżerającej się wszędzie saletry. Po odliczeniu karnego osiowego zostało nam tyle, co kot napłakał.

W zależności od miesiąca zbieraliśmy też zioła, głównie jasnotę i lipę. W tamtych czasach zawsze było mnóstwo okazji, aby zarobić jakiegokolwiek pieniądze. Zawsze można było też wrzucić komuś węgiel do piwnicy, czy też porąbać drewno.



*Na wagary chodziło się do Muzeum Zamkowego, fot. archiwum*

A zamiast coca-coli czy też pepsy, wtedy królowały syfony, najpierw te szklane, a pod koniec lat 70 do użytku weszły automatyczne na naboje. Szklane trzeba było nabijać, ale trzeba było zanieść puste aż na ulicę Sztumską i wracać z pełnymi. W dużych miastach można było wypić z jednej szklanki ze wszystkimi wodę z saturatora lub w bogatszej wersji z sokiem.

Nie sposób nie wspomnieć, jeśli mowa o jedzeniu, o świętach. Zawsze była to potężna wyzerka. Mama jako zawodowa kucharka do takich świąt przygotowywała się kilka miesięcy naprzód. Tak, tak, wtedy produkty trzeba było najpierw nabierać, aby było z czego piec. Mamusia najbardziej się cieszyła z pieczenia ciast. Robiła to zawsze nocą, gdy wszyscy spali. Rano wstawaliśmy, a tam stały torty, serniki, ogromne strucle makowe, pierniki i wiele innych. To nie do wiary, ale po świętach po tym cieście nie zostawał ani okruszek mimo tak ogromnych jego ilości. Smak szynki czy pomarańczy nieodzownie kojarzył się ze świętami.

Ojciec jako wędkarz wiele dni w roku spędzał nad Wisłą. W tej rzecze pod okiem ojca nauczyłem się pływać. Zawsze wracaliśmy z rybami, a w zależności od pory roku zbieraliśmy jeszcze szczaw, jeżyny lub dzikie pieczarki. Podczas wszystkich świąt w mieście zawsze spotykaliśmy się na kocykach całymi rodzinami np. na stadionie podczas 1 Maja, czy też 22 Lipca (było to Święto Odrodzenia Polski).

Za komuny, jak to się dziś mawia, nigdy nie zapomniano o dzieciach. W grudniu lub w styczniu obowiązkowo dzieciaki otrzymywały paczki od Świętego Mikołaja na zabawach choinkowych dla dzieci. Któż z nas w archiwum nie ma jakiegoś zdjęcia, gdzie stoi z Mikołajem przebrany za kowboja, Indianina, czy innego idola dzieciństwa. Zakłady zawsze też starały się wysłać dzieci na kolonie czy ferie. Nie zapomnę, kiedy mój 12-letni brat miał pojechać w góry. Mama zapakowała mu do autokaru pełno bułek na drogę i pojechał. Coś się tam jednak zmieniło i kierowca zawiózł dzieci na zastępcze kolonie do Wandowa. Brat, po pierwsze nie zdążył zjeść nawet jednej bułki, a po drugie po dwóch godzinach był już w domu – zły, bo co to dla niego za kolonie, kiedy on w Wandowie z ojcem na rybach był przynajmniej raz w tygodniu.

Targowisko miejskie w centrum miasta, pomiędzy ulicami Targową i Słowiańską. Latem zawsze z ogromną radością wstawałem z samego rana z tatą i ruszaliśmy na zakupy. I nawet nie chodziło tu o zakup jakichś konkretnych rzeczy, był to raczej swoisty rytuał. Ojciec spotykał się ze znajomymi, wiele rozmawiał, targował się ze sprzedającymi no i obowiązkowo odwiedzał bar mieszczący się w Hali Targowej, która znajdowała się zaraz przy obecnej Restauracji Staromiejskiej. A były to czasy, gdy na rynku sprzedawano tylko i wyłącznie produkty i wyroby z własnej roli i ogródka. Tekstylia, odzież i inne rzeczy na rynek przywędrowały dopiero w latach 90. Cechą charakterystyczną takiego rynku było również to, że o każdy produkt można było się potargować. Największym powodzeniem wówczas cieszyły się płody rolne, kury i jajka. Każdy kupujący miał swojego stałego dostawcę wszelkich potrzebnych produktów.

Wspominając targowiska muszę choćby parę słów napisać o pierwszym Manhattanie, który znajdował się przy sklepie PSS „Społem” przy ulicy Kasprowicza. Obecnie jest tam parking i postój taksówek. I pamiętam też, jaka była wówczas burza, gdy go likwidowano. Nadmieniam o tym w nawiązaniu do obecnej dyskusji nad kolejnym Manhattanem.

A tamten stary zapamiętałem dlatego, że pod koniec lat 80 przydarzyło mi się krótko być bezrobotnym, a że miałem ogromny zbiór książek, to przez około pół roku żyłem z ich sprzedaży. Sprzedaż ta odbywała się z popularnego łóżka polowego.

### -8-

Kolejne miejsce to dziś już mocno zapomniany teren leżący za siedzibą „Modexu”. W dolinie tej zawsze zatrzymywały się cyrki i wesołe miasteczka. Pierwsze karuzele łańcuchowe, waty cukrowe, salony luster, a przede wszystkim strzelnice, to były niezapomniane atrakcje. Trzeba było z nich skorzystać, bo nigdy nie było wiadomo, kiedy pojawi się następna taka okazja. Najczęściej była to wyprawa całymi rodzinami, a w niedzielę trzeba było się nastać w kolejkach do każdej z atrakcji.

Następnym charakterystycznym punktem, który pamiętam z dzieciństwa, były zakłady ZEM. Tak się złożyło, że tam pracował mój ojciec, dwaj bracia, siostra i szwagier. Jako bajtel często zanosilem rodzinie drugie śniadanie, jeśli zapomnieli zabrać je z samego rana, albo rano nie było pieczywa. Taka fucha miała też swoje ogromne plusy, bo czasem np. w dniu wypłaty, w zakładzie mogło mi wpaść trochę grosza. Najczęściej była to złotówka lub dwa złote, ale czasem trafiał się i „rybak”, czyli pięciozłotówka. A wtedy lizak, drops czy oranżada kosztowały 20-50 groszy, więc piąтак był już poważną gotówką. Zresztą z popularnym „rybakiem” mam taką szkolną historię. W pierwszej klasie w roku 1972 otrzymałem ocenę, pierwszą piątkę. Szybciej miałem koniec lekcji i zanosilem śniadanie do ZEM-u. Od ojca, brata i siostry z okazji tej piątki dostałem po pięć złotych. Nie wiedziałem, co zrobić z taką fortuną. Popularne wówczas były Szkolne Kasy Oszczędności – SKO. Tam właśnie wpłaci-



*Początki boccie w mieście. Drużyna Sklepów Dębowa Zbyszek Górski, Franek Kamiński, Wojtek Pabian i Adam Kamiński, fot. archiwum*

lem moją fortunę i całkiem o niej zapomniałem. Nigdy już nic więcej nie wpłaciłem, a po zakończeniu szkoły gdzieś znalazłem te książeczkę z wpłatą 15 złotych. Ciekawe, ile by mi tam do dziś narosło procentów z tych pieniędzy.

W dawnych latach nieodłącznym elementem Kwidzyna były dwie jednostki wojskowe – łączności i artylerii. Zresztą żołnierze zawsze byli mocno widoczni w kwidzyńskim krajobrazie. Czy to sprzątanie ulic, czy jakieś akcje związane z porządkami lub czynami społecznymi, to wojsko było na pierwszym planie. Do tego był poligon na Piekarniaku i strzelnica, czyli coś, co mocno pobudzało umysły dzieciaków. Mój najstarszy brat Romek również służył w jednostce przy ulicy Kościuszki. Najpierw na unitarce (okres szkolenia poborowego) płakał z wykończenia w czasie musztry i ścigania przez tzw. fałę. Potem został „pisarzem” i żył jak pączek w maśle. Wiadomym jest od zawsze, że w wojsku najlepiej miał pisarz i szef kuchni.

Natomiast moja mama pracowała w Warmińskich. Nie wiem, czy te zakłady wtedy nie nazywały się Kwidzyńską Fabryką Konserw. Moja rodzicielka pracowała tam na trzy zmiany i często, gdy wracała po godzinie 22.00, to ojciec lub któreś z nas wychodziło po mamusię. I nie chodziło tu o bezpieczeństwo, bo nigdy nie było żadnych zagrożeń, a bardziej chyba o towarzystwo, a przy okazji i piesek miał zaliczony wieczorny spacer.

Zapewne ciekawostką będzie dla czytelnika to, że po stronie Zatorza miasto kończyło się na wysokości ulicy Brzechwy. Dalej były już pola i kilka zagród wiejskich. Najdalej wysuniętym punktem była szkoła – popularne Konie z internatem. A dalej to już tylko Liwka, gdzie latem chodziło się całymi rodzinami kąpać na tzw. Kaczy Dolek.

Wówczas Górki były częścią dużego Kombinat Rolnego. Pracowało tam mrowie ludzi, o czym świadczy choćby osiedle, które pozostało po tamtych czasach. A wspominam o tym miejscu dlatego, że było tam ogromne złomowisko, a wtedy towarem deficytowym dla dzieci były duże łożyska i kulki z tych łożysk. Z dużych łożysk robiło się hulajnogi, które cudownie turkotały na brukowanych nawierzchniach naszych ulic. A kulki wykorzystywało się do różnych gier i oczywiście do proc, które samemu trzeba było sobie zbudować.

Ważnym miejscem były wówczas sady i ogrody, które w zasadzie miał przy domu każdy mieszkaniec. Jako dzieci zawsze wiedzieliśmy, gdzie i u kogo rosną najwcześniej i najlepsze papierówki, czereśnie czy śliwki. Niestety, popularna „pachta” często kończyła się w domu laniem i dodatkową karą, ale przecież nikt nigdy by się nie poddał przed taką atrakcją. Trzeba tu koniecznie wspomnieć o tym, że najczęściej przy szkołach były też ogródki, co odciążało budżet szkolnych stołówek. Pamiętam takie dwa, przy Szkole Podstawowej nr 2, do której uczęszczałem, a także przy Ogólniaku, gdzie z dziewczynami z internatu umawialiśmy się na randki. Dziś to jest uroczne miejsce, ale dla nas wtedy stanowiło czyste przekleństwo, bo w dzielnicy wszyscy znali się ze wszystkimi i wiadomo było, że jak złapali młodego Kamińskiego, to z nim musieli być tacy a tacy koledzy. Takie były to czasy. Ale za to był to też okres, kiedy czuliśmy się bezpieczni. Całe dnie spędzało się na wędrownkach po mieście i nigdy nic się złego nie stało, no chyba, że z naszej głupoty.

Niejednokrotnie myślami wracam do tych smaków dzieciństwa, których przecież nie było tak wiele. Pierwszy, który przyszedł mi do głowy, to smak solonego masła na wagę. W sprzedaży było ono oferowane w wielkich blokach i zawsze na powierzchni skraplała się

woda. Ze świeżym chlebem był to istny rarytas. Ja uwielbiałem kanapki ze szczypiorkiem. Wówczas przy każdym domu znajdował się jakiś ogródek czy działeczka. Nasz ogródek przy ulicy Staszica znajdował się w miejscu dzisiejszego boiska trawiastego Szkoły Podstawowej nr 2. Zawsze we wtorek i piątek starałem się z moim tatą chodzić na rynek. Już wcześniej wspominałem o przepysznych serdelkach serwowanych w hali targowej na dawnym rynku w centrum miasta na wprost Restauracji Staromiejskiej, gdzie dziś znajduje się parking strzeżony. Oczywiście do serdelki obowiązkowo musiała być musztarda, bułeczka i oranżada. Również w hali znajdowało się stoisko z przepyszными wyrobami z koniny, z firmy Państwa Zielińskich. Konina miała tę przewagę, że była prawie zawsze dostępna i co najważniejsze bardzo tania. W przypadku naszej ośmioosobowej rodziny miało to znaczenie ogromne. Ale jeśli chodzi o rynek, to muszę wspomnieć koniecznie o malutkim sklepiku o powierzchni może metr na metr, może metr na dwa. Czasem dziwiłem się jak mieściła się tam sprzedająca pani. Był on wciśnięty w samym różku budynku na szczycie rynku. Dziś również mieści się tam cukiernia. W tamtym sklepiku kupowało się cukierki, lizaki i ciastka domowej roboty ze słynnymi Amerykanami na czele (to takie ciastka w kształcie placków pieczone z dodatkiem amoniaku). A cukierki były różniste, mnóstwo kolorów i jeszcze więcej smaków, choć ja najbardziej zapamiętałem anyżowe.

Kolejną zapomnianą miłością mojego dzieciństwa była woda sodowa. W czasie upałów serwowana na ulicy z saturatora w dwóch wersjach – woda i woda z sokiem. Ale w domach zanim pojawiły się syfony automatyczne królowały syfony szklane do wielokrotnego nabitcia. Niestety, te syfony miały ogromną wadę, bo w trakcie upałów szybko się je opróżniało, a napełnić je można było chyba tylko w jednym miejscu na ulicy Sztumskiej. Byłem najmłodszy w rodzinie, samochodów wtedy nie było, to nie muszę dodawać, kto najczęściej musiał chodzić je napełniać.

W latach późniejszych prawdziwą furorę w Kwidzynie robił sklep pana Bojanowskiego, który znajdował się na ulicy Targowej i też przez pewien czas na Mickiewicza przy skrzyżowaniu, obok dzisiejszego Komfortu. Wspominam o tym sklepie, bo było to chyba pierwsze miejsce, gdzie można było kupić np. eksportowe piwo Żywiec, Pepsi Colę i Coca-Colę, gumy balonowe Donalda, czy też wspaniałe wiśnie (i inne owoce) w likierze.

Pisząc o smakach nie mogę nie wspomnieć kolejnego ewenementu o ogromnej skali zasięgu. Przy ulicy Grunwaldzkiej, za dzisiejszym sklepem bodajże Husqvarny, kiedyś znajdowała się piekarnia. Przez cały tydzień od godziny 16-17 można było tam kupować gorące bułki prosto z pieca. Ludzie przyjeżdżali nieraz z całego powiatu po te gorące specjały, a kolejka zawsze liczyła kilkadziesiąt metrów. Nie stanowiło to problemu, bo ludzie do kolejek byli przyzwyczajeni, a poza tym sprzedaż szła bardzo szybko. A smak tych bułeczek z roztopiającym się maselkiem był nie do opisania.

Ojciec był wędkarzem od dziecka. Ryby w naszym domu były na porządku dziennym. Jadało się zawsze ryby smażone, ryby smażone w zalewie octowej, no i oczywiście ryby wędzone w przydomowej wędzarni. Od dziecka jadałismy różne zupy rybne, a także dodatki w postaci smażonej ikry czy mleczka. Bywało tak, że kiedy pod koniec miesiąca brakowało w domu pieniędzy to mama wysyła nas po dorsza do centrali rybnej (ciekawe skąd powstała ta nazwa), czyli sklepu przy ulicy Okrzei, dziś obok sklepu Borys na Daszyńskiego.

Również w tej podwórkowej wędzarni powstawały przepyszne wyroby z naszych swojskich świnek. W każdym domu jesienią przygotowywano w beczkach ogórki kiszzone i kapustę kwaszoną z obowiązkowym deptaniem kapusty w beczce. I tu najważniejsza rzecz, że tych czynności nie mogła robić kobieta z okresem, bo wtedy cała partia wyrobu po prostu się psuła. I to samo dotyczyło przygotowywania słoików.

W tamtych czasach bardzo popularne były przydomowe spiżarki czy też piwniczki. Tam właśnie wisiały wędzone ryby, szynki, kielbasy, boczki, czasem dziczyzna i słoje ze smalcem. A wszystko to w towarzystwie słoików i weków, w których zaprawiano dosłownie wszystko. Jak mawiali moi rodzice: - Pamiętaj synu, jak masz na zimę świniaka i beczkę kiszzonej kapusty, to rodzina zawsze jakoś przeżyje tę najgorszą porę roku. Dziś, kiedy z żoną zaprawiamy kilka czy kilkanaście słoiczków na zimę, to trochę mnie ogarnia śmiech. Okres przygotowań do zimy zaczynał się zawsze już na wiosnę. Zaczynały się truskawki i już moja mamusia musiała mieć na półkach np. około 100 słoików z truskawkami na kompot i kilkadziesiąt specjalnych do ciasta. A potem setkami dochodziły słoiki z czerwoną i czarną porzeczką, agrestem, czereśniami. Potem jabłka i gruszki. Ale zawsze najwięcej było ogórków kiszonych, około 400 słoików. Ponadto kilkadziesiąt słoików różnych dżemów, marmolad i konfitur. Do tego dochodziły ryby, jagody i grzyby – zarówno suszone, jak i w marynacie. I w zależności od roku jeszcze kisiło się kapustę i ogórki w beczkach. Ważną rzeczą było również, aby zimą nie zabrakło ziemniaków. Najpierw z ojcem kupowaliśmy ziemniaki od kilku rolników na kilku rynkach, i kiedy już mamusia wybrała te najlepsze, to wówczas następowało zamówienie. Dziś nikt w to nie uwierzy, ale ojciec płacił za ziemniaki rolnikowi pieniądze, podawał adres i szli razem do hali targowej wypić litkup, było to tradycyjne wypicie setki bądź dwóch i stanowiło chyba wówczas ważniejszą gwarancję niż wszystkie podpisy złożone u notariusza. Gdyby rolnik oszukał kogokolwiek, już nigdy nikomu by nic nie sprzedał. Jak silna była to tradycja, niech świadczy fakt, że nigdy nikt nie został oszukany. W umówionym dniu i godzinie rolnik przywoził 5-6 metrów ziemniaków, znosił je do piwnicy do specjalnego kojca (bo od razu zabierał worki), przychodził do kuchni na herbatkę i jechał dalej. Nie raz było tak, że kilka lat pod rząd kupowało się ziemniaki od tego samego, sprawdzonego rolnika. No i ostatnim, najważniejszym elementem, był zakup węgla do pieców kafłowych, a wcześniej także do kuchenki z fajerkami, na której gotowało się przez wiele lat.

Wspominając o ziemniakach koniecznie trzeba wspomnieć o dwóch charakterystycznych smakach – pomijam tutaj ziemniaki z ogniska, bo jesienią zawsze były na porządku dziennym.



1984 – pierwsza praca w PSS Spolem – Restauracja „Pomezania”, fot. archiwum

Jesień to był czas wykopiek w szkołach. Ówczesne PGR-y zapraszały uczniów ze szkół do jesiennego zbierania ziemniaków, a w zamian szkoły otrzymywały pieniądze na wycieczki dla dzieci. To była naprawdę przednia zabawa, dodatkowo 2-3 dni ferii na powietrzu, oczywiście zawsze tradycyjne ognisko, i co najważniejsze, na koniec każdy mógł wybrać sobie największe ziemniaki i z nich w domu zawsze robiło się przepyszne placki ziemniaczane i szare kluski do bigosu. Tarliśmy wszyscy w kuchni te ziemniaki, mamusia od razu smażyła placki, a one od razu znikaly. I zabawa była przednia, i brzuchy pełne. I pomyśleć, że nikt nie myślał wtedy o telewizji, czy innym siedzeniu przy biurku. Drugim ziemniaczanym smakiem była babka ziemniaczana z boczkem, mmm..., istne niebo w gębie. Dobra była zarówno świeża z blachy, jak i odsmażana na patelni. Będąc przy ziemniakach muszę wspomnieć o zupie „zagraj”, która gościła w naszym domu bardzo często. To taka ziemniaczanka z kluseczkami i z płatkami zesmażonego boczku. Kolejne danie, które mi się przypomina, to specjalność mojego taty. On nazywał tę potrawę bigosem dla ubogich. Najczęściej przygotowywał ją w sobotę lub niedzielę rano. Obierał całą górę cebuli, a na patelni zesmażał skwarki boczku słoniny lub kielbasy. Następnie dusił w tym tłuszczu i skwarkach cebulę pokrojoną na półtalarki. Jadło się to ze świeżym chlebem maczanym w tym, jakże niedietycznym daniu.

Bardzo ważnym elementem ówczesnego budżetu, zarówno finansowego, jak i kulinarnego była sezonowa praca u rolników. Jeździło się na ogórki, pomidory, porzeczki, truskawki, fasolkę szparagową i wiele innych. Takim punktem zbiorczym był wówczas plac na Marezie przy dzisiejszym sklepie GS. Przyjeżdżał rolnik furmanką i wybierał ilu ludzi i do czego potrzebuje. Najczęściej po kilku dniach rolnicy wiedzieli już, kto jest robotny i najbardziej cenny do pracy. Jak mamusia brała nas np. pięcioro, to i pięcioro zarobiło niezłe pieniądze i gospodarz wszystkich karmił przez cały dzień i na koniec każdy otrzymał ekwiwalent w płodach rolnych, które zbieraliśmy. To były naprawdę cudowne czasy.

Muszę wspomnieć tu także o ciastach. Moja mamusia była cudowną kucharką, potrafiła z niczego stworzyć przepyszne rzeczy. Jednym z naszych rodzinnych rytuałów było pieczenie pączków. Nie mówię tu o kilku czy kilkunastu pączkach. Zawsze było ich kilkaset. Na każdym stole rozłożone były lniane obrusy, na jednym dojrzewało same ciasto, na drugim pączki bez nadzienia, na trzecim pączki z nadzieniem, na czwarty wykładano te już usmażone, a na ostatnim lukrowaliśmy te kulinarne cudeńka. I myliłby się ten, kto by pomyślał, że wszystkie pączki nie zostały zjedzone.

Zimę całymi dniami spędzaliśmy na lodowisku przy Ogólniaku. Tamtejszy woźny z pomocą starszych chłopaków ze szkoły zawsze wylewał wodę na boisko asfaltowe. Zresztą tam też jakiś czas swoje mecze rozgrywali hokeiści Ogniwa i Rodła Kwidzyn. A wiadomo, że wtedy były takie zimy, że jak mróz chwycił w grudniu, to trzymał aż do marca. Kto wówczas miał hokejówki, to już był gieroj. Najczęściej jeździliśmy na takim śmiesznym wynalazku, który specjalnym kluczykiem mocowało się do butów.

Z późniejszych czasów gastronomicznych wspomnieć trzeba o kilku lokalach. Takim najsłynniejszym i obleganym przez młodzież była Kawiarnia „Maleńka”, gdzie serwowano towary deficytowe – kawę, ciasto i wino. Lata 80 i 90 to nieistniejące już: „Popularna”, następnie odrestaurowana na „Pomezanie”, naprzeciw niej konkurencja z El-Touristu „Ka-

skada", a na Zatorzu najpierw „Domino”, a potem troszkę ekskluzywny „Gramirage”. Całość uzupełniały zabawy i dyskoteki, najpierw w PDK-u, a potem w „Cedrusie” i „Sawie”. Te ostatnie lokale były pierwszymi placówkami w mieście, gdzie np. można było napić się alkoholu z Pewexu, czy też piwa w puszcze. Tak, wtedy to był luksus.

Z letnich atrakcji trzeba wspomnieć koniecznie basen miejski i kąpielisko w Brachlewie. Tam również spędzało się wiele z wakacyjnych dni, oczywiście pod warunkiem, że miało się pieniądze, bo wejście na te obiekty było biletowane. Kino „Tęcza” dawało niezapomniane seanse, a po niektóre bilety stało się w kolejkach przez wiele godzin. „Godzilla”, przygody Lucky Luke'a oraz wiele dobrych sensacji i horrorów można było obejrzeć tylko na dużym ekranie, oczywiście pod warunkiem, że udało się wejść na film z ograniczeniem wieku. A jak już szło się na randkę do kin, to film musiał być długi. Ja zapamiętałem „Krzyżaków” - ponad 3 godziny.

No i na koniec parę słów z okresu, kiedy stałem się starym koniem i poszedłem do szkoły. Oczywiście do Dwójki. Zresztą był to zawsze temat do śmiechu, bo mieszkając najbliżej, miałem najwięcej spóźnień. Wówczas dyrektorką szkoły była pani Bronisława Gąsiorowska, a moją pierwszą wychowawczynią pani Helena Osyf. Miałem zaszczyt brać udział w lekcjach prowadzonych przez pana Czesława Szafałowicza. Z tamtych lat i z tamtej grupy nauczycieli poznałem Barbarę Fornal, moją wychowawczynię do ósmej klasy, Reginę Staszak (uczyła całe moje rodzeństwo), Helenę Balmas, Elę Laurentowicz, z którą potem na wiele lat związała nas Orkiestra Jurka Owsiaika, Halinę Frelek, Halinę Sobeczką, Alicję Poleć, Janinę Repetiuk.



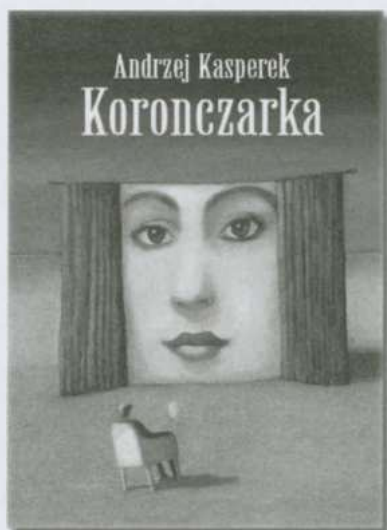
Praca w Telewizji Kablowej. Nagranie w I LO, fot. archiwum

Cieszę się dziś wspominając, że należą jeszcze do tego pokolenia, które stało w kącie, czasem dostało piórnikiem po łapach, czasem poczuło, co znaczy pociągnięcie za pejsy, czy też podkręcenie ucha. Dziś wspominam to z uśmiechem, a że nigdy do najgrzeczniejszych nie należałem, to i większości tych kar spróbowałem osobiście. I chyba najbardziej mi żal, że w dzisiejszych szkołach nie ma już „wykopek”. Kiedyś była taka akcja, że młodzież raz w roku na jesieni pomagała w PGR-ach przy zbiorze ziemniaków. Zazwyczaj były to trzy dni a czasem i tydzień. Dowożono nas na pola ciągnikami, potem zawsze było ognisko, pieczenie ziemniaków i śpiewanie przy ognisku.

I komu to przeszkadzało?

*Biblioteka kwartalnika*

## PROWINCJA



Andrzej Lubiński

## AGITACJA POLSKA w czasie plebiscytu na Powiślu

Niewyczerpanym źródłem wiedzy o działaniach plebiscytowych w roku 1920 była „Gazeta Polska dla powiatów nadwiślańskich” (w skrócie: Gazeta Polska...) wydawana w Kwidzynie w drukarni Fryderyka Wilhelma Kantera. Jej naczelnym redaktorem był dziennikarz Bonifacy Chmielewski wcześniej pracujący w piśmie „Postęp” w Poznaniu. Będzie w niej zamieszczał własne artykuły, wiersze i relacje z wieców, w jakich sam uczestniczył w różnych miejscowościach. Pierwszy numer ukazał się 28 lutego 1920 roku. Początkowo Gazeta Polska ukazywała się trzy razy w tygodniu, a od 30 marca codziennie. Liczba stron wahała się od 4 do 10. Dołączone były dodatki od 29 maja: „Wieczory Rodzinne”, „Dla Młodzieży”. Redakcja mieściła się początkowo przy ulicy Targowej, a od numeru 10 przy ulicy Staszica 9 w mieszkaniu Anastazego Wandke. Gazeta zamieszczała oficjalne rozporządzenia Komisji Międzysojuszniczej, wiadomości z Polski, Europy, świata oraz z regionu plebiscytowego. Kolportażem zajmowali się agitatorzy oraz mężowie zaufania Warmińskiego Komitetu Plebiscytowego. Do 30 listopada wydawana była w Kwidzynie, potem w Olsztynie.

# GAZETA POLSKA

dla powiatów nadwiślańskich.

|   |   |  |
|---|---|--|
| <p>Wydawca: Komitet Plebiscytowy dla powiatów nadwiślańskich.<br/>Redaktor naczelny: Bonifacy Chmielewski.<br/>Drukarnia: Fryderyk Wilhelm Kanter, Kwidzyn.</p> | <p>Nadawca: Warmiński Komitet Plebiscytowy.</p> | <p>Wszystkie prawa zastrzeżone. Nie wolno kopiować bez zgody wydawcy.<br/>Cena: 10 groszy.</p> |
| <p>Nr. 25,</p>  | <p>Kwidzyn, wtorek dnia 27 kwietnia 1920 r.</p> | <p>Rok I.</p>  |

### Militaryzm niemiecki.

Wielki i silny nacjonalizm polski...  
Wielki i silny nacjonalizm polski...  
Wielki i silny nacjonalizm polski...

Wielki i silny nacjonalizm polski...  
Wielki i silny nacjonalizm polski...  
Wielki i silny nacjonalizm polski...

Wielki i silny nacjonalizm polski...  
Wielki i silny nacjonalizm polski...  
Wielki i silny nacjonalizm polski...

### K Biogram

Wielki i silny nacjonalizm polski...  
Wielki i silny nacjonalizm polski...

Pierwsze sprawozdania z wieców zamieszczane w gazecie miały miejsce w niedzielę 29 lutego. W Kwidzynie ludność polska z tego powiatu w liczbie 3 tysięcy przyjęła rezolucję o woli przynależności do państwowości polskiej. Wcześniej uczestniczyła we mszy świętej odprawionej przez ks. dr Rudolfa Nowowiejskiego. Następnie w sali św. Michała odbyło się zebranie, które otworzył Tadeusz Odrowski, prezes Kwidzyńskiej Rady Ludowej. Następnie udzielił głosu redaktorowi Konstantemu Dąbkowskiemu w celu wygłoszenia wykładu: „Dzisiejsze bankructwo Niemiec”. Po wykładzie zebrani udali się przed siedzibę Komisji Międzysojuszniczej i wręczyli uchwaloną rezolucję. Wieczorem została wystawiona sztuka „Chrześniak wojenny” przez aktorów Teatru Polskiego z Warszawy pod dyrekcją Tadeusza Działosza. Na przedstawieniu byli Francuzi z jej przewodniczącym hr. de Cherisey. Widownia zgotowała im gorącą owację. Konsulat Polski w Kwidzynie mieścił się przy ulicy Kościuszki 42. Biuro czynne dla interesantów otwarte było od godz. 9 do 12 i od 15 do 18.

W Warszawie zorganizowano wieczór artystyczny odśpiewaniem hymnów „Jeszcze Polska” i „Roty” oraz zagranie poloneza i wystawieniem sztuki „Obrona Częstochowy”. Uzyskany dochód przeznaczono na fundusz plebiscytowy.

Niemniej liczny był wiec w Sztumie. Sala Strzelnicy i przedpokoje wypełnione były publicznością tak, że niektórzy musieli wrócić do domów. Zebranie otworzył Paweł Muchowski. Jako pierwszy głos zabrał Jan Tabernacki mówiąc „O solidarności narodowej”. Ksiądz Ignacy Grossek miał wykład na temat „Kultura polska i niemiecka”. Podkreślał, że kultura polska oparta jest na religii i Bogu, a niemiecka na materializmie.

Wiec w Malborku odbył się w jedynym polskim lokalu należącym do pana Chmurzyńskiego. Otworzył je sekretarz Jan Paluszkiewicz. Po dłuższym przemówieniu pana Kunza redaktor Bonifacy Chmielewski przedstawił rezolucję Rady Ludowej. Założono Towarzystwo Ludowe. Miejsce zebrania otoczyli żołnierze Sicherheitswehry (Służby Bezpieczeństwa). Gdy opuszczano budynek napadnięto na członka Rady Ludowej, Józefa Schenka. Po wyciągnięciu z lokalu zapytano go: „Ty też jadłeś niemiecki chleb?” Ten odpowiedział, że rósł na polskiej ziemi, za co został pobity. Prezes Rady Antoni Kulecki zdołał się ukryć.

Interesująca była informacja o odbytym zjeździe w Olsztynie w dniu 24 lutego 1920 roku. Przybyło 300 delegatów Mazurskiego Związku Ludowego i ludowców z powiatu sztumskiego. Zebranych powitał redaktor „Gazety Olsztyńskiej” Stanisław Nowakowski. Wspomnił o pierwszym tajnym spotkaniu w maju 1919 roku, gdy uczestniczyło w nim 18 delegatów reprezentujących 8 towarzystw i 754 członków. Obecnie jawnie działa 40 towarzystw liczących 5 tys. członków<sup>1</sup>.

O przygotowaniach do plebiscytu pisały różne gazety wydawane w Polsce. W numerze 7 zamieszczono tekst o akcji plebiscytowej jaką prowadził Lwowski Komitet Obrony Kresów Zachodnich. Zwracano się do lwowskich czytelników o datki pieniężne, książki o treści patriotycznej, obrazy, ryciny. Dary można było składać w redakcjach dzienników, u prezesa Komitetu prof. Jurasza oraz biurze Syndikat Rolniczy. „Słowo Polskie” wydawane we Lwowie zamieściło duży tekst pt. „Ratujcie polską Warmię”.

<sup>1</sup> „Gazeta Polska dla powiatów nadwiślańskich” 1920, numery 2, 3, 7.

Prawie miesiąc po pierwszym występie Teatru Polskiego z Warszawy pod kierownictwem Tadeusza Działosza, na niedzielę 21 marca, anonsowano przedstawienie w trzech aktach „Ciotka Karola” mające się odbyć w sali św. Michała w Kwidzynie. Za pierwsze miejsca należało zapłacić 4 marki, za drugie 3, za wejście na salę – 1 markę. Bilety można było kupić w Banku Ludowym w Kwidzynie lub przy kasie<sup>2</sup>.

O terrorze wobec ludności polskiej świadczy próba rozbicia zebrania Towarzystwa św. Kingi w Starym Targu. Chciano dokonać napadu na hr. Helenę Sierakowską poprzez przewrócenie powozu, którym przyjechała. Dzięki postawie miejscowych Polaków i przysłanej pomocy z Waplewa przepędzono niemieckich opryszków. Na zebraniu ks. Ignacy Grossek wygłosił wykład „Co różni Niemca od prawdziwego Polaka”. 11 marca w Sztumie odbyło się zebranie zarządów Towarzystw Ludowych z Sadłuk, Postolina, Kalwy, Koślinka, Mikołajek, Koniecwałdu, Pietrzwałdu, Sztumskiego Pola. Zebranie zagał Jan Tabernacki oraz rozdał wzory prowadzenia obrad i podręczniki dla przewodniczących, sekretarzy i skarbników. Henryk Śniegocki przedstawił wykład „Odważa cywilna” i zachęcał do wstępowania do Towarzystw Ludowych. Deklamację „Żelazny krzyż” wygłosił Franciszek Wojciechowski, polski zastępca przy landracie malborskim i członek Warmińskiego Komitetu Plebiscytowego w Malborku. Wszyscy odśpiewali na zakończenie zebrania „Rotę”. Tydzień po wystawieniu „Ciotki Karola” ten sam zespół miał wystawić w Janowie 28 marca sztukę „Obrona Częstochowy”. Zanim rozpoczęło się przedstawienie, odbył się wiec. Zagał go proboszcz Ignacy Niklas, na sekretarza wybrano Augustyna Czyżewskiego, na ławników Andrzeja Napiątka, Gregora i pannę Polenzównę. Pierwszym mówcą był redaktor Bonifacy Chmielewski. Następnie ks. poseł Antoni Ludwiczak miał wykład „Miłość ojczyzny”. Bohaterska obrona Częstochowy prowadzona przez księdza Kordeckiego wywarła wrażenie na mieszkańcach Janowa<sup>3</sup>.

W Sztumie wiec odbył się 28 marca. Przyczyną były ciągle prześladowania ze strony Niemców i neutralność Komisji Międzynarodowej. W sali Strzelnicy zebrali się Polacy, by zaprotestować przeciwko takiemu traktowaniu ludności polskiej. Zebranych powitał Paweł Muchowski. Sekretarzem zebrania został Franciszek Wojciechowski. Ksiądz Antoni Ludwiczak miał wykład „O miłości ojczyzny”. Kolejny wykładowca, Henryk Śniegocki, mówił o tym „Czy głoszone przez Niemców dobrodziejstwa są rzeczywiście dobrodziejstwami”. Rezolucję protestującą przeczytał ks. Antoni Ludwiczak. Przyjęto ją oklaskami. Miano ją wysłać do Komisji w Kwidzynie, Rady Najwyższej w Paryżu i rządu polskiego w Warszawie. W dyskusji głos zabierali Henryk Śniegocki, Feliks Morawski, Walter. Gdy wszyscy wychodzili z zebrania i kierowali się w stronę rynku, zajechała kawalkada samochodów Komisji z gen. Agelo Pavią, aby zwiedzić miasto. Samochody musiały zwolnić, a pasażerowie usłyszeli skierowane do ich słowa: „Niech żyją”. Otoczono samochody i ruszono pod koszary wojskowe, gdzie miał zatrzymać się Włoch ze swoją świtą. Tu zdemonstrowano jemu polskość Sztumu. Niemcy zorientowali się za późno, przybywszy na miejsce musieli stanąć za plecami Polaków. Starosta powiatu Walter Auwers musiał zdjąć kapelusz, a był zaciekle wrogiem polskości. Na naradę z generałem udał się poseł ks. Antoni Ludwiczak oraz Józef Domański, członek Rady Ludowej. Niemcy przybyli ze starą

<sup>2</sup> „Gazeta Polska dla powiatów nadwiślańskich” 1920, numer 9.

<sup>3</sup> „Gazeta Polska dla powiatów nadwiślańskich” 1920, numery 11,12,14.

flagą cesarską. Tego dnia odbyło się jeszcze zebranie zarządów Towarzystw i uchwalono plan uroczystości na dzień 3 maja<sup>4</sup>.

Od kwietnia wzrosła znacząco ilość wieców. Na zebraniu Towarzystwa Ludowego w Tropach, które odbyło się 5 kwietnia, wszystkich zebranych powitał pan Pakalski z Trop. Z wykładem „O krzywdach ludności polskiej pod rządami i prawem niemieckim” wystąpił niedawno wyświęcony ksiądz Antoni Dambek. Po wykładzie głos zabrali pan Zakrzewski i Błażyński z Pietrzwałdu. Pan Franciszek Wojciechowski, pracownik Malborskiego Komitetu Plebiscytowego, zachęcał do nauki czytania i pisania po polsku. Pan Borowski z Buchwałdu mówił o religii i narodowości. Wieczór uświetniły deklamacje i śpiewy. W tym samym dniu miało miejsce zebranie w Waplewie celem założenia Towarzystwa Ludowego. Zebranych powitał pan Orlewicz i mówił o potrzebie jego istnienia. Ksiądz Władysław Demski miał wykład „O polskiej ojczyźnie”. Jan Tabernacki wystąpił z wykładem „Rola Towarzystw Ludowych”. Do Towarzystwa zapisało się 105 osób z okolicznych wsi Rychendrysy, Ramoty, Poliksy. W niedzielę, 18 kwietnia, po mszy odbył się wiec w Postolinie, w sali pana Stromidla, pod przewodnictwem Teofila Kochańskiego. Ksiądz Władysław Łęga wygłosił wykład „Nauka w szkołach niemieckich i służba w wojsku niemieckim w czasie I wojny”<sup>5</sup>.

O koncercie Feliksa Nowowiejskiego w Kwidzynie w sali św. Michała w niedzielę, 25 kwietnia, szeroko rozpisywano się w polskiej prasie. Następny miał się odbyć w Sztumie, 9 maja. Kwidzyński koncert przyjęto z wielkim entuzjazmem. Wśród gości znaleźli się Włosi, Anglicy, Japończycy i Francuzi. Brat kompozytora, ks. dr Rudolf Nowowiejski, wygłosił w języku francuskim wykład „O nowoczesnej muzyce polskiej”. W tym samym dniu na wiecu w Biskupcu założono „Sokoła” Gwoździem programu było przedstawienie teatralne połączone z deklamacjami i wykonaniem kilku pieśni przez miejscowe koło śpiewu „Lutnia”. Na wiecach jakie miały miejsce w Tychnowach,

Janowie, Szadłowiu ks. dr Rudolf Nowowiejski przekazywał pozdrowienia od polskich biskupów. Pan Wiktorowski, gość ze Śląska, mówił „O kulturze niemieckiej na podstawie dzieł niemieckich historyków”. Przypomniał o rzezi Gdańska, kolonizacji niemieckiej, zakazie budowy domów przez Polaków, prawie kagańcowym, a ksiądz Pingel z Malborka twierdził, że Niemcy przynieśli tylko kulturę na te tereny. Na wiecu w Postolinie odbytym 25 kwietnia Jan Lenga przewodniczący zebrania powitał gościa z Poznania, ks. Krugera, który pozdrowił rodaków. Pan Konieczny z Mikołajek wygłosił wykład „Dwulicowa polityka niemiecka”. Dzień później w tej wsi grono kobiet wystawiło dwie sztuki „Czarnoksiężnik i diabeł”, gdzie pan Twardowski oszukuje diabła i nie pozwala porwać jego duszy, oraz „Stworzenie kobiety” – o tym, jak poganie wyobrażają sobie powołanie



*Emblemat Konsulatu Rzeczypospolitej Polskiej w Kwidzynie, fot. MKI/HPK/391*

<sup>4</sup> „Gazeta Polska dla powiatów nadwiślańskich” 1920, numer 15.

<sup>5</sup> „Gazeta Polska dla powiatów nadwiślańskich” 1920, numer 18.

do życia Ewy obdarzonej licznymi błędami. W Starym Targu Henryk Śniegocki wygłosił wykład „Historia ziemi nadwiślańskiej”, ks. Jan Lewandowski „Różnice w charakterze niemieckim i polskim”, pan Michał Górski z Nowego Targu „Konstytucja 3 Maja”. Towarzystwo Młodzieży „Jedność” w Sztumie, którym kierował Franciszek Klatt, urządziło wieczornicę. Młodzi ludzie wysłuchali wykładu „Romuald Traugutt naczelnik powstania 1863 roku”. Podczas zebrania Towarzystwa Ludowego w Sztumie, 29 kwietnia, ks. W. Łęga wygłosił wykład „O czasach przedhistorycznych Prus Zachodnich”. Na zebraniu w Pierzchowicach założono Towarzystwo Ludowe, do którego wstąpiło 200 osób. Jego prezesem został pan Czarnowski. Stanisław Haertle z Szadłowa przedstawił zebranym wykład „Twórczość Marii Konopnickiej”<sup>6</sup>.

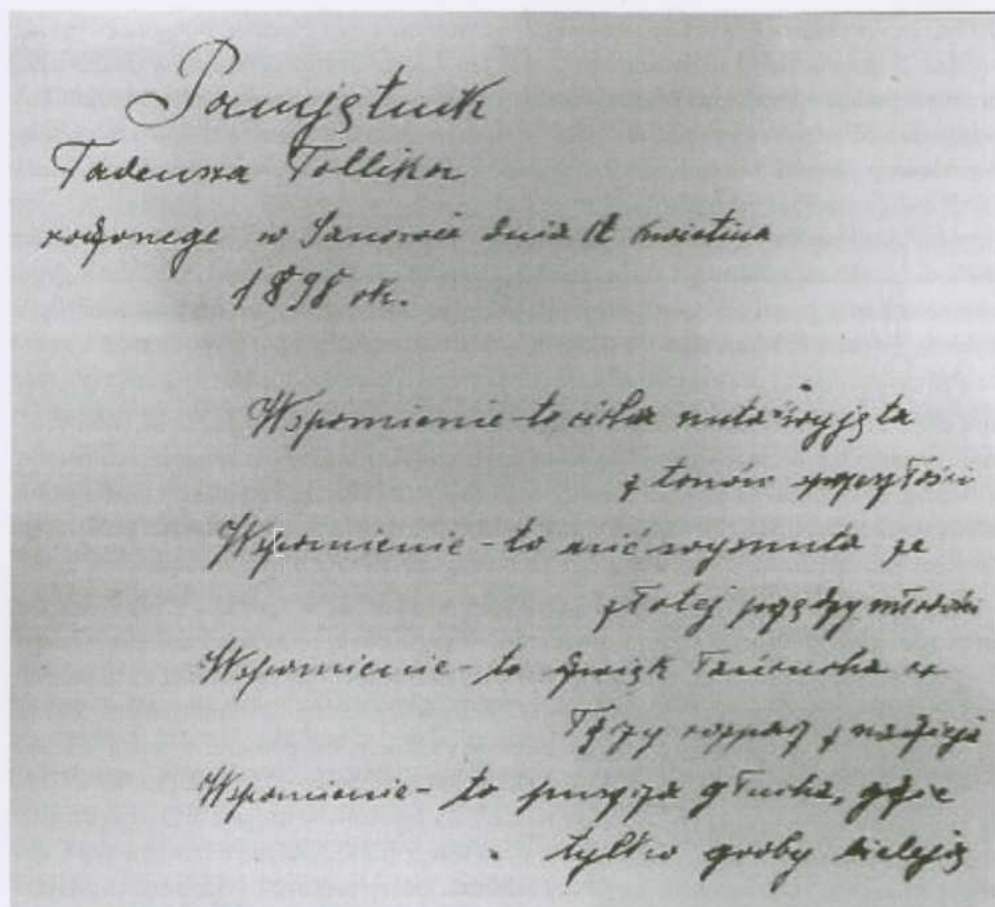
Pierwszy polski wiec we własnej sali w Resursy przy ulicy Pańskiej 13 w Kwidzynie odbył się 2 maja. Zebranych powitał Tadeusz Odrowski i udzielił głosu gościowi ze Śląska, panu Wiktorowskiemu. Ten w obszernym wystąpieniu przedstawił niemiecki sposób oglupiania narodu powołując się na dzieła historyczne niemieckich uczonych. Pokazał gwałty, jakich dokonywano wobec Polaków w XIX wieku. Po jego wystąpieniu zabrał głos Andrzej Bartkowiak, przedstawiciel Zjednoczenia Zawodowego Polskiego, zachęcając zebranych do wstępowania.<sup>7</sup>

Szerokim echem odbił się w niedzielę 2 maja wiec polski w Sztumie. Przez Niemców teren ten okrzyczany jako „czysto niemiecki” pokazał swoją polskość. Przybyło z całego powiatu wielu demonstrantów. O godz. 1 w południe rozpoczęła się zbiórka na rogatkach miasta w kierunku Czernina. Stawiło się 36 Towarzystw z tablicami i chorągiewami. Stawili się robotnicy, rolnicy, kupcy, śpiewacy, młodzież, kobiety. Na przodzie i końcu orszaku młodzież wystrojona we wstęgi ipolskie czapki na koniach, potem tłumy uczestników. Grupa z Postolina przedstawiła „Krakowskie wesele”. 25 jeźdźców w strojach krakowskich oraz panienki krakowianki na dużym wozie zwracało uwagę publiczności. Podziwiani byli chłopcy i kobiety w liczbie 10 z okolic Łowicza i Sieradza, którzy przybyli do Sztumu. Odznaczało się również kółko mikołajskie w czerwono-białych rogatywkach. Ze śpiewem na ustach maszerowano przez rynek do dworca i z powrotem, by dojść do Strzelnicy. Niemcy byli przygnębieni taką ilością ludności polskiej. Grozili, że będą strzelać do Polaków, niektórzy zostali w domach. W Strzelnicy powitał zebranych Henryk Śniegocki. Połączone chóry sztumski i postoliński zaśpiewały kilka pieśni. Panowie Karasiński i Jan Lenga deklamowali wiersze. Ks. Władysław Łęga wygłosił wykład „Zmartwychwstanie Polski”. Opowiadał też o przepowiedniach z roku 1913 mówiących o zakończeniu panowania króla ze sztywną ręką. Atmosferę patriotyzmu pogłębiły słowa o wzięciu 10 tysięcy bolszewików do niewoli. Dziewczeta z Postolina przedstawiły żywy obraz „Zmartwychwstanie Polski”. Wrażenia na słuchaczach robiły wystąpienia gości z Łowicza i Sieradza. Kółka śpiewacze z Mikołajek, Postolina, Starego Targu, Kalwy, Koślinka prezentowały przed publicznością swoje programy. Tego samego dnia w Janowie obchodzono rocznicę Konstytucji 3 Maja, w sali Ludwika Fahla. O godz. 6 wieczorem przemówił proboszcz ks. Ignacy Niklas. Po śpiewach i deklamacjach przygotowanych przez Tadeusza Tollika przybyły gość, pan K. (prawdopodobnie redaktor Kozicki), miał wykład „Konstytucja 3 Maja i jej znaczenie”<sup>8</sup>.

<sup>6</sup> „Gazeta Polska dla powiatów nadwiślańskich” 1920, numery 24, 25, 27, 30.

<sup>7</sup> „Gazeta Polska dla powiatów nadwiślańskich” 1920, numer 30.

<sup>8</sup> „Gazeta Polska dla powiatów nadwiślańskich” 1920, numery 30, 33, 34, 35.



Pamiętnik Tadeusza Tollika, fot. MKIHPK/376/1

Mieszkańcy Kwidzyna i okolic mogli w niedzielę 16 maja obejrzeć sztukę ludową „Swaty” przygotowaną przez Towarzystwo Gimnastyczne Sokół. Tego dnia w Sztumie miała miejsce niemiecka demonstracja jako odpowiedź na polski wiec 2 maja. Sprowadzono z Elbląga, Gdańska, Malborka, Kwidzyna w 55 autobusach i 22 wagonach kolejowych uczestników obiecując im, że dostaną kielbasę, ale otrzymali tylko po 10 marek<sup>9</sup>.

W maju miały miejsce poświęcenia ochronek w Sztumskim Polu, Białej Górze, Nowej Wsi, Nowym Targu, Starym Targu. Dzieci popisywały się deklamacjami i śpiewami. Słowa uznania kierowano do opiekunek ochronek, panien Czarlińskiej, Bendig, Znaczkiewicz, Adamalli, Glińskiej, Muśnickiej. Poświęcenia ochronek dokonywali księża Leon Neumann ze Sztumu, Otto Paulina z Benowa (przez kilka dni odmawiał poświęcenia w Białej Górze), Paweł Mateblowski z Postolina, Władysław Demski ze Starego Targu. Na zebraniu Towarzystwa Ludowego w Starym Targu ks. Władysław Demski recytował wiersz „Zdrajca Ojczyzny” i wygłosił wykład „O miłości Ojczyzny”. W wolnych głosach poruszono problem

<sup>9</sup> „Gazeta Polska dla powiatów nadwiślańskich” 1920, numery 36,41.



Jan Paluszkiewicz zszedł ze sceny i wciągnął krzykacza w dyskusję, aby odwrócić jego uwagę od sceny. Zapowiedział też, że nazwiska burzycieli zostały zapisane i będą odpowiadać przed sądem Koalicji za swe terroryzujące postępowanie.

W Szropach wiec miał się odbyć się o godz. 4 po południu. Gospodarz lokalu, który wcześniej wyraził zgodę na polski wiec, odmówił jego zorganizowania pod pretekstem, że odbędzie się niemieckie zebranie niezależnych socjalistów. Żandarm niemiecki przestrzegał przed zorganizowaniem wiecu, gdyż ludność niemiecka groziła jego rozbiciem. Jan Paluszkiewicz zapytał, czy Polacy mogą na ich zebraniu zabrać głos. Pozwolono na krótką przemowę Jana Paluszkiewicza i Tadeusza Górzyńskiego. Górzyński mówił o reformie agrarnej i jej znaczeniu dla robotnika polskiego w przeciwstawieniu do niemieckiego. Jako przykład podał zebranie agrariuszy w Suszu, gdzie hr. Oldenburg mówił, że tereny plebiscytowe za wszelką cenę muszą przypaść do Prus Wschodnich, gdyż ze strony polskiej grozi ich majątkom rozparcelowanie. Jan Paluszkiewicz podał jeszcze więcej przykładów powołując się na prasę niemiecką. Wśród Niemców powstała wrzawa i głos Niemca z Malborka ze „Wspólnoty Pracy” nie znalazł posłuchu<sup>11</sup>.

Niemiecy socjaliści zwołali w sobotę 3 czerwca zebranie w Sztumie. Zaproszona została jako główna referentka z Gdańska tow. Wohlgemunt. Na zebranie przybył burmistrz miasta, Hugo Schroeder. Prelegentka manifestowała z pełnym zaangażowaniem swoje uczucia socjalistyczne. Plotła bzdury o zabitych w Toruniu socjalistach, stosunkach w Chojnicach, gdzie Polacy chcą się wyprowadzić do Niemiec. Po jej wystąpieniu zabrali głos redaktor Konstanty Dąbkowski i Ganzke, obaj z Gdańska, znawcy socjalistycznych krętaćw. Dąbkowski przemawiając przez trzy kwadransy wymienił kilka szczegółów kompromitujących socjalistów większościowych, czym wzniecał oklaski Polaków. Prelegentka próbowała unieemożliwić wywody Konstantego Dąbkowskiego. Gdy drugi z dyskutantów, p. Ganzke, zaczął przemawiać, towarzysza zbladła. Burmistrz zawołał do swoich „Haut die Polacken”. Na mównicę wbiegł jakiś opryszek z nożem i zaatakował przemawiającego. W jego obronie stanęli Polacy. Burmistrz widząc, że Polacy się bronią i z napadniętych stają się atakującymi uciekł przez okno i zaszył się w pokrzywach w ogrodzie. Prelegentka z Gdańska dostała od własnego towarzysza w zęby. Inny Niemiec uderzył krzesłem w głowę swojego kolegę. Trzeci z nożem z tyłu objechał cały nagłówek kolegi, tak że Niemiec wyglądał jak oskalpowany. Zabawnie wyglądał płacz prelegentki, która miała przygotowaną rezolucję. Wyzywała polskich mówców za pokrzyżowanie jej planów. Po tych wydarzeniach burmistrz miasta zrozumiał, że kij ma dwa końce.

Od czerwca 1920 roku w Sztumie, w siedzibie Warmińskiego Komitetu Plebiscytowego, w hotelu pana Franciszka Belau, zaczęła działalność biblioteka Towarzystwa Czytelnia Ludowych. Kierowała nią Bronisława Januszewska. Biblioteka otwarta była w niedzielę od godz. 12-13, w środę od 6-7 wieczorem. W tym samym hotelu, od czwartku 17 czerwca, działało Biuro Ochrony Pracy i Opieki Społecznej. Kilka dni wcześniej, w niedzielę 13 czerwca, Towarzystwo Ludowe z Trop zorganizowało wycieczkę do lasu w Buchwałdzie. Przybyło również Towarzystwo z Kalwy i zaproszeni goście ze Starego Targu. Zebranych powitał przewodniczący Towarzystwa, pan Pakalski. Wykład wygłosił pan Borowski

<sup>11</sup> „Gazeta Polska dla powiatów nadwiślańskich” 1920, numer 42.

„O miłości ojczyzny”. Młodzież deklamowała kilka wierszy. Córka pana Borowskiego, Leokadia, recytowała wiersz „Cześć Maryi”, Leonard recytował wiersz „Sokół”, koło śpiewacze ze Starego Targu wykonało kilka pieśni, występowały też najmłodsze dzieci pod opieką ochroniarki Muśnickiej. Wieczorem w Tropach urządzono zabawę. Przed jej rozpoczęciem ks. W. Demski podziękował organizatorom za zorganizowanie wycieczki i zabawy<sup>12</sup>.

6 czerwca, w niedzielę, o 4 po południu, odbył się wiec polski w Janowie, w sali L. Fahla. Zebranych powitał ks. Ignacy Niklas. Tadeusz Odrowski przemawiał półtorej godziny. Po nim wystąpił Wojciech Owczarek z Gardei. W tym samym dniu, w lokalu pana Szramke w Straszewie, po mszy, odbył się wiec dla ludności polskiej. Przemawiali Tadeusz Odrowski przybyły z wiecu w Janowie, który miał miejsce parę godzin wcześniej oraz Wojciech Owczarek i p. Brzuszkiewicz z Szadłowa. Na wiecu w Nowym Targu zebranie otworzył Michał Górski, przewodniczącym wiecu został pan Radtke. Jako pierwszy przemawiał instruktor Związku Harcerstwa Polskiego Jan Stanisław Wilk, były hallerczyk. Ten ostatni występował również na wiecu w Kalwie. Pierwszy wiec bez żadnych ekscesów w Malborku odbył się dopiero we wtorek, 8 czerwca, w hotelu „Trzy Korony”. Zebranych powitał Jan Paluszkiewicz. Przewodniczącym zebrania został F. Wojciechowski. Pierwszym mówcą był Jan Tabernacki odwołując się do słów niemieckiego ks. Pingla wypowiedzianego na jednym z niemieckich wieców „Mury wskazują na przeszłość naszą”, dodał od siebie, z krwi i potu Polaków powstały. Wygłosił on humoreskę „Jak Wiluś obrał sobie św. Józefa na patrona”, którą rozweselił zebraną publiczność. Straż Plebiscytowa nie dopuściła do zamieszek, ponieważ włoski major Brygide objeżdżał miasto samochodem i śledził ruchy band niemieckich chcących rozbić wiec. 10 czerwca odbył się w godzinach wieczornych wiec w Miranach. Wykład o położeniu politycznym i równouprawnieniu wygłosił Jan Tabernacki, a ksiądz Jan Lewandowski rozweselał słuchaczy trafnymi dowcipami. Zebrani w wolnych głosach uskarżali się na ucisk dzieci szkolnych wywierany przez nauczycieli niemieckich. Dwa dni później, na zebraniu Towarzystwa Ludowego w Sztumskim Polu, mowę programową wygłosił Jan Tabernacki, który podkreślał kłamstwa szerzone przez gazety niemieckie a dotyczące wojny Polski z Rosją bolszewicką<sup>13</sup>.

Wiec w Szulwizie (Jarzębina) odbył się w niedzielę, 13 czerwca, na podwórzu gospodarza Czyby o godz. 3 po południu. Udział w nim wzięła mała liczba ludzi, gdyż w sąsiedniej wsi Janowo odbywało się „Święto pożegnania Wisły”, czyli tak zwany „Niemiecki Dzień”. Zebrani na wiecu podkreślali, że niemieccy uczestnicy w Janowie ostatni raz zbierają się w tej polskiej wsi, by popatrzeć raz jeszcze łzawym okiem na wymykającą się praniemiecką Wisłę. W „Gazecie Polskiej dla powiatów nadwiślańskich” zamieszczony został wiersz „Rymy na czasie” autorstwa B. Chmielewskiego: *Był sobie dojczers tag w Janowie! Zebrała nań się Niemców kupa! Gadali do nich ich wodzowie! rykiem jak szereg armat Kruppal Patrzał się z dala lud nasz na to! Jako że było piękne lato! Hohenzollernów Weter ładny a był widok dość paradny! Patrzą na Wisłę co ucieka! I z żalu im się dusza wścieka! Abszyt wypada wziąć od Wisły! Niechby Polaków kołki ścisły! Urdojczers rzeka się wymyka! Stąd Niemiec gorzkie łzy pobyka! chciałby nuknącą tulić do się! Toczą się ciurkiem łzy po nosie! Skarżą się bogom swoim w śpiewie! Że zabrał polski Pan bóg w Gniewie! Wisłę Wandalów prapotomstwul! Niestety tak*

<sup>12</sup> „Gazeta Polska dla powiatów nadwiślańskich” 1920, numery 54, 67.

<sup>13</sup> „Gazeta Polska dla powiatów nadwiślańskich” 1920, numery 60, 61.

*bywa łakomstwul/ Słowianom wzięli kraj Krzyżacy/ oddać go muszą nam Prusacy/ co nawet nazwę swą ukradli/ Dziś zwyciężeni w proch upadli.*

Do zebranych w Szulwizie przemawiał Jan Stanisław Wilk, instruktor ZHP, były hallerczyk. Wywoływał on salwy śmiechu u zebranych opowiadanymi dowcipami. Redaktor B. Chmielewski mówił z humorem o historii niemieckiej dowodzącej, że tereny plebiscytowe są czysto niemieckie. Redakcja „Gazety Polskiej...” z uznaniem wyrażała się o gospodarzu Aleksandrze Ornassie z Rakowca, który u siebie zatrudnił Polaków, a sprawiedliwym i dobrym obchodzeniem się z nimi zyskał ich szacunek. Na wiecu odbytym u niego na podwórzu zgromadzili się Polacy z okolicy. Przemawiał redaktor Stanisław Pilarczyk, który koncentrował się na rzeczywistych stosunkach panujących w Polsce i kłamstwach niemieckich. Mówił też o nowym gabinecie rządu polskiego i reformie rolnej. Małżonka A. Ornassa prowadziła bibliotekę w Rakowcu<sup>14</sup>.

Rozbity polski wiec odbyty w Krasnej Łące 13 czerwca został dokładnie opisany w niedzielnym wydaniu „Gazety Polskiej...” z 20 czerwca. Zebranych wiecowników powitał przewodniczący Zjednoczenia Zawodowego Polskiego, pan Wojtczak. Mowę programową pt. „Nasza historia” wygłosił Henryk Śniegocki. Przemawiali jeszcze pp. Konieczny, Kwaterski, Wojtczak. Proboszcz Jakub Mayska, ukryty za drzewem, podsłuchiwał jak przemawiał H. Śniegocki, wyszedł na cmentarz i dawał różne znaki swoim wiecownikom. Jeden z nich zrozumiał o co chodzi i na podniesiony w górę kij proboszcza zaintonował niemiecki hymn. Nikt z zebranych nie śpiewał. Gdy przemawiał Konieczny, proboszcz zaczął wyzywać po niemiecku „bandyci, bolszewicy, spartakiści”. Konieczny zawołał do księdza, aby ten przyszedł i przemówił, a chętnie zostanie wysłuchany. Zapytał księdza, czy zapomniał, jak to było za czasów Bismarcka i kulturkampf, gdy księży do więzienia wtrącano. Odpowiedzią były dalsze wyzwiska i wzywania wiecowników, by się rozeszli i nie słuchali mów złodziei. Jednego z mówców nazwał cztery razy fagasem. Proboszcz swoim postępowaniem rozbił wiec. Stary żołnierz, przewodnik Straży Bezpieczeństwa, zamiast nakazać ks. Jakubowi Maysce dalszych ekscesów, o godz. 2 po południu rozwiązał wiec. Proboszcz ze Strażą wyjechał do Prabut na Niemiecki Dzień. Wcześniej, bo 11 czerwca, zostawił wniosek u landrata sztumskiego z prośbą o przyznanie 2 tys. marek, by przeznaczyć je na podreperowanie silnie zaatakowanych nerwów przez agitację plebiscytową. Na wiecach publicznie zożydzał naczelnika państwa, Józefa Piłsudskiego, mianując go bezbożnikiem. Powoływał się bezczelnie na rzekomo wypowiedziane słowa hr. Stanisława Sierakowskiego. Ten w „Gazecie Polskiej...” oświadczył, że ks. J. Mayska jest kłamcą.<sup>15</sup>

Koło Śpiewacze „Lutnia” z Trzciana urządziło zabawę w niedzielę, 20 czerwca. W sadzie pana Sadowskiego wysłuchano kilku pieśni wykonywanych pod kierownictwem pana Nałęcza. Po deklamacjach wierszy w wykonaniu dziewcząt z wykładem „Znaczenie głosowania i stosunki panujące w Polsce i Niemczech” wystąpił Tadeusz Odrowski. Zgromadzeni z zadowoleniem obejrzeni przedstawienie teatralne „O upadku Wilhelma II” oraz obraz „Zmartwychwstanie Polski”. Tego dnia w Koślinie odbył się wiec polski. Pan Kolwicz z Konicwałdu miał wykład „Wolność i równouprawnienie w Niemczech i Polsce”, a Jan Taber-

<sup>14</sup> „Gazeta Polska dla powiatów nadwiślańskich” 1920, numer 63.

<sup>15</sup> „Gazeta Polska dla powiatów nadwiślańskich” 1920, numer 68.

nacki „O przyszłości Polski”. Kolejny wiec w tym dniu miał miejsce w Mikołajkach w sali p. Fridericego. Głównym mówcą był ks. Jan Lewandowski. W Sztumie 20 czerwca miało miejsce poświęcenie chorągwi Towarzystwa Kobiet pod wezwaniem św. Kingi przy licznych udziałem wiernych zebranych w kościele. Zebranych powitała prezeska, pani Domańska.<sup>16</sup>

Na zebraniu Towarzystwa Ludowego w Starym Targu w niedzielę, 27 czerwca, po zagajeniu przez Orlewicza, wykład „Ks. Piotr Skarga” wygłosił Henryk Szulczewski. W Nowej Wsi na wiecu przemawiał robotnik Cieciera z Łodzi. Mówił on, jak zorganizowani są robotnicy w tym mieście. Wykład „Obecne położenie gospodarcze Niemiec” wygłosił redaktor Konstanty Dąbkowski, gdzie pokazał rzekomy gospodarczy raj pruski. Ludność polska z Nowej Wsi, Montek, Postolina, Koniecwałdu, Sztumu, Trzciana, Mikołajek, Straszewa, Starego Targu, Koślinki, Benowa spotkała się w Montkach. Po występach dzieci z ochronki w Nowej Wsi pod opieką panny Gołębiewskiej prezentowały się zespoły śpiewacze i taneczne z poszczególnych wsi. Przemawiał redaktor Konstanty Dąbkowski.

Towarzystwo św. Kingi w Postolinie urządziło zabawę w lesie. Byli członkowie miejscowego Towarzystwa Ludowego i „Sokoła”. Wystawiono przedstawienie „Upadek Wilhelma II”. Na zabawie tanecznej w lokalu p. Stromidla bawiło się prawie 500 osób. W Pietrzwałdzie u pana Klingenberg wędrowną trupą teatralną pod kierownictwem pani Błaszyńskiej odegrała kilka komedijek odnoszących się do aktualnej sytuacji. Bojówkarze niemieccy z Mikołajek, w liczbie 70 osób, zaatakowali z karczmy Stegemanna członków „Sokoła” z tej wsi, gdy wracali z zabawy w Pierzchowicach. Prowodyrami zajścia byli bracia Zegermann, którzy krzycząc „Nie chcemy żadnej Polski, my chcemy do Niemiec”, dali znak do bójki. Żołnierz włoski, który z narażeniem życia rzucił się między walczących, został aresztowany pod pozorem, że zdezerterował z wojska i ze śmiechem odstawiony został na dworzec, aby odesłać go do Sztumu. Patrol włoski specjalnie wysłany w tym celu uwolnił aresztowanego. Podczas zebrania kółka śpiewaczego w Mikołajkach, w którym uczestniczyło 250 osób, z wykładem „Wielki kaznodzieja Piotr Skarga a naród Polski” wystąpił Henryk Szulczewski. W dyskusji głos zabrali ks. W. Łęga, pani Nowakowa i pan Reich. Ten ostatni podkreślał bezprawne postępowanie ks. J. Mayske. Przewodniczący zebrania, pan Konieczny, zachęcał do wzięcia udziału w pochodzie manifestacyjnym 4 lipca.

W Malborku w hotelu „Trzy korony” odegrano dwie sztuki „Sielanka plebiscytowa”, „Ulicznik warszawski” pod kierownictwem p. Liczbańskiego. Nauczyciel Jan Cieślak recytował humoreskę „Zemsta Szwaba”.

Niemiecki nauczyciel Bleske z Tychnów zorganizował „Niemiecki dzień”. Miało się stawić 300 osób. Rozdawano tablice z nazwą wsi. Dla Tychnów przygotowano dwie tablice:



Znaczek plebiscytowy 40 fenigów, fot. MKI/HPK/445

<sup>16</sup> „Gazeta Polska dla powiatów nadwiślańskich” 1920, numery 69, 72.

na jednej był niemiecki napis Tiefenau, przy drugiej, z napisem Treu Deutsch Tiefenau, stało tylko paru zamieszkałych tu Niemców oraz urzędnicy kolejowi i listonosze. Za tablicą Dubiel nikt nie stał. O 4 po południu ruszył pochód do Brachlewa. Nauczyciel Bleske wręczał uczestnikom po 5 marek. Redakcja pyta, czy ten prowokacyjny pochód miał doprowadzić do wywołania zająć między Niemcami a polskimi mieszkańcami Tychnow.<sup>17</sup>

W niedzielę, 4 lipca, zapraszano na wiec w Sztumie, który miał się odbyć po mszy w sali Strzelnica, a wieczorem na zabawę z przedstawieniami amatorskimi „Zbudowana dusza”, „Sielanka plebiscytowa”, „Nasze dzieje”. Wiec w Janowie odbył się podwórzu Andrzeja Napiątka, a nie w sali Ludwika Fahla, bo ten odmówił swego pomieszczenia prawdopodobnie ze względu na naciski Niemców. Zebrani przyjęli rezolucję po wystąpieniu Jana Stanisława Wilka. Na szybko zbudowanej scenie wystawiono sztukę „Fatalna szafa”. W Straszewie na wiecu przemawiała pani Kolwiczowa z Koniecwałdu na temat „Równouprawnienie i wolność w Niemczech od 1815 roku”. Wiec polski w Jerszewie miał miejsce w zagrodzie gospodarza Omieczńskiego. Ks. proboszcz Eryk Gross z Tychnow poruszył niewłaściwy sposób agitacji niemieckiej prowadzonej przez ks. Mayske, nauczycieli Ziółkowskiego, Lubiąńskiego. Mówca Andrzej Bartkowiak pokazywał losy Polaków w Nadrenii i Westfalii, rozruchy w Hamburgu i Bremenhaven. Mówił też o tym, jak Niemcy fałszują listy głosowań: trzynastu ludzi podanych przez Niemców jako uprawnionych do głosowania od 30 lat leży w grobie.

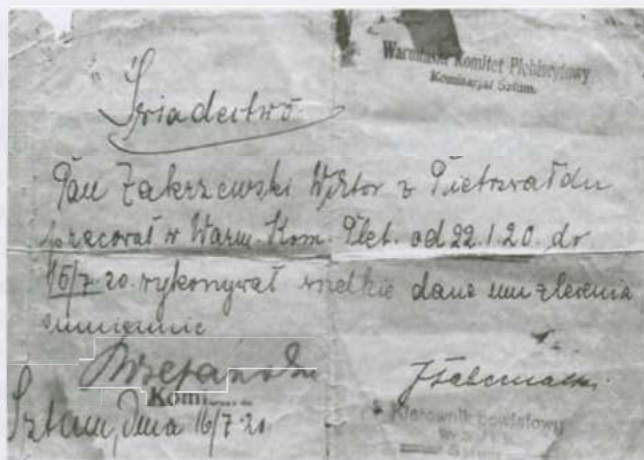
W piątek, 9 lipca, w Janowie odbyło się uroczyste nabożeństwo w intencji plebiscytu. Mszę odprawił ks. Ignacy Niklas. Większość uczestników mszy przystąpiła do komunii świętej. Kazanie wygłosił ks. Jan Mazella z Kisielic.

5 lipca dokonano w Ryjewie zatrzymania polskiego samochodu jadącego do Sztumu przez nauczyciela niemieckiego, Luchsa, z kilkoma kompanami. Pretekstem ataku było rzekome rozrzucanie przez kierowcę polskich odezów. Świadkiem zajścia była pani Śliwińska. Nauczyciel groził jej pobiciem. Luchs był członkiem komisji wyborczej w Ryjewie. Natomiast pastor ryjewski, Henzel, po zebraniu niemieckim udał się do lokalu propagandy niemieckiej i wyszukał kilkunastu mężów zaufania. Poleciał im w dniu plebiscytu rozdawać węższe kartki, a więc nieważne kartki polskie, co miało wpłynąć na zmniejszenie głosów polskich. Dwaj niemieccy inspektorzy ze Sztumu i Kwidzyna, Josef Rudolph i Cypulowski, zostali na jeden miesiąc usunięci ze swoich stanowisk i pozbawieni pensji za niedopuszczenie nauczycieli Polaków wbrew zarządzeniom Komisji Międzysojusznicznej do nauczania w szkołach języka polskiego.

Trzej pracownicy Biura Plebiscytowego z Kwidzyna, dr Kryn, Hoffmann, Wolnowski, którzy objeżdżali powiat sztumski, zostali zaatakowani w Dzierzgoniu 8 lipca. Trafili akurat na Dzień Niemiecki w tym mieście. Tłum rzucił się na samochód i podarł odezwy znajdujące się w nim. Polacy musieli wysiąść z samochodu i wtedy zostali zaatakowani kijami. Ostatkiem sił ratowali się ucieczką przez płot okalający dziedziniec, w którym usiłowano ich uwięzić. Prasa niemiecka pisała, że Polacy umyślnie przybyli do miasta, aby rozbić wiec niemiecki.

<sup>17</sup> „Gazeta Polska dla powiatów nadwiślańskich” 1920, numery 70, 72, 77, 78, 80.

Pierwsze protesty po plebiscycie pojawiły się już 14 lipca. Następnego dnia w „Gazecie...” pojawia się oświadczenie mieszkańca Straszewa. Sołtys Kwiring z Postolina udziela Polakom po 50 marek i 10 funtów cukru, które można wykupić w Sztumie, a za to oni zobowiązują się głosować za Niemcami. To samo czyni właściciel dóbr rycerskich p. Bochter ze Straszewa wydając ludności polskiej centnar mąki żytniej i 25 funtów pszennej<sup>18</sup>.



Świadcstwo pracy w Komitecie Plebiscytowym, Sztum, 16. 07. 1920, fot. MKIHPK/489

\*\*\*

W działalności agitacyjnej prowadzonej wśród ludności polskiej na terenie Powiśla ważną rolę odgrywała nieliczna grupa księży katolickich świadoma swojej przynależności do narodowości polskiej. Swoją postawą zachęcali, by oddać głos za przynależnością do państwa polskiego. Drugą grupą aktywnie włączającą się w uświadomienie narodowe polskie byli dziennikarze oraz etatowi pracownicy Warmińskiego Komitetu Plebiscytowego w Kwidzynie, Sztumie, Malborku oraz rodziny Sierakowskich i Donimirskich z powiatu sztumskiego i Kowalskich z powiatu kwidzyńskiego. O atrakcyjności wieców decydowały również ciekawe wykłady przybyłych prelegentów oraz wystawiane sztuki teatralne nie tylko przez zawodową trupę teatralną z Warszawy, ale również miejscowe zespoły amatorskie. Chętnie występowały amatorskie chóry śpiewacze ze Starego Targu, Postolina, Mikołajek. Gdy odbywało się uroczyste poświęcenie ochronek (przedszkoli), najmłodsze dzieci recytowały wierszyki i śpiewały piosenki przygotowane przez opiekunki ochronek. Koncerty kompozytorskie Feliksa Nowowiejskiego w Kwidzynie, Sztumie i Olsztynie wymagają odrębnego omówienia.

### Literatura

Z. Lietz, *Plebiscyt na Powiślu Warmii i Mazurach*, Warszawa 1958.

A. Barganowski, *Plebiscyt na ziemi kwidzyńskiej*. [w] *Zeszyty Kwidzyńskie* nr 1, Kwidzyn 2000.

P. Stawecki, W Wrzesiński, *Plebiscyty na Warmii Mazurach i Powiślu 1920*, wybór źródeł, Olsztyn 1986.

*Gazeta Polska dla powiatów nadwiślańskich*, numery luty - lipiec 1920.

<sup>18</sup> „Gazeta Polska dla powiatów nadwiślańskich” 1920, numery 81, 84, 86, 89.

Krystian Zdziennicki

## KAZIMIERZ DONIMIRSKI

orędownik polskości podczas kampanii plebiscytowej w latach 1919-1920

Kazimierz Donimirski urodził się 6 stycznia 1880 r. w rodzinnym majątku w Małych Ramzach koło Sztumu jako syn Ludwika i Godziśławy z Łyskowskich (córka Ignacego Łyskowskiego). Był osobą gruntownie wykształconą. Kształcił się w gimnazjach w Inowrocławiu, Chojnicach i Trzemesznie. Ponadto studiował agrotechnikę na uniwersytecie w Halle oraz odbył praktykę w gospodarstwach u swoich krewnych w Buchwałdzie (Bukowie) i Łysomicach. Tak przygotowany mógł w 1907 roku przejąć rodzinny majątek w Małych Ramzach. Od tego czasu zauważamy jego wzmożoną aktywność w obronie polskości na Powiślu przy utrzymaniu stałych kontaktów z Wielkopolską. W 1909 r. zawarł związek małżeński z Marią Rzepnikowską. Na uczcie weselnej Zofia Chrzanowska powiedziała, aby Panna Młoda jako Polka wspierała małżonka w pracach narodowych. I rzeczywiście należy stwierdzić, że żona czyniła wszystko, co w jej mocy, aby wspierać męża w powyższych działaniach. Parę miesięcy po ślubie Kazimierz wraz z Marią zorganizowali we własnym domu spotkanie poświęcone założeniu Banku Ludowego w Sztumie. W spotkaniu uczestniczyli też teść dr Teofil Rzepnikowski (założyciel Banku Ludowego w Lubawie) wraz z małżonką, ks. Piotr Wawrzyniak oraz Witold i Józef Donimirscy. W wyniku tego spotkania powstał na początku 1910 r. ów bank. Ponadto warto podkreślić, że w okresie przynależności Powiśla do II Rzeszy Kazimierz podejmował też inną działalność polonijną. Od 1909 r. był delega-



*Kazimierz i Maria Donimirscy z rodziną w 1935 roku w Ramzach Małych, fot. archiwum A. Lubińskiego*

tem, a od 1912 r. członkiem Komitetu Towarzystwa Czytelni Ludowych na powiat sztumski, a w 1913 r. jako przedstawiciel polskiego ziemiaństwa kandydował do sejmu pruskiego.

O tym, że Kazimierz Donimirski był osobą znaną i cenioną w regionie i nie tylko, świadczą liczne relacje. Melchior Wańkowicz, który gościł u Donimirskich w Małych Ramzach w latach 30-tych, w swojej książce pt. *Na tropach Smętka* napisał: *Pan Kazimierz Donimirski jest doskonałym mówcą, wyrobionym działaczem społecznym, który w życiu piastował najprzeróżniejsze i najpoważniejsze mandaty*<sup>1</sup>. Córki Kazimierza Donimirskiego Teresa Donimirska-Piechocka oraz Elżbieta Zakrzewska z dumą wspominały działalność ojca w 20-leciu międzywojennym. Teresa wspominała: *moi rodzice walczyli ciągle o polskość Powiśla i Warmii organizując życie ekonomiczne i kulturalne regionu*<sup>2</sup>. Niestety, nie mogła pamiętać działań z czasów przygotowań do plebiscytu z 1920 r., gdyż urodziła się w 1930 r. Jej starsza siostra Elżbieta Zakrzewska również nie widziała działań ojca w okresie walki o przynależność Powiśla do II RP, jednakże szczyliła się tym, że jej ojciec aktywnie uczestniczył w akcji plebiscytowej. Z kolei ich kuzynka, Halina Donimirska-Szyrmerowa, przybliżyła nam postać K. Donimirskiego prywatnie: *Wuj Kazio, znany z ciętego dowcipu uzupełniał wygłaszane teksty zabawnymi uwagami, nawiązującymi do znanych u nas osób i aktualnych wydarzeń*<sup>3</sup>. Ponadto w swoich wspomnieniach napisała, że czytał różnorodną literaturę, interesował się polityką i gospodarką. Można także znaleźć nieliczne krytyczne uwagi na jego temat. Działacz społeczno-oświatowy na Powiślu w dwudziestoleciu międzywojennym Jan Boenigk w swoim pamiętniku *Minęły wieki a myśmy ostali* uznał Kazimierza Donimirskiego za powszechnie nie lubianego ziemianina. Warto jednak zaznaczyć, że autor tej opinii nie darzył sympatią przedstawicieli tej grupy społecznej, a jego wspomnienia zostały wydane w okresie PRL-u.

Po zakończeniu I Wojny Światowej nadeszła szansa, aby wyzwolić Powiśle z zaboru niemieckiego, jednakże decyzją zwycięzców na mocy traktatu wersalskiego o przynależności tego terenu, wraz z Warmią i Mazurami, miał zdecydować wynik plebiscytu. Już w trakcie konferencji pokojowej w Paryżu, po pierwszych sygnałach o możliwości przeprowadzenia plebiscytu, decyzję tę krytycznie przyjęli polscy działacze, gdyż uważali ją za niesprawiedliwą. Warto podkreślić, że zanim zapadła decyzja o plebiscycie przedstawiciele Powiśla w grudniu 1918 r. uczestniczyli jako delegaci w Polskim Sejmie Dzielnicowym w Poznaniu, do których zaliczał się również Kazimierz Donimirski. Powiat sztumski reprezentowali Karol Appelbaum, Stanisław Grabowski, Władysław Majewski, Paweł Muchowski, Stanisław Sierakowski oraz P. Szywniewski.

Kazimierz Donimirski oraz inni działacze plebiscytowi aktywnie działali, aby ich rodzinne ziemie stały się częścią II Rzeczypospolitej. Przykłady pracy na rzecz regionu Kazimierza znajdujemy m.in. w „Gazecie Gdańskiej”, która informowała o polskim ruchu narodowym na Powiślu. Na łamach tego tytułu podano informację, że K. Donimirski w Sztumie wygłosił „ciekawy” wykład o Janie Kilińskim do ludu polskiego z okazji 100 rocznicy śmierci tegoż bohatera narodowego. Ponadto postać K. Donimirskiego wspomina się jako aktywnego działacza kółek rolniczych, których był wice patronem i brał aktywny udział w zebraniach. W okresie walk o polskość Powiśla był również działaczem Powiatowej Rady Ludowej w Sztu-

<sup>1</sup> M. Wańkowicz, *Na tropach Smętka*, Kraków 1974, s. 232.

<sup>2</sup> T. Donimirska-Piechocka, *Wysiedleńcze wspomnienia, w: Z dziejów Sztumu i okolic*, Sztum 2007, s. 83.

<sup>3</sup> H. Donimirska-Szyrmerowa, *Był taki świat... Mój wiek XX*, Warszawa 2007, s. 63.

mie, prowadził także zawzięty spór z landratem sztumskim Walterem Gottfriedem Auwerssem, który jako przedstawiciel państwa niemieckiego był nastawiony szczególnie antypolsko.

Na terenie Powiśla struktura organizacyjna władz plebiscytowych - Warmiński Komitet Plebiscytowy, mieścił się w Kwidzynie. W sierpniu 1919 r. rząd dekretem powołał na szefa WKP Brunona Gabrylewicza, który z powodu podejrzeń o szerzenie komunizmu i szpiegostwo musiał zakończyć swą działalność (później zwolniony z aresztu i zrehabilitowany). Wówczas, w grudniu 1919 r., powołano drugi Warmiński Komitet Plebiscytowy. W skład niego wszedł m.in. Kazimierz Donimirski wraz z hr. Stanisławem Sierakowskim, obaj jako reprezentanci powiatu sztumskiego. Pierwszym szefem tego organu obwołano właśnie K. Donimirskiego. Dość obszernie powyższą sytuację w swoich wspomnieniach opisała jego żona Maria: *1 grudnia zapada decyzja utworzenia Komitetu z sił miejscowych z ekspozyturą w Warszawie. W skład wchodzi prezesi Rad Ludowych. Kazio jadąc na ten zjazd, spotkał na dworcu w Grudziądzu wojewodę, który wieszował mu i przepowiadał prezesurę tegoż Komitetu, czyli stanowisko Gabrylewicza. Kazio wcale zamiaru ubiegania się o to nie miał, bo wprawdzie to zaszczytne stanowisko, ale tak odpowiedzialne jak rzadko<sup>4</sup>.*

Zanim Donimirski zgodził się objąć ową prezesurę, obiecał na zebraniu, że weźmie udział w delegacji do Warszawy, gdzie m.in. odbył spotkanie z wiceministrem Wróblewskim. Tam też delegacja czyniła zabiegi w celu potwierdzenia przez rząd powstania drugiego Komitetu. Po długich namowach Donimirski zgodził się objąć stanowisko prezesa: *Postanowił więc Kazio za warunek, żeby zwołać Komitet i na nim uradzić co potrzebne. Do ostatniej chwili był Kazio przeciwny objęciu tej prezesury. Uległ jednak na owym zebraniu przedstawieniom hrabiny [Heleny Sierakowskiej – przyp. K.Z.], że rząd już wie o nim jako odpowiednim człowiekiem, że trudno by było znaleźć na terenie kogoś bardziej odpowiedniego, a nie można się kompromitować takim brakiem sił. Maria Donimirska wspominała, że z bólem serca przyjęła tą wiadomość, choć była bardzo dumna, że ma za męża zdolnego i cenionego człowieka. Komentowała to tak: *Mój mąż brał na ramiona ciężar bezmierny, aby przebywać cierniami i koleinami wyślaną drogę. [...] Szalona odpowiedzialność tego stanowiska. Walka straszna z podłymi Niemcami, którzy nie ulęką się żadnego środka, walka podstępna, podła, a jednak dla dobra Ojczyzny<sup>5</sup>.**

Należy również podkreślić, że nie czerpał on zysków z pełnienia owej funkcji: *żądał dla siebie jedynie utrzymanie wolne, wolne podróże, zwrot kosztów tychże oraz opłatę dla urzędnika, który by w tym czasie Ramzami zarządzał.* We wspomnieniach Maria Donimirska zreferowała także wyjazdy służbowe męża w czasie pienienia funkcji prezesa. Były to głównie wyjazdy do Warszawy i Poznania. Kazimierz Donimirski po kilku tygodniach pracy przekonał się o tym, że nie podoła wszystkim obowiązkom i zrzekł się owej prezesury na rzecz ks. Tadeusza Dykiera. W tym zachowaniu widać, że Kazimierz Donimirski był człowiekiem odpowiedzialnym, który nie zabiegał o funkcję i posady, a myślał wyłącznie o dobru swojej ojczyzny. Dzięki tej decyzji potwierdził, że nie kierował się możliwością zrobienia kariery oraz mógł aktywniej uczestniczyć w pracy na rzecz upowszechniania polskości w regionie. Dowodem oddania się w pełni sprawom narodowościowym stanowi fakt związany

<sup>4</sup> M. Donimirska, *Bóg dał nam czas próby. Wspomnienia z lat 1918-1935*, opr. A. Lubiński, Sztum 2012, s. 76-77..

<sup>5</sup> Ibidem, s. 80.

z tymczasową przeprowadzką do Sztumu, kiedy w lutym 1920 roku w mieście tym otwarto biuro Warmińskiego Komitetu Plebiscytowego.

W okresie poprzedzającym plebiscyt Kazimierz Donimirski uczestniczył w wielu wydarzeniach mających na celu powrót Powiśla w granice Polski. Niestety, fragmenty wspomnień żony K. Donimirskiego opisujące ostatnie miesiące przygotowań do plebiscytu, nie zachowały się do czasów współczesnych. Jednakże z całą pewnością Kazimierz Donimirski wiosną 1920 roku spotkał się z agitującymi za stronę polską pisarzami Janem Kasprowiczem oraz Stefanem Żeromskim. Ciekawostką może stanowić fakt pomyłki na łamach publikacji Żeromskiego, pt. *Inter arma*. Pisarz opisując swoją wizytę na dworze w Zajezerzu koło Sztumu jako właściciela obiektu wskazał Kazimierza zamiast Augusta Donimirskiego. Ta pomyłka może świadczyć o tym, że postać właśnie tego pierwszego zapadła literatowi w pamięci.

Choć plebiscyt na Powiślu przesądził o tym, że ziemia sztumska pozostała w granicach państwa niemieckiego, to jednak działania m.in. Kazimierza Donimirskiego i tak przyniosły wymierne efekty. Znaczna ilość wsi leżąca w centrum powiatu sztumskiego opowiedziała się za Polską, również Małe Ramzy.

Kazimierz Donimirski do końca życia silnie związany był z Powiślem, a także aktywnie działał na rzecz swojej Małej Ojczyzny. W 1921 r. po raz kolejny bezskutecznie ubiegał się o mandat poselski w pruskim sejmie. Wówczas też stał na czele Polskiego Komitetu Wyborczego. W 1922 r. należał do grona założycieli spółki „*Treuhandgesellschaft*”, której celem było uporządkowanie własności polskiego majątku poplebiscytowego. Od tego roku był też patronem kółek rolniczych na Powiślu. Po założeniu Związku Polaków w Niemczech początkowo na terenie Ziemi Malborskiej (obecnie Powiśla) pełnił funkcję prezesa zarządu okręgu (od 1923 r.), a następnie wiceprezesa Zarządu i Rady Naczelnej tej organizacji polonijnej (od 1931 r.). W 1933 był jednym z delegatów Związku Polaków w Niemczech podczas wizyty u papieża Piusa XI, któremu przedłożył petycję poświęconą trudnej sytuacji Polaków mieszkających w Niemczech. W lipcu 1934 r. zrzekł się wszystkich funkcji społecznych. Pełnił wówczas jedynie funkcję prezesa Rady Nadzorczej Banku Ludowego w Sztumie. 30 kwietnia 1939 r. otrzymał od Niemców nakaz opuszczenia Prus Wschodnich.

W czasie wojny ze względów bezpieczeństwa posługiwał się nazwiskiem Brochwicz, zmieniając miejsce pobytu. Pod koniec II wojny światowej współpracował z partyzantami w Puszczy Kampinoskiej. W 1945 r. powrócił na Powiśle i podjął pracę w Starostwie Powiatowym w Sztumie, gdzie odpowiedzialny był za weryfikację narodowościową. Założył Spółdzielnię Spożywczą i Spółdzielnię Mleczarską. Był też prezesem oddziału Polskiego Związku Zachodniego. Zmarł 21 lutego 1947 r. w Sztumie, a jego ciało spoczęło w rodzinnym grobie na cmentarzu przykościelnym w Postolinie. Warto podkreślić, że za swoją działalność został odznaczony orderem Polonia Restituta. Postać Kazimierza Donimirskiego, obok innych szczególnie zasłużonych przedstawicieli ziemiaństwa dla regionu, a więc Witolda Donimirskiego, oraz hr. Stanisława Sierakowskiego wraz z ich żonami, z całą pewnością zapisała się w „panteonie” bojowników o polskość Powiśla w XX stuleciu.

Jan Chłosta

# Konsulat polski w OLSZTYNIE

Ustalone na Konferencji Pokojowej w Wersalu plebiscyty na Warmii, Mazurach i Powiślu przyspieszyły powołanie w 1920 roku polskich konsulatów w Kwidzynie i Olsztynie.

Sytuacja była na tyle sprzyjająca, że rządy na tych ziemiach mniej więcej pół roku przed mającymi się odbyć plebiscytami 11 lipca obejmowała Komisja Międzynarodowa, złożona z reprezentantów mocarstw, mających decydujący głos na Konferencji, a więc Wielkiej Brytanii, Francji, Włoch i Japonii (Stany Zjednoczone nie skierowały swoich reprezentantów), a nie Niemiec. Przewidywano wszak, że rząd niemiecki uczyni wszystko, aby polskim placówkom nie udzielił exequatur (zgody na wykonywanie przez określoną osobę funkcji kierownika urzędu konsularnego) przed głosowaniem.

Pierwszy powstał Konsulat Generalny RP w Olsztynie. Mianowany przez Naczelnika Państwa konsulem Zenon Eugeniusz Lewandowski (1852-1927) przyjechał na Warmię 16 lutego 1920 roku. Sam urząd został otwarty 3 marca w budynku, wynajętym przez Polską Radę Ludową w Olsztynie przy ulicy Dworcowej 1 (teraz ul. Partyzantów naprzeciw Domu Polskiego). Już 2 marca 1920 r. Lewandowski otrzymał wymagany exequatur wydany



Józef Gieburowski, konsul polski w Kwidzynie i Olsztynie, fot. archiwum

przez Komisję Międzynarodową i rozpoczął urzędowanie. Ogłosił w „Gazecie Olsztyńskiej” komunikat o otwarciu placówki następującej treści: *„Z dniem dzisiejszym rozpoczął swe urzędowanie Generalny Konsul Rzeczypospolitej Polskiej w obwodzie plebiscytowym olsztyńskim, do którego należy część Warmii i Mazur z Oleckiem. Traktat pokojowy wersalski zapewnił mieszkańcom obwodu plebiscytowego zupełne równouprawnienie i wolność polityczną. Upraszam o doniesienie mi z podaniem świadków i dowodów, gdzie się dzieją dawne nadużycia, gwałty, i gdzie jeszcze nie poczyniono w urzędach zmian jakie rozkazała Komisja Międzynarodowa plebiscytowa, aby można winowajców pociągnąć do odpowiedzialności. Godziny służbowe: Przed poł. Od 9-12 i poł. Od 3-5-tej. Olsztyn ul. Dworcowa (Bahnhofstrasse) nr 1”*<sup>1</sup>

<sup>1</sup> Ogłoszenie urzędowe, „Gazeta Olsztyńska” [dalej GO], 1920, nr 28 z 3 III.

Samo otwarcie polskiego konsulatu wzbudziło od razu protest komisarza rządu Rzeszy na terenie plebiscytowym Wilhelma von Gayla. 4 marca piśmie wystosowanym do Komisji Międzysojuszniczej próbował udowodnić, że powołanie polskiej placówki konsularnej nie było zgodne z traktatem wersalskim. Napisał, że tym aktem Komisja przekroczyła swoje kompetencje, sugerując, a udzielenie exequatur polskiemu urzędowi należało do kompetencji rządu Niemiec.

Sprawie nadano w prasie niemieckiej znaczny rozgłos, co doprowadziło do wystąpień antypolskich w Olsztynie. We wtorek 9 marca 1920 r. przed budynkiem polskiego konsulatu zgromadził się tłum niemieckich mieszkańców miasta, żądających usunięcia polskiej flagi. Dwaj niemieccy policjanci ją zerwali, a godło z polskim napisem zdjęli wieczorem gimnazjaliści z dyrektorem Antonem Funkiem.<sup>2</sup> Po zawiadomieniu o tym incydencie konsula Lewandowskiego, pułkownik Bonnet z Komisji Międzysojuszniczej zażądał przeprowadzenia konsula polskiego przez nadburmistrza Olsztyna Georga Zülcha i dowódcę Sicherheitswehry majora Oldenburga von Januschau oraz ponownego zawieszenia polskiej flagi i urzędowego napisu z godłem Polski. Ponieważ niemieccy urzędnicy tego nie zrobili, ani nie wzięli udziału w uroczystości ponownego zawieszenia flagi, która odbyła się 17 marca, zostali obaj usunięci z terenu głosowania. Samo zawieszenie polskich emblematów miało uroczysty charakter z przemówieniami płk Bonnetta i konsula Lewandowskiego z udziałem kompanii wojska angielskiego i włoskiego

Zenon Lewandowski nie miał doświadczenia w służbie dyplomatycznej. Był z wykształcenia farmaceutą, ukończył Uniwersytet Jagielloński. Znał jednak dobrze uwarunkowania życia Mazurów. Trzykrotnie z ramienia Mazurskiej Partii Ludowej kandydował do sejmu pruskiego. Obejmując stanowisko konsula w Olsztynie, musiał uporać się z wieloma trudnościami organizacyjnymi i natury proceduralnej. Był bardzo zainteresowany losem ludności mazurskiej. Gromadził materiały, oskarżające niemieckich urzędników, policję, nauczycieli, sołtysów o działalność antypolską. W swoich wystąpieniach żądał zabezpieczenia przez Komisję Międzysojuszniczą wszystkich praw dla Polaków, uzgodnionych w postanowieniach wykonawczych przeprowadzenia głosowania. Zarzucał przedstawicielom Komisji jednostronność oraz preferowanie strony niemieckiej, także bezczynność w ograniczaniu terroru niemieckiego.

To postępowanie, choć wynikające z dobrych intencji, utrudniało utrzymanie poprawnych kontaktów między konsulatem a Komisją. Przedstawiciel rządu RP Tytus Zbyszewski napisał: „Obsypywanie Komisji materiałem drugorzędnej wartości, nie zachowując dostatecznego krytycyzmu [...] Lewandowski stracił bezwarunkowo na swej powadze”.<sup>3</sup> Ponieważ konsul nie zareagował na dostarczony mu przez Komisję regulamin głosowania i nie skłonił polskich organizacji do zaprzestania strajku plebiscytowego, podjętego w związku z niewprowadzeniem ustalonych w traktacie pokojowym postanowień, Komisja Międzysojusznicza zawiadomiła polskie MSZ, iż nie widzi możliwości dalszego utrzymania z nim stosunków.

<sup>2</sup> R. Gelles, *O zajściach w Olsztynie w marcu 1920 roku*, „Komunikaty Mazursko-Warmińskie” [dalej KMW], 1983, nr 4, s. 463.

<sup>3</sup> M. Szostakowska, *Konsulaty polskie w Prusach Wschodnich w latach 1920-1939*, Olsztyn 1990, s. 44.

W tej sytuacji MSZ 21 kwietnia 1920 r. odwołało Z. Lewandowskiego ze stanowiska i w jego miejsce mianowało kierownikiem urzędu wicekonsula Henryka Jeremiego Korybuta Woronieckiego, który piastował ten urząd zaledwie dziewiętnaście dni. Zdołał jednak już 22 kwietnia podpisać umowę o wynajęciu lokalu na konsulat z niejakim Reichmannem, właścicielem domu przy Kaiserstrasse 28 (teraz Dąbrowszczaków) na jeden rok. Lokum składało się z sześciu pokoi i kuchni oraz długiego korytarza na parterze. Przeprowadzka nastąpiła już następnego dnia, tj. 23 kwietnia 1920 r.<sup>4</sup> W tym budynku olsztyński konsulat mieścił się aż siedem lat.

Woroniecki w raporcie z 11 maja 1920 r. stwierdził: „Zadaniem polityki polskiej na terenie plebiscytowym mazurskim w dobie obecnej jest dążenie z jednej strony do odwołania terminu plebiscytu, a z drugiej do otrzymania jak największych koncesji na rzecz ludności polskiej, która jest upośledzona w stosunku do ludności niemieckiej”. Uważał za realne upominanie się o: „1. Rozwiązanie wojskowo-policyjnych formacji niemieckich, ożywojących duchem niemieckim i nienawiścią do wszystkiego, co polskie i zastąpienie ich policją polsko-niemiecką złożoną z mieszkańców terenu plebiscytowego, w której zajmowałoby stanowiska również oficerowie polscy. 2. Osiągnięcie stanowisk kontrolerów landratów dla reprezentantów ludności polskiej”<sup>5</sup>.

Dalej omówił stan posiadania strony polskiej. Zwracał uwagę na zdecydowaną przewagę Niemców w działaniach narodowych, przeznaczaniu wielkich środków na działalność agitacyjną. Pozwalały one na utrzymanie kilku agitatorów w każdej wsi mazurskiej. Dla porównania - liczba polskich agitatorów na Mazurach wynosiła zaledwie 140. Większość stanowisk kierowniczych w powiatach objęli ludzie wywodzący się z Wielkopolski. Po stronie polskiej zabrakło dziennikarzy z umiejętnością redagowania materiałów propagandowych. Podał, że „Gazeta Olsztyńska” drukowana jest w nakładzie 5000 egzemplarzy, a „Mazur” w Szczytnie zaledwie - 3500. Tymczasem Niemcy wydają „Pruskiego Przyjaciela Ludu” w nakładzie 50 tysięcy egzemplarzy.

Wiele do życzenia pozostawiała również koordynacja działań prowadzonych na terenie głosowania przez Biuro Informacyjne, złożone z reprezentantów Rad Ludowych, Komitetów Plebiscytowych, Warmińskiego i Mazurskiego Komitetów Plebiscytowych oraz Mazurskiego Związku Ludowego. Krytycznie ocenił kierownika Komitetu Mazurskiego Stanisława Zielińskiego: „jakkolwiek inteligentny, obrotny, pomysłowy i znający teren, jest człowiekiem, któremu brak daru sprawności organizacyjnej i tężyzny charakteru”<sup>6</sup>.

W Kwidzynie Komisja Międzysojusznicza udzieliła bez przeszkód exequatur Stanisławowi Sierakowskiemu jako konsulowi generalnemu na okręg kwidzyński. Nie kwestionowano jego uprawnień.<sup>7</sup> Był człowiekiem tam znanym i powszechnie szanowanym.

Kierujący polskimi konsulatami w codziennej pracy wypełniali funkcje przypisane urzędom z przedstawicielami państwa polskiego na terenach objętym głosowania. Często

<sup>4</sup> Tamże, s. 46.

<sup>5</sup> *Raport nr 13 Wicekonsula Generalnego RP H.J. Korybuta Woronieckiego do MSZ o sytuacji na terenie plebiscytowym w Olsztyńskim z 11 V 1920 r. w: Plebiscyty na Warmii i Mazurach i na Powiślu w 1920 roku. Wybór źródeł.* Wydali P. Stawewski, W. Wrzesiński, Olsztyn 1986, s. 291-292.

<sup>6</sup> Tamże, s. 294.

<sup>7</sup> W. Wrzesiński, *Polska - Prusy Wschodnie. Plebiscyty na Warmii i Mazurach oraz na Powiślu w 1920 roku*, wyd. II, Olsztyn 2010, s. 249. Por. J. Chłosta, *Polski Konsulat w Kwidzynie w latach 1920-1939*, „Prowincja”, 2017, nr 4, s. 64.

występowali wobec organizacji polskich jako najwyżsi reprezentanci Rzeczypospolitej i równocześnie wspierający polską akcję plebiscytową. Lepiej pod tym względem przedstawiała się sytuacja na Powiślu. Mimo wszystko gwałty antypolskie, w tym rozbijanie polskich wieców, zdarzały się rzadziej niż na Mazurach i Warmii, chociaż miały miejsce tak jak przykładowo w Iławie 20 kwietnia 1920 r.

Jeszcze 10 maja 1920 r. MSZ mianowało Czesława Andrycza konsulem generalnym RP w Olsztynie i delegatem rządu polskiego przy Komisji Międzysojuszniczej. Pod naciskiem polskiego MSZ doszło w Olsztynie do porozumienia i odwołania 19 maja 1920 r. strajku plebiscytowego. Konsul Andrycz upominał się jednak o równouprawnienie Polaków. W piśmie skierowanym do Komisji Międzysojuszniczej domagał się: „1. Zrewidowania wszystkich list osób uprawnionych do głosowania; 2. Odroczenia daty głosowania do czasu sporządzenia nowych list, uwzględniających wniesione po rewizji poprawki; 3. Przygotowanie odrębnych urn dla osób urodzonych na terenach plebiscytowych, a mieszkających gdzieindziej, co pozwoliło na wykazanie, jakie znaczenie dla ostatecznego wyniku w plebiscycie miał udział tej kategorii głosujących.”<sup>8</sup> Na zgłoszone postulaty konsul nie otrzymał już odpowiedzi.

W sprawy plebiscytowe angażował się również Stanisław Srokowski, wówczas konsul generalny w Królewcu. Tworzył podstawy konsulatu w mieście nad Pregolą i obserwował niebezpieczne dla Polski walki Armii Czerwonej na południowych krańcach Prus Wschodnich. Miały one szczególny wpływ na wyniki głosowania. W raportach donosił o reakcjach Niemców na konflikt polsko-rosyjski oraz wciąż wieloznacznym stosunku Litwy do Polski, Rosji i Niemiec. W propagandzie upowszechniana była opinia o sezonowym istnieniu państwa polskiego. Srokowski objeżdżał teren plebiscytowy, dokonywał lustracji konsulatów w Olsztynie i Kwidzynie, odbywał rozmowy z działaczami polskimi na Mazurach i Warmii oraz Powiślu, rejestrował nastroje wśród Niemców, Warmiaków i Mazurów. Widział aktywność nacjonalistycznych organizacji niemieckich i brak polskiego poczucia narodowego u Mazurów. Przez to nie miał wątpliwości, że Polska nie miała żadnych szans na zwycięstwo. Ze swoimi spostrzeżeniami dzielił się w Warszawie z MSZ. Podsuwał myśl o zaniechaniu udziału w tamtym głosowaniu.

Po przegranym głosowaniu 11 lipca 1920 r., „dysponując całą siatką zaufanych informatorów [...] śledził niepokojącą sytuację polityczno-wojskową w Prusach Wschodnich i odpowiednie raporty przekazywał Poselstwu RP w Berlinie bądź do MSZ w Warszawie”.<sup>9</sup> Zwracał uwagę na niebezpieczną współpracę niemiecko-rosyjską, skierowaną przeciwko Polsce, chociaż oficjalnie Niemcy głosiły neutralność wobec wojny w 1920 r.

## 2

30 lipca 1920 r. konsul Czesław Andrycz opuścił Olsztyn<sup>10</sup>. Jego stanowisko objął Henryk Jarema Korybut-Woroniecki i kierował olsztyńską placówką do 11 października tego samego 1920 r. W sierpniu z udziałem konsulów: Stanisława Sierakowskiego z Kwidzyna,

<sup>8</sup> Komunikat MSZ o stanowisku rządu polskiego wobec fałszowania list osób mających głosować. w: *Plebiscyty na Warmii i Mazurach oraz na Powiślu*, op. cit. s. 390.

<sup>9</sup> J. Jasiński, *Stanisław Srokowski (1872-1950) geograf, pierwszy konsul generalny w Królewcu, autor prac o Prusach Wschodnich*, w: S. Augustiewicz, J. Jasiński, T. Oracki, *Wybitni Polacy w Królewcu XVI-XX wiek*, Olsztyn 2005, s. 302.

<sup>10</sup> K. Smolana, *Czesław Andrycz, w: Słownik biograficzny polskiej służby zagranicznej 1918-1945*, t. I, Warszawa 2007, s. 33-34.

właśnie Woronieckiego z Olsztyna oraz delegata MSZ Czesław Andrycza, Stanisław Srokowski przedstawił projekt, który przewidywał reorganizację urzędów polskich w Prusach Wschodnich w jeden okręg konsularny. Obok Konsulatu RP w Królewcu miały prowadzić działalność dwie agencje konsularne: w Kwidzynie (lub w Elblągu) i w Olsztynie.<sup>11</sup> Inny projekt przewidywał utworzenie dwóch konsulatów w Królewcu i Elblągu oraz trzech biur paszportowych w Olsztynie, Kwidzynie i Elku. Po wycofaniu Woronieckiego z Olsztyna, utworzono w tym mieście agencję konsularną, a urząd w Kwidzynie przekształcono w konsulat II klasy. Jednocześnie przystąpiono do tworzenia placówek konsularnych w Elblągu i Elku. Za organizację urzędu w Elblągu odpowiadał konsulat w Kwidzynie, a w Elku Konsulat Generalny w Królewcu. Dotychczasowy sekretarz konsulatu w Królewcu dr Filip Zawada został od 1 stycznia 1923 r. pierwszym konsulem w jedynym na Mazurach urzędzie konsularnym w Elku. W Elblągu ostatecznie zrezygnowano z tworzenia placówki.

Po wycofaniu Henryka Korybuta-Woronieckiego z Olsztyna kierownikiem Agencji Konsularnej został Józef Klemens Gieburowski (1889-1970). Mimo że 15 stycznia 1921 roku otrzymał nominację na kierownika wicekonsulatu w Kwidzynie, to nadal mieszkał w Olsztynie i dwa razy w tygodniu dojeżdżał do grodu na Liwę. Taki stan utrzymał się do 22 lutego 1922 roku, odkąd nominację na olsztyńską placówkę otrzymał Karol Ripa. Ten zaangażował się nadzwyczaj w życie narodowe miejscowych Polaków, co wywołało kilka napastliwym artykułów w prasie niemieckiej.

W tym czasie nastąpił nowy podział terytorialny Prus Wschodnich w obsłudze konsularnej przez polskie urzędy. Związane to było z przypisaniem określonego rejonu kompetencyjnego i ograniczało się głównie do spraw paszportowo-urzędowych. Do Konsulatu Generalnego w Królewcu przypisane zostały powiaty z północnej części prowincji wraz z naszym Węgorzewem, obecnie znajdujące się w obwodzie kaliningradzkim; do Konsulatu w Olsztynie: z dawnej rejencji olsztyńskiej powiaty Olsztyn, Reszel, Ostróda, Nidzica, Szczytno i Mrągowo; do konsulatu w Kwidzynie: powiaty z rejencji kwidzyńskiej: Kwidzyn, Sztum, Malbork, Elbląg i Susz oraz do wicekonsulatu w Elku: z rejencji olsztyńskiej Elk, Pisz, Giżycko oraz z rejencji gąbińskiej Olecko i Goldap.<sup>12</sup>

Władze niemieckie odnosiły się nieprzyjaźnie do polskich konsulatów w Prusach Wschodnich. Nie przyjmowały do wiadomości, że do podstawowych obowiązków polskich placówek konsularnych należała szeroko pojęta opieka nad Polakami, obrona ich praw, mienia, interesów. Zasada ta dotyczyła w pierwszym rządzie Polaków - obywateli Rzeczypospolitej za granicą, jednak w tamtym czasie po tylko co odzyskanej przez Polskę niepodległości, niewielu żyjących poza krajem mogło posiadać polskie obywatelstwo. Zwłaszcza tu, na południowej Warmii, gdzie od kilku pokoleń żyli Polacy, którzy czuli się związani z polską kulturą, posługiwali się polskim językiem.

Niemcy nie ukrywali swej wrogości. Na porządku dziennym były nieustanna obserwacja i inwigilacja polskich urzędników. W prasie niemieckiej rzucano bez uzasadnienia wciąż podejrzania o szpiegostwo i antyniemiecką działalność. Na skutki takich insynuacji nie trzeba było długo czekać. Szczególnie odczuli to konsulowie w Olsztynie. Wskazać można

<sup>11</sup> M. Szostakowska, *Konsulaty polskie w Prusach Wschodnich*, op. cit. 14.

<sup>12</sup> Tamże, s. 17.

na kolejne incydenty antypolskie, a więc już dzień po plebiscycie 12 lipca 1920 r. znieważono konsula Andrycza na ulicy Olsztyńska okrzykami, że ma się wynosić do Warszawy. Grozili mu pobiciem, ale jak im oznajmił, że użyje broni, odstąpili. Poza tym w nocy z 25 na 26 stycznia 1921 r. nieznani sprawcy znieważyli znów godło Rzeczypospolitej na budynku tym razem przy ulicy Cesarskiej, zasmarowali je klejem i zasłonili plakatami w języku niemieckim. W nocy z 6 na 7 marca 1923 r. zostało usunięte godło wraz z napisem, że jest to polski konsulat. Odnaleziono je po jakimś czasie. Wreszcie z 17 na 18 marca 1924 roku między godzinami 2 a 3 w nocy oddano strzały z rewolweru przez okno do wicekonsula Karola Ripy. Na szczęście sprawca chybił. Za to ostatnie zajście musiał przeprosić konsula sam minister niemieckiego Auswärtiges Amtu Gustaw Stressemann, bo miejscowe władze rejencji tego odmówiły, a za przyzwoleniem Poselstwa RP w Berlinie wszystkie urzędy konsularne w Prusach Wschodnich zostały zamknięte. O tych wydarzeniach pisała „Gazeta Olsztyńska”.

Aż trzy miesiące oczekiwano na wydanie zezwolenia na otwarcie Agencji Konsularnej w Elku. W tym czasie wydrukowano w „Lycker Zeitung” artykuł nawołujący mieszkańców do protestu przeciwko inicjatywie Polaków, którzy wynajęli lokal i chcą w mieście otworzyć placówkę konsularną. Czynią to, donosiła gazeta, w okresie, kiedy po wojnie w Elku brakuje mieszkań dla robotników. Przed siedzibą Agencji Konsularnej zebrało się około 100 demonstrantów, wznoszących hasła antypolskie i odśpiewali *Deutschland, Deutschland über alles*<sup>13</sup>. W Elku doszło też do zbeszczeszczenia godła. Zasmarowano je smołą. Poza tym w nocy z 29 na 30 czerwca 1932 r., kiedy placówką kierował wicekonsul Tadeusz Chęciński, nieznani sprawcy dokonali włamania do biura. Napastnicy splądrowali gabinet kierownika placówki, lecz nie zdołali otworzyć kasy pancerniej, w której znajdowały się tajne dokumenty.

### 3

W końcu lat dwudziestych XX wieku doszło do nowego podziału zadań pomiędzy poszczególnymi urzędami konsularnymi w Prusach Wschodnich. Wynikało to z potrzeby poszerzenia opieki nad rodzimą ludnością polską, zamieszkałą w południowej części Prus Wschodnich. Powierzono to konsulatu w Olsztynie, a Konsulat Generalny w Królewcu, który dotąd zajmował się tymi sprawami, przejął zagadnienia polityczne i handlowe całej prowincji. W tej placówce starano się opracowywać, także w oparciu o zgromadzone informacje przez pozostałe urzędy polskie, w miarę pogłębione koncepcje polityki Polski w stosunku do Prus Wschodnich. Wicekonsulat w Elku przejął opiekę nad polskimi robotnikami sezonowymi na tych ziemiach. Natomiast konsulat w Kwidzynie przyjął zadanie prowadzenia wszystkich zakresów powierzonych mu w powiatach powiślańskich.

Zmieniony podział skłaniał równocześnie wszystkie placówki do współdziałania w tworzeniu i realizowaniu jednolitego programu akcji polskiej we wschodniopruskiej prowincji. W tym celu organizowano konferencje konsularne, głównie w Olsztynie, który stał się głównym ośrodkiem wspierania ruchu polskiego.<sup>14</sup> Brali w nich udział konsulowie z Kwi-

<sup>13</sup> Prusy Wschodnie. Sprawa Agencji konsularnej w Elku, GO 1923, nr 74 z 8 IV.

<sup>14</sup> AAN, Pos. sygn.. 2874, k. 9. Pismo Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Warszawie do placówek konsularnych w Olsztynie, Kwidzynie i Elku z 9 IX 1929 r. Por. M. Szóstakowska, *Konsulaty polskie w Prusach Wschodnich*, op. cit. s. 17.

dzyna i Elku, a przewodniczyli im najpierw od 1 stycznia 1929 r. Józef Gieburowski, ponad 16 lat kierujący urzędami konsularnymi w Olsztynie i Kwidzynie, od 1 lipca 1934 r. konsul Antoni Andrzej Zalewski i wreszcie od 1 grudnia 1936 r. konsul Bohdan Jałowiecki. W warszawskim Archiwum Akt Nowych zachowały się protokoły z tych konferencji. Dotyczyły one działalności poszczególnych organizacji polskich na tych ziemiach, zajmowano się utworzonymi szkołami polskimi, najczęściej próbami pogłębiania pracy narodowej na Mazurach, kierowaniem dzieci z Warmii i Mazur na kolonie letnie w kraju, upowszechnianiem i czytelnictwem polskich gazet i czasopism.

Nowy podział zakresów działania polskich konsulatów w Prusach Wschodnich trzeba łączyć z powołaniem w Poselstwie RP w Berlinie referatu kulturalno-oświatowego. Kierował nim dr Eugeniusz Zdrojewski. W ten sposób starano się nie tylko uregulować kwestie związane z finansowaniem polskich działań narodowych w Niemczech, ale też zadbać o połączenie ich z interesami państwa polskiego, koordynacją tych działań w odniesieniu do wrogich Polsce enuncjacji prasowych, a tych im bliżej wybuchu II wojny światowej było coraz więcej.



*Budynek dawnego Konsulatu Polskiego w Olsztynie, fot. wikipedia*

Henryk Michalik

# PRZEJĘCIE JANOWA PRZEZ WŁADZE POLSKIE

## 16 sierpnia 1920 roku

Plebiscyt na Powiślu przeprowadzony 11 lipca 1920 roku zakończył się klęską Polaków, za którymi opowiedziało się zaledwie 7,58 % głosującej ludności. Jednak były gminy, w których za Polską padło więcej głosów niż za Prusami Wschodnimi. W powiecie kwidzińskim są to: Dubiel (72 %), Szadowo (77,78 %) i Tychnowy (59,09 %). W powiecie sztumskim: Straszewo (60,63 %), Trzciano (64,36 %), Stary Targ (50,13 %), Postolin (59,87 %), Górki (56,52 %), Stary Targ - Folwark (68,63 %), Buchwałd (50,50 %), Cygusy (68,63 %), Bawewko (52 %), Zajezerze (71,29 %), Czernin (76,04 %), Ramzy Wielkie (82,93 %), Dziewięć Włók (50,70 %), Mirowice (66,92 %), Michorowo (75,47 %), Pierzchowice (75,77 %), Dąbrówka Pruska (94,32 %), Pułkowice (67,27 %), Sadłuki (67,30 %), Ramzy Małe (60 %) i Krasna Łąka (51,55 %). Żadna z tych wsi nie została przyłączona do Polski. Natomiast naprzeciwko Gniewa, na prawym brzegu Wisły wyniki głosowania były następujące: Bursztyn za Polską głosowało 78,57 % (99 osób), Janowo 48,05 % (111 osób), Kramrowo 50,00 % (8 osób), Małe Pólko 44,44 % (12 osób), Nowe Lignowy 57,89 % (22 osoby). Na terenie tych pięciu gmin na 438 głosujących, za Polską głosowały 252 osoby (57,53 %).

Głosujący 11 lipca Polacy z wielką niecierpliwością czekali na wyniki plebiscytu, a następnie na decyzję państw sprzymierzonych. Wierzano, że ciężka praca agitacyjna wykonana przed dniem głosowania zakończy się sukcesem. „W okresie plebiscytu nie znaleźliśmy żadnych partii i stanów, czuliśmy się tylko Polakami i staraliśmy się swój obowiązek



*Ignacy Niklas*



*Tolleik Tadeusz*

w tej historycznej chwili spełnić. I tylko tej zgodzie i jedności mamy do zawdzięczenia, że Janowo jest dziś polskie.”

Jeden z członków janowskiej Komisji Plebiscytowej, Augustyn Czyżewski, jako pierwszy wywiesił w Janowie flagę polską, jeszcze przed ogłoszeniem wyników. Była to wielka odwaga, świadcząca o pragnieniu jak najszybszego połączenia z Macierzą. Tego spontanicznego kroku nie zapomnieli Prusacy, a prasa niemiecka napisała: „nadejdzie ten czas, kiedy ten polski król Janowa będzie musiał własnymi rękoma ciąć flagę polską na kawałki”.

Polska ludność pięciu wiosek na prawym brzegu Wisły wywalczyła sobie największy ideał ludzkości - wolność!

Już 12 lipca 1920 roku, a więc dzień po głosowaniu, kiedy znane były niepełne wyniki decyzji ludności na Warmii, Mazurach i Powiślu polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych wysłało pismo do Ministerstwa Spraw Wojskowych w celu wystąpienia do Komisji Międzysojuszniczych o przyznanie Polsce pewnych terenów. Tu powołali się na art. 97 traktatu wersalskiego w którym było powiedziane, że: „... poza uwzględnieniem wyników głosowania oraz położenia geograficznego i gospodarczego danych miejscowości, pozostawiony będzie Polsce na całym odcinku Wisły zupełny i całkowity nadzór rzeki, włączając w to jej brzeg wschodni na takiej przestrzeni, która może okazać się konieczną do jej uregulowania i ulepszenia.”

Dlatego oba ministerstwa czyniły starania opracowania odpowiednich polskich uzasadnień w celu przekazania ich Komisjom Międzysojuszniczym i Radzie Ambasadorów. Stosowna konferencja zwołana została na 15 lipca 1920 roku w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

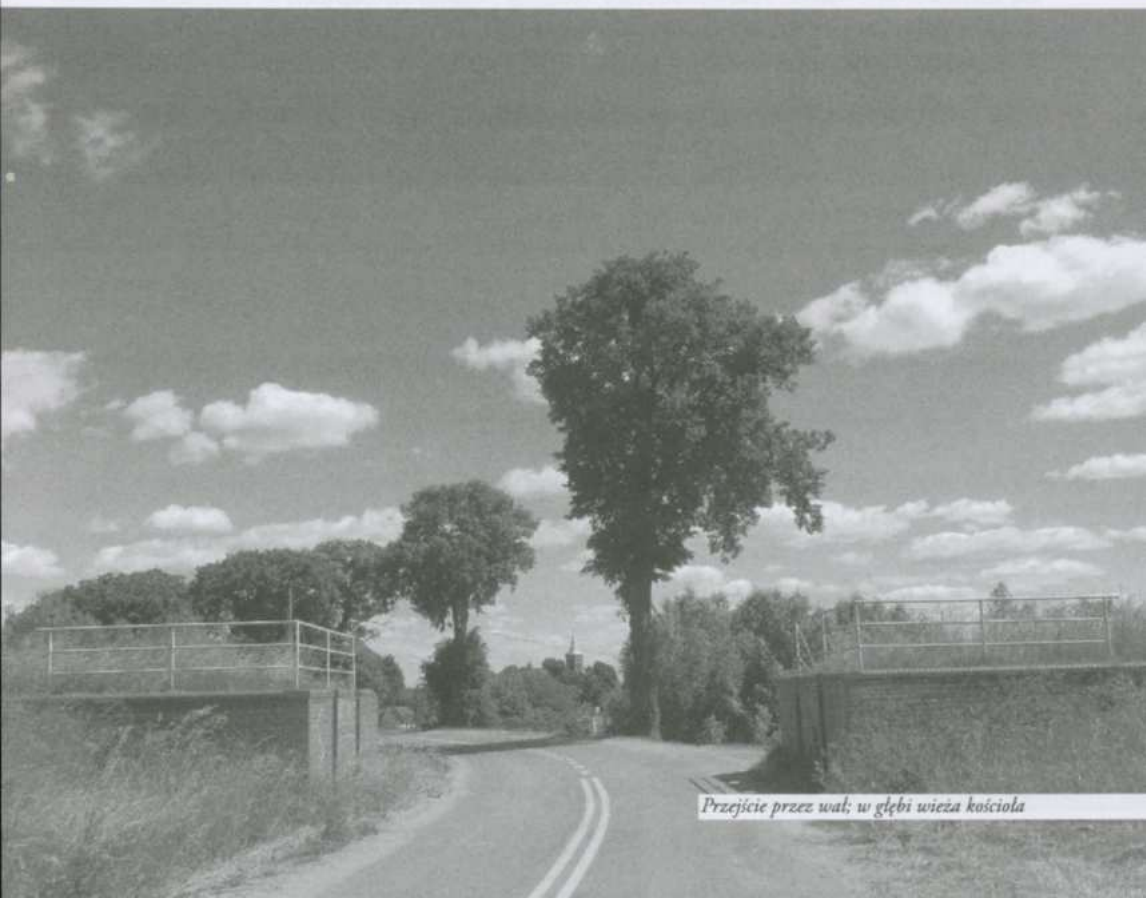
4 sierpnia 1920 roku Konsulat Generalny w Kwidzynie otrzymał pismo MSZ, w którym uzasadniano starania o przyznanie Polsce części terytorium plebiscytowego. W piśmie tym znalazły się załączniki uzasadniające konieczność kontroli Polski nad prawym brzegiem rzeki Wisły. Uzasadniano to pod względem gospodarczym, geograficznym, prowadzenia prac regulacyjnych i ze względów strategicznych.

Radość z wygranego plebiscytu w Janowie była wielka, ale co dalej? Informacje prasowe i „szeptane wiadomości” były różne, od bardzo optymistycznych do wręcz smutnych. Czekano, ale nie z założonymi rękami. Otóż w niedzielę, 1 sierpnia, na podwórzu pana Napiontka, janowscy działacze plebiscytowi zorganizowali pierwszy po głosowaniu wiec polski. Dotychczas najczęściej korzystano z gospody niemieckiej, ale teraz spotkali się ze zdecydowaną odmową. Trzeba było radzić inaczej i wykorzystać już wielokrotnie sprawdzone zdolności i zaradność organizacyjną Polaków. W ciężkich i niewygodnych warunkach, ale wiec się odbył. Odpowiedni „sprzęt”, w tym ławy do stołu prezydialnego i do siedzenia przyniesiono nawet od sąsiadów. Przewodniczył ksiądz proboszcz Ignacy Niklas, na sekretarza wybrany został Augustyn Czyżewski, a na ławników wybrano panów: Lewickiego i Kazimierza Krajnika. Po zagajeniu wiecu przez księdza Niklasa, który w podniosłych i serdecznych słowach, z wielkim wzruszeniem, powitał wszystkich zebranych i wspomniał o wielu tygodniach, a nawet miesiącach, ciężkiej, wytężonej pracy na rzecz Polski, zakończonej pełnym sukcesem. Ta jedność mieszkańców w dążeniu do upragnionego celu, często z narażeniem zdrowia i życia, przy nieocenionym zaangażowaniu sił i środków, z pomocą

Bożą, umożliwiła nam to świętowanie. Teraz możemy pełną piersią oddychać wolnością, którą sobie wywalczyliśmy. Następnie ksiądz Niklas zaprosił pierwszego mówcę, pana Odrowskiego, który w godzinnym przemówieniu „na sam przód ludności janowskiej” dziękował za wierność dla Ojczyzny, jaką okazała w dzień głosowania, oddając głos swój za Polską, zarazem podzielił się z wicownikami tą radosną nowiną, że według nadeszłych wiadomości z Paryża między innymi Janowo najprawdopodobniej przydzielone zostanie do Polski. Dalej mówca poruszył obecną sytuację Polski, przede wszystkim położenie na froncie bolszewickim, które uważa za poważne, jednakże żywi to przekonanie, że się niedługo ogromnie zmieni na naszą korzyść tem więcej, że pomoc ze strony koalicji zapewniona, a Francja już dziś nas wszelkimi środkami wspiera a w dodatku zapal w narodzie polskim olbrzymi, wiara w zwycięstwo niezłomna.”

Słowa te zrobiły na zebranych duże wrażenie i upewniły w wierze, że nadejdzie chwila zrzucenia pruskiego jarzma. Wiec zakończono odśpiewaniem „Boże coś Polskę”.

Paweł Chmura w artykule „Niemieckie roszczenia do Wisły” tak charakteryzuje ten bardzo trudny okres dla mieszkańców prawego brzegu rzeki: „Niemcy domagali się przyznania im całego terenu wraz z Wisłą, utrzymując, że byłoby to sprawiedliwym wprowadzeniem w życie 97 artykułu traktatu pokojowego, który wolę ludności uznał za jedyną podstawę do rozstrzygnięcia sporu niemiecko-polskiego o posiadanie Powiśla. O względach gospodarczych i ekonomicznych nie mówiło się zrazu.



*Przejście przez wał; w głębi wieża kościoła*

Wkrótce jednak spostrzegli się Niemcy, że zarówno Komisja jak i Rada Ambasadorów zastanawia się poważnie nad gospodarczymi i ekonomicznymi warunkami terenu oraz nad koniecznością przyznania Polsce nieograniczonych praw do Wisły i prawego jej brzegu. Zmienili więc taktykę. Wynik głosowania uznali za jeden z szeregu swych argumentów, a wszystkie wysiłki skupili w tym celu, aby przekonać Komisję i mocarstwa sprzymierzone, iż właśnie gospodarcze i ekonomiczne względy powinny skłonić ich do pominięcia „bezpodstawnych” żądań polskich i do przyznania zarówno terenu jak i Wisły wyłącznie Niemcom.”

Niemcy zdawali sobie sprawę, że swymi wywodami uda im się przekonać Anglików, na których poparcie bardzo liczyli. Rozpoczęli agitację prasową i dyplomatyczną, robili wiele szumu i krzyku o nieustanne zajmowanie Komisji i Koalicji sprawą Wisły.

W przeciągu trzech tygodni prasa niemiecka Powiśla umieściła 15 artykułów o Wiśle a równocześnie przedstawiciele ludności miejscowej niemieckiej, komitety, władze, urzędy i związki wysłały około 20 protestów na ręce swego rządu, do Komisji Międzysojuszniczej w Kwidzynie i do Paryża.

Nadal czekano na ostateczne decyzje komisji koalicyjnej, a czas nieubłaganie płynął. Mieszkańcy Janowa i okolic żyli w ciągłym napięciu. Nie uspakajały ich napływające informacje o możliwości opuszczenia terenu Powiśla przez Komisję Międzysojuszniczą i wojsko. Wprawdzie w prasie pojawiały się informacje zaprzeczające tym „sensacjom” niemieckim, ale niepokój był wielki. Przewodniczący Komisji Międzysojuszniczej w Kwidzynie Włoch Angelo Pavia po powrocie z Paryża uspakajał: „Zarówno komisja, jak i wojsko mogłyby opuścić teren tylko na wyraźny rozkaz, otrzymany z Paryża. Rozkaz taki do tej chwili jeszcze nie nadszedł.”

Dnia 12 sierpnia delegacja Polska otrzymała z Konferencji ambasadorów notę z podpisem pana Juliusza Cambona, w której zawiadomiono o decyzji powziętej w sprawie kwidzyńskiego terytorium plebiscytowego. Granica Polski idzie prawym brzegiem Wisły; od Piekła (punkt gdzie od Wisły odrywa się Nogat) ku południowi granica idzie wzdłuż tamy na odległości 100-200 metrów od prawego brzegu rzeki. Dopiero naprzeciwko Gniewa oddała się na półtora mniej więcej kilometra od rzeki, bo obejmuje pięć miejscowości, które głosowały za Polską i które zostały nam przyznane. Są to Kleinfelde (Małe Pólko), Kramershof (Kramrowo), Neu-Liebenau (Nowe Lignowy), Johannisdorf (Janowo) i Aussendeich (Bursztych). Potem znów przybliży się do rzeki, a na wysokości Kurzybrack (Korzeniewo) przechodzi tak blisko, że port rzeczny tej nazwy przypada Polsce, ale sama miejscowość wraca do Prus. Od Kurzybracka aż do granicy południowej kwidzyńskiego terenu plebiscytowego, ale wyznaczy ją na miejscu specjalna komisja techniczna, która już jest mianowana i która ma się niezwłocznie udać do Kwidzyna.

W jak lekceważący sposób podchodziły władze Koalicji do Polski i jak traktowały rząd polski świadczy ten komunikat PAT: „13 sierpnia na posiedzeniu Komisji Międzysojuszniczej w Kwidzynie i Komisji Granicznej ustanowiono tymczasową granicę terenu plebiscytowego. Na posiedzeniu tym byli obecni tylko przedstawiciele Niemiec, gdyż polskie władze nie zostały zawiadomione o posiedzeniu. Decyzja zapadła tedy bez porozumienia się z polskimi władzami.”

Musimy ciągle pamiętać, jaka była sytuacja wojenna w Polsce. Bolszewicy osiągnęli przedpola Warszawy i toczyły się niezwykle zacięte walki o uratowanie niepodległości. Zapowiadana pomoc z różnych powodów nie nadchodziła lub nadchodziła z wielkim opóźnieniem, a osamotniona Polska ratowała przysze losy Europy.

Polska Agencja Telegraficzna poinformowała, że „Prusom Wschodnim zostaje zagwarantowany dostęp i prawo używania Wisły zarówno dla mieszkańców jak towarów i okrętów. Jako legitymacja wystarczy Niemcom paszport, wystawiony przez kompetentne władze niemieckie. W poniedziałek 16 sierpnia nastąpi obsadzenie linii demarkacyjnej przez zainteresowane Państwa. Oddanie Polakom małego fortu przy moście kolejowym i 5 miejscowości po prawej stronie Wisły nastąpi o 10 godzinie rano wymienionego dnia. Wojskowy komendant włoski przeprowadzi związane z obsadzeniem formalności.”

15 sierpnia polsko-niemiecka komisja graniczna pod przewodnictwem gen. Charlesa Duponta ustaliła tymczasową linię demarkacyjną. Niemiecka straż graniczna i plebiscytwą miała opuścić teren przyznany Polsce 16 sierpnia o godz. 8<sup>00</sup>.

Dzień 16 sierpnia był następnym ważnym dniem dla ludności Janowa i pozostałych 4 wsi przyłączonych do Polski. Tego dnia o godzinie 10<sup>00</sup> miało nastąpić przejęcie ich przez władze polskie z rąk przedstawiciela Komisji Międzysojusznicej kapitana wojsk francuskich – Monmarin'a.



*Dom rodzinny Tadeusza Tollika*

W wieczór poprzedzający historyczny dla Polaków dzień, Niemcy zorganizowali poze-gnalną zabawę, na której głośno obrzucali obelgami Polaków i grozili zemstą. Wygrazali najbardziej aktywnym polskim agitatorom, wśród których byli m.in.: ksiądz Ignacy Ni-klas, Tadeusz Tollik, Augustyn Czyżewski. Dla zapewnienia bezpieczeństwa przed napada-mi niemieckimi zorganizowana została ochotnicza polska straż bezpieczeństwa, uzbrojona skromnie w kije, a nieliczni w broń palną. Wielu z najaktywniejszych agitatorów polskich tej nocy nie spędziło w domu, a ksiądz proboszcz Niklas licząc się z odwetem niemieckim schronił się pod schodami domu Juliana Soellnera. Próba zdemolowania plebani przez Niemców zakończyła się wybiciem szyb.

Tak wspominał te dni sierpniowe Tadeusz Tollik: „Dni poprzednie były szczególnie go-rączkowe, należało wszystko przygotować do obchodu i przyjęcia władz. Dla ugoszczenia władz i wojska każdy dał co mógł. Ja np. ofiarowałem m.in. barana. A nie zapomnę nigdy pewnej kobieciny, która ofiarowała kilka jaj.

- To bardzo ładnie, mówię do niej, że chcecie ofiarować jaja, ale sama będę macie, więc zatrzymajcie je.

- Zniosły je moje dwie kurki i ciułałam dla wojska naszego.

Nie miałem serca odmówić przyjęcia, a przecież owe dwie kury stanowiły cały majątek wieśniaczki. Tak dalej wspomina Tollik:

Nareszcie nadszedł oczekiwany dzień. Pomimo, że straż plebiscytowa (niemieckie woj-sko) miała nasz teren opuścić o 8 godzinie, już wczesnym rankiem nasi urządzali bramy tryumfalne, zawieszali girlandy i prawie z każdego domu powiewała chorągiew biało-czer-wona.

- Patrz, niemieckie wojsko wraca do Janowa, mówi do mnie moja siostra.

- Co teraz Niemcy chcą, nie mają prawa przychodzić! Ale u nich prawo to karabin.

Gdzie włoskie wojsko? Zawsze tam gdzie niepotrzebne.

Błysnęła mi myśl bronięcia się. Mógłbym bronić się przez 45 minut, które do nadejścia wojska polskiego brakowało, mógłbym się bronić, zamknąwszy się we dworze, mając do pomocy jednego wiarusa, kilka kobiet i broń o problematycznej wartości? Może, gdybym był wiedział, co później się dowiedziałem: że dzielni Janowiaczy zbierali się za wałem, go-towi na pierwszy odgłos strzału mnie bronić gołymi pięściami. Dowiedziałem się o tym za późno...

Niech panicz każe siodłać konia i ucieka, nam kobietom nic nie zrobią! Uciekać z sie-dziby moich przodków, którzy się tutaj przez półtora wieku bronili przed niemczyzną? – Nigdy!

Zaciąłem zęby i czekałem spokojnie na Niemców. Spojrzałem w oczy mych sióstr i upew-niłem się, że i one zgadzają się najzupełniej z moim postanowieniem.

Oficer, dowodzący oddziałem wojska, zażądał wydania rowerów i maszyn do pisania, które mi wczesnym rankiem tego dnia przysłał Warmiński Komitet Plebiscytowy. Rowe-rów i maszyn nie wydaję, stanowią one moją prywatną własność, kupiłem je. Niech Pan udowodni, pokaże umowę kupna. Takie drobnostki kupuje się bez pisemnej umowy. Niech

Pan pokaże rozkaz zajęcia tych rzeczy. Mam tylko ustny rozkaz. Zresztą nie czas bawić się. Niech Pan wydaje rowery! Nie wydaję!

Daję Panu 3 minuty czasu do namysłu!

A więc?

Nie wydaję!

To biorę!

Pan rabuje.

Padł rozkaz szukania i znaszania rowerów.

Niech Pan daje zaprzęgać do woza.

Nie daję ni koni ni woza.

Oficer wściekły wysłał jednego żołnierza po podwozy za „granicę” tj. do sąsiedniej wsi, pozostającej przy Prusach. Inni żołnierze znaszali ze spichlerza rowery – a było ich około 30 – i maszyny do pisania. W głuchej niemocy przypatrywałem się tej smutnej scenie. W kilkunastu minutach przybył żołnierz z podwodami, a z nim kilku cywilów. Ładowano zrabowane przedmioty na wozy. Nagle wystąpił jeden cywil, ze zdecydowanym ruchem wyciągnął spod marynarki długi mauzer wojskowy i wymierzył we mnie. Wtem wpadła między nas moja siostra, nie bacząc na niebezpieczeństwo życia. Prusak zmieszał się i cofnął broń. Siostra uratowała mi życie...

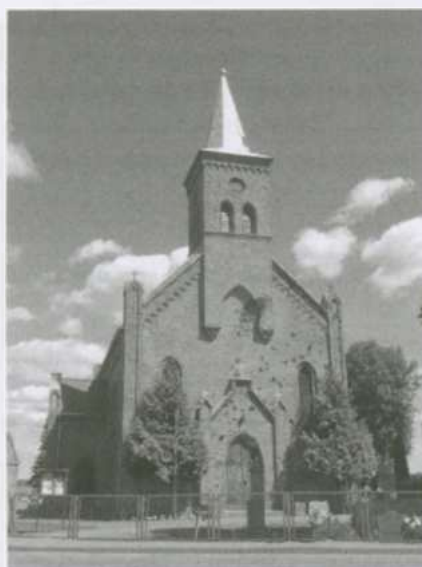
Oto wasza kultura, strzelać do bezbronnych! – krzyknęła moja siostra do oficera. Ten zawstydzony odebrał mojemu niedoszłemu mordercy broń i ze swym oddziałem, ze „zdobyczą” i cywilami opuścił Janowo, by więcej nie wrócić.”

Oto wasza kultura, strzelać do bezbronnych! – krzyknęła moja siostra do oficera. Ten zawstydzony odebrał mojemu niedoszłemu mordercy broń i ze swym oddziałem, ze „zdobyczą” i cywilami opuścił Janowo, by więcej nie wrócić.”

Na uroczystość przejścia oswoobodzonego prawego brzegu Wisły przybyli goście reprezentujący władze Rzeczypospolitej Polskiej, Komisję Międzysojuszniczą, duchowieństwo, działacze plebiscytowych z Janowa i Powiśla oraz mieszkańców. Byli m.in.: wojewoda pomorski Stefan Łaszewski, jako przedstawiciel Rzeczypospolitej, starosta powiatu gniewskiego Franciszek Czarnowski, do którego to okręgu teren ten został przydzielony, konsul Rzeczypospolitej Polskiej w Kwidzynie, hr Stanisław Sierakowski, prezes Rady Ludowej w Kwidzynie Tadeusz Odrowski, poseł na Sejm, ks. Aleksander Kupczyński, przedstawiciel Komisji Międzysojuszniczej, kapitan wojsk francuskich Monmarin.

Na czele ochotniczej straży obywatelskiej uformowanej w Gniewie liczącej około 150 żołnierzy przybyli porucznik Głowacki i podporucznik Klingenberg. Ochotniczo uczestniczył nieliczny oddział 65 p.p., dowodzony przez podoficera Jana Czaję.

Po przeprawieniu się na drugi brzeg Wisły, skierowali się wszyscy w stronę wału wiślanego odgradzającego Janowo od rzeki. Musieli pokonać prawie dwa kilometry zanim dotarli do wału wiślanego, gdzie mieszkańcy Janowa i okolic pozdrawiali dziarsko maszerujących żołnierzy. Witła ich wspaniale kwiatami udekorowana brama tryumfalna prowadząca na wał wiślany, przystrojona biało-czerwonymi chorągiewkami oraz mieszkańcy z dziećmi i młodzieżą szkolną z barwami narodowymi. Jedną z uczestniczek tych uroczystości Ma-



*Kościół w Janowie*

ria Komorowska wspomina ten dzień powitania: „(...) Uśmiechy i radość pojawiły się na nowo w naszej wiosce dopiero w dzień powitania wojska polskiego na naszej ziemi. Wtedy to szczególnie my dziewczęta wprost ścieliłyśmy drogę kwiatami przed wojskiem polskim. Radość była bardzo wielka, bo każdy wiedział, że odtąd dostaliśmy się na nowo pod ochronę swej Ojczyzny.” Dowódca oddziału Ochotniczej Straży Obywatelskiej uformowanej w Gniewie, Jan Czaja, tak wspomina powitanie: „Ludzie wyszli nam na spotkanie z chorągwiami. Na czerwonym tle każda miała wielkiego białego orła.”

Na odcinku około 400 metrów prowadzącym do kościoła znajdowały się kolejne bramy tryumfalne z napisami witającymi wojsko, przedstawiciele Państwa Polskiego i spełniającymi marzenia o przyłączeniu do Polski. Wszystkie budynki udekorowane były chorągwiami o barwach narodowych.

W czasie dokonywania aktu przejęcia brzegu Wisły, krótkie przemówienie wygłosił kapitan wojsk francuskich Monmarin, jako przedstawiciel Komisji Międzysojuszniczej. Następnie wojewoda Łaszewski mówił o historycznej chwili, kiedy do Macierzy wraca część ziemi, która przez wieki była jej własnością. Kolejny mówca, prezes Rady Ludowej w Kwidzynie Tadeusz Odrowski wzruszony powagą chwili, wypowiedział do zgromadzonego tłumu rodaków z nieoswobodzonego jeszcze terenu słowa pełne wiary i nadziei: „Do widzenia”.

Po akcie oddania brzegu Wisły wraz z przyznanymi Polsce gminami ruszył pochód spod bramy tryumfalnej, z Bursztycha do Janowa, przy dźwiękach orkiestry wojskowej. Wśród zebranej publiczności ciągle wznoszącej gromkie okrzyki szli na czele pochodu przedstawiciele władz państwowych, księża, miejscowi działacze plebiscytowi. W Janowie przy wejściu do wsi powitała komisarza Rządu Polskiego kompania Włochów, prezentując broń. Tu spisany został protokół przejęcia, komisja koalicyjna wraz z biorącym udział w akcie przejęcia konsulem Rzeczypospolitej hr. Stanisławem Sierakowskim, udała się dalej, celem przejęcia reszty obszaru przyznanego Polsce.

Zebrani mieszkańcy obszaru przyznanego Polsce na prawym brzegu Wisły z wojewodą Łaszewskim, z prezesem Rady Ludowej Odrowskim, posłem na Sejm Polski ks. proboszczem Kupczyńskim, starostą gniewskim Czarnowskim, kierownikiem okręgu janowskiego właścicielem Tollikiem oraz jego mężami zaufania, dzielnymi agitatorami na czele, udała się do odświętnie przybranego kościoła w Janowie, na nabożeństwo dziękczynne. Ogólne wzruszenie ogarnęło zebranych z całej okolicy, gdy ks. proboszcz Ignacy Niklas mówił o niezwykłej dla swej parafii chwili dziejowej, i wykazywał, „że oto, czego jesteśmy świadkami, to prawdziwie jest dziełem Bożym.” Po nabożeństwie odśpiewano z towarzyszeniem orkiestry „Boże coś Polskę”, po raz pierwszy z refrenem „Ojczyznę wolną zachowaj nam Panie”.

Po opuszczeniu kościoła, zebrane tłumy na cmentarzu powitał i przemówił ks. poseł Kupczyński, „który wskazując na cud, który wybawił ten obszar z kajdan niewoli, za wiodącą wolą Bożą, którą naród wybrany wiedzie drogami, sobie tylko znanymi, ku spełnieniu posłannictwa Bożego” oraz Bonifacy Chmielewski, redaktor „Gazety Polskiej” z Kwidzyna. Następnie Tadeusz Tollik zaprosił gości zamiejscowych i wojsko do swojego domu na obiad, gdzie już czekały zastawione stoły i ugoszczono żołnierzy w rogatywkach oraz

wszystkich przybyłych gości. Tu przemówił do przybyłych w serdecznych słowach gospodarz, powitał szacownych gości i wspominał o trudach walki zakończonej tym wspaniałym zwycięstwem. Zaprosił do obiadu, który wspólnym wysiłkiem został dla tak miłych i długo oczekiwanych gości przygotowany.

Natomiast uczestnicy manifestacji udali się wśród uroczystości przybranych zagród, w radosnym nastroju, ze śpiewem i wesołymi rozmowami do domów.

W tym samym dniu odbyło się obsadzenie tymczasowej granicy polsko-niemieckiej. W skład komisji wytyczającej granicę ze strony polskiej weszli m.in.: prezes Rady Ludowej w Kwidzynie Tadeusz Odrowski oraz z Janowa Tadeusz Tollik i Augustyn Czyżewski. Po wytyczeniu granicy, podoficer Jan Czaja, obsadził granicę wojskiem. W Korzeniewie żołnierze objęli w polskie władanie stoczną rzeczną, port zimowy i 3 domy. Akcją kierował porucznik marynarki Kleniewski. Żołnierzy rozkwaterowano w poszczególnych domostwach po 3-4 na jedno gospodarstwo. Wiosną 1921 roku oddział granicznej służby otrzymał koszarę pływającą na Wiśle. Od 1922 roku straż graniczna przejęła posterunki."

Na około 8 kilometrowym odcinku „pruskiej ziemi” zostało pięć gmin polskich otoczonych z trzech stron terytorium byłych Prus Wschodnich. Gminy te zostały przyłączone do powiatu gniewskiego. Od tego czasu zaczęto mówić o tej prawobrzeżnej enklawie „Mała Polska” (często też Rzeczpospolita Janowska lub Pięciowieś).

Niemcy nie mogli tego znieść. Bądź co bądź był to dla nich afront polityczny, wielki policzek jaki otrzymali od komisji koalicyjnej.

Z uroczystości przekazania Polsce prawego brzegu Wisły „prasa niemiecka zamieszczała pełne oburzenia artykuły. Nazywała ona akt ten rabunkiem prawego brzegu Wisły oraz naigrywaniem się z prawa samostanowienia ludności o sobie. Zaznaczała, że mimo niemieckich protestów i wyniku głosowania stworzono linię graniczną urągającą wszelkiej sprawiedliwości oraz prawdziwym potrzebom ludności."

Chociaż plebiscyt przegraliśmy, to walka plebiscytowa dała Polsce tę korzyść, że teraz Wisła od swych źródeł aż do morza jest w polskim władaniu, gdyż i na terytorium wolnego miasta Gdańska Polska pełniła nadzór nad rzeką.

Janowo odgrywało bardzo ważną rolę w „przemycie” Polaków uciekających przed aresztowaniem i śmiercią po przegranym plebiscycie. Tak wspomina swą ucieczkę Franciszek Broze: „Dnia 13 lipca 1920 roku miałem być aresztowany, o czym zawiadomił mnie Konsulat Polski w Kwidzynie przez Radę Ludową, która przygotowała i wręczyła mi odpowiednie papiery, po czym miałem uciec do Polski. Jadąc szybko rowerem, w pewnym momencie hamulec nie zadziałał i całą siłą uderzyłem o mur kościelny i rozbiłem sobie czaszkę. Dwaj znajomi, którzy mi towarzyszyli, podnieśli mnie i zabrali do Rady Ludowej. Stamtąd wywieziono mnie samochodem Konsula Polskiego w Kwidzynie do Janowa. Pod osłoną nocy rybak Czyżewski przewiózł mnie przez Wisłę do Polski."

18 sierpnia 1920 roku wystosowany został protest gmin polskich powiatu sztumskiego przeciwko przyłączeniu ich do Prus Wschodnich. Są wymienione 22 miejscowości i podane uzasadnienie protestu. Protest ten nie odniósł żadnego skutku, ale był dowodem na to, że Polacy nie pogodzili się z wynikami „farsy” plebiscytowej.

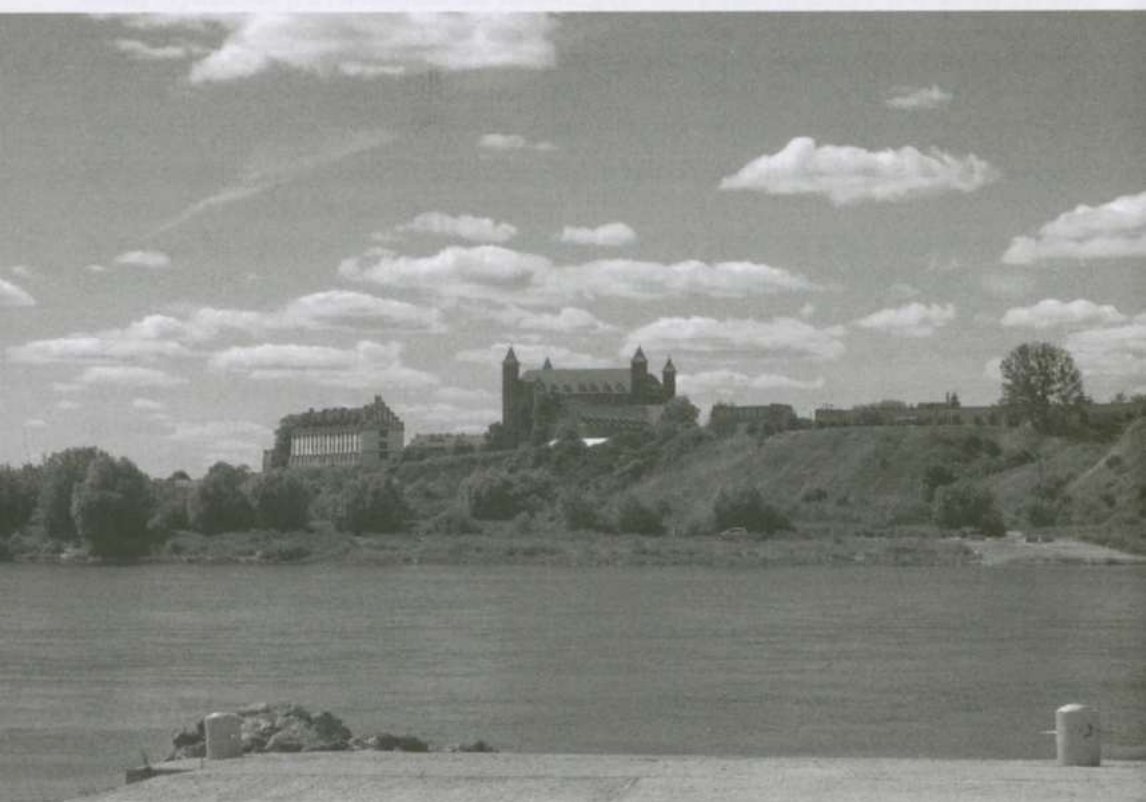
Jeszcze w tym samym miesiącu, 25 sierpnia, jadąc z Gdańska, przybył do Janowa wiceminister Dąbrowski, aby obejrzeć na miejscu pas, przyznany nam przez kwidzyńską komisję międzysojuszniczą na prawym brzegu Wisły.

Ludność miejscowa niemal wyłącznie polska, w liczbie około 700, utrzymuje w wysokiej kulturze rolnej te żuławy wiślane, stanowiące jedną z najbardziej żyznych gleb. Obecnie ludność ta odcięta jest kordonem niemieckim od Kwidzyna, a brakiem mostu od Gniewa.

Wiceminister Dąbrowski obiecał ludności, która entuzjastycznie witała powrót do Polski, że poczyni starania u rządu polskiego, aby w najkrótszym czasie stanął most pontonowy pod Gniewem i zniósł odcięcie ludności od Polski. Do Kwidzyna ludność może się udawać tylko za zagranicznymi paszportami. Stąd konieczność mostu.

Wiceminister odwiedził szkołę polską oraz posterunek wojska polskiego, zostający pod dowództwem porucznika Głowackiego.

27 sierpnia 1922 roku polsko-niemiecka komisja graniczna zadecydowała ostatecznie, że granica między Polską a Niemcami na odcinku Prus Wschodnich będzie biegła 20 metrów od rzeki Wisły. Ponadto Polsce przyznano miejscowości: Janowo, Bursztych, Kramrowo, Małe Pólko, Nowe Lignowy, port rzeczny w Korzeniewie, dworzec kolejowy w Gardei, przyczółek mostowy na Wiśle pod Opaleniem oraz 6 łąk nadwiślańskich.



*Dawna przeprawa promowa Janowo-Gniew, fot. H. Michalik*

Adam Langowski

## Plebiscytowe rysunki

## ZBIGNIEWA JUJKI

W 2019 roku, z okazji 90. rocznicy powstania szkoły polskiej w Starym Targu, Zbigniew Jujka przygotował zbiór rysunków, który w trakcie uroczystości jubileuszowych przekazał miejscowej szkole, noszącej od 1960 roku imię jego ojca, Franciszka Jujki. Prace nawiązywały głównie do szkolnego święta oraz codziennych problemów, z jakimi borykają się mieszkańcy gminy Stary Targ. Nie brakowało także scenek inspirowanych bogatą historią tej miejscowości i całego regionu. Autor wiedząc, że w rok po szkolnym jubileuszu przypadnie 100. rocznica plebiscytu na Warmii, Mazurach i Powiślu, podjął próbę stworzenia rysunków poświęconych również temu zagadnieniu. W teczce zawierającej prace dedykowane starotarskiej szkole odnaleźć można dwa plebiscytowe rysunki, które po raz pierwszy prezentujemy na łamach kwartalnika „Prowincja”.

Zbigniew Jujka urodził się 23 lipca 1935 roku, a więc niemal równo piętnaście lat po przegranej przez Polskę plebiscycie. Przyszedł na świat w Starym Targu, noszącym wówczas niemiecką nazwę Altmark. Była to duża wieś, w której ojciec przyszłego rysownika kierował polską szkołą mniejszościową. W głosowaniu 11 lipca 1920 roku mieszkańcy Starego Targu opowiedzieli się za przynależnością do Polski, chociaż przewaga polskich głosów była bardzo niewielka (391 za Polską i 388 za Prusami Wschodnimi).



STO LAT MIJĄ OD CZASU GDY ŻEROMSKI BYŁ NA  
WARMII, A TY DO TEJ PORY NIC JEGO NIE PRZE-  
CZYTAŁEŚ!

W 1920 roku Franciszek Jujka miał czternaście lat i właśnie rozpoczynał naukę w Seminarium Nauczycielskim w Rogoźnie Wielkopolskim. Pięcioletni okres nauki w tamtejszym seminarium wywarł prawdopodobnie decydujący wpływ na późniejszą drogę zawodową i życiową tego zasłużonego nauczyciela. Badacze zajmujący się postacią Franciszka Jujki przypuszczają, że to właśnie w Rogoźnie zetknął się on z rówieśnikami pochodzącymi z terenów plebiscytowych, co skłoniło go później do podjęcia pracy w oświacie polskiej w Niemczech<sup>1</sup>. Zanim jednak przybył na Powiśle, pracował przez jakiś czas w szkołach wielkopolskich, m.in. w Żodyniu, gdzie urodził mu się starszy syn, Janusz. W 1930 roku został kierownikiem szkoły polskiej w Nowej Wsi w powiecie sztumskim, a po trzech latach objął posadę w Starym Targu. Tam, jak wiemy, urodził się drugi syn, Zbigniew. Wcześniej, bo w 1933 roku, również w Starym Targu, urodziła się córka Maria.

Przyglądając się plebiscytowym rysunkom Zbigniewa Jujki bez trudu rozpoznamy charakterystyczny styl gdańskiego rysownika, znany z kultowego „Dzienniczka” – cotygodniowej rubryki w „Dzienniku Bałtyckim” prowadzonej przez niego od 1963 roku aż do śmierci w 2019 roku. Jeden z rysunków odnosi się do pobytu Stefana Żeromskiego na terenach objętych głosowaniem. Przypomnijmy, że celem wizyty tego wybitnego pisarza na obszarach plebiscytowych było wsparcie polskiej akcji propagandowej. Żeromski, któremu towarzyszyli poeta Jan Kasprowicz oraz krytyk Władysław Kozicki, odwiedził m.in. Kwidzyn, Prabuty, Sztum i Malbork, a swoje refleksje zawarł w reportażu „Iława – Kwidzyn – Malborg”. W świadomości mieszkańców Sztumu i okolic utrwaliła się nazwa „Dworek Żeromskiego”, jaką potocznie określa się dwór w Zajezierzu należący niegdyś do rodziny Donimirskich. Przed plebiscytem Żeromski odwiedził to miejsce, choć, jak zauważa Janusz Ryszkowski, pisarz chyba nie do końca orientował się, kto go podejmuje, bo w reportażu jako właściciela dworu wymienił Kazimierza Donimirskiego z Małych Ramz zamiast Augusta Donimirskiego pełniącego wówczas funkcję komendanta polskiej straży plebiscytowej<sup>2</sup>.

Ważnym elementem agitacji plebiscytowej z udziałem Żeromskiego, Kasprowicza i Kozickiego było wydanie odezwy do społeczeństwa polskiego zatytułowanej „Ratujmy ziemię nadwiślańskie”. Jej tekst, opublikowany w wielu krajowych gazetach, zyskał sporą popularność. Niestety, niemiecka akcja propagandowa była lepiej zorganizowana i skuteczniejsza od polskiej, do czego Zbigniew Jujka nawiązuje w drugim rysunku. Przyczyny polskiej porażki są oczywiście bardzo złożone. Historyk Wojciech Wrzesiński w zakończeniu swojej książki o plebiscycie na Warmii, Mazurach i Powiślu zwraca uwagę, że rząd niemiecki okazywał w tamtym czasie więcej energii, uporu i zaciełości, a polski obóz plebiscytowy cechowały niedostatki programowe i organizacyjne. Wrzesiński pisze też, że „Charakter społeczeństwa polskiego na Warmii, Mazurach i Powiślu powodował, że często było ono nieprzygotowane do samodzielnego działania. [...] Pojedyncze przykłady Mazurów, Warmiaków i mieszkańców Powiśla demonstrujących głęboki patriotyzm i zaangażowanych w walce politycznej były dopiero zapowiedzią kierunku rozwoju procesów narodotwórczych”<sup>3</sup>. Warto podkreślić, że polska świadomość narodowa była najbardziej rozwinięta na

<sup>1</sup> Zob. Z. Lietz, *Franciszek Jujka – nauczyciel, działacz i poeta*, Komunikaty Mazursko-Warmińskie, nr 1, 1964, s. 91; P.T. Nowakowski, *Franciszek Jujka: pedagog na trudne czasy*, Społeczeństwo i Rodzina, nr 57 (4/2018), s. 150.

<sup>2</sup> J. Ryszkowski, *W podróży po ziemi sztumskiej*. Tarnowski, Andriolli, Żeromski, Wańkowicz, Sztum 2010, s. 34-35.

<sup>3</sup> W. Wrzesiński, *Polska-Prusy Wschodnie. Plebiscyty na Warmii i Mazurach oraz na Powiślu w 1920 roku*, Olsztyn 2010, s.

Powiślu, przede wszystkim w powiecie sztumskim, co pokazują wyniki głosowania z lipca 1920 roku. Ważną rolę w podtrzymywaniu polskości na tych terenach odegrały ziemiańskie rodziny Donimirskich i Sierakowskich, które zabiegały m.in. o wprowadzenie nauki języka polskiego do szkół. Helena Sierakowska, stojąca na czele Polsko-Katolickiego Towarzystwa Szkolnego na Powiślu, przyczyniła się do powstania polskiego szkolnictwa mniejszościowego, w którym później z wielkim poświęceniem będzie działał Franciszek Jujka.

Zbigniew Jujka zastanawiając się nad motywami, jakimi kierował się jego ojciec, mówił w jednym z wywiadów: „Czy on musiał wyjeżdżać do Niemiec, kiedy mógł żyć spokojnie w Polsce? Ale niosło go, żeby tym Polakom, którzy tam zostali, żeby tam im coś jeszcze dołożyć, żeby tam ich uczyć”<sup>4</sup>. Możliwe, że gdyby nie przegrany plebiscyt, Franciszek Jujka nigdy nie pojawiłby się na Powiślu, a syn Zbigniew i jego starsza siostra Maria, nie przyszliby na świat w Altmarku, lecz w zupełnie innym miejscu.

Dodajmy, że rysunki o tematyce plebiscytowej zamieszczone w tym numerze „Prowincji” nie są jedynymi w dorobku Zbigniewa Jujki. W albumie „Historia Polski według Jujki” odnaleźć można rysunek zatytułowany „Plebiscyt na Warmii i Mazurach (1920)”<sup>5</sup>. Widać na nim grupę osób, wśród których stoją m.in.: pastor, ksiądz katolicki, chłopci oraz przedstawiciele inteligencji. W tle znajduje się polski sztandar, a z piersi zebranych osób wydobywają się słowa pieśni zapisane gotykiem „Noch ist Polen nicht verloren...”.

428-429.

<sup>4</sup> *Rysownik rodem z Altmarku – wywiad ze Zbigniewem Jujką [w:] 90 lat szkoły polskiej w Starym Targu, pod red. A. Langowskiego, Gdynia 2019, s. 14.*

<sup>5</sup> *Historia Polski według Jujki, Gdańsk 2001, s. 232.*



WIESZ KAŚKA, POLACY NA WARMII PRZEGRALI W 1920  
PLEBISCYT, BO NIEMCY ZNALI PEWNIENIE WIĘCEJ SPO-  
SOBÓW OGŁUPIANIA WYBORCÓW

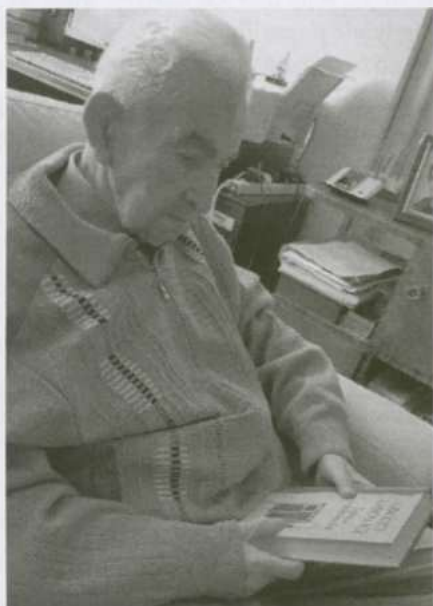
Krzysztof Czyżewski

## NOTATKI SŁÓW I OBRAZÓW (11)

### KANOWICZ

29 listopada 2019 rok

Ledwie przekroczyłem próg jego mieszkania, a dosięgło mnie spojrzenie nie z tego świata. Było takie już wtedy, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Grigorij Kanowicz w owym czasie na krótko powrócił do Wilna, przestał przewodniczyć tamtejszej gminie żydowskiej i niezmiennie pisał po rosyjsku. Pisanie rozumiał tak, jak jeden z jego bohaterów Icchak Małkin rozumiał sens życia, który „jest nie w pomnażaniu, lecz w nieprzerwanym odczytywaniu”. Przyjechał do Sejn, a potem ruszyliśmy w Polskę z „Koziołkiem za dwa grosze”, od Gdańska po krakowski Kazimierz, przez Warszawę, Lublin... Nie tyle zaglądał pod podszewkę świata widzialnego, ile spośród zgliszcz i popiołów spoglądał na świat przeze mnie zamieszkiwany, który jak świeży naskórek zablizniał się na powierzchni. I tak było też tym razem, w mieście Bad Jam, do którego dotarłem wschodnim brzegiem Morza Śródziemnego z Tel Awiwu przez Starą Jaffę.



Gęsta zabudowa kilkupiętrowych domów wzniesionych na piaszczystych wydmach. Na ulicach słychać hebrajski i rosyjski. Nieopodal niewielkie muzeum Holokaustu. Jest także Dom Szaloma Asza, którego życie rzuciło tutaj po latach spędzonych w Kutnie, Włocławku, Warszawie, Wilnie, Berlinie i Ameryce. Po śmierci autora „Miasteczka” w 1957 roku, dom ten stał się żywym centrum kultury jidysz, z bogatym archiwum i biblioteką, ciekawą kolekcją awangardowego malarstwa oraz tradycją spotkań pisarzy, tłumaczy i artystów; teraz na nowo odżywa jako część kompleksu sztuki współczesnej, w skład którego wchodzi także Dom Issachara Ber Rybaka, urodzonego w Kijowie pioniera awangardowej sztuki żydowskiej.

Mieszkanie państwa Kanowiczów znajduje się na ulicy Janusza Korczaka. Dzwonek, pierwsze piętro, uchylone drzwi i od razu ciepły uścisk pani Olgi. Pan Grigorij czeka w fotelu, ponad dziewięćdziesięcioletni, z polskimi słowami na powitanie. Przykłada dłoń do książki „Ballada o miasteczku” jak do bochenka chleba, jakby chciał sprawdzić czy po opuszczeniu drukarni trzyma jeszcze ciepło. Rozczytuje okładkę, dopytując mnie, w którym

miasteczku podczas naszej wspólnej podróży przez Litwę zrobiłem tę fotografię - na pewno nie w Janowie, ale może w Kiejdanach? w Wędziagole? w Wilkomierzu? „To moja *praszczalnaja*” - mówi o książce, którą ukończył pisać ponad siedem lat temu, wiedząc, że będzie jego ostatnią. Jedyne dług, jaki czuł, że ma jeszcze w życiu do spłacenia, to była opowieść o matce, a tym samym także o jego własnym dzieciństwie. Odarł ją całkowicie z literackości. Nie o zatarcie granicy między realnym życiem a fikcją tu chodzi, lecz o słowo dochowujące wierności prawdzie, jak własnej matce. A jednocześnie powieść ta pozostaje integralną częścią wielkiej sagi Żydów litewskich, których stolicą była Jerozolima Północy, a małym centrum świata miasteczko Janów pod Kownem. Saga Kanowicza to jedyna w swoim rodzaju świecka literatura mądrościowa, początkami sięgająca króla Salomona i religijnej tradycji żydowskiej. Niemal każda jej strona skrywa życiową maksymę podyktowaną przez doświadczenie losu mieszkańców sztetla: babki Rochy, lekarza Blumenfelda, bałagudy Pinchasa, mamy Henki Dudak oraz całej rzeszy ludzi innych zawodów, różnych sfer społecznych, kultur i języków. „Jedź, jedź. Ptak, kiedy za długo siedzi na gałęzi, może oduczyć się latać” - usłyszała Henke, przyjmując od ojca błogosławieństwo na podróż do ukochanego w obcym mieście. I tak od pierwszej po ostatnią stronę - mowa „świętych głupców”, która nie rozstaje się z mądrością zaskarżoną przez łzy i modlitwy.

Przeglądamy stare fotografie, rozmawiamy o przekładach książek pana Grigorija na różne języki i o milczeniu, które spotyka go w Izraelu, o braku przekładów na hebrajski. „Znalazłem tu najlepsze miejsce do życia, ale nie dom” - mówi. Dom Asza, Rybaka... Tak, ale Kanowicza? W tym świecie Kanowicz pozostaje bezdomny. Na moment do naszej rozmowy przyłącza się Siergiej, jeden z dwóch synów, dzwoniący z Brukseli by upewnić się, że doszło do spotkania, które pomagał zaaranżować. Zapewniam go, że „Ballada o miasteczku” została już rozesłana do polskich księgarń. Trudno jest przecenić jego pracę na rzecz upowszechnienia dzieła ojca w świecie. I trudno o wspanialszą rodzinę. Słowa, którymi podzielił się Grigorij i Olga już na pożegnanie, będą mówiły o tym, co najważniejszego przytrafiło im się w życiu - to mianowicie, że mają siebie nawzajem. Zatem nie rodziny dotyczy bezdomność Kanowicza. Dachy nad głową pozbawiony został pisarz i to ten właśnie brak stanowi o istocie jego pisarstwa.

Spojrzenie Grigorija Kanowicza błądzi po galaktyce miast i miasteczek pogranicza, w której wydarzyła się ostateczna katastrofa. Przed oczami ma litewskiego listonosza mówiącego do żydowskich krawców w jidysz, starą Żydówkę na targu po litewsku dopytującą pana Domejko, czy jego jaja są koszerne, zakochanych młodych mieszkających krew zwaśnionych rodzin, służbę wojskową łączącą w jednym szeregu różne religie i narodowości. Słyszy starego bałagudę Pinchasa, jak zaprzyjaźnionemu chrześcijaninowi tłumaczy przyczynę wszystkich ludzkich utrapień: „Bóg, panie Vladas, stworzył człowieka, a nie Litwina, Niemca czy Żyda, tylko nie pokazał, w jakim to miejscu ludzie bez żadnego znaczka na piersi mogliby się nie obawiać o swoje życie...” Na rozsypane po zakamarkach pamięci okruchy współistnienia nakładają się obrazy z czasu apokalipsy, kiedy ludzie ginęli nie tylko z ręki okupanta, także sąsiada.

„Grisza, pamiętasz?” - siedząca po drugiej stronie stołu pani Olga prowadzi go po ścieżkach dawnego królestwa, w którym „można wyplewić ogród, lecz nie historię”. On wymie-

nia z nią miłosne spojrzenie, a jednocześnie powraca wzrokiem do wewnętrznej ciemności, jakby był nurkiem oceanicznym zawładniętym przez chorobę głębi. Pisał książki podobnie jak Hirsch, jeden z bohaterów jego sagi, sadził drzewa w Ponarach - tak, by ich korzenie splatały się z włosami umarłych. Widzę go, siedzącego pod własnym portretem, mistrzowsko namalowanym jeszcze w Wilnie przez Adomasa Jacovskisa, prawie w ogóle nie opuszczającego mieszkania w Bat Jam, odgradzonego od świata wiecznym niezapomnieniem. Przypomina jednego z tych „niepotrzebnych Żydów” z parku bernardyńskiego w Wilnie, których tak wspaniale sportretował w jedynej swojej powieści opisującej (nie)życie po Zagładzie. Coraz bardziej był jednym z nich, może szczególnie Icchakiem, którego ogarnęło poczucie czegoś nieodwracalnego, co nie było jednak lękiem przed śmiercią: „poczuł, jak ciemności pochłaniają całe jego jestestwo, część po części, organ po organie, odpadające kolejno od niego jak kawałki lodu od kry, i z tym nieuchwytnym, bezbolesnym tonięciem Icchak nie umiał walczyć. Zapalisz światło czy nie zapalisz - nic się nie zmieni. Do innych ludzi i tak się nie do krzyczysz, nie dostukasz, nie dosięgniesz!”

Powracamy w rozmowie do czasu, kiedy razem podróżowaliśmy przez Litwę, i kiedy dał się namówić - nie bez oporu - na powrót do Janowa. Wskazał nam wówczas budynek, który kiedyś był synagogą, a w owym czasie mieścił piekarnię, zaznaczając, że sam nie chce do niej wchodzić. Po chwili rozmowy z ludźmi tam pracującymi, powróciliśmy do niego zachęcając, aby jednak dał się przekonać do wejścia do środka. Okazało się, że wiadomość o przybyciu Grigorija Kanowicza wywołała wielkie poruszenie wśród piekarzy; za moment przyjechał ich dyrektor, na stole rychło pojawił się wystawny poczęstunek, a po niewielkim upływie czasu ni stąd, ni zowąd ustawiła się kolejka miłośników jego powieści z egzemplarzami książek do podpisu.

Teraz w Bat Jam niemal niedostrzegalnie uśmiechnął się na to wspomnienie. Przebudziło ono w nim postać ojca, krawca z Janowa, który uważał pisarstwo za niebezpieczne zamiłowanie, mogące odwieść młodego człowieka od realnego życia i wyuczenia się prawdziwego zawodu. Zaniepokojony skłonnością Griszy do książek, któregoś dnia zabrał syna do Wilna i zaczął go prowadzić od jednej księgarni do drugiej. Zatrzymywali się przed każdą wystawą, a ojciec - wskazując na zapelnione książkami półki - powtarzał tylko: „Popatrz sobie! Popatrz!” Miało to znaczyć jedno - stworzono już niezliczoną ilość książek, w których opisano wszystko, co było do opisania. Jaki więc jest sens poświęcać swoje życie na napisanie jeszcze jednej, która będzie jak igielka w stogu siana? W istocie słowa ojca brzmiały „Gib a kuk”, bo to jidysz był ich mową rodzinną, a rosyjski późniejszym, świadomym wyborem pisarza. Zdarzyło się jednak, że pewna redaktorka czasopisma publikującego młodych literatów zwróciła na niego uwagę i wydrukowała jego pierwsze próby poetyckie, przestrzegając jednocześnie przed zaprzepaszczeniem talentu otrzymanego od losu. „Pamiętam dobrze, co mi wtedy powiedziała - oczy pisarza na moment nabrały blasku. - Patrz w gwiazdy, tam znajdziesz swoje imię, swój niepowtarzalny głos”.

W „Balladzie o miasteczku” odnalazłem opowieść, którą po raz pierwszy usłyszałem od pana Grigorija podczas naszej wizyty w Janowie. Poszliśmy wtedy nad brzeg Wilii. Pamiętał jak jeszcze będąc małym chłopcem zbiegał po spadzistej skarpie do rzeki. I pamiętał babkę Rochę, nie przypadkowo przez lekarza Blumenfelda nazwaną Samuraj, która - wygrażając

kijem - nie pozwalała mu przepłynąć na drugi brzeg, jak czynili to inni. „Czy kiedykolwiek przepłynął pan na drugi brzeg?” - zapytałem. Jak na koniec listopada, dzień był nadzwyczaj ciepły, przez otwarte okno do pokoju wlewał się szum Morza Śródziemnego. Usłyszawszy w odpowiedzi - „Nigdy”, nagle zdałem sobie sprawę, że ta opowieść ma drugie dno, wcześniej dla mnie niedostrzegalne. Choćby Rocha Samuraj nie wiem jak zapewniała małego Griszę, że na drugim brzegu Wilii są tacy sami Żydzi, więc szkoda uczyć się pływać, a tym bardziej ryzykować życie, przecież w istocie czekał tam na niego inny świat, ten, który miasteczko i jego zagładę pozostawiał za sobą. „Nigdy”. I znowu dosięgło mnie jego spojrzenie nie z tego świata.

## MAX I IZRAEL

5 grudnia 2019 rok



Tel Awiw, kafejka przy ulicy Allenby, nieopodal Domu Bialika. To jedno z moich ulubionych miejsc w mieście, nie tylko ze względu na poetę i jego muzeum, ale także architekturę, dzieło Josepha Minora, ucznia Alexandra Baerwalda, twórcy eklektycznego orientalizmu. Europejski modernizm tworzy tutaj kontrapunkt dla kopuł, ostrołukowych okien z wykuszami i orientalnej ornamentyki. Nim rozpocznie się wywiad, pytam dziennikarza, który zaprosił mnie na rozmowę, co słycać. „Mamy w Izraelu słowo najlepiej oddające naszą sytuację, choć pewnie dla pana, jak i dla innych przyjezdnych, trudne do zrozumienia: *balagan*.” „Pan wybaczy - odpowiadam - ale ja przyjeżdżam z Polski”.

Skąd to odczucie swojskości pod palmami, na wschodnim wybrzeżu Morza Śródziemnego, gdzie w hebrajskim języku kelner przyjmuje zamówienie kawy po arabsku z baklawą na przystawkę, przekładaną pistacjami i polewaną kajmakiem?

Kefar Sawa, taksówką czterdzieści minut jazdy z Tel Awiwu na północ, nowoczesny apartament w wieżowcu, drzwi otwiera Hilda. Wewnątrz dużo rodzinnych fotografii i niewielki „ołtarzyk” z portretów, płyt i książek Maxa Furmańskiego, jej męża, kantora i rabina zmarłego w wieku dziewięćdziesięciu lat. Wyśniła go sobie, oblubieńca. Przez lata odrzucała zaloty i oświadczyły młodzieńców. Piękna i promienna, narażała się na zarzut wyniosłości, nawet ze strony rodziców, gotowych nieba jej przychylić. Czekala uparcie. I zdarzyło się, że do miasteczka w Argentynie przyjechał z koncertem on, urodzony w Sejnach, ocalony z Zagłady.

Wspominając powroty Furmańskich do Polski, Hilda sięgnęła po skoroszyt i wyjęła z niego przebitą dziurkaczem, trochę pomiętą kartkę. Była to kopia listu Maxa, wysłanego do Pogranicza w połowie lat dziewięćdziesiątych, zaraz po naszym pierwszym spotkaniu. „Natychmiast gdy wyjechałem z Sejnów zrozumiałem i poczułem potrzebę wrócenia.” Pamiętał zaledwie kilka słów po polsku. To znaczy nie, nie do końca... Tak stwierdziłby zapewne w wywiadzie albo badawczej ankiecie. Przez lata obcowania z nim przebijała się do nas prawda inna, ukryta w głębszych pokładach pamięci, podświadoma. Podczas drugiej wizyty w Sejnach prowadzili, razem z Szewachem Weissem rozmowę z naszą młodzieżą, aż nagle, wzruszeni, jak na komendę zerwali się na równe nogi i bezbłędnie odśpiewali wszystkie zwrotki „Jeszcze Polska nie zginęła”. Najważniejsze wydarzyło się podczas ostatnich odwiedzin. Max przyjechał po wylewie, nie mówił, trudno było dociec co pamięta, mógł jedynie śpiewać. I zaśpiewał podczas wspólnego koncertu z Orkiestrą Klezmerską Teatru Sejneńskiego i Rafałem Rogińskim, który skomponował na tę okazję przejmujący utwór. Po tym, jak muzyka ucichła, nikt nie opuścił Białej Synagogi, w takt osobistych zwierzeń toczyła się poruszająca rozmowa z jego dziećmi. Max, siedzący pośród publiczności, niepostrzeżenie podniósł się, wskazał miejsce, w którym stał z ojcem podczas święta Pesach i w pięknej, bez obcego akcentu polszczyźnie zaczął opowiadać o życiu przed Zagładą. Do śmierci już mówił - z Hildą po hiszpańsku, z dziećmi i wnukami po hebrajsku, z przyjaciółką Meirą w jidysz, z nami po polsku.

„Posługuję się naszą krewną, która jeszcze pamięta język polski żeby wyrazić głęboki szacunek...”. Na marginesie notka od krewnej: „Proszę wybaczyć błędy ortograficzne”. I dalej Max dyktuje jej słowa: „Państwo ze swoim ciepłym przyjęciem dla mnie i mojej rodziny, obudzili potrzebę którą jak dotychczas nie odczuwałem. [...] Państwo zmienili we mnie moje stare przekonywania i zbliżyli moje myśli do Polski i do was. [...] Jeżeli czas mi pozwoli to zrobię wszystko co jest w mojej mocy, żeby powrócić do Sejnów. Czekam na wiadomości i plany na przyszłość w których bym mógł także ja znaleźć siebie.”

Krewna Maxa musiała pochodzić z naszych stron, gdzie przyimek „dla” używany jest ze swoją przestawką gramatyczną: „podziękuj dla pani”... Napisała więc „ciepłym przyjęciem dla mnie”. A może te słowa usłyszała od niego po sejneńsku?

Od Hildy i ich dzieci wiedzieliśmy, że Max przyrzekł sobie nigdy do Sejn nie powrócić. Ocalał jako jedyny z rodziny, zwycięzca dziecięcych biegów od synagogi do borku na skraju miasteczka, trzykrotnie ratujący się ucieczką z transportu do obozów zagłady. Rodzina знаła jego opowieści o dzieciństwie, ale nigdy nie udawało się jej namówić go do powrotu do miejsca urodzenia. Dopiero po przyjeździe do Auschwitz, gdy taksówką wyruszyli do Wilna, poprosił, aby zatrzymali się „na chwilkę tylko”. Zajrzał do synagogi, gdzie Teatr

Sejneński próbował właśnie scenę wesela z „Dybuka” Szymona Anskiego, i już został. Jego powrót stał się czymś więcej niż nową kartą w życiu rodziny Furmańskich. Stał się częścią także naszych „planów na przyszłość”.

„Co was przywiodło do Izraela?” - kilka dni później zapytała mnie uczennica szkoły w Ma'alot w Galilei. Co tam robiliśmy z Pograniczem, to jest osobna opowieść, w której spletają się różne odpowiedzi na to pytanie. Wtedy jednak pomyślałem o Maxie Furmańskiej. Odpowiedziałem jej, że dla nas to jest powrót, choćby niektórzy z nas byli tutaj po raz pierwszy. Opowiedziałem o Maxie i o tym, co sprawił swoim powrotem do Sejn. Związując rozmowę z nami w przestrzeni zerwanego mostu, Powracający - jak go czasem nazywaliśmy - rozszerzył perspektywę tego, co nasze sejneńskie. Otworzyła się możliwość powrotu na utracony brzeg, skrywany w podświadomości, fantomowy jak ból wciąż odczuwany po utracie części własnego ciała.

Odprowadzając nas do taksówki, Hilda przedstawiła nam swoją sąsiadkę, którą do Kefar Sawy los przywiódł z Łodzi i która dopiero tutaj zaczęła się uczyć hebrajskiego. Nie żegnaliśmy się, bo wieczorem czekało nas jeszcze spotkanie podczas koncertu naszej orkiestry na Uniwersytecie Telawińskim. Przyjechały razem z wnuczką Adrianą. Już po wszystkim podeszły do mnie i ze łzami w oczach mówiły jak są dumne z muzyków sejneńskich, z tego jak dojrzewają, a z nimi ich muzyka. Gdy Hilda po raz pierwszy ich usłyszała, Michał - dzisiaj senior orkiestry - był uczniem liceum i zaczynał grać na kontrabasie. Mówiły tak jakoś swojsko, jakby to była nasza bliska rodzina.

## LECH RACZAK

17 stycznia 2020



Grotowski, Krukowski, Osiński, Guderian-Czaplińska, Raczak... Styczeń ich zabiera, niemal dzień po dniu, z różnicą lat tylko. Wszyscy z królestwa teatru niezależnego. Nie tworzyli go z myślą o podziałach na instytucjonalne i poza. Ich teatr był tylko więcej niż teatrem; o tyle niezależny, o ile potrafił uwierzytelnić przekraczanie niemożliwego. Królestwo to graniczy na północy z *techné*, na wschodzie z *katharsis*, na południu z *oikos*, na zachodzie z *polis*. Praca duchowa znajduje tu oparcie w kunsztownym rzemiośle, a służba ludziom w obywatelskim nieposłuszeństwie i moszczeniu miejsca dla bliskiego spotkania z innymi. Jakość sztuki weryfikuje etos życia, a życie kontestowane jest tu przez sztukę. Owe „tu” jest słówkiem specjalnej troski - tu, nie gdzie indziej; w tobie i wokół ciebie; weź się za to, nie uciekaj, patrz mi prosto w oczy, skończ z tym sztucznym uśmiechem, nie wypływaj pamięci, nie uginaj lekko kolan, nie udawaj, że nic się nie stało. Niewygodne słówko; zwłaszcza dla tych, którzy domagają się sztuki odwracającej uwagę od rzeczywistości, zwalnającej z odpowiedzialności za „ja” i „my”. Trzeba o tym wiedzieć, by zrozumieć, dlaczego cenzura z całego spektaklu Teatru Ósmego Dnia wycięła tylko to jedno słówko w tytule „Musimy poprzestać na tym, co tu nazwano rajem na ziemi...?”. Na plakacie Wojtka Wołyńskiego zamiast „tu” jest puste miejsce.

Byłem mieszkańcem tego królestwa. Wprowadził mnie do niego Lech Raczak i T8D. Poznań mojego dojrzenia to byli oni. Dzisiaj uczniak, którym byłem, gdy ich poznawałem, powiedziałby pewnie „awatarzy”. Tak samo pracowała wówczas moja wyobraźnia, gdy obserwowałem mieszkającego po sąsiedzku, gdzieś przy skrzyżowaniu Libelta i Inżynierskiej, Adama Borowskiego i pojawiających się czasem przy nim przyjaciół. Swoi, a jednocześnie jakby zamieszkani przez istoty nie z tej ziemi. Ich sposób chodzenia, wyprostowana postawa, rozpuszczone włosy, niewymuszone gesty i uśmiech sprawiały, że wydawali mi się wyżsi od wszystkich innych – i wolni. Doznanie to spotęgowało się tylko, gdy zobaczyłem, jak tworzą teatr. To był czas, kiedy powoli rozstawałem się z marzeniem o zostaniu zawodowym piłkarzem Lecha. Ku zaskoczeniu moich rodziców i mnie samego dostałem się do liceum, zresztą tego samego, które ukończył wcześniej Leszek. Tak poznałem studentki polonistyki, będące na praktykach u nas w Paderku, czyli VI Liceum Ogólnokształcącym. To one jakimś cudem - bo sam bilet nie wystarczał, trzeba było jeszcze okazać legitymację studencką - wprowadziły mnie do klubu Od Nowa na nocny spektakl „Musimy poprzestać na tym, co tu nazwano rajem na ziemi...?”. Czytając „Spotkanie z chasydami” Stanisława Vincenza, miałem przed oczami moje pierwsze spotkanie z teatrem niezależnym. Byłem tym chłopcem, wspinającym się na palce, by zajrzeć przez rozświetlone okno do izby nad Czeremoszem, gdzie modlą się chasydzi: „Widok wciągnął mnie od razu w obcy świat. Jeszcze teraz wydaje mi się, jakbym wtedy zaglądnął przez tajemnicze szpary poza ściany zwykłego, codziennego świata. Wszystkie postacie ludzi były przeczarowane”.

Odkrywali wtedy teatr jako kreację zbiorową, co stało się ich własną, wyjątkową w świecie metodą pracy. Nawet w życiu pozateatralnym tworzyli grupę blisko ze sobą powiązanych silnych indywidualności, z dominantą polifonii równoprawnych głosów. Dostyc to było wyjątkowe na tle innych grup, zazwyczaj zdominowanych, jeśli nie sterroryzowanych przez autokratycznego lidera. W programie spektaklu nazwanego realizacją zespołową nie było reżysera, tylko nazwiska realizatorów w porządku alfabetycznym. A wśród nich Lech

Raczak. Dzisiaj myślę, że związane to było nie tylko z wypracowaniem oryginalnej metody pracy twórczej, ale że była to także ważna cecha charakteru Leszka, jego życiowa mądrość. Miał wokół siebie konstelację wspaniałych ludzi, młodszych, szybko, niemal w gorączce dojrzewających artystycznie i duchowo. Ewa Wójciak, Adam Borowski, Tadeusz Janiszewski, Marcin Kęszycki (przywołuję tych tylko, którzy przeszli z nim całą drogę od początków pracy nad „Musimy poprzestać...” w 1974 r. aż po „Ziemie niczyją” z 1991 r., ostatni stworzony przez nich wspólnie spektakl). Jasne, że napierali oni swoimi talentami, niezależnością myślenia i umiłowaniem wolności, ale to Leszek musiał umieć zrobić krok za siebie, mądrze się wycofać z pozycji reżysera-kreatora wszystkiego i otworzyć przestrzeń dla kreacji zbiorowej. W ten sposób przeżyli ze sobą blisko dwadzieścia lat, tworząc dzieła o wielkiej sile wyrazu, nieśmiertelne. Leszek stał się współtwórcą przedstawień, które były autorskim dziełem wszystkich biorących udział w jego tworzeniu, koordynatorem ich pracy, inspiratorem tematów aktorskich improwizacji, obserwatorem dopełniającym je uwagami zewnętrznego widza, razem z innymi odpowiedzialnym za skomponowanie spójnej całości dzieła. Podczas przedstawienia był wśród aktorów, którzy witali widzów i pomagali im zająć miejsce, a potem znikał gdzieś przy stacji operowania światłem. Ale przecież czuło się, że jest. Taka była ta jego jedyna w swoim rodzaju obecna nieobecność, która sprawiała, że jego nieuczestniczenie w spektaklu byłoby tak samo odczuwalne jak brak aktora. We wstępie z 1992 roku do postzapisów spektakli z tego właśnie okresu napisał o czymś, co chyba najlepiej wyraża ducha ich teatru: *W całym procesie – skomplikowanym mechanizmie inspiracji i współzależności, w gąszczu pytań, niepokoju, pomyłek i odkryć tracą wagę i sens jakiegokolwiek pytania o autorstwo pomysłów i zdarzeń. Ważne jest tylko jedno: bez współdziałania całego zespołu, bez oddania siebie innym nie powstałoby żadne z naszych przedstawień. I to właśnie znaczą zwrot „realizacja zespołowa” pod tytułami spektakli, i to samo znaczą nazwa Teatr Ósmego Dnia.*

Najwspanialszą realizacją zespołową, jaką w życiu widziałem, była „Przecena dla wszystkich”, następne przedstawienie po „Musimy poprzestać...”. „Widziałem” to mało powiedziane – byłem na tym spektaklu wielokrotnie, odbierałem go tak, jak się słucha muzyki Bacha, nastawiając płytę wciąż od początku, za każdym razem zamiast znudzenia powtarzalnością odczuwając coraz głębszą satysfakcję, jakby samemu z pamięci tę muzykę się grało. W którymś wywiadzie Leszek, utyskując trochę na Poznań, wspominał, że w czasie, gdy ich teatr prześladowały cenzura i ubecja, w innych miastach Polski mogli grać spektakle w kościołach, ale nie dotyczyło to poznańskich dominikanów, zazdrosnych wtedy o rząd dusz. Sam jestem dobrym przykładem tego rozdźwięku. Dominikanie to był mój kościół w Poznaniu, nie tylko z racji sąsiedztwa. Był rok 1977, ten sam, w którym Ósemki przygotowywały premierę „Przeceny...”, a u dominikanów pojawił się młody i charyzmatyczny ojciec Jan Góra, nas, licealistów, nowy duszpasterz. Wychodząc z domu, po kilku minutach dochodziłem do skrzyżowania Libelta ze Stalingradzką. Po lewo byli Dominikanie i „siedemnastka”, czyli niedzielna msza z ciekawym kazaniem ojca Jana, sacrosongami i mnóstwem znajomych. Na prawo akademik „Hanka” z salą teatralną Maski, w której grane były spektakle Ósemek i gdzie nie znałem nikogo. I nadszedł ten moment: ściskając w kieszeni banknot od mamy, który zwykle kładłem na tacę, skręciłem w prawo, by włożyć go do kapelusza Romana Radomskiego, który na wezwanie Adama, na ten moment szefa

Cyrku, razem z innymi aktorami ruszył do publiczności po ściepę na lekarzy i adwokatów dla prześladowanego teatru, a mnie oferował sprzedaż relikwii, czyli jakiejś wstążki od kostiumu z premiery. Przepena obejmowała wszystkich, także same Ósemki. Od tej pory każdej niedzieli miałem przygotowany banknot do kapelusza.

Nie pamiętam już dokładnie, ale pierwsze spektakle musiały chyba odbywać się bez zezwolenia cenzury, co oznaczało, że przed wejściem do sali musieliśmy wpisywać swoje nazwiska na jakąś listę. Potem ludzie pisali listy do cenzury, domagając się zezwolenia na pokazy przedstawień. I - w co wierzyć się nie chce - urząd bezpieczeństwa ustąpił. Nie wiem, czy zdarzył się drugi taki przypadek. To przedstawienie miało jakąś nadzwyczajną moc. Zmieniało mnie, moje życie, ale przecież nie tylko. Czulem to, czulem wspólne tętno z czasem historycznym i pokoleniowym. Była w nim naga bezpośredniość - w słowach napisanych przez zespół, w aktorstwie wyzwolonym z konwencji, w żywej muzyce Orkiestry Ósmego Dnia, w intymności niewielkiej przestrzeni, w której ci wewnątrz ocierają się o tych z zewnątrz. Ten moment, kiedy człowiek, całe życie śpiewający z gardła i ustawionym głosem, nagle odkrywa w sobie głos inny, spod przepony, biały, wyzwalający w nim dziecko i lot; może śpiewać wtedy nawet lament, a i tak będą w nim promiennosc i siła witalna. „Przepena dla wszystkich” była bezlitośnie szydercza, gorzka i okrutnie bolesna, a jednocześnie było w niej coś świetlistego, życiodajnego, oczyszczającego. Po spektaklu ludzie się do siebie uśmiechali, chcieli się żyć i coś zmienić.

„Serdecznie. Serdecznie. Serdecznie”. Do dzisiaj słyszę te słowa Adama, otwierające spektakl, z wibrującym „r”, jakby przystawiał młot pneumatyczny, by rozwalić nasz piękny świat. W tym świecie jest ciepłutko i bezpiecznie, rodzinka jest święta do czasu, kiedy pojawi się winko i nawalanka z wyzwiskami „ty nie jesteś Polakiem... ty Żydzie! ty studencie pierdolony!” - aż wszyscy połączą się znowu w sakramencie pieniądza i ruszą w procesję z okrzykami „patria! patria!”, przemieniającymi się w „partia! partia!”. Zaraz się uspokoją i wrócą do pielęgnowania swoich ogródków, w których wszystko trzeba wyrównać, żadnych szczytów, żadnych indywidualności. Chłopiec będzie musiał przyjąć lekcję o tym, że ma się trzymać rzeczy pewnych, unikać spojrzeń w oczy, wyćwiczyć uśmiech, lekko ugiąć kolana, wypluć pamięć i udawać, że nic się nie stało. W tym świecie lekarz jest jednocześnie szaleńcem, a pacjent z ofiary przemienia się w oprawcę, razem z innymi dołączając do „ścieżki zdrowia”, na której katuje się człowieka niesfornego. Siedzimy zamknięci w wąskiej izbie i dociera do nas, że diabeł - jak u Kołakowskiego - jest realny, tu, nigdzie indziej, nie dosyć, że pośród nas, to w każdym z nas. Nie jest wiadomo, gdzie kończy się teatr, a zaczyna życie. Już na samym początku przedstawienia reflektor wyłapuje członków zespołu, którzy przez aktorów przedstawiani są z imienia i nazwiska: Lech Raczak, Adam Borowski, Ewa Wójciak, Małgorzata Walas, Teresa Puto, Waldemar Modestowicz, Roman Radomski, Tomasz Stachowski, Marcin Kęszycki, Grzegorz Banaszak, Jan Kaczmarek. Zacierana jest granica między aktorem a osobą. Czy ona jeszcze gra, czy mówi coś od siebie? Może jest przerwa w spektaklu i zaraz znowu powrócimy do fikcji. Ale żadnego powrotu nie ma, wszystkie drogi ucieczki odcięte. Robi się nieznośnie. Zwłaszcza od momentu, kiedy białe kurtyny, o które opierali się widzowie siedzący w bocznych ławkach, zostają zerwane. Poszerza się wnętrze. Zewnętrzny azyl trzymającego dystans widza drastycznie się kurczy. Aktorzy od-

dają na przecenę idee, wielkie słowa i świętości, ale też samych siebie i swój teatr, jakby chcieli powiedzieć, że różne maski zła, które przywdziewają i zrzucają, są w nich samych, co dla mnie, teraz niby widza, znaczy: w nas samych. To przychodzi małymi kroczkami, niepostrzeżenie, razem z życiową drobnicą niby nic nieznaczących ustępstw i niby niewinnego konformizmu, aż chwyta nas za gardło, tak jak w tym pojedynku graczy na śmietniku walczących o łup peruki, w którym stawiający na dobrego człowieka ściska gardło przeciwnika jedną ręką i przegrywa z łamiącym bez skrupułów reguły gry, który dusi go oburącz. A ci, co bełkotali slogany zapamiętane z mediów i partyjnych pochodów, tchórze i gnidy, niepostrzeżenie wydzwignięci zostają do władzy, stają się ideologami i rządcami dusz z jedną obesją - by wybić tych wszystkich zboczonych, chorych psychicznie, nadwrażliwych, innych.

„Uspokój się, już dobrze, już dobrze, to tylko teatr” - mówił do człowieka pobitego na „ścieżce zdrowia” oprawca. Ale to był więcej niż teatr. Po raz ostatni spotkałem ich razem już w „Pograniczu”. Przyjechali z „Ziemią niczyją”, która w Białej Synagodze wybrzmiała przejmująco aktualnie. Również w epoce po 1989 roku burzyli ustawkę pięknego świata, obnażając nowe zagrożenia i nowe życie starych zagrożeń. Przyjechali rozbici, a pęknięcie między Leszkiem a resztą zespołu było głębokie. W celach klasztoru nad Wigrami, gdzie ich gościliśmy, potrzebowali naszej obecności, by spróbować jeszcze raz ze sobą porozmawiać i zagoić rany. Być może był to ostatni raz. Nadaremnie. Gdy czytam dzisiaj wyznanie Ewy po śmierci Leszka o tym, jak rozpacza, „że nie udało się pogadać mimo wszystko”, to choć trochę wiem, o czym mówi.

Leszek był dzieckiem Marca '68. Dla niego jako artysty doświadczenie to oznaczało zwrot ku rzeczywistości, tej najbliższej. Razem z Teatrem Ósmego Dnia dokonał mądrej i odważnej transgresji tego rozumienia i praktykowania teatru, którym zafascynowali go twórcy Teatru Laboratorium.

*Docieranie do prawdy o najgłębszych, ukrytych na dnie duszy źródłach człowieczeństwa powodowało przeżycia katartyczne widzów Teatru Laboratorium; w Teatrze Ósmego Dnia odkryliśmy, że podobne reakcje budzi teatralne, publiczne odkłamywanie życia społecznego, naszego codziennego życia w PRL. Pod warunkiem, że stoi za tym determinacja, spontaniczność, odpowiedzialność za gest i słowo – takie jak w zespole Grotowskiego.*

Tak pisał Leszek dziesięć lat temu w tekście „Mój mistrz”. Powinni go przeczytać zwłaszcza ci, dla których rozumienie wzajemnych relacji teatrów Laboratorium i Ósemek kończy się na tekście „Para-ra-ra”. W tym była wielka siła Leszka: potrafił napisać taki tekst w 1980 roku, „bezcelnie złośliwy paszkwil o pozateatralnych, »parateatralnych« doświadczeniach Teatru Laboratorium”, nie mogąc zdzierżyć tego, że jego mistrz „wyszedł z matcznika, by w sztandarowej audycji reżimu, w telewizyjnym »Wieczorze z Dziennikiem« opowiedzieć o swoim doświadczeniu”; i potrafił też na tym tekście nie poprzestać.

Nigdy nie przerwał rozmów z Grotowskim. Był na widowni Teatru Storchi w Modenie w 1989 roku. Grot mówił wtedy o wadze rzemiosła w pracy artystycznej, porównując sztukę do szczebli drabiny Jakubowej, które muszą być zrobione rzetelnie, by aniołowie mogli po nich zstępować. Wtórowali mu komentujący na tym spotkaniu jego pracę Georges Banu i Peter Brook, podkreślając rolę, jaką odgrywają w niej techniczna precyzja i jakość. Tymczasem Leszek dopytywał, gdzie są aniołowie zstępujący na scenę, których przecież

widział, a teraz rzemiosło przesłania wszystko. Rzadko kiedy czułem taką bliskość z nim jak wtedy, gdy czytałem jego notatki z tego spotkania: „A mnie zaszumiały w głowie słowa sprzed dwudziestu kilku lat: akt całkowity, ludzki czyn, działanie całkowite, przekraczanie niemożliwego, odkrywanie tajemnicy, proces wewnętrzny, a nie zręczność sztukmistrza...”. Choć były też oczywiście inne zdania Grot, które zanotował i podkreślił sobie grubą linią, choćby takie: „To, co w Kulturze jest najważniejsze i podstawowe, jest anonimowe”.

Po raz ostatni spotkaliśmy się ubiegłej wiosny, na debacie w Teatrze Dramatycznym o Grotowskim dwadzieścia lat po jego śmierci. Wcześniej wybraliśmy się razem na spektakl Studium Teatralnego „Prawda” w reżyserii Piotra Borowskiego. Przybyliśmy za wcześnie, zrobiło się trochę wolnego czasu, w pobliżu znaleźliśmy ławeczkę, jak gdyby nigdy nic weszliśmy w rozmowę o tym, co najważniejsze. Wiedział, że pora jest dla niego późna. Lubił przywoływać ten fragment „Ziemi Ulro”, w którym Miłosz spostrzega, że jest późno, „i w dziejach naszej małej ziemi, i w dziejach jednego żywota”. Nigdy mu wcześniej nie mówiłem o tym, jak ważna była dla mnie „Przecena...” - wtedy powiedziałem. Odpowiedział, że chce powrócić do niej przez „Braci Karamazow”, o których inscenizacji ciągle myślał. „Pamiętasz – przez swoją chorą krtań chrypiał już ledwie słyszalnie - Romka Radomskiego w końcówce spektaklu mówiącego tekstem Dostojewskiego o wszechpanującej głupocie? Przecież te słowa w ogóle się nie zestarzały”. Oczywiście, że pamiętałem... „Im głupiej, tym bliżej sedna rzeczy, im głupiej, tym jaśniej. Rozum zasłania się i wykręca, rozum jest podły, głupota zaś ucziwa i prosta”. Niewielu w życiu ludzi spotkałem, którzy byliby w tak silnej kontrze do głupoty jak Leszek.

Paweł Zbierski

# DZIENNIK KATALOŃSKI

## (8)

### ARTYŚCI ŻYCIA

Wszyscy oni wylądowali ostatecznie w Katalonii. Wszyscy przeszli w Paryżu rozmaite inicjacje i wstrząsy. Jednak dopiero u stóp masywu Canigó odzyskali prawdziwy ład serca. Krótko mówiąc, tak jak mi to wyznaje Erick – najważniejsze były bardzo osobiste motywy, a także niepowtarzalne smaki i zapachy :

-Moją pierwszą miłością, zanim pojawiła się Michèle, była Véronique. Była ze mną w szkole podstawowej. Wyglądała jak wyjęta żywcem ze znajdującego się w Luwrze portretu „La Belle Ferroniere” namalowanego przez Leonarda Da Vinci.

Erick urodził się w klinice w Paryżu w 15 dzielnicy: – W tym czasie aż do trzeciego roku życia mieszkaliśmy w budynku przy Rue Lepic na Pigalle z wesołą prostytutką i smutnym klaunem – w dwóch studiach na parterze. Mama zawsze mnie zostawiała pod opieką któregoś z nich, kiedy szła na zakupy. Dokładnie naprzeciwko naszej kamienicy Dalida wynajmowała swój komfortowy pokój. Nadwrażliwy Erick od urodzenia aż do dziś przespia w ciągu nocy najwyżej 2-3 godziny: – Od niemowlęctwa nocą zawsze czuwałem, zawsze byłem w gotowości, na wypadek jakiegoś kataklizmu. Tak jak przystało na ojca zastępczego – wyznaje Erick.

Matka Ericka studiowała w szkole artystycznej, gdzie nauczyła się technik kreatywnych, a następnie pracowała jako projektantka tkanin w Jensen. Jednak szybko musiała odejść z pracy i zająć się wychowaniem czworga dzieci. Z kolei ojciec uczył się sztuk pięknych w Paryżu i był projektantem architektury, a następnie zdobył dyplom architekta, już jako 40 latek.

Mimo rozmaitych koneksji i koligacji rodzinnych Erick okazał się już w Paryżu zdecydowanie bardziej typowym „chłopcem z dzielnicy” opisywanym przez Victora Hugo w „Nędznikach”, niż jakimś burżujem czy innym nudziarzem paryskim na każdym kroku udającym kogoś innego.



Portret Ericka, fot. archiwum

– Przeprowadziliśmy się do domku w Issy-les-Moulineaux, gdy miałem trzy lata. Ten dom został zbudowany przez mojego pradziadka, który był malarzem. Nazywał się George Marcel Burgaine, ten sam, który robił zdjęcia pierwszych lotów samolotem w Issy na początku ubiegłego stulecia. Malował także ze swoim sąsiadem, którym był Henri Matisse. W tym domu było 2500 obrazów wszystkich stylów i od początku stulecia. To z Issy-les-Moulineaux mam wiele miłych wspomnień, ale szczególnie dużo mam ich z naszego domu wakacyjnego w La Richardais niedaleko Saint Malo, takiego miasta wyspy. Pojechałem tam, popłynąłem, jako nawigator, bardzo wcześnie, w wieku już około 6 lat i od tego czasu wpadłem w taki nawigacyjny hazard, z wyjątkiem ostatnich kilku lat. Zresztą wszyscy we Francji nawigują – wszyscy chłopcy.

## ZAPACH OZONU I KATALOŃSKICH KIELBASEK

Erick, mieszkający dosłownie trzy domy od Galerii „Poray”, na moment się rozmarzył. Popatrzył nostalgicznie najpierw w kierunku wyrastającego po jego prawej ręce, roztopionego w gorącym popołudniowym słońcu – dziś akurat pomarańczowego – masywu Świętej Góry Katalonii. Zjawiskowość tego obrazu była porażająca, bo równolegle jeszcze ze słońcem świecił już także, na tle błękitu nieba, księżyc w pełni. Erick swoją parą zmęczonych oczu wykonał swoistą panoramę: od księżycy do słońca. Wkrótce potem – stojąc tak w tej swojej kracastej kurtce i z czarną brodą zmierzwioną na wietrze – opuścił smutny wzrok i zajął się czynnością bardziej przyziemną.

Energicznie, oburącz, kręcił z rozmachem w kółko młynka tą swoją mocno spracowaną drelichową kurtką. A wszystko po to, by w finale tej czynności cztery wielokolorowe, grube i dostojne kury z przeraźliwym gdakaniem i trzepotaniem piór z wysokości nieomal piętra upadały ciężko – na podobieństwo samobójstwa zbiorowego – jedna po drugiej, na granitowy bruk. Jakaś cholera przygnała je chwilę przedtem na kamienisty murek przydomowy, w pobliżu rozżarzonego do czerwoności rusztu. Tam dochodziły już do stanu idealnego, własnoręcznie przez niego wyrobione cieniutkie katalońskie kielbaski. To jedyne tak usytuowane domostwo w Saint Laurent – z ogromnymi drzewami iglastymi i liściastymi przed domem oraz kaskadowo ułożonym gruntem, na którym grudki skał przemieszane są ze ściółką leśną. Na licznych skarpach – na podobieństwo wielkich stanowisk archeologicznych – leżą porzucone i pozostawione zapewne po śmierci ukochanej kobiety pordzewiałe resztki narzędzi ogrodowych, zmiażdżonych wiader, sprasowanych rowerowych kół, a nawet fragmentów zabawek dziecięcych. Wygląda to wszystko dziko, magicznie i mrocznie – trochę jak fizjonomia samego właściciela tej czarnej, mocno zmierzwionej nie golonej już od trzech lat brody. Czyli wszystko to tak od śmierci Michèle.

\*

Przy ogromnym, drewnianym stole, w związku z tak zwanym częściowym „odmrożeniem”, usiadła wreszcie razem z Erickiem spora część gromadki jego przybyłych z różnych stron Francji dzieci – tych biologicznych i tych zaadoptowanych. A pod stołem miały się w pełnej symbiozie psy, koty i kury przegonione właśnie znad zadymionego rusztu grilla.

Kury i koguty są wrośnięte w kataloński pejzaż, podobnie jak psy i zwłaszcza koty. Każde katalońskie miasto, wioska, a nawet pojedyncze domostwo mają tutaj swojego głównego

kota rezydenta, któremu podporządkowane są wszystkie inne. Erick ma rezydenta stalowo-szarego, smukłego i wysportowanego, z granatowym połyskiem i w czarnej obroży. W jego cieniu jest drugi kocur: czarny i tłusty. Leniwy i wiecznie zaspany. Z kolei kogut wieńczy nieopodal domu Erica niejedną, pośpiesznie usypaną z żółtego żwiru, mogiłę na tutejszym katalońskim cmentarzu.

\*

Po wielotygodniowych wstrząsach zafundowanych w sąsiedniej, południowej Katalonii przez ruch wolnościowy z powodu drakońskich wyroków na liderów niepodległości (w złośliwej reakcji gwałtownie i bardzo brutalnie duszonych przez narodową policję hiszpańską) – wokół Galerii „Poray” zrobiło się nagle nadzwyczaj spokojnie. Jak ręką uciął. Trochę to było podobne do ożywczego, ciepłego deszczu po ekstremalnym wyładowaniu pioruna. Zapachniało ozonem. Szczyty Pirenejów pograżyły się na długie tygodnie w leniwych kłębach pary zawierającej życiodajne fluidy i pierwiastki pirenejskie. Zatrzymanie nagle życia arterii drogowej w Saint Laurent, czyli ruchu samochodów między terytoriami Francji i Hiszpanii, znów oddało pełny głos okolicznemu ptactwu, wraz z wieczornym pohukiwaniem sowy. Zarówno południowa, jak i północna część Katalonii, leżące po obu stronach Pirenejów, zapadły teraz w pandemiczny letarg. Oto za sprawą koronawirusa – jak pewnie wszędzie na świecie – nadarzyła się okazja by spokojnie przemyśleć własne życie,



*Eric z rodziną, fot. archiwum*

a nawet je przewartościować. Poznawało się dzięki temu znacznie lepiej najbliższych sąsiadów, takich właśnie jak Erick, który do tej pory wydawał mi się co najwyżej katalońskim pasterzem bydła i banalnym świniopasem. Poznawało się więc tych sąsiadów, ale sąsiedzi także znacznie lepiej poznawali teraz sami siebie, a w każdym razie znacznie intensywniej odczytywali własną tożsamość. Zresztą nie tylko Katalonia – cały przecież świat – od Ameryki, przez Daleki i Bliski Wschód aż po Europę, Afrykę i Oceanie – skurczył się z powodu koronawirusa nieprawdopodobnie, stając się z powodu globalnego zagrożenia znowu jednym, jedynym kontynentem, jak w erze dinozaurów. Wielkim złudzeniem optycznym nazwać tu więc można deklaracje liderów, a zwłaszcza dyktatorów państw narodowych, przywracających wszystkie postępy graniczne pod pretekstem walki z pandemią, bo głośno agitowali i atakowali sloganami, że tylko optyka narodowa zdolna jest zabijać wirusa. Przy czym – realnie – wszystkie oblicza nie tylko narodowe, ale także metropolitalne globu wyraźnie straciły swoje znaczenie na rzecz wartości prowincji.

No więc właśnie za sprawą pandemii i związanym z tym znacznym zwolnieniem życiowych obrotów dowiedziałem się – bo był wreszcie na to czas – że pierwiastek artystyczny dominował, a w każdym razie uzupełniał się, ze statusem świniopasa i pasterza w Ericku od „zawsze”. Jeśli więc czuł się choć trochę artystą, to artystą nie na sprzedaż i z pewnością artystą w znacznie szerszym niż tylko w merkantylno-estetycznym wymiarze. Czuł się bardziej artystą życia niż typowym paryskim dealerem sztuki, niż takim cinkciarzem z kalkulatorem w mózgu zastępującym szare komórki.

## ZAPACH OLEJU I DREWNA

Erick nie jest fanem masowych i ogromnie popularnych, ale nieudolnych imitacji skądinąd genialnego Klimta, które załęgły się w kolorowych tygodnikach i galeriach niczym karaluchy. Erick raczej – w odróżnieniu od bogatych, mocno okrzyczanych w mediach i niebotycznie śrubujących ceny dyktatorów: paryskich wytwórców wszelkiego kiczu – starał się podziwiać uczonych i artystów. Artystów zamiast wartych krocie tandeciarzy malarstwa. Podziwiać raczej wczesnego Picassa – tego samego, który zimą palił w piecu własne szkice, by choć trochę się ogrzać i późnego van Gogha. Oczywiście Victora Hugo, Prousta, a także – z innych powodów – Tolkiena, Blake'a i Heweliusza, a zwłaszcza Leonarda da Vinci. Wydał się także mocno zbliżony – poprzez szczególny rodzaj wrażliwości – do Sylvi Plath i Maryny Cwietajewej. Wydawał się nawiązywać do każdego, w kim dostrzegał ponadprzeciętną pasję do przekraczania horyzontu, nawet gdy miało to być bardzo boleśnie



Leonardo da Vinci, fot. archiwum

okupione: własną depresją, samotnością, kalectwem, śmiercią, wyszydzeniem. To był także – widziany później także z perspektywy świńskiej obory – kategoriyczny imperatyw: zdobywania gwiazd. To była pasja syntetyzowania sztuki, nauki i techniki z naturą, albo, jak kto woli, z przyrodą.

### TAK TO TŁUMACZY SAM ERICK:

– Wszystko po to, aby zrozumieć i odpowiadać na pytanie: jak to wszystko działa? Jakie są prawidła techniki? Ale także: jakie są tajemnice ludzkiej duszy? Jakie są jej ekstatyczne blaski i ponure, przynębiające mroki ludzkiej natury? Co człowieka wywyższa, a co spycha na samo dno? I czym wreszcie jest – oraz z jakich przyczyn wynika – predystynacja?

\*

Wygląda na to, że Erickowi – nie tylko w Paryżu – wyjątkowo bliskie były metamorfozy ludzkiej duszy, przypadkowość i nieprzewidywalność ludzkiego losu, swoista chybotliwość i wibracja egzystencji rozciągniętej między wzlotem a upadkiem, między triumfem a upokorzeniem, między miłosnym uniesieniem a bezpowrotną utratą najbardziej ukochanej osoby. Widzę to zwłaszcza, gdy Erick wpatruje się zachłannie w zawieszony wysoko tuż pod głównym stropem domu portret Michèle, gdy wraca swym wzrokiem do jej podobizny ukradkiem. Tak, by absolutnie nikt wokół nie przechwycił jego spojrzenia.

Z kolei gdy gwałtownie odpycha kury z rozżarzonego paleniska jego rysy twarzy nagle łagodnieją. Wydaje się – po pierwszym odmrożeniu pandemii – szczęśliwy, mając znów przed sobą całą furę własnych, a także adoptowanych dzieci.

– Od dzieciństwa bardzo dużo czytałem, nawet z latarką pod kołdrą, zawsze starając się czerpać z tej lektury coraz więcej i więcej. Ulepszając siebie, poprawiając – wyznaje Erick, który oprócz przenikliwego umysłu równie wysoko ceni w człowieku zmysł niemal zwierzęcy.

Najlepszym jego wspomnieniem Paryża są podróże do kilku konkretnych, opatrzonych numerami, dzielnic: siódemki, ósemki, a także dwójki, trójki, czwórki i szóstki. Dodajmy – jedynie podróże, bo za żadne skarby świata nie chciałby tam na dobre zamieszkać. Zwłaszcza ważny był zapach i dźwięk metra. A także pomieszanie bardzo określonych zapachów z tegoż metra: czyli oleju z drewnem i kobiecych perfum, „pocenie” się skór najwyższego gatunku okrywających ramiona kobiet. A wszystko pomieszane z tym szczególnym dźwiękiem silników elektrycznych. – To zdecydowanie była moja Madeleine de Proust! – mówi<sup>1</sup>.

\*

<sup>1</sup> Madeleine de Proust: to w kulturze francuskiej mikro-wydarzenie, które przywraca wspomnienia młodości Drobny czyn niosący silny ładunek emocjonalny. Proust nie miał szczególnej reputacji jako kulinarny twórca dobrych babeczek, a jednak Madeleine z Prousta jest znacznie bardziej znana w szeroko rozumianej kulturze Francji niż cała reszta dzieła tego pisarza zawartego w siedmiu tomach prozy. Madeleine nie ma też związku z jakąś nianią czy też przyjaciółką pisarza. Porównanie z Madeleine z Prousta nawiązuje do tych małych czynów, małych wydarzeń, zapachów, wrażeń, które nagle przywracają z głębi naszej pamięci odległe wspomnienia, często naładowane emocjami: *Nie wcześniej, gdy ciepły płyn zmieszany z okrucami dotknął mojego podniebienia, niż dreszcz, który przeszedł przeze mnie i zatrzymałem się, intensywny w sprawie niezwyklej rzeczy, która się ze mną dzieje. Wspaniała przyjemność najechała moje zmysły, coś odosobnionego, oderwanego, bez sugestii o jego pochodzeniu.* (M.Proust, W poszukiwaniu straconego czasu)

Przodkowie Ericka przybyli do Paryża wprost z Bilbao. Życie rodziny zatoczyło więc sporą pętlę: z Kraju Basków do Katalonii. Przez Paryż oczywiście. W stolicy Francji Erick – jak to sam relacjonuje – miał okazję żyć pełnią pięknych rzeczy:

– Tak było choćby w trakcie gal związku artystów organizowanych przez moją matkę chrestną Jacqueline Cartier, która była wtedy dyrektorem w Radiu France Soir. Sporo też słyszałem gry Higelina i Renauda występujących na Placu des Abesse niedaleko Montmartre. Przychodzi mi więc na myśl mnóstwo pięknych chwil. Przede wszystkim wizyta w Muzeum Historii Naturalnej, ponieważ w wieku 8 lat byłem bardzo zainteresowany dinozaurami i ostatnio dużo o nich czytałem. Nagle osiągnęliśmy dużą wiedzę na ten temat, przeprowadziliśmy bardzo interesujące dyskusje z miejscowym, muzealnym konserwatorem.

Fascynacja dinozaurami to także tęsknota Ericka za prehistorią świata, gdy planeta Ziemia pomimo swego bogactwa ówczesnej fauny i flory była jednym, jedynym, nierozdzielonym kontynentem. To dziś pozwala zrozumieć Erickowi, dlaczego na tak odległych ziemiach można odnaleźć tak bardzo podobne gatunki roślin i zwierząt...

\*

Z Michèle całkiem przypadkowo wylądowali w Saint-Laurent-De-Cerdans. – Tak naprawdę szukaliśmy dużego domu, ponieważ byliśmy w tym czasie rodziną zastępczą dla bardzo wielu bezbronnych, zagubionych młodych ludzi. Kupiliśmy więc tę sporą nieruchomością wraz z parkiem.

Nie zdążyli już odnowić tego zabytkowego budynku. Ten dom był jedną z fabryk espadryli (butów) w tej wiosce, na górze były mieszkania i duży warsztat w piwnicy. Został zbudowany w 1904 roku i od tego czasu był wielokrotnie przebudowywany.

Dziś w wielopiętrowym, katalońskim domu Ericka pochodzącym – podobnie jak dom sztuki „Poray” – z przełomu XIX i XX i przypominającym stary zamek kataloński budowany w średniowieczu z kamienia, centralne miejsce na parterze zajmuje prostokątny, pełen tysięcy różnych bibelotów, wielokolorowy salon z wysokim stropem, a pod nim wspomniany fotograficzny portret Michèle w metalowych ramkach. Od podłogi aż po sufit wypełnione jest to wnętrze przedmiotami tworzącymi swoisty mix historii naturalnej ze światem sztuki. W najbardziej reprezentacyjnym miejscu, przy kominku, ustawił Erick sporych rozmiarów przeszkloną gablotę obudowaną drewnianą sklejką, wentylowaną i podgrzewaną w taki sposób, aby stworzyć tam mikroklimat dla pary rzadkich stalowo-szarych jaszczurów do złudzenia przypominających dinozaury. Biorąc pod uwagę doświadczenia i obserwacje Ericka dochodzę do wniosku, że świat zwierząt może być ogromnie inspirujący nie tylko dla zoologa, ale także dla artysty, polityka, nauczyciela i kapłana. Wystarczy choćby spojrzeć na takie umiejętności opiekuńcze czy adopcyjne, niejednokrotnie bardziej perfekcyjnie rozwinięte u niektórych osobników zwierzęcych niż u ludzi, czy choćby taki piętnowany przez skrajne ideologie, zwłaszcza faszystowskie, homoseksualizm dość powszechnie praktykowany, a nawet u niektórych gatunków obejmujący siedemdziesiąt pięć procent całej populacji.

\*

Ustawiamy Ericka do rodzinnej fotografii, a on odczytuje listę. Tych obecnych: – David mój syn z pierwszego małżeństwa jest dyrektorem jednego z działów wielkiej kolejowej firmy SNCF. Mieszka ze swoją liczną rodziną w Cancale niedaleko Saint Malo. Nie widzę ich wystarczająco często, jak na mój gust ...

Syn – Aurelien Michel jest bardzo błyskotliwym człowiekiem. Jest psychologiem poznawczym specjalizującym się w wykorzystaniu rzeczywistości wirtualnej do leczenia i symulacji. Pisze właśnie wielotomową prozę – coś w rodzaju współczesnego Tolkiena. Obecnie nie jest w stanie znaleźć pracy, gdyż jest za dobrze wykształcony. I za dużo umie także w wymiarze praktycznym. Mieszka ze swoją partnerką, psycholożką kliniczną.

Enora to prawdziwy „Geek”, przejęła moją pasję informatyczną, ale to moja wina... Wychowała się w bardzo ważnym środowisku komputerowym. W naszym domu, który spłonął doszczętnie, mieliśmy 7 komputerów w sieci i tworzyliśmy muzykę. Trochę programowałem. Enora naturalnie jest zorientowana na grafikę komputerową i świat drukowania. Wyjechała do Kanady na szkolenie komputerowe, a później pracowała w międzynarodowej firmie, gdzie zajmowała się kontrolą jakości oprogramowania. Wróciła, by ze mną zamieszkać po śmierci Michèle. Ale także ona zamierza odejść, jak wszyscy. Odfrunąć dalej, jak gołąb pocztowy...

Maele szuka siebie. Ale spośród wszystkich naszych dzieci to ona z pewnością ma najbardziej artystyczny talent. Wyszkołała się jako fotograf, a jednocześnie śledzi wielu artystów. Ma naprawdę głęboką kulturę artystyczną. Wciąż chodzi po muzeach i kościołach. Maluje i tworzy biżuterię z żywicy. Bardzo podobają mi się te kreacje. Obecnie pracuje jako kasjerka w dużym markecie dla majsterkowiczów, ale mam nadzieję, że wróci do pracy, do której naprawdę ma talent.

Jeremy to dziś 39-letni chłopiec, którego przyjęliśmy do domu, gdy miał 15 lat. Mocno zaprzyjaźnił się z Aurelianem zanim go zaadoptowaliśmy. Początkowo mieszkał w lesie, ponieważ rodzice wystawili go przed drzwiami własnego domu, gdy miał 13 lat. Jak wszystkie nasze dzieci w wieku 13 lat kontynuował naukę w szkole i studiował edukację specjalną. Mieszka w Cerdanyi ze swoją partnerką Leą, mają czworo dzieci i sami są teraz rodziną zastępczą...

Erick krąży wokół stołu z dwulitrową butelką rosé – tego samego katalońskiego wina, które wieczorami pili z Michèle w parku. I roześmiani – trzymając się za ręce – ścigali we dwoje kury w poszukiwaniu kilkudziesięciu jajek ukrytych przez nie dość głęboko, pod najwyższym drzewem.

\*

–Pracuję od początku roku w La Ferme du Mont Capell z Nicolasem i Thérèse Miraile. To bardzo ciekawi ludzie, katalońska, żarliwie katolicka rodzina, która trzy pokolenia wstecz uciekła z Hiszpanii do Francji przed reżimem generała Franco. Z jednej strony są gorącymi patriotami katalońskimi, z drugiej ludźmi bardzo ciekawymi świata, bardzo otwartymi i tolerancyjnymi.

Po zakończeniu pierwszej kwarantanny w Saint Laurent wsiadamy więc z Erickiem do jego rozklekotanego auta i pokonujemy z nim drogę na Mont Capell do farmy Nicolasa

i jego skromnego, drewnianego domu umiejscowionego tuż pod szczytem góry. Ten sam odcinek, który z Galerii „Poray” w drodze na szczyt zdobywało się pieszo w ciągu całodziennej górskiej wędrowki, osiągamy teraz w ciągu zaledwie dwóch kwadransów robiąc slalom po wyboistej i kamienistej drodze i mijając pod stopami z prawa i z lewa otchłanie pirenejskich przepaści. Po drodze – zarówno z lewa, jak z prawa – przebiegają nam stada dzików. Od czasu do czasu gwałtownie hamujemy, bo drogę zachodzi osioł. Na spadzi-  
stych, soczystych zielonych łąkach pasą się białe lub brązowe cielaki. Wszystkie tworzą swobodną pirenejską symfonię potrząsając zawieszonymi na sztycach dzwonkami, na płóciennych wstążkach, z charakterystycznym deseniem: z ułożonymi równolegle i naprzemiennie czterema paskami: złotymi i czerwonymi. Drzę mocno na tylnym siedzeniu, bo Erick nie za-  
instalował z tyłu pasów bezpieczeństwa. Przyzwyczajony do codziennej, ekstremalnej jazdy w Pirenejach, spokojnie kontynuuje swoją opowieść.

\*

W życiu Ericka chwile bojaźni i drżenia następowały coraz częściej, wraz z szybkim odrastaniem od ziemi: – Moją największą traumą w Paryżu było uświadomienie sobie, że my jesteśmy tylko zombie! Uświadamiałem to sobie coraz częściej każdego dnia, zwłaszcza w transporcie publicznym. Bo to jest sytuacja, kiedy pozornie jesteśmy wszyscy najbliżej siebie, ale tak naprawdę najdalej. Bo – co właśnie wewnątrz tego transportu mocno się uzewnętrzniało – szliśmy w kierunku naszego życia, nie patrząc na siebie. Staraliśmy się tak patrzeć, aby nie patrzeć... Patrzeć w nicłość. Nic sami nie znacząc, nie licząc się.

Jak przystało na dorastającego i nadwrażliwego młodzieńca sporo w Paryżu eksperymentował z własnym ciałem, co niejedną raz musiało skutkować katastrofą, a nawet całą serią katastrof.

– Pozostaję w kontakcie z trzema lub czterema kumplami z dzieciństwa. Z ludźmi z mojego pokolenia. Było tam mnóstwo narkotyków i leków na AIDS. A wypadki będące tego konsekwencjami były wyjątkowo katastrofalne. Większość przyjaciół nie żyje. Ocaleli nieliczni: Philippe, cukiernik i szef kuchni, który zamieszkał w Stanach Zjednoczonych, Jérôme, który w szkole trenował ze mną grę w bule i który jest rzemieślnikiem w Bretanii... Są jedynymi, z którymi nadal mam kontakt. Dość długo się z tego podnosiłem.

Kobietą, która dosłownie spadła mi z nieba po pierwszym, krótkim i nieudanym małżeństwie, okazała się dopiero Michèle.

\*

## MICHÈLE, PŁOMIENIE I ŻYCIE ŚWIŃ

I oto najważniejszy chyba, trochę wykrzyczany na wydechu, rozdział wokół Michèle – kobiety jego życia, która przywróciła Ericka do świata żywych:

– Byłem trenerem w ośrodku na południu Francji. Szkoliliśmy się w zawodach żeglarskich, mieliśmy partnerstwo z lokalną misją, gdy spotkałem ją podczas targów żeglarskich. Michèle, która była psychologiem, podziałała na mnie jak balsam. Nie rozstaliśmy się nigdy przez całe 31 lat życia. Dopóki jej lekarz onkolog zakomunikował wiadomość

ostateczną. Właśnie od tamtego momentu Erick zapuścił brodę, której nie goli do dziś. Postanowił także – po odejściu Michèle – całkowicie zmienić sposób życia i podjąć całkiem nową pracę, jako świniopas i hodowca bydła u Nicolasa. Każdego dnia wstaje o czwartej rano, by pokonać stromą drogę na sam szczyt Mont Capell. Po drodze dopowiada swoją historię z Michèle. Zanim się poznali, każde z nich miało chłopca z poprzedniego małżeństwa, urodziły im się dwie dziewczynki, potem adoptowali kolejnego chłopca i następne jeszcze adoptowali dzieci. Byliśmy bardzo zjednoczeni, po prostu się przenikaliśmy.

\*

Codzienna rozpoczynana o czwartej rano harówka przy świniami pozwala nie myśleć Erickowi zanadto i nie pozwalala za bardzo wspominać. Każda ze świń ma swoje imię nadane osobiście przez świniopasa. Z każdym knurem, lochą, warchlakiem jest Erick za przyjaźniony. W końcu te świnie Erick codziennie karmi, poi i czyści. Wie wszystko o ich słabościach, a nawet o traumach najbardziej dramatycznych, takich na przykład, gdy jedna z loch zamordowała własne potomstwo, a potem tak lamentowała, że w końcu zaadoptowała cudze warchlaki i okazała się najlepszą maciorą w historii tej lokalnej katalońskiej hodowli. Obcowanie ze świniami pomogło Erickowi myśleć trochę inaczej o ludzkim triumfalizmie. Nabrać pokory wobec świń.

W końcu to naukowcy uznali już, że świnia wykazuje się poziomem inteligencji równym poziomowi trzyletniego dziecka. Dowiodły tego badania przeprowadzone w latach dziewięćdziesiątych, w których świnie nauczyły się poruszać kursorem po ekranie, a następnie używać go do odróżniania pomiędzy kształtami, które wcześniej poznały, a tymi, które widziały po raz pierwszy. Wbrew pozorom świnie są też bardzo czystymi zwierzętami: gdy, tylko mają możliwość, nigdy nie załatwiają się w pobliżu miejsca gdzie śpią bądź jedzą. Ich znakomity węch wykorzystywany jest przez policję w wykrywaniu narkotyków.

\*

Pokonani koronawirusem, a w każdym razie długą kwarantanną, mieszkańcy Saint Laurent odsypiali właśnie swoje lata ciężkiej pracy. Jedynie Erick czuwał. Dokładnie o drugiej w nocy 2 maja 2020 kamienica znajdująca się pomiędzy Galerią „Poray” a domem Erica nagle stanęła w płomieniach ognia sięgających od parteru aż po kominy. W sposób naturalny zagrożona została nasza wystawa malarstwa, ekspozycja piór artystycznych i nowiutki fortepian koncertowy. Na miejscu pożaru Erick pojawił się w ciągu zaledwie kilkudziesięciu sekund. Tuż za nim, z gaśnicą wielkości dużego motocykla przybiegł Aurelien Michel, a zaledwie o krok za nim biegła zdyszana psycholożka, czyli Christale. Rzecz wyglądała już groźnie, a nawet dramatycznie, gdy Aurelien położył się na ulicy, by dosłownie wypełznąć na czworaka z gaśnicą do zadymionego budynku. W ten sposób rodzina zastępcza uratowała budynek, zanim spłonął doszczętnie. Zanim przyjechali strażacy.

\*

– Moja pamięć o pożarach zawsze będzie przechowana bardzo głęboko w mojej świadomości i podświadomości – mówi Erick – To było dokładnie 27.12.1999 r. Podczas burzy

najpierw zerwało dach naszego rodzinnego domu w Correze. A wkrótce potem wybuchł pożar, który strawił dokładnie wszystko. Wszystko. To była prawdziwa trauma dla całej rodziny. Wszyscy mieliśmy wiele trudności z pokonaniem tej psychologicznej próby. Aż do dziś, gdy mogliśmy zrobić coś dobrego dla innych pogorzalców. – Chciałbym w końcu założyć studio artystów i oferować im rezydencje. Obok przygotować pokoje dla osieroconej młodzieży. Ale to projekt, który muszę samodzielnie sfinansować.

### **WSZYSCY SPOTKALI SIĘ W GALERII „PORAY”**

Erick wraz ze swoją rodziną należą do bywalców Galerii „Poray”, która pod szyldem Stowarzyszenia „My w Europie” działa w Katalonii Północnej. Oprócz rodowitych Katalończyków – takich jak farmer Nicolas z rodziną – są wśród nas Szwedzi, Japończycy, Austriacy, Anglicy, Afroamerykanie, Niemcy, Hiszpanie i oczywiście Polacy. Wszystkie drogi tych ludzi poprowadziły do Katalonii obalając medialne mity i stereotypy o jakimś ksenofobicznym i fundamentalistycznym separatyzmie miejscowych i o jakimś lęku przyjezdnych wobec autochtonów. Nieomal symboliczna jest historia Beatrice i Thierego, którzy wysoko w górach nieopodal Saint Laurent, w miejscowości Corsavy, dosłownie wbili się w jedną z pirenejskich skał i w tej skale wydrążyli własny dom. Beatrice jest stroicielką fortepianów i pianistką jazzową, Thierry reżyserem filmów dokumentalnych i pisarzem. Właśnie oglądamy dwie ostatnie jego poruszające produkcje filmowe zajmujące się problemem wolności i praw człowieka w Afryce: „Les Garage des Anges” oraz „Le Cinema des Anges”. Po doświadczeniach paryskich oboje rozpedzili się w Katalonii jako artyści. Thierry Nutchey tak pisze w liście do Galerii „Poray” o swoim nowym miejscu na ziemi: *W rzeczywistości ten*



*Beatrice i Thierry na tle swego domu, fot. archiwum*

*dom i ta wioska są częścią naszej historii, Beatrice i mojej. Kupiłem to na kilka tygodni przed naszym spotkaniem i pierwszy raz tam przybyłem, bo będąc u niej w Paryżu prawie się nie znaliśmy. Kiedy tam dotarliśmy, w skale zamontowano drzwi, a na drzwiach było małe gniazdo z pisklętami. Potem mgła uniosła się z dna doliny i dosłownie znaleźliśmy się w chmurze. Beatrice była pod wrażeniem skały, która dosłownie zanurzyła się w naszym pokoju. Myślę, że to są te małe rzeczy, które ją po prostu uwiodły. Stopniowo udało mi się ją przekonać, by przyjechała i mieszkała tu, w Katalonii, przez cały rok. Planowaliśmy jeździć tam i z powrotem do Paryża, do pracy – bo Beatrice bardzo kocha Paryż – ale po siedmiu latach nie jeździmy już do Paryża. Nie skończyliśmy odkrywać Katalonii, gór, kultury. Ale największą niespodzianką są ludzie, których tu spotykamy.*

W Galerii „Poray” byli już wielokrotnie, a teraz postanowili stworzyć autorski zespół jazzowy specjalnie dla Aleksandry Fontaine, by mogła tańczyć w Katalonii tak jak w Paryżu: do domu wykutym w skale zjechali więc na spotkanie założycielskie ciemnoskóry Gabi z żoną Pascaline, Aleksandra Fontaine i ja. Latem mają ruszyć próby.

Tymczasem w ogromnym zielonym wąwozie – tuż pod Saint Laurent ekologiczną farmę kóz stworzyli Antoine i Pascal, którzy też poznali się w Paryżu, ale ostatecznie – wraz z dwójką małych tanecznie uzdolnionych dziewczynek zacumowali w Katalonii. Pascal – malarz – ma za sobą traumę przeżytą na jednej z oceanicznych wysp, Antoine jako francuski żołnierz z trudem uszedł z życiem. Z Afganistanu.

Paweł Zbierski, Saint Laurent de Cerdans, 19 czerwca 2020

Fotografie i tłumaczenia : Aleksandra Fontaine



Paweł Zbierski, Beatrice, Gabi, Pascale, Thierry, fot. archiwum

Radosław Wiśniewski

# Listy do TYMOTEUSZA

## (I)

### 1. NIE JETE POLAK

Nie wiem, czy to dobrze Synku, że wychowawczynie Twojej grupy „Zajączki” w żłobku tak szybko zabrała się za wasze wychowanie patriotyczne. Dowiedziałem się o tym ostatnio, kiedy ubierałem Ciebie, a Ty bardzo mocno próbowałeś mi opisać co też się tego dnia działo w żłobku i machałeś mi przed nosem papierową flagą mówiąc: - Laga, to je laga. A ja myślałem o tym marszu w Warszawie, że rzeczywiście może być tak, że zacznie się od flag, a skończy na lagach i że jak to często bywa - możesz mieć rację, bardziej niż to komukolwiek się wydaje. A potem mówiłeś, że rysowałeś ozęła, a potem ciocia uczyła was wierszyka „Kto ty jesteś”. No to uderzyłem w ten ton, żeby sprawdzić jak ci działa pamięć: A kto Ty jesteś? Ty zaś się zmarszczyłeś zaraz ze złości, wystawiłeś rączkę przed siebie jakbyś chciał zatrzymać niewidzialną ławę pędzącej husarii i krzyknąłeś: - Nie, nie, nie! - Ale co nie? - zapytałem zdziwiony.- Nie, nie, nie jete Polak! I zanim zdążyłem wyjść z pierwotnego zdumienia pokazałeś na drzwi swojej grupy z napisem „Zajączki” i powiedziałeś stanowczo i powoli: - Ja nie jete Polak! Ja jete ającek! Kic-kic! kic-kic! I pokazałeś zaraz jak kica zajączek, żebym nie miał wątpliwości, a ja pomyślałem, że znowu możesz mieć całkowicie rację, bycie zającem to może być lepszy pomysł na życie i przetrwanie w tym dziwnym świecie.

### 2. MOK I WIK

Siedzieliśmy w przedsionku naszego domu. Poprosiłeś żeby zgasić światło, bo ostatnio bardzo kręcą Cię ciemności. Lubisz po ciemku szukać przedmiotów czy, co budzi nasze przerażenie, skakać po wszystkim na czym się da zrobić Op-op, na przykład na łóżku w sypialni, które ma jednak tę cechę, że nie wypełnia całego pokoju i gdzieś się kończy. I Ciebie oczywiście denerwuje, kiedy próbuję poświecić komórką, latarką namiotową, żeby wiedzieć i widzieć gdzie podrygujesz i jak bardzo niebezpiecznie zbliżasz się do krawędzi ała-ala-bam-i-o-nie. Ja tak muszę, a Ty nie musisz tego rozumieć ani popierać.

Było ciemno zatem, buszowałeś w butach, a ciemności przywodzą Ci na myśl treść bajek, jakie każesz sobie opowiadać popołudniem - o wiku, o moku, o misiui, ale głównie o wiku. Wik jak wiadomo ma długie zęby i mieszka w lesie. Próbuję Tobie wprowadzić wkładkę równoległą do głowy, że wik z bajki nie ma wiele wspólnego z wilkiem realnym, że wilk mieszka w lesie, do którego byśmy musieli jechać cały dzień i całą noc autem i jak byśmy

pojechali to byśmy go nie zobaczyli, bo wilk tak naprawdę jest zwierzęciem płochliwym, ostrożnym i znacznie więcej ma nam, ludziom do zarzucenia, niż my jemu. Poczawszy od wilczkobójstwa szczeniąt. No tak, ale złożoność przekłamań w relacjach między ludźmi a niektórymi gatunkami innych mieszkańców naszej planety to jeszcze nie na Twoją głowę. Więc staram się jakoś równoważyć, ale bez przesady. Wiem, że muszę wyklądać Ci świat w konstrukcjach zawierających jak najmniej sylab, a jednak znaczących.

Spodziewałem się jednak ciągu dalszego, kiedy zgasło światło i po zamknięciu przez ciebie drzwi z obu stron, zaczęłaś buszować w butach swoich, mamy, taty i siostry. Po chwili gmerania zapadła cisza, świadcząca o tym, że zbierasz się do wypowiedzenia jakiegoś ważnego oświadczenia i na wdechu wyrażającym bezbrzeżną fascynację, zdumienie oraz zaskoczenie powiedziałaś: - Aaaaliii noć! Noć je!

Coś mruknąłem, byle było, że widzę, że noc. Wiedziałem, że zmierzasz do tego, że je noć, to pewnie i gdzie je wik. I nie myliłem się, chociaż zarazem myliłem się tak bardzo. Noć je i wik w... w... w... lesie. - Uhm...ta, jest wilk. A ja nie boje wika!

Tutaj się trochę zdziwiłem, więc rzuciłem z niedowierzaniem w ciemność, z której mówiłaś - Niee? A Ty na jednym oddechu, jakbyś miał to już wcześniej przemyślane, ułożone, jakbyś był cały w natchnieniu dwulatka wyrecytowałaś bez zastanowienia: - Nie boje wika! Nie boje moka! Bo jete ja i mój tata! Pochyliłem tylko głowę, na wypadek jakbyś zapalił nagle światło. Bo to, co mi się zrobiło z oczami byłoby mi jeszcze trudniej wytłumaczyć niż to, dlaczego wik z bajki nie ma nic wspólnego z prawdziwym wilkiem z lasu, który bardziej boi się ciebie niż Ty jego.

### 3. SIOSTRA

Kiedy byłem mały synku, tak jak Ty - nie miałem siostry. Nie odczuwałem tego braku, bo świat jaki dostałem, był właśnie tym światem najlepszym jaki jest, bo jest. Innego nie było. Ale od pierwszej chwili kiedy się pojawiłaś, a nawet spory kawałek zanim się pojawiłaś oprócz mnie i Mamy czekała na Ciebie siostra. I tak mi zaczęło świtać, że coś chyba w dzieciństwie mnie ominęło. Bez niczyjej winy. Po prostu inaczej się ułożyło. Siostra czekała na Ciebie, kiedy ciebie jeszcze nie było. Razem z nią skręcałiśmy dla Ciebie łóżeczko, bo z Twoją siostrą mam taki układ, że nie składam mebli bez niej, bo ona bardzo lubi śrubki, śrubokręty, wkrętarki, instrukcje obsługi. I jest w tym dobra. Ona też narysowała najlepiej jak potrafiła kartce, którą przykleiła na drzwiach pokoju - samolot, samochód i czolg i napisała poniżej „Pokój najukochańszego brata”. A potem rwała się do noszenia ciebie na rękach, wożenia w wózek, bawienia ciebie grzechotkami, asystowania w pierwszych przewrotach na brzuszku.

Miała dość siły charakteru żeby zareagować kiedy włożyłaś sobie do buzi drewnianą grzechotkę gruszką do środka i nie mogłaś wyjąć. Myśmy z Mamą toczyli jakąś pilną rozmowę z zakresu tak zwanej codzienności, a ty siedziałeś w swoim foteliku i nagle zrobiłaś się cały czerwony, ale nie miałaś jak krzyknąć bo buzię wypełniała ci bez reszty drewniana gruszką grzechotki. Siostra natychmiast szarpnęła i wyrwała ci ją z ust. Przestraszyłaś się i zaczęłaś płakać, myśmy krzyknęli, a ona pomyślała, że to na nią i zrobiło się jej smutno i poszła do pokoju popłakać zamykając za sobą drzwi. Ale kto jak nie ona wymyślałby te wszystkie

najdziksze zabawy, na które rodzice są po prostu zbyt statyczni? Jak na przykład ta w której ty biegniesz do łazienki, kładziesz się na brzuszku, a ona ciebie ciągnie jak froterkę za nogi po podłodze, a ty tylko krzyczysz, że: - Heść! Heść! (Jeszcze! Jeszcze!). Nie można powiedzieć, że zawsze dostaje dobrą odpłatę za swoje oddanie. Potrafisz się zamachnąć na nią jak na każdego innego, kto przynosi ci złe wieści. Na przykład, że fajny misio, ale pora do żłobka. Z domowników to siostra była ostatnią osobą, która nauczyła się wołać imieniem, po Tacie, Mamie, Kici. Długo czekała cierpliwie, zanim powiedziałeś: - Nuna (Niunia). I dalej zdarza się, że wraca po dniu albo dwóch nie widzenia ciebie, a Ty na dzień dobry mówisz na jej widok: - Nuna ne! Ne, ne, ne! Jakby było mało tego, że Ty dostajesz aplauz za wszystko co zrobisz, a ona już ciężko pracuje w szkole na swoje uznanie i z roku na rok jest trudniej a nie łatwiej. Kiedy jednak patrzę jak biegniesz do siostry, żeby zrobić tuli-tuli, albo składasz buzię do przeprosinowego cmoka w policzek zaczynam rozumieć, że wprowadzie świat jaki dostałem jako dziecko, był najlepszym z możliwych, ale zazdroszczę Tobie, że masz starszą siostrę. Taką siostrę. Bo lepszej starszej siostry nie umiem sobie wyobrazić. Dlatego postaraj się nie mówić już „Nuna Ne”. To nic nie zmieni, bo ta niezwykła dziewczynka i tak dałaby się za ciebie pokroić, ale pamiętaj, że wedle wszelkich znaków na nie niebie i ziemi ta niezwykła, szalona dziewczynka będzie obok ciebie, kiedy mnie już nie będzie.

#### 4. MAŁY BUDDA

Nie wiedziałem synku, że rzeczy będą się działy w takim tempie, czytaj, tak szybko będzie wszystko przemijać. Zaczęłeś niedawno poprawnie używać słowa „ja”. Poprawnie czyli konwencjonalnie, po naszymu. Nasz świat zaczyna Ciebie wypełniać i znika Twój świat, bo mamy przecież cię przygotować do życia w naszym świecie, a nie nasz świat na ciebie. Wydaje mi się to niesprawiedliwe. I kiedy zacząłeś nagle poprawnie używać słowa „ja” - zrobiło mi się trochę szkoda tych lekcji Zen, jakich mi udzielałeś. Na przykład kiedy rozrzuciłeś ze złością klocki, albo cisnąłeś na oślep samochodzikiem, który nie był posłuszny twojej woli i Tata pytał z wyrzutem w głosie: - A kto to zrobił? Kto rzucił samochodzikiem? Kto tak rozrzucił klocki? Ty klepałeś się rączką we własną pierś i mówiłeś donośnym dziecięcym falsetem: - Ty! Ty! Teraz, kiedy mówisz wskazując na siebie „ja”, myślę, że tamta odpowiedź miała w sobie więcej prawdy niż obaj podejrzewaliśmy.

#### 5. NASZ PLAYGROUND

Synku, więc to jest nasz świat klasy średniej zakredytowanej do emerytury. Kiedy kupowaliśmy tutaj kawałek ziemi i kawałek domu sześć lat temu, z Twojego okna był widok na łany kukurydzy, w prześwicie ulicy widać było przy dobrej pogodzie Wzgórza Trzebnickie, wieże kościoła w Domaszczynie oraz Długołęce. Zaraz obok był sklep, żłobek, przedszkole, szkoła. Wyglądało nieźle. Droga była pełna dziur i gruntowa, ale pocieszaliśmy się, że przecież mieszkańców będzie przybywać, a zatem kiedyś gmina nam tutaj coś zrobi. Ciśnienie będzie rosło. Minęło sześć lat, ludzi przybyło, przybyło uliczek, domów, płotów, parkanów - drogi nie ma. Ludzie na płotach wieszają tabliczki „Kierowco, zwolnij, mu tu chcemy żyć!”. Plac zabaw jest jeden, kilometr dalej, poletko pięć na pięć metrów, huśtawka, zjeżdżalnia, ławka, jakiś konik na sprężynie. Nie rozpędzisz się. Tym bardziej, że trzeba do niego dojść tą pełną drogą, która jest jedną z głównych ulic naszej burżuazyjnej oazy

dobrobytu, pełną dziur gdzie przy słonecznej pogodzie jest pył i kurz, a przy deszczowej błoto, a przy każdej pogodzie - sznur samochodów. Bo ludzi mieszka tutaj coraz więcej, a ciągle brakuje autobusu, więc do ceny domu trzeba dopisać samochód albo dwa. Inaczej się nie da funkcjonować, bo wszyscy pracują w tym mieście, które widać czasem na horyzoncie, kiedy wybierzemy się na spacer w pola. Większość kierowców jeździ powoli, ale są tacy co zanim kupili dom już mieli wypasionego SUV-a więc gdzie mają pokazać, że za nic mają wertepy sąsiedzkie czy sąsiadów zgoła, jak nie tutaj? Nie widzę ich twarzy zza przyciemnianych szyb, ale domyślam się, że maluje się na nich wyraz satysfakcji, niemal seksualnej, kiedy na niskim biegu dociskają gaz i kamyczki aż lecą spod bufoniastych gum jak z garłacza - na wszystkie strony. A do tego Ty poruszasz się nieprzewidywalnie, więc ciągle mamy nieporozumienia i niesnaski aż wreszcie pokazujesz obiema rękami, że już dostać, niech Tata mnie niesie skoro tak. Idziemy zatem do Ko-ko które Ciebie lubią, a Ty je, ale ciągle stoimy w tumanach tego kurzu i kiedy nie mamy chleba albo kiedy Ko-ko są już najedzone - szybko tracą zainteresowanie. Wówczas zostaje nam dalsza wędrówka szczelnymi korytarzami wzdłuż płotów, parkanów, murów, żywopłotów w stronę „Orlika” gdzie czasem lubisz pobiegać z piłką w rączkach, bo jeszcze nie wiesz za bardzo jak ją odbijać, kopać, rzucać. Nie martw się, Tata się tego nigdy nie nauczył i już chyba się nie nauczy. Ale tam, po drodze też ciągle samochody, samochody i nieustanne klótnie, bo chciałbyś pobiegać, a ja nie za bardzo na to pozwolić. A ludzie się nam dziwili, że jedziemy na majówkę do Warszawy, a tam okazało się, że miasto mojego urodzenia i dzieciństwa ma swoje zalety, szczególnie że bazowaliśmy blisko centrum, a zatem blisko parków, skwerów, brzegu Wisły, placów zabaw. No i Muzeum Wojska Polskiego, gdzie zamiast wpaść w zachwyt nad sprzętem na dziedzińcu powiedziałeś tylko „Dudzi!” patrząc na jeden eksponat i zajęłeś się dmuchawcami oraz łańcuszkami oddzielającymi eksponat od takich jak my. Pomyślałem, że dokonałeś słusznego wyboru, a ja jestem głupi. Ale to tak między nami.

Zatem po sześciu latach nasza ulica ma być w końcu utwardzona, chociaż okazało się, że to nie takie proste, bo kupiliśmy dom, z częścią drogi, więc jej utwardzenie to już jest nasza sprawa, a nie firmy, która nam sprzedała dom i kawałek ziemi ani tym bardziej gminy. Wiem, że nie mam co Tobie tutaj marudzić, w zasadzie to drobiazg przy problemach jakie mieli i mają ludzie, którzy mieli mniej szczęścia do uczciwych lub prawie uczciwych deweloperów. Ale jest szansa, rów melioracyjny jest już oczyszczony. Jest szansa, że do kolejnej pory błotnej przynajmniej te kilka metrów przed naszym domem pokryje się swojskim polbrukiem i nie będę wysiadał prosto z samochodu w kałużę do kostek. Będę wysiadał na kostkę z suchymi kostkami. Z tą ulicą główniejszą, gminną, której nikt nam w kawałku nie sprzedał sprawa jest przegrana. Po pierwsze my wszyscy tutaj, którzy tu mieszkamy jesteśmy odwróconymi słoikami, jesteśmy elekcyjnymi śpiochami, nie stanowimy grupy wyborców dla władzy. Władza w związku z tym może sprzedawać kolejne poletka ziemi, kolejnym deweloperom i nic nam tu nie musi budować. To dlatego nie ma tutaj skweru, placu zabaw, namiastki parku, terenu rekreacyjnego. Chyba że masz swój w ogródku. Prawdziwi Wyborcy mieszkają w tej gminie gdzie indziej i mimo, że nas jest więcej - to tamci mają przewagę świadomości i zwartości grupy. Ale nawet jakby władza zechciała nam utwardzić tę drogę, zamiast przysyłać dwa razy do roku równiarke i dwie wywrotki kamieni do zasypania dziur to też nie będzie łatwo. Swoją drogą - wyrównywanie drogi powoduje

że do ludzi w SUV-ach dochodzą inni, którzy mogą nareszcie popędzić, pogonić swojego osiołka - i dziury dzięki temu pojawiają się znowu błyskawicznie, bo co drugi samochód wyrwa coś z gruntu. Ale wracając do trwałego utwardzenia drogi - zanim by to nastąpiło gmina musiałaby udrożnić rów pod drugiej stronie, a tamta strona drogi to już pole tego Pana co ma traktor, który tak lubisz synku („Dudzi!”). I on się nie zgadza, podobno, żeby mu na pół metra w szkodę ktokolwiek wszedł. I w sumie byłbym się złościł, ale ten Pan jest podobno taki sam wobec urzędu gminy jak i deweloperów. Byłby milionerem jakby sprzedał to pole, które dzieli nas od drogi głównej i ten dziki sad zaraz za polem, ale podobno powiedział:

- Póki żyję - nie sprzedam, będę uprawiał a dzieci mogą sobie biegać po sadzie i kraść dzikie, kwaśne jabłka. Więc nawet nie umiem mieć do niego żalu o ten rów. Rozumiem, że to cena za pole, sad, kawałek przestrzeni, że dzięki niemu jeszcze się nie dusimy. I nie umiem o tym właścicielu pola myśleć bez respektu i sympatii. Trochę z powodu tego traktora, który tak bardzo lubisz, a trochę dla siły charakteru jaką niewątpliwie posiada. Mam nadzieję, że wybaczysz nam, że na takie dzieciństwo Ciebie skazaliśmy, takim przebodliśmy ciebie playgroundem.

## 6. TATA NAPRAWI

Wzrusza mnie Twoja wiara w odwracalność. Trochę nie mam serca wyprowadzać Ciebie z błędu kiedy żegnasz się z zabawkami przed spaniem odkładając je na szafkę nad przebierrakiem, układając je obok siebie - Laktol, a to, kojakala (Traktor, auto, koala) - i mówisz do nich na dobranoc: - Haś, wa, si i husie! (Raz, dwa, trzy i wróć!). A rano się budzisz i kiedy jesteś wyspany, a przez to w dobrym humorze, mówisz do nich: - Jajaj! Jajaj! (Wstawaj! Wstawaj!) albo: - Husiłem! (Wróciłem!) Nie wiem jak mam ci powiedzieć, że zdarzają się jednak procesy nieodwracalne, że sam im podlegasz, chociaż na razie Ci się to podoba. Bo na razie zyskujesz, a nie tracisz. Na razie udaje mi się Ciebie jakoś chronić przed nadmiarem tej wiedzy i robię to tak udanie, że traktujesz mnie trochę jak cudotwórcę. Kiedy coś złamiesz, na przykład to drzewko ze zjeżdżalnią dla kulek, bo usiądziesz na gałęzi z plastiku, to Tata mówi, że zabierze teraz drzewko do siebie i naprawi. I naprawia wylewając trzy tubki superglue a oddając mówi żebyś już pamiętał, że nie wolno siadać na plastikowych zabawkach bo będzie, by zacytować nasz dialekt: „Trach!”, „Ba!”, a potem „O, nieeeee!”. A ty powtarzasz to ostatnie, żeby pokazać, że zrozumiałeś dobrze, o co Tacie chodziło. Na razie zatem udaje mi się odnajdywać w zakamarkach żłobka twoje ukochane czerwone Ato, z którym nie chcesz się rozstać na noc (awantura na skraju karnej puffy) i na czas pobytu w żłobku (dwie historie chwalebne o zagubieniu i odnalezieniu wspólnymi siłami z ciociami ze żłobka czerwonego Ato w ciągu trzech dni). I obok stosów książek, papierów oraz notatek do pracy na biurku urządziłem ambulatorium dla niepełnosprawnych zabawek, które dawałeś mi do ręki mówiąc tylko: - Tata, tata, tata, tata! Bo przecież reszta była oczywista. Tata weźmie i wskrzesi, odrośnie co urwane, złoży co połamane. I będzie można bawić się dalej, jak gdyby nigdy nic. Nie mam serca Ci powiedzieć, że jest i będzie inaczej. Nie tylko z zabawkami. Na razie baw się synku, baw. Tata czuwa.

Wacław Bielecki

## Zapiski melomana w czasie zarazy

Koronawirus spowodował muzyczną apokalipsę. Zamknięto, i to na całym świecie, sale koncertowe i teatry operowe. Wszyscy muzycy od Chin po Stany Zjednoczone prawie jednocześnie stali się bezrobotni. Tego w historii nigdy jeszcze nie było. I co dalej? To pytanie dotyczy także mnie, bo przez dziesięć lat pisałem dla Czytelników „Prowincji” relacje z wydarzeń muzycznych dziejących się gdzieś na żywo. Co teraz? Zanim odpowiem na to pytanie, zapraszam do przeczytania moich ostatnich sprawozdań z koncertów na żywo. Na początku marca br. udało mi się wraz z żoną dojechać do Szczecina. Nie byliśmy tam sześć lat. Koniecznie chciałem zobaczyć Operę na Zamku, która wtedy była w remoncie. Wyjazd udał się. Spotkaliśmy tam naszych przyjaciół melomanów, sztumiaków od wielu lat mieszkających w Niemczech. Razem byliśmy na dwóch koncertach w Filharmonii Szczecińskiej i obejrzeliśmy „Romea i Julię” Charlesa Gounoda w Operze na Zamku.

### POD ZNAKIEM DYRYGENTA

**Filharmonia Szczecińska, piątek 6 marca 2020 r.**



*Filharmonia Szczecińska, fot. W. Bielecki*

Koncert prowadził Yoel Gamzou, dyrektor muzyczny teatru w Bremie. Przed występem został wyświetlony krótki film, na którym dyrygent omówił pokrótce program koncertu i powiedział o sobie: „Jestem izraelsko-amerykańskiego pochodzenia, a mój dziadek był Polakiem”. Do przerwy wysłuchaliśmy *Poematu symfonicznego „Don Juan”* Richarda Straussa oraz *Symfonii „Niedokończonej”* Franza Schuberta, a po przerwie orkiestra zagrała *VII Symfonię* Ludwiga van Beethovena. Cały koncert naznaczony był osobowością dyrygenta. To młody, 32-letni mężczyzna o szczupłej budowie, bardzo ruchliwy, żeby nie powiedzieć, nerwowo w ruchach. W „Don Juanie” uwydatniał barwy poszczególnych grup i instrumentów, w „Niedokończonej” ciekawie zaprezentował możliwości dynamiczne orkiestry od ledwie słyszalnych cichości po momenty ekstremalnie głośne, a w „VII Symfonii” akcentował charakterystyczne dla Beethovena liczne kontrasty brzmień. Dyrygował bardzo uważnie, całym sobą, nie tylko rękoma, z wielką pasją. Po koncercie widać było, jak dużo wysiłku włożył w dyrygowanie.

Yoel Gamzou bardzo nietypowo zachowywał się po zakończeniu koncertu. Biegał po scenie między muzykami, dziękował im podając rękę, a pierwszą koncertmistrz skrzypiec parę razy publicznie obcałował. Wszystko to bardzo spodobało się publiczności, były więc długie oklaski i owacja na stojąco. Powiem szczerze, że nie jestem nawykły do takich zachowań dyrygenta i wydaje mi się, że w ten sposób chciał zwrócić na siebie uwagę. W sumie jednak koncert był bardzo udany. Przyszła mi nawet myśl, że orkiestra Filharmonii Szczecińskiej jest lepsza od naszej w Gdańsku. A może tak świetny był dyrygent? Jedyne co mi się nie podobało, to ubiór muzyków, a właściwie pań. Wszystkie ubrane były w takie same, długie, czarnego suknie aż do ziemi, fatalnie skrojone. Panowie zaprezentowali się znacznie lepiej w standardowych, czarnych garniturach i białych muszkach. Wszystko to z widowni wyglądało bardzo, bardzo poważnie i skojarzyło mi się z ubiorem jakiejś dworskiej orkiestry z XIX wieku. Gdy doda się, że fotele na widowni też były czarne, to dominacja tego koloru w sali koncertowej zwanej „złotą” była dla mnie trudna do zniesienia.

Nasi znajomi, melomani z Niemiec, podkreślali doskonałą akustykę i widoczność na sali koncertowej na 800 miejsc oraz fantastyczną architekturę filharmonii: olbrzymie, białe foyer z normalnymi i kręconymi schodami. Rzeczywiście, wewnątrz jest co podziwiać, a widok zewnętrzny filharmonii stał się już rozpoznawalną ikoną Szczecina. Niektórzy porównują go ze względu na biały kolor z górą lodową.

## „ROMEO I JULIA”

### Opera na Zamku, sobota 7 marca 2020 r.

„Romeo i Julia” Gounoda to długa, pięcioaktowa opera, trwająca z przerwami trzy i pół godziny. Jej prapremiera w Szczecinie odbyła się 14 lutego br. Orkiestrą dyrygował francuski maestro Franck Chastresse Colombier, dyrektor artystyczny opery w Massy pod Paryżem. W przeciwieństwie do wczorajszego dyrygenta był oszczędny i wstrzemięźliwy, ale bardzo precyzyjny w ruchach rąk i gestach. W roli Romea wystąpił Pawlo Tolstoy, znany mi ukraiński tenor, a Julię kreowała także absolwentka Akademii Muzycznej we Lwowie,



*Dziedziniec zamku w Szczecinie, gdzie znajduje się Opera, fot. zbiory autora*

Victoria Vatutina. Niestety, zaśpiewany przez nią w pierwszym akcie słynny „Walc Julii” *Je veux vivre dans ce rêve* wypadł fatalnie. Śpiewaczka miała problemy z wykonaniem licznych koloratur, a przy tym jej głos był brzydki pod względem emisyjnym. Potem, w dalszych częściach, gdzie nie ma już koloratur, tylko partie liryczne, było nieźle, niemniej na moim odbiorze całej opery ten walc zaciążył bardzo. Z przyjemnością słuchałem basa Aleksandra Teligi w roli ojca Laurentego. Wszystkich zaskoczył na plus kontratenor Michał Sławecki jako Stefano, dysponujący niezwykle wysokim, silnym i pięknym głosem.

Przedstawienie spodobało mi się, co jest niewątpliwie zasługą reżysera Michała Znanieckiego. Spodobał mi się też chór oraz nowe, kontrastowe stroje, inne dla rodziny bogatych Kapuletów i inne dla ubogich Montekich. Znakomicie pokazał się balet, często obecny na scenie i przepięknie tańczący, np. w scenie przed ślubem Julii. Pomysłowa i ładna była scenografia przypominająca słynną arenę w Veronie.

Spodobała mi się także sama Opera na Zamku, w której byłem po raz pierwszy. Jest ona nietypowa, bo wkomponowana przez architektów w bryłę zamku. Scena jest dość wąska, podobnie widownia, która jest bardzo nachylona poczynając od kanału orkiestrowego aż do balkonu. Akustyka jest niezła. Niestety, tu także jak w filharmonii są czarne fotele na widowni.

Spektakl spodobał mi się, ale muszę wyznać, że daleko mu do innego dzieła Gounoda, na którym byłem przed wieloma laty w Gdańsku. Był to „Faust”, moja pierwszy raz w życiu

oglądana opera, która spowodowała, że zainteresowałem się i polubiłem tę formę muzyczną. „Romeo i Julia” nie jest tak fascynująca jak „Faust”, bo jest to opera liryczna z powszechnie znaną treścią według dramatu Szekspira. Nigdy dotąd nie udało mi się jej obejrzeć na żywo, więc w Szczecinie nadrobiłem swoje braki w operowej edukacji muzycznej.

## PORANEK MUZYCZNY

**Filharmonia Szczecińska, niedziela 8 marca 2020 r.**



Gra „Karłowicz Quartet”, fot. W. Bielecki

W niedzielę w Szczecinie nareszcie wyjrzało słończko. W samo południe poszliśmy na koncert kameralny do Filharmonii. Z powodu choroby wykonawców w ostatniej chwili został zmieniony program koncertu i zespół. Ponieważ koncert wypadł 8 marca, czyli w Dzień Kobiet - trio fortepianowe miało grać utwory skomponowane przez kobiety: Fanny - siostrę Mozarta oraz Clarę, żonę Schumanna. Ostatecznie zagrał „Karłowicz Quartet” powstały w 2017 roku. Jego nazwa nawiązuje do patrona filharmonii Mieczysława Karłowicza. W skład kwartetu wchodziły panie na co dzień grające w orkiestrze filharmonii w Szczecinie: Elżbieta Fabiszak-Dąbrowska – I skrzypce, Karolina Hyla-Wybraniec – II skrzypce, Magdalena Micke – altówka, Klara Świdrów – wiolonczela.

Podczas koncertu usłyszeliśmy – na otwarciu i zakończeniu – *Divertimenta D-dur i F-dur* napisane przez szesnastoletniego W.A. Mozarta oraz 1 i 2 część *Serenady* Mieczysława Karłowicza tudzież część 2 z *IV Kwartetu* G. Bacewicz. Z tych czterech utworów najbardziej spodobała mi się *Serenada* Karłowicza nosząca opusowy nr 2, dzieło skomponowane przez

młodziutkiego, bo 21-letniego Karłowicza podczas studiów w Berlinie, a szczególnie jej niezwykle melodyjna część pierwsza.

Koncert odbył się w ładnej sali kameralnej na około 200 miejsc, z dobrą akustyką, ale znowu z czarnymi fotelami. Zwięźle słowo o muzyce wygłosił Piotr Urbański. Sala była wypełniona po brzegi publicznością, niestety, słabo wyrobioną, niepotrzebnie klaszczącą po każdej części utworu. Cały ten niedzielny poranek muzyczny trwał krótko, niecałą godzinę. Nie przypuszczałem, że to będzie mój ostatni koncert oglądany i słuchany „na żywo”. Czy i kiedy, po okresie zarazy będę mógł udać się do filharmonii lub opery?

## **ZAPISKI MELOMANA W CZASIE ZARAZY „DOMÓWKI” I INNE TRANSMISJE ONLINE**

**kwiecień – czerwiec 2020 r.**

W tej części artykułu Czytelnicy znajdą moje zapiski z czasów zarazy. Z mnogości koncertów, które słyszałem online, opisałem tylko niektóre z koncertów słyszanych w internecie bezpośrednio, na żywo, a nie te odtwarzane z archiwalnych nagrań, których nota bene też sporo wysłuchałem. Aby mieć możliwość słuchania transmisji z internetu musiałem w końcu założyć konto na Facebooku (FB).

Tak się złożyło, że pierwszym występem, którego wysłuchałem na FB 18 kwietnia był koncert organowy w Krościenku nad Dunajcem wykonany w zupełnie pustym kościele. Wzięło w nim udział tylko dwoje muzyków: organista prof. Marek Stefański z Akademii Muzycznej w Krakowie i sopranistka Milena Sołtys-Walosiak. W czasie transmisji ogarnęło mnie przejmujące uczucie smutku, gdy zobaczyłem muzyków grających bez udziału publiczności w opustoszałej świątyni, jakby dla siebie. Nie mieli komu uklonić się po zakończeniu koncertu. Wyrazy aplauzu od publiczności zgromadzonej przed laptopami nie były przez nich słyszalne, ale została na szczęście możliwość komentowania ich występów na stronie FB przez tzw. lajki, czyli polubienia i komentarze. Jednak to nie to samo, co zwykle oklaski dochodzące do uszu artystów czy owacje na stojąco.

Był to piękny koncert od strony muzycznej: znakomity organista, świetna sopranistka z niebiańskim głosem, niezła akustyka, ale... licha strona wizualna. Po co tyle zdjęć z Krościenka i okolic w trakcie muzyki? To tylko przeszkadzało w odbiorze. To nie był przecież program reklamujący Krościenko i okolice. W sumie jednak byłem pełen podziwu dla organizatorów i wykonawców za to, że w czasie zarazy nie odpuszczają i pozwalają na spotkanie z uduchowioną muzyką.

Następnego dnia w niedzielne popołudnie słuchałem na FB nestorki naszych pianistów, 91-letniej Lidii Grychtolówny. Dała ona ze swojego warszawskiego mieszkania przez internet półgodzinny koncert ze *Scenami dziecięcymi* Schumanna, *Intermezzami* Brahmsa i *Marzeniem miłosnym* Liszta. Pianistka grała w tempach i dynamice odpowiedniej do swojego wieku, ale bardzo pięknie i, co ważne – wszystko z pamięci. Tylko podziwiać.

Filharmonia Poznańska oprócz powtórek koncertów nadawała na FB na żywo cykl programów, w których muzycy związani z tą instytucją odpowiadali na pytania melomanów. Z zainteresowaniem wysłuchałem ponad godzinnych odpowiedzi głównego dyrygenta tej

instytucji Marka Pijarowskiego. Niemniej ciekawe było spotkanie ze znakomitym dyrygentem Łukaszem Borowiczem. Z dużą kulturą odpowiadał na pytania melomanów młody polski pianista Jaś Lisiecki mieszkający na stałe w Calgary w Kanadzie.

Ze swojego domu, przenosząc się z pokoju do pokoju, odpowiadał na liczne pytania dotyczące jego kariery muzycznej i życia prywatnego. Wysłuchałem także odpowiedzi znakomitego skrzypka Daniela Stabrawy wywodzącego się z Krakowa, koncertmistrza grającego od dawna w Filharmonii Berlińskiej. O swoich problemach mówił też dyrektor Filharmonii Poznańskiej Wojciech Nentwig. Były to programy, z których dużo dowiedziałem się o funkcjonowaniu Filharmonii Poznańskiej oraz o pracy dyrygentów i solistów.

Dość przypadkowo znalazłem na FB nagrania prof. Davida Korevaara z University of Colorado. W czasie pandemii w swoim domu w Longmont zagrał wszystkie 32 sonaty fortepianowe Beethovena. Pianista zachowywał się tak, jakby te sonaty przegrywał po kolei dla siebie. Sam, z szelestem kart, przewracał nuty. Obraz był słaby, bowiem przez cały czas widziałem takie samo ujęcie z amatorskiej kamerki, źle ustawionej, bo pokazującej plecy i tył głowy pianisty. Dopiero po kilku sonatach pianista zmienił ustawienie kamery na nieco lepsze. Dźwięk, jak na warunki domowe, był znośny, tylko w czasie gry na niskich tonach i przy dużej głośności stawał się nadmiernie dudniący. Profesor Korevaar pokazał dużą biegłość techniczną, choć zdarzały mu się omsknięcia palców na klawiaturze. Grając tak wielki repertuar wspomagał się nutami leżącymi na fortepianie u góry, a nie na pulpicie. Wszystko to miało swój urok. Na pewno na sali koncertowej lub w studio nagrań dźwięk byłby znacznie lepszy, ale słuchanie, jak ktoś gra we własnym domu, jest dla odbiorcy fascynujące, bo po prostu naturalne, to takie domowe muzykowanie. Pianista grał na nieznanym u nas fortepianie amerykańskiej firmy Baldwin. Nie będę tutaj analizował wykonania wszystkich 32 sonat, jednak gdy się je słucha po kolei można zauważyć, jak kompozytor doskonalił tę formę muzyczną. Wśród zbioru tych utworów fortepianowych nie wszystkie są tak genialne jak *Sonata Patetyczna*, *Appassionata*, czy *Księżycowa*. Gdyby jednak nie internet, to nie miałbym możliwości usłyszenia ich w jednym wykonaniu bez wychodzenia z domu.

W niedzielę 17 maja słuchałem na YT koncertu otwierającego „Tydzień talentów w dworku Paderewskiego w Kaśnej Wielkiej”. Prześwietni polscy muzycy – wiolonczelista Tomasz Strahl i pianista Janusz Olejniczak grali w duecie utwory Chopina, Haendla, Paderewskiego, i na koniec *Sonatę Arpeggione* Schuberta. Koncert, oczywiście, odbył się bez publiczności. Muzycy siedzieli bokiem do siebie w przepisowej odległości dwóch metrów, bez masek. Był to kolejny, piękny koncert ze znakomitymi wykonawcami, tylko dlaczego zagrano w nim tyle smutnych, choć cudownych utworów? Lubimy się smuć w ten smutny czas?

Przez następne dni Tomasz Strahl, Janusz Olejniczak oraz flecista Łukasz Długosz prowadzili warsztaty dla młodych muzyków, a w sobotę 23 maja mogłem wieczorem wysłuchać koncertu kończącego „Tydzień Talentów”. Na flecie grał Leszek Długosz, który także zapowiadał utwory, a akompaniował mu na fortepianie Andrzej Jungiewicz. W programie znalazły się miniatury: Zygmunta Noskowskiego, Feliksa Mendelssohna, Ignacego Paderewskiego – *Melodia*, Tadeusza Szeligowskiego – czteroczęściowa *Sonata*, Siergieja Rachmaninowa – *Wokaliza*. Oprócz tego wysłuchałem: *Pieśni kurpiowskiej* Karola Szymanowskie-

go, *Wokalizy* z filmu „Dziewiąte wrota” Wojciecha Kilara i na koniec salonowego, mocno wirtuozowskiego *Poloneza de Caraffa op. 8* Theobalda Boehma. Solista wyjaśnił, że do programu każdego ze swoich recitali włącza przynajmniej jeden utwór Theobalda Boehma – ojca współczesnego fletu, który wprowadził ten instrument na sale koncertowe. Flecista wyznał, że w koncertowaniu przeszkadzała mu zbyt duża odległość do akompaniatora utrudniająca kontakt między muzykami. Ta odległość wymagana jest przez przepisy sanitarne związane z pandemią koronawirusa.

## GDAŃSKI FESTIWAL MUZYCZNY

### Studio Koncertowe Radia Gdańsk, 11 - 20 maja 2020 r.

Pierwsza odsłona Gdańskiego Festiwalu Muzycznego, odbywającego się w maju, z powodu pandemii została ograniczona do czterech koncertów wykonanych w Studiu Koncertowym Radia Gdańsk im. Janusza Hajduna, niestety, bez udziału publiczności. Jednak to dzięki pandemii – jak powiedział prowadzący koncerty Konrad Mielnik – koncerty te zostały transmitowane na żywo i dlatego mogłem je oglądać.

Festiwal zaczął się w poniedziałek 11 maja. Wtedy słuchałem na FB recitalu sopranistki Soni Warzyńskiej-Dettlaff z akompaniamentem fortepianowym Grażyny Troć. Usłyszeliśmy pieśni o miłości skomponowane przez polskich kompozytorów z XIX wieku. Najpierw były to pieśni opiewające uczucie do wiosny i natury: Mieczysława Karłowicza *Z nową wiosną*, Chopina *Noktur Es-dur* z tekstem Chęcińskiego, Moniuszki *Matuleńko on nie wróci* i *Prząśniczka*. W drugiej części sopranistka zaśpiewała pieśni, m.in. o miłości matczynej z motywem śmierci – wstrząsające *Dzwony* Stanisława Niewiadomskiego, *Kwiatki* Moniuszki, słynną *Kalinę* Ignacego Komorowskiego i *Marzenie* Chopina z tekstem dopisanym do krótkiego preludium nr 7 z op. 28 – *Czemu sercu smutno*. Kolejne pieśni to: *Powień mamie* Moniuszki, *Jam do niego* Chopina według Mazurka *As-dur op. 24*, *Indele ma cudne oczy* Stanisława Niewiadomskiego i *Między nami nic nie było* oraz *Ja ciebie kocham* Mieczysława Karłowicza.

Sonia Warzyńska-Dettlaff jest ubiegłoroczną laureatką I nagrody I konkursu im. Stanisława Moniuszki w 2019 r. Słyszałem ją po raz pierwszy. Głos ma ładny i miły, ale z jakąś nieco dziwną emisją w wysokiej skali, co wyraźnie było słychać w pieśni Moniuszki *Matuleńko on nie wróci*, gdzie powtarza się to samo zdanie muzyczne najpierw zaśpiewane wysoko, potem oktawę niżej. To w wyższej oktawie wyszło nieco krzykliwie. Solistka nie zawsze perfekcyjna była też pod względem dykcji. Recital był ładny, chociaż wybrano tylko pieśni sentymentalne, jak gdyby nie było utworów opisujących miłość od radośniejszej strony.

W poniedziałek 18 maja słuchałem recitalu chopinowskiego Adama Kałduńskiego, pianisty pochodzącego z Gdańska. Obecnie kształci się w bydgoskiej Akademii Muzycznej pod kierunkiem prof. Katarzyny Popowej-Zydroń. Zajął drugie miejsce na 50. Ogólnopolskim Konkursie Pianistycznym im. Fryderyka Chopina w lutym tego roku i dlatego zagra bez eliminacji w Międzynarodowym Konkursie Chopinowskim, który miał się odbyć w tym roku, ale został przesunięty na rok 2021. Pianista, chociaż jest bardzo młody, grał spokojnie, nie forsując szybkich temp i zachowując rubato. Był pewny tego co grał. Kame-

rzyści pokazywali solistę z odległych ujęć: z profilu, z góry oraz jego ręce, zapominając, że ma on także twarz. Z tego powodu nie będę w stanie rozpoznać tego muzyka, bo słuchałem go po raz pierwszy, ale jego twarzy nie dane mi było zobaczyć.

We wtorek 19 maja na festiwalu w Gdańsku zgrał znakomity pianista jazzowy Adam Makowicz. Zaprezentował utwory z płyty *Swinging Ivories (Wirujące klawisze)*. Były to głównie jego kompozycje, 7 z 13 zagranych, np. *Tańczące liście na głównej ulicy*, *Perpetuum mobile*, *Ciemne winogrona*, a oprócz tego utwory Georga Gershwina, Duke Ellingtona, Errolla Garnera i improwizację na temat *Humoreski* Antonina Dwořáka, która jego zdaniem nadaje się do grania w różnych stylach. Makowicz jest wirtuozem jazzowego fortepianu, ale żartobliwie mówił, że aby jeszcze lepiej grać, chciałby mieć 12 palców. Pierwszy raz w swej kilkudziesięcioletniej karierze zagrał koncert bez udziału publiczności, nie licząc oczywiście nagrań płyt w studio. – Jak pan zatem czuje się po takim wieczorze, pierwszym w pana kilkudziesięcioletniej karierze? – dopytywał prowadzący Konrad Mielnik. – Sam muszę się mobilizować i stymulować – krótko odpowiedział muzyk.

Środa 20 maja była wypełniona recitalem Piotra Pawlaka, studenta z klasy prof. Waldemara Wojtala w Akademii Muzycznej w Gdańsku. Jest on również laureatem II miejsca na 50. Ogólnopolskim Konkursie Pianistycznym im. Fryderyka Chopina – ex aequo z Adamem Kałduńskim (trzeciego miejsca jury nie przyznało) – i dlatego zagra bez eliminacji w XVIII Międzynarodowym Konkursie Chopinowskim. O grze Piotra Pawlaka pisałem w „Prowincji” nr 3 z 2016 r. po jego recitalu w Wąplewie Wielkim. Wiemy, że brał udział w poprzednim konkursie Chopinowskim w 2015 r. Wiemy też, że zdobył wiele nagród w drugiej dziedzinie, jaką jest dla niego matematyka. To nie wszystko, bo gra również na organach i na tym instrumencie sięgnął po I miejsce na Konkursie Muzyki Organowej w Rumi w 2016 r. oraz po III miejsce na Międzynarodowym Konkursie im. J. P. Sweelinka w Gdańsku i Pasłęku w 2018 r. Na Gdańskim Festiwalu zagrał utwory C. Francka - *Preludium*, *chorał i fuga*, M. Ravela - *Pavana na cześć zmarłej Infantki*, F. Chopina - *Andante spianato i wielki polonez Es-dur* oraz *Ballada f-moll*.

Druga część Gdańskiego Festiwalu Muzycznego jest zaplanowana na wrzesień i październik. Ciekawe, czy koncerty będzie można słuchać w w miarę normalnych warunkach z udziałem publiczności, czy jeszcze z najróżniejszymi obostrzeniami wynikającymi z pandemii koronawirusa.

## PRAŽSKÉ JARO

**maj – czerwiec 2020 r.**

Koronawirus pokrzyżował plany wszystkich koncertów i festiwali nie tylko w Polsce, ale i za granicą. Organizatorzy 71. Międzynarodowego Festiwalu Muzycznego Praska Wiosna (Pražské jaro) musieli zmienić jego przebieg i program z powodu zarazy. Podczas tegorocznej edycji festiwalu na słuchaczy miało czekać 50 koncertów muzyki klasycznej, a skończyło się na 11 transmitowanych na żywo przez Český Rozhlas (Czeskie Radio) i Česká TV. Zamiast wielkich orkiestr symfonicznych wystąpili soliści i małe zespoły kameralne. Mnie udało się wysłuchać pięciu koncertów.

Pierwszym z nich był nadawany w poniedziałek, 18 maja, koncert Collegium 1704, zespołu specjalizującego się w wykonywaniu muzyki barokowej. Muzycy zaprezentowali dzieła Bacha, Haendla i Zelenki. Dyrygował mój imiennik, Vaclav Luks. Wszyscy muzycy: 17 instrumentalistów i 12 chórzystów, byli w maskach. Najbardziej zdziwił mnie śpiew w maskach, ale wszystko było dobrze słycać. Bez maski wystąpiła tylko śpiewająca solo sopranistka. Koncert odbył się w pustym kościele św. Anny w Pradze.

W środę 27 maja wystąpiła Orkiestra Smyczkowa Czeskiego Radia pod batutą Roberta Krużoka. Wszyscy muzycy, ok. 30 osób, w tym zaledwie kilka kobiet, grali bez masek i bez publiczności. W programie były utwory: Hassa, Pendereckiego, Dvořaka i Janáčka.

W sali Rudolfiny w czeskiej Pradze w piątek, 29 maja, odbył się koncert klawesynowy. Grał irański mistrz tego instrumentu, Mahan Esfahani, który od czterech lat mieszka w Pradze i trochę już mówi po czesku. Tego wieczora Esfahani wykonał *Koncert f-moll op. 6 na klawesyn i orkiestrę smyczkową* tzw. berliński Johanna Christiana Bacha, a potem na ten sam skład, koncert Michaela Nymana, brytyjskiego kompozytora o polsko-żydowskich korzeniach związanego z minimalizmem muzycznym. Klawesynista grał ten współczesny utwór z niezwykłą pasją, pociągając za sobą czeskich muzyków, dając wszystko z siebie. Utwór miejscami jest piekielnie trudny i wymagający niemałej wirtuozerii w wykonywaniu następstw niezliczonych akordów. Po zakończeniu widać było, ile sił włożył solista w wykonanie tego dynamicznego i szybkiego utworu oraz że jest z tego powodu zadowolony. Orkiestrą Praskiej Filharmonii (tym razem większość stanowiły kobiety) dyrygował młodzieńki, spokojny, sympatyczny i leworęczny Jiří Rožeň,

Na rozpoczęcie była *II Serenada na orkiestrę smyczkową* Bohuslava Martinu, a jako przerywnik między koncertami klawesynowymi, *Simple Symphony (Prosta Symfonia)* Benjamina Brittena. Ten czteroczęściowy utwór: Bourrée, Pizzicato, Sarabanda, Finale, bardzo mi przypadł do gustu, szczególnie druga część cały czas grana pizzicato.

Koncert odbył się w pięknej sali Rudolfiny z organami i balkonami z nieliczną publicznością usadzoną bardzo daleko od sceny. Orkiestra grała bez masek. Dyrygent po zakończeniu uściskał się z solistą, a ten podziękował orkiestrze podając ręce koncertmistrzynie.

W poniedziałek, 1 czerwca, grała FOK Praska Orkiestra Symfoniczna. Skrót w nazwie zespołu pochodzi od słów: *Film - Opera - Koncert*, który określa ogólny program występów zespołu. Grały tylko same smyczki, dyrygował Tomáš Brauner.

Najpierw czescy muzycy wykonali dwa utwory Josefa Suka. Na początek *Medytacje nt. staroczeskiego chorału „Św. Wacław» op. 32* na orkiestrę smyczkową (1914). Jest to krótki, trwający około 8 minut, utwór w nastroju pogodnego smutku. Słuchałem go z zacięciem, bo w tytule mowa jest o moim imienniku. Następnie została wykonana *Serenada Es-dur op. 6 na orkiestrę smyczkową (1892)* składająca się z czterech części: 1) Andante, 2) Allegro - jakby walc, 3) Adagio - miejscami słodkie i rzewne, zaczynające się od partii wiolonczeli, 4) Allegro giocoso - szybkie i wesolutkie. Nieliczna publiczność przyjęła utwór długimi oklaskami.

Po przerwie wykonano słynną *Rozświetlona noc op. 4* Arnolda Schönberga, twórcy dodekafonii. To programowe dzieło jest ilustracją muzyczną do opowiadania o nocnym spo-

tkaniu kochanków. Kobieta wyznaje mężczyźnie, że jest w ciąży z innym, on jej wybacza, ponieważ to nie zmienia jego uczuć. Utwór w zasadzie jest jednoczęściowy, ale da się zauważyć kilka (pięć?) części. Zaczyna się dość w ciemnych barwach. W pewnym momencie słychać jakby dość gwałtowną rozmowę mężczyzny z kobietą, co ilustruje dialog wiolonczel ze smyczkami. Dopiero pod koniec można usłyszeć najładniejszy fragment, bardzo melodyjny, mogący kojarzyć się z tytułową „rozszywaną nocą”. Sala od strony słuchaczy przez cały czas była wyciemniona. Słychać było oklaski publiczności, której kamery nie pokazały ani raz.

Wieczorem w czwartek, 4 czerwca, słuchałem transmisji na FB z ostatniego koncertu na Praskiej Wiośnie. Grała Orkiestra Czeskiej Filharmonii, ale tylko same smyczki. Dyrygował młody maestro Jakub Hrůša. Muzycy, bez masek, zagrali dwa kwartety Beethovena w aranżacji na orkiestrę smyczkową: *XIV Kwartet cis-moll op. 131* – i po przerwie – *XVI Kwartet F-dur op. 135*. Wykonanie było ładne, spokojne, chociaż – gdzie trzeba – pokazujące gwałtowne zmiany dynamiczne.

Publiczności na sali Czeskiej Filharmonii w Pradze było znacznie więcej niż na poprzednich koncertach. Melomani siedzieli w maskach bliżej estrady w dużych odległościach od siebie. Balkony były puste. Ten koncert, jak i wszystkie poprzednie, zapowiadał sympatyczny Onderj Havelka, nienadużywający słowa i cierpliwości słuchaczy. Z przedstawionych przez niego informacji wynika, że podczas tegorocznej, wyjątkowej Praskiej Wiosny transmisje z koncertów osiągnęły aż 1,2 milionów wyświetleń w Czechach i 53 krajach na świecie. Oto, jaka jest potęga Internetu.

## **„CZY KORZYSTASZ Z TEJ WRĘCZ ABSURDALNIE BOGATEJ OFERTY MUZYCZNEJ ONLINE?”**

**czerwiec 2020 r.**

W „Ruchu Muzycznym” nr 11 z 4 czerwca 2020 r. zamieszczono zapis dyskusji redakcyjnej prowadzonej przez redaktora naczelnego Piotra Matwiejczuka na temat sprovokowany przez cytowane wyżej pytanie. Czytając wypowiedzi dyskutantów nie mogłem wyjść ze zdumienia, jaka jest ona jednostronna. No bo kto wziął w niej udział? Siedmiu wspaniałych redaktorów z fachowego czasopisma muzycznego, którego nota bene jestem prenumeratorem, a więc osoby uprzywilejowane pod każdym względem w dostępie do żywej muzyki. Tacy to sobie mogą ponarzekać, że nie kochają streamingów, że czują się zmęczeni tymi różnymi formami zastępczymi koncertu, itp. Dyskutantom jakoś umykał fakt, że muzyka, życie koncertowe, to nie tylko zawodowi muzycy, krytycy, muzykolodzy, redaktorzy, ale i zwykli słuchacze. Przecież muzycy muszą dla kogoś grać, muszą mieć odbiorcę. Czasy zarazy pokazały, jak artyści za nim tęsknią.

Odbiorcy muzyki na żywo, czyli publiczność, są u nas bardzo zróżnicowani i traktowani niesprawiedliwie, gdy chodzi o możliwość dostępu do niej. Kto mieszka w dużym mieście z filharmonią czy operą, ten ma możliwość przynajmniej raz na tydzień posłuchać muzyki na żywo, a kto mieszka na prowincji i ma do tych instytucji ze sto kilometrów, to... jest po



Czy tak, jak to widzą w Operze Wiedeńskiej, będą wyglądały przedstawienia operowe? - *Che gelida manina* (wł. Jaka zimna rączka) – aria z opery „Cygania” G. Pucciniego, fot. Internet

prostu wykluczony. Takich odbiorców jest wielu, na pewno więcej niż, jak ktoś ich nazwał, „uprzywilejowanych bywalców przybytków kultury” z dużych miast.

Od wielu lat staram się słuchać koncertów na żywo, ale moje możliwości są ograniczone, właśnie przez dużą odległość, znacznie większy czas przeznaczony na podróż do filharmonii czy opery, konieczność wynajęcia noclegu, co przekłada się na znaczne obciążenia finansowe. Przyjmując za pewnik, że nic nie jest w stanie zastąpić przeżyć związanych z koncertem na żywo, trzeba przyjąć też drugi, że dla melomanów z prowincji najlepszą formą uczestnictwa w życiu muzycznym są transmisje na żywo. Ja też chciałbym przynajmniej raz w tygodniu posłuchać muzyki na żywo, a nie słuchać retransmisji koncertów po kilku dniach czy tygodniach. Jako mieszkaniec prowincji mam znacznie mniejszą możliwość uczestniczenia w koncertach na żywo i dlatego powinienem mieć możliwość wysłuchania koncertu w wersji online, przy wszystkich jej wadach.

Dotychczas takiej możliwości nie miałem, bo nawet instytucje muzyczne mające w swoich nazwach określenie „narodowa” bardzo mi tego dostępu skąpiły. Na podstawie moich obserwacji twierdzą, że np. Filharmonii Narodowej w Warszawie, Narodowej Orkiestrze Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach, czy Narodowemu Forum Muzyki we Wrocławiu, niewiele zależy na podobnych do mnie odbiorcach. Zapelnąć salę Filharmonii Narodowej w półtoramilionowym mieście nie jest sztuką. Ja natomiast mając do pokonania dystans 300 km mogę sobie pozwolić na wyjazd muzyczny do stolicy zaledwie 1-2 razy w roku. Muszę się przy tym liczyć, że nawet jak zamówię przez internet bilety z dużym wy-

przedzeniem, to dostanę jakieś słabe miejsca na obrzeżach sali. Jaką ofertę miała dla mnie dotychczas Filharmonia Narodowa, gdy chodzi o koncerty transmitowane na żywo przez internet? Chyba dziewięć takich koncertów w roku. A dlaczego nie raz w tygodniu przyznamniej? Przecież instytucje „narodowe” utrzymywane są także z moich podatków. Wynika z tego, że to ja dopłacam stałym bywalcom Filharmonii Narodowej do ich abonamentów.

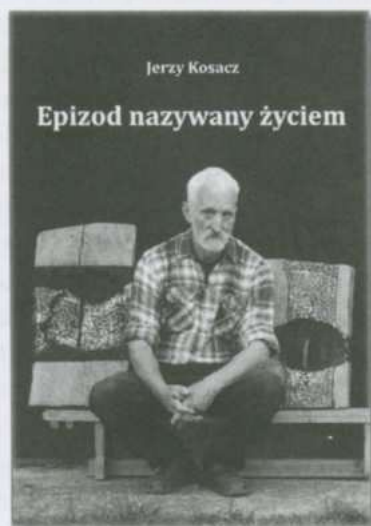
W ostatnich czasach bardzo zdumiała mnie obecna oferta Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach. Ta instytucja dotychczas prawie nie skalala się streamingiem, a teraz proszę, aż dwa razy dziennie nadaje za pośrednictwem Programu II Polskiego Radia nagrane uprzednio koncerty, co prawda tylko w wersji audytywnej, ale jednak.

Kończąc, odpowiadam na pytanie postawione na początku redakcyjnej dyskusji: *Czy korzystam z tej wręcz absurdalnie bogatej oferty muzycznej online?* Tak korzystam i jestem wręcz szczęśliwy, że codziennie mogę słuchać koncertów transmitowanych na żywo. Dla mnie nie jest ich „absurdalnie” dużo, bo przecież mam możliwość wyboru. Nareszcie jest coś dla mnie, melomana z prowincji – i oby tak zostało, jak pandemia się skończy. Nie chcę, jak dotychczas, należeć do kategorii melomanów instytucjonalnie wykluczonych z możliwości uczestniczenia w bieżącym życiu muzycznym. Decydentom trzeba przypominać, że kultura online, to kultura dostępna. Uważam np., że udzielanie pomocy finansowej w postaci dofinansowania różnych projektów muzycznych przez Ministerstwo Kultury powinno być uzależnione od tego, czy konkretny projekt będzie dostępny online.

W ostatnich dniach maja premier ogłosił, że otwarcie filharmonii i teatrów operowych możliwe będzie od 6 czerwca 2020 r. przy zachowaniu różnych reguły bezpieczeństwa, w tym obowiązkowej odległości ok. 2 m słuchaczy od siebie i noszenia maseczek. Bardzo ciekawy jestem, jak będzie teraz wyglądało życie muzyczne.

*Biblioteka kwartalnika*

# PROWINCJA



Prowadzimy sprzedaż wysyłkową: [provincia@onet.pl](mailto:provincia@onet.pl)

Alicja Bartnicka

## Przy sztaludze **MAŁGORZATY DOBROWOLSKIEJ**

Małgorzata Dobrowolska jest absolwentką Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku, Wydział Edukacji Artystycznej w Dzielnicie Sztuk Plastycznych. Studiowała malarstwo pod kierunkiem profesorów Mieczysława Olszewskiego i Włodzimierza Łajminga. Dyplom z malarstwa uzyskała w pracowni profesora Hugona Laseckiego.

Z pasją uprawia malarstwo sztalugowe, którego dominującym tematem jest martwa natura, pejzaż, kwiaty i portrety. Fascynuje się barwą i kształtem, kreując własny, niepowtarzalny styl.

Małgorzata Dobrowolska tworzy w technice olejnej i akrylowej. Maluje od wielu lat, jednak rzadko pokazuje swoje prace ze względu na duże pokłady samokrytycyzmu. Stara się oddziaływać także formatem. Z jednej strony tworzy te duże, z drugiej małe, wręcz miniaturowe. Cykle obrazów w małej formie są zagadkowe, zmuszają do

myślenia, prowokują refleksje. Można z nich, niczym z puzzli, układać niezliczoną ilość opowieści. Bywają też prace na płaskim tle utrzymanym w intensywnym kolorze, bądź namalowane *prima vista* od pierwszego pociągnięcia pędzla, ale też takie malowane powoli, z namysłem i refleksją. Elementem charakterystycznym dla niej są kształty płócien - małe kwadraty i wąskie podłużne, wertykalne prostokąty. Pozwala sobie na indywidualny sposób widzenia świata i ludzi i tak też tworzy.

Małgorzata Dobrowolska stosuje barwy intensywne, ekspresyjnie, czyste w jasnej i ciemnej tonacji, „nakładane” niejednokrotnie fakturowo, zamazyście a nawet „plakatowo”. W jej obrazach zauważa się szkicowość składającą się na styl charakterystyczny dla malarki. Jego kwintesencją są kreski o różnej grubości, które zdają się podkreślać elementy postaci, co daje efekt, jakby „wycinały je z tła”. Innowacyjne dla niej jest tworzenie abstrakcji, które stanowią kompozycje figuralne z dominantą śmiałych plam barwnych i linii.

Owoce innej życiowej pasji malarki, czyli podróży, jest cykl abstrakcji określany przez autorkę mianem „Ale Meksyk”.



Malarka nie daje się zaszufłakować i ciągle poszukuje inspiracji, którą najczęściej czerpie z zachwytu przyrodą, ludźmi, dziełami sztuki, by następnie pod ich wpływem móc tworzyć. Nowatorskie w jej twórczości są autorskie, wykonane ręcznie „lalki z charakterem”, które zachwycają oryginalnością, precyzją wykonania i literackim opisem. Kolekcjonuje zakładki do książek, będące pamiątkami z osobistych wojaży, ale też przywożone z kraju i ze świata przez przyjaciół znających tę pasję Małgorzaty. Stworzyła osobistą kolekcję inspirowaną własnym cyklem „kwiaty pełne nostalgii”

Można o niej pisać wiele, a i tak nie powie się wszystkiego. Jest ona bowiem – pełna wielu znaczeń i odcieni, które cały czas poznajemy. Jedną z koleżanek artystki powiedziała o niej, że *Gosia jest empatyczna, życzliwa, bezinteresowna, zamyślona, szalona. Jest artystką w najtrudniejszej dziedzinie - w życiu.*

Małgorzata Dobrowolska od wielu lat związana jest ze Sztumem, uczyła plastyki w Szkole Podstawowej Nr 2.

- *Uczenie jest trudniejsze, bo biorę na siebie odpowiedzialność – mówi Małgorzata Dobrowolska. Uczylam wrażliwości na piękno, uczyłam patrzeć, dostrzegać a nade wszystko odczuwać... W mojej szkole stworzyłam galerię sztuki dziecięcej „Miniatura”, będącą namiastką prawdziwej, dającą pierwszy kontakt z młodzieńczą twórczością. Profesjonalne wernisaże, wystawy wpisały się w program edukacyjny, rozbudzały fascynację sztuką w atmosferze radości i wyjątkowości.*

Malarstwem zajęła się z pasji i chęci tworzenia. Jej prace znajdują się w zbiorach prywatnych w kraju i za granicą.

- *Maluję cyklicznie, kiedy zaczynam tworzyć pod wpływem impulsu, emocji, wydarzeń wchodzę w inny wymiar duchowy i trwam dopóki nie opadną emocje i zapach – mówi malarka. Malarstwo to przygoda, niejednokrotnie ma charakter obsesyjny, muszę tworzyć i często poszukuję formy czy recepty na udany obraz. Pracuję intuicyjnie, efekty bywają nieprzewidywalne i niezaplanowane. Tak powstały abstrakcje inspirowane podróżą do Meksyku, można „wypatrzyć” na nich temat. Stają się wówczas kompozycjami o znaczeniu interpretacyjnym. Chyba jestem uzależniona od twórczego działania, ciągle coś zmieniam w swoim otoczeniu. Taka postawa z mojego punktu widzenia jest obroną przed światem, a może antidotum na szarą codzienność, skorupą w której mogę się skryć, jak również utwierdza mnie w przekonaniu, że to co robię jest trafione i ma sens. To prawdziwy przywilej cieszyć się tym co tworzę. Idę własną drogą...*

Okiem fotosnajpera

Piotr Opacian

# HISTORIA MŁODYCH LISKÓW





W maju terasy zalewowe nad Wisłą zakwitają jaskrem polnym. Świeża zieleń traw, żywa barwa żółtych kwiatów i ciemnoniebieski kolor ciężkich, burzowych, majowych chmur zamarzył mi się jako „scena”, na której zaprezentowałbym małe „rudzielce”.

Tereny pomiędzy Wisłą i wałami przeciwpowodziowymi często są wybierane przez brzemiennie liszki (samice lisa) na miejsce lokalizacji nor, w których wydają na świat nowe pokolenie. Terasy zalewowe zbudowane są z materiału piaszczystego, który często był i czasami ciągle jest, pozyskiwany do celów budowlanych przez lokalną ludność. Powstały w ten sposób zagłębienia częściowo wypełnione wodą, niestety coraz rzadziej z powodu częstych susz i niskiego stanu Wisły. Ich obrzeża – strome, gęsto zakrzaczone skarpy, to znakomita kryjówka na bezpieczne schronienie. Często są jeszcze ogrodzone od otaczających je pastwisk drutem kolczastym lub w czasie wypasu krów, który zaczyna się na przełomie kwietnia i maja, pastuchem pod napięciem. Na otaczających, rozległych równinach, liszka może polować na gryzonie: myszy, norniki, ryjówki, nie oddalając się zbyt od swojego potomstwa. Słowem istny raj dla lisiej rodziny.

Choć początkowo robiłem dużo zdjęć „z doskoku”, od dłuższego już czasu lubię obserwować dynamikę rozwijającego się życia rodzinnego. Pierw przychodzi pora na zaloty, potem czas oczekiwania na potomstwo, a następnie czas wychowywania. Młode przychodzące na świat, jeszcze nieporadne, starają się poznać najbliższą okolicę. Wszelkie obrazy, dźwięki i zapachy wzbudzają w nich ogromne zainteresowanie. To niepoohamowane dążenie w świe-

kwiecień



cie ptaków skutecznie temperują rodzice. Szczególnie w przypadku zagniazdowników. Prawie natychmiast po wykluciu się wszystkich piskląt wyprowadzane są one z gniazda i zaopiekowane przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Pisklęta naśladują dorosłe ptaki w każdym szczególe i bardzo szybko potrafią rozpoznawać co jest dla nich dobre, a co złe.

Liszka pomiata najczęściej w kwietniu, z reguły od czterech do siedmiu szczeniąt. Samiec po zapłodnieniu lizki nie interesuje się potomstwem, na jej barkach pozostaje więc wychowanie potomstwa. Po jednym lub dwóch dniach odpoczynku liszka zostawia szczeniaki same i zaczyna intensywnie poszukiwać pokarmu, by dojść do siebie po samotnym okresie ciąży i nastarczyć mleka dla potomstwa, które żywi się nim przez pierwszy miesiąc życia.

To ciekawe, jak bardzo się ten model „rodziny” różni u tak blisko spokrewnionych gatunków jak lis i wilk, które należą do rodziny psowatych. Samiec lisa przekazuje swoje geny i odchodzi w siną dal, biedny ten żywot lizki. Wilki tworzą dużą, zhierarchizowaną rodzinę, nazywaną watahą. Szczeniakami opiekuje się cała wataha składająca się nie tylko z przewodzącej samicy i samca (basior – alfa i wadera – alfa), ale często również ze starszego o rok, czy dwa potomstwa tej samej pary.

Pozostawione więc same na kilka godzin szczeniaki lizki, jeszcze niezdolne rozróżnić między tym, co jest dla nich dobre, a co złe, ale wiedzione nieprzepartym instynktem poznania, rozpoczynają poznawanie najbliższej okolicy bez opieki rodzica. Można się spodziewać, że różne rzeczy im się wtedy przytrafiają. Nawet mocno przestraszone, po począt-





*koniec maja*



*połowa czerwca*

kowym „dylu” w najgłębsze zakątki swojej nory, po niedługiej chwili ponownie wychylają swoje noski na zewnątrz, próbując wywnioskować coś z nieznanym sobie jeszcze zapachów. Oj korci je, korci, jak nasze dzieci, a rodzica w pobliżu brak.

Młode szybko dorastały i chronione w tym przypadku podwójnie przez drut kolczasty pod napięciem – taki ekstra odstraszący pastuch, nie zanotowały w pierwszym miesiącu żadnych strat poza „odejściem” po kilku dniach najślabszego szczeniaka, którego albo liszka nie dała rady wykarmić, albo który zdechł z jakiś inny przyczyn. Żywot pozostałej piątki przez ten czas wydawał się całkowicie beztroski, jestem tego prawie pewien obserwując je wiele godzin dziennie. Nie dało się tego powiedzieć o mamie, która harowała od rana do wieczora, żeby wykarmić wygłodniałe potomstwo.

Kiedy szczeniaki zaczęły coraz dalej oddalać się od nory, do której wracają z reguły do połowy lipca, ich zachowanie zaczęło przechodzić metamorfozę. Stały się nerwowe, nieufne i lekko wystraszone. To zapewne wpływ ich doświadczeń pozyskanych w czasie tych dalszych wypraw zarówno z mamą, jak i samotnie. Musiały być to przeżycia traumatyczne. Gdy na początku lipca musiałem zakończyć swoje współżycie z tą rodziną z powodu wyjazdu, niestety został przy życiu tylko jeden szczeniak. Dwa małe jeszcze ciała znalazłem na poboczu drogi rozjechane przez samochód; dosłownie 300-400 metrów od nory. Zżyłem się z nimi mocno i bardzo było mi smutno. Mam nadzieję, że temu ostatniemu udało się dożyć przynajmniej następnej wiosny.

# Z dziennika epidemii

Leszek Sarnowski

## SZYJEMY MASECZKI, CZYTAMY, PIJEMY WINO, czyli wyjątki z dziennika czasu zarazy

Opuszczone ulice, zamknięte restauracje, mało ludzi, niewielki ruch samochodowy na mieście. Siedzimy zamknięci w domach niespodziewaną epidemią koronawirusa. Oglądamy telewizję z nieustającymi wiadomościami z frontu walki, jednocześnie hodując w sobie strach i poczucie bezradności. Czytamy książki, oglądamy filmy, rozmawiamy. No i pracujemy zdalnie, czyli niewątpliwie z dala od miejsca pracy i innych ludzi, ale też oddzieleni od najbliższej rodziny. Tęsknota, apatia, zniechęcenie, z drobnymi elementami radosnej nuty. Na szczęście razem.

Chciało by się napisać, że przeżyliśmy, ale trafniej nadal jest pisać, że przeżywamy czas zarazy, pandemii, epidemii, co kto woli, choć wiadomo, że z wolą to nie ma nic wspólnego. Zatem kilka myśli z dziennika zarazy...

12.03

Pierwsza ofiara śmiertelna koronawirusa w Polsce.

Do tej pory odnotowano ponad 60 zakażeń. Dwa dni temu rząd odwołał wszystkie imprezy masowe w Polsce. Zamknięto szkoły, uczelnie wyższe, żłobki, przedszkola. Coraz groźniej. Dobrze, że jesteśmy razem. Małgosia wystraszona. Ja robię dobrą minę do złej gry.

I taka mało optymistyczna myśl z „Biegunów” (właśnie kończę) Olgi Tokarczuk: *Noc przywraca światu jego naturalny, pierwotny wygląd, nic nie fantazjuje; dzień to ekstrawagancja, światło - to tylko drobny wyjątek, niedopatrzanie, zaburzenie porządku. Świat naprawdę jest ciemny, prawie czarny. Nieruchomy i zimny.*

14.03

Od północy obowiązuje w kraju stan zagrożenia epidemicznego. W Polsce przybyło 36 zakażonych.

Właśnie otrzymałem bardzo ciekawą przesyłkę od poetki gdańskiej Małgosi Wątor, Jej najnowszą książkę poetycką „Przeznaczona”, w wersji polskiej i kaszubskiej. Dołożyłem swoją małą cegiełkę, bo Małgosia zorganizowała publiczną zrzutkę, by książkę wydać i się udało. Pięknie wydana przez Radka Wiśniewskiego i jego Stowarzyszenie Żywych Poetów z Brzegu, z nastrojowymi grafikami Radosława Wątor. Gratuluję Małgosiu. To piękny prezent na czas zarazy. Choćby taki kawałek:

*Wyczłowieczam się i*

*Przeciąga się we mnie ludzkość*

Czytajcie Poezję. Kochajcie Poetów.

15.03

Liczba zakażeń wzrosła o 125.

Episkopat zachęca biskupów, by dawali dyspensę wszystkim wiernym, którzy nie chcą lub nie mogą uczestniczyć w nabożeństwach religijnych w Kościele i apeluje, by uczestniczyć w mszach transmitowanych w telewizji lub internecie. Zatem grzechu w niechodzeniu do kościoła już nie ma. Będzie ze dwa lata, odkąd nie narzucam się Panu Bogu, bo w kościele bywam rzadko. Do wejścia do wirtualnego kościoła on line zachęcił mnie ks. Krzysztof Niedałowski, kapelan środowisk twórczych z kościoła św. Jana w Gdańsku. Ks. Krzysztof, na czas zarazy, przytoczył ewangeliczną przypowieść o Samarytance z Sychar, kobiecie po przejściach, zadziwionej że Chrystus, ją Samarytankę, prosi o łyk wody. A kiedy dowiaduje się, że ON oferuje „wodę żywą”, która nie tylko gasi pragnienie, ale daje nadzieję na życie wieczne i zbawienie, idzie za nim. To jest historia miłosna u studni, mówi ks. Krzysztof. Chrystus upomina się o troskę obcej kobiety, z plemienia trochę pogańskiego, pogardzanego przez sąsiadów wierzących w jednego Boga, kobietę, która do tej pory nie radziła sobie z miłością, źle inwestowała swoje uczucia. Nie wyklucza jej ale wchodzi w relację, dając jej nową perspektywę i miłości i wiary. To lekcja wrażliwości na trudny czas, także na czas życia w zarazie. Bo to też czas wyjątkowy, dla jednych refleksji, dla innych rekolekcji.

16.03

Potwierdzono łącznie 177 zakażeń, zmarły 4 osoby.

Fundacja NieLadaHistoria, rozpoczęła szycie maseczek ochronnych dla gdańskich szpitali. Wśród szyjących jest też Fundacja Kobiety Wędrownie, którą założyła Khedi Alieva, znajoma Czeczenka z Gdańska. Kilka lat temu zamieszciliśmy w naszym kwartalniku „Provincia” tekst Khedi o jej traumatycznych przeżyciach, kiedy mieszkała jeszcze w Czeczenii. W czasie wojny zamordowali jej męża. Uciekła z rodziną i osiadła w Gdańsku, angażując się w pomoc dla innych uchodźców. Dziś razem z innymi uchodźcami szyje maseczki dla gdańskich szpitali. Wielkie serce, niespożyta energia i empatia. Tego samego dnia dzwoni Anita Czarniecka, którą poznałem jakiś czas temu przy wspólnych działaniach politycznych. Działa w gdańskim Komitecie Obrony Demokracji, ale też w Fundacji Damy Radę, która zajmuje się pomocą dla dzieci autystycznych i ich rodzin. Rozmawiamy co zrobić. Anita, która mieszka trochę w Gdańsku, trochę w gminie Stary Dzierzgoń, w powiecie sztumskim, rzuca hasło, że może byśmy skopiowali w powiecie sztumskim, może malborskim, gdańską akcję szycia maseczek. Bez wahania wchodzimy w to.

Adam Nowak. Raz, Dwa, Trzy. Płyta „Skąd dokąd” i taki kawałek: *horyzont to akt łączenia błękitu z kawalkiem łądu*. Ładne.

17.03

61 nowych przypadków zakażeń.

Rozmawiam z dyrektorką szpitala sztumskiego Marzeną Kaczanowską, czy i jakie mają potrzeby, bo mamy pomysł, by zorganizować społeczną akcję szycia maseczek bawełnianych dla szpitala. Była zaskoczona i zadowolona, bo potrzebują wszystkiego, a maseczek każdą ilość, nawet wielokrotnego użytku, które można dezynfekować w autoklawie. Anita rozmawia z dyrektorem szpitala w Malborku, który także jest zainteresowany współpracą. Tworzymy wydarzenie na Facebooku: „Szyjemy maseczki dla szpitali w Sztumie i Malborku”, apelując, by zgłaszały się chętne osoby z powiatu malborskiego i sztumskiego, które chciałyby zająć się społecznie szyciem. W ciągu kilku godzin zgłasza się kilkanaście kobiet, a w następnych dniach jest już kilkadziesiąt.

To trudny czas dla każdego, a szczególnie tych, którzy w swej pracy są uzależnieni od innych. W takiej sytuacji właśnie sprawdza się solidarność, ta codzienna, pisana z małej litery. Przelewamy z żoną drobne kwoty tym, którzy w tym trudnym czasie nie mogą realizować swoich usług. Proste gesty dają ludziom najwięcej. To otucha i nadzieja. I tak powoli żyjemy.

23.03

115 nowych przypadków zakażeń, łącznie osiem osób zmarło.

Kolejne restrykcje. Zabronione jest gromadzenie się w parkach i na bulwarach, w mszach może uczestniczyć najwyżej pięć osób. Dozwolone są wyjścia do pracy, do sklepu, w celu pomocy innym.

Internet jest dziś światem alternatywnym. Poza zaspokajaniem w komunikowaniu się, może przynosić także trochę radości. Ot znalezione w sieci: *Prośba czeskiego związku psychiatrów: Przyjaciele. To, że podczas kwarantanny rozmawiacie ze swoimi zwierzętami, roślinami czy wyposażeniem gospodarstwa domowego jest NORMALNE. Z tego powodu nie musicie dzwonić. Specjalistycznej pomocy szukajcie wtedy, gdy one zaczną wam odpowiadać. Dziękujemy. Wasi przeciężeni psychiatrzy.*

Można by to nazwać „Czesi cieszą”, a cieszą, bo mają dystans, autoironię i poczucie humoru. No i do tego warto dosłuchać Jaromira Nohavicy „Czarna dziura”, kiedy śpiewa, że *w naszym domu jest jak w czarnej dziurze, co zrobię to zaraz kogoś wkurzę*, a na samobójcze próby i pytania do Boga, co ma robić, bo nawet samobój mu nie wychodzi, słyszy odpowiedź z wysokiego nieba:

*żywot masz zaszany ty matole,  
ciesz się ciulu, żeś tam wciąż na dole.  
Rzuć gorzałę, fajki i klęknięcie,  
bo dość mam patrzenia z góry na nie*

24.03

Ks. Paweł Potoczny z cerkwi w Cyganku na Żuławach to wyjątkowy gość. W czasie epidemii znalazł sposób na rozmowę i spotkanie ze swoimi grekokatolickimi wiernymi. Komunikuje się on-line. Super. Brawo. To wyjątkowa parafia i wyjątkowi ludzie. Ze dwa lata temu właśnie w tej cerkwi, po niedzielnym nabożeństwie, ksiądz Paweł zorganizował spotkanie promocyjne z naszym kwartalnikiem „Prowincja”. Przybyliśmy z Andrzejem Kasperkiem do cerkwi i to był nasz debiut przed ikonostasem; byliśmy zaszczytzeni. Pozdrowienia dla braci grekokatolików.

Litewski Żyd, od jakiegoś czasu mieszkający w Izraelu, Grigorij Kanowicz w swojej najnowszej powieści „Ballada o miasteczku”: *A psu na budę (mówi Rocha) Paryż z jego królami i Rotszyldami! Tutaj mam Paryż, w tym sztetlu, w którym się urodziłam i w którym mimo mojego paskudnego charakteru ktoś kiedyś mnie kochał, a może do dziś kocha.*

25.03

150 nowych przypadków zakażenia, 13 osób zmarło.

Bardzo się cieszę, że moja żona na swojej zawodowej drodze spotkała Leszka Możdżera. Zazdroszczę, bo bardzo lubię jego jazzową stylistykę, a także otwartość na różnorodność muzyczną. Dobro, które z tego wyszło, polega na tym, że nie muszę już jedynie w słuchawkach słuchać w domu jazzu, żona go polubiła. Oczywiście Możdżer dominuje, ale jest miejsce także dla Jana Garbarka, Marcin Wasilewski Trio, a nawet ballady Johna Coltraina. Wieczorem więc dobry kawałek Możdżera i Komedy w jednym, bo taka jest autorska płyta Możdżera pod tytułem „Komeda”. To płyta nagrana i wydana w 2011 roku. Można jej słuchać bez końca i tak u nas bywa. Cieszę się na to wspólne słuchanie, bo to zderzenie tytanów. Możdżer, jak mówi, chciał zagrać Komedę zgodnie z zapisem artysty, abstrahując od tego, co i kto do tej pory z jego muzyką robił. Wyszło przepięknie, jak dla mnie, bo taka jest muzyka Komedy i taki jest Możdżer. „Sleep Safe and Warm” czyli kołysanka z filmu Polańskiego „Rosemary’s baby” to wzruszająca perełka, którą można słuchać i słuchać, popijając czerwonym smacznym merlotem, słysząc gdzieś w tle, w wyobraźni, cichutkie podśpiewywanie Mii Farrow. Ot taki krótki oddech od codziennych komunikatów z placu wirusowego boju.

7.04

435 nowych przypadków zakażenia wirusem, łącznie 4848, zmarło 22, łącznie 129.

Dziś przypada 35. rocznica naszego ślubu. I taka historyjka przy tej okazji wrzucona na fejsa:

*Sztum. 1985 rok. Urząd Stanu Cywilnego. Kierowniczką o podwójnym nazwisku, oba niemieckobrzmiące czyli tutejsze.*

– *W jakiej sprawie – pyta*

– *Przyszliśmy podpisać kontrakt małżeński – odpowiadam*

– *Znaczy się ślub – mówi ona*

– *Nie, ślub mamy w kościele. Przyszliśmy podpisać kontrakt małżeński – odpowiadam grzecznie*

*Mina pani nietęga i wrogość narasta w oczach urzędnika państwowego, broniącego istoty państwa świeckiego, które właśnie zdaje się tracić wpływ na rodzącą się na jej oczach podstawową komórkę społeczną. Ale niczym przyczajony tygrys, ukryty smok, czyha jak by tu zemścić się na tym podejrzanym brodaczu w wyciągniętym swetrze, z ostentacyjnie wpiętym na piersi opornikiem.*

– *Jaka muzyka – pyta dociekliwie*

– *Nie ma potrzeby – odpowiadam spokojnie*

– *Ile będzie osób, bo chcemy przygotować szampana – pyta*

– *Nie ma potrzeby. Będziemy my i dwoje świadków – odpowiadam*

– *Jak to, a goście – pyta coraz bardziej poirytowana*

– *Gości nie będzie, bo będą na ślubie w kościele – odpowiadam jeszcze grzeczniej*

*Irytacja przechodzi w nieskrywaną wrogość. Oczy nabierają podejrzanego błysku.*

– *Zawód – pyta*

– *Psycholog – odpowiada zgodnie z prawdą narzeczona Małgosia*

– *A on? – pyta*

– *Kończę studia historyczne – odpowiadam, domyślając się w mig, że o mnie chodzi i skrywając w myślach fakt, że to już trzeci rok jak tak ze smakiem i nienachalnie kończę te swoje studia.*

*No i to była wreszcie ta chwila, kiedy jej miłosierdzie i urzędnicza życzliwość sięgnęły zenitu. Na to czekała. Gdyby w Urzędzie Miasta były dzwony, to by w tej chwili głośno zabily. Nie zabily, ale ona z szyderczym uśmiechem satysfakcji, graniczącej z podnieceniem, wysyczała przez zęby:*

– *Czyli bez zawodu!!!*

*I tak zakończyła się ta gminna manifestacja wolności i kontestacji peerelewskiego reżimu w małomiasteczkowym wydaniu. Kontrakt podpisaliśmy, bez muzyki, szampana, ryżu i gości. A 7 kwietnia 1985 roku odbył się nasz ślub w Kościele Św. Anny w Sztumie, z muzyką, ryżem, szampanem i gośćmi.*

*Kierowniczką USC, ze swoim podwójnym („wiadomobrzmiącym”) nazwiskiem w paszporcie, rok czy dwa lata po naszym ślubie, wyemigrowała do Niemiec. My po studiach osiedliśmy w Sztumie i tak z przyjemnością jest do dziś. A teraz piję wino ze swoją dziewczyną, bo trochę czasu nam razem zeszło...*

*Miłe życzenia od wielu bliższych i dalszych znajomych, czasem nieznanym i prawie czterysta lajków. Jeden zaskakujący, bo pani (znajoma jedynie z fejsa) pisze: Po tym wpisie w ogóle nie rozumiem, co Pan robi wśród moich znajomych.*

*Odpowiadam: Że niby katolik? Dziś z tym u mnie bywa różnie, ale wtedy to była manifestacja polityczna, może Pani ciut za młoda żeby smak ironii dostrzec. Ale jeśli nie pasuje do Pani zacnego grona, proszę się nie krępować. Pozdrawiam.*

Ona: *Nie krępowalam się ani minuty i nie, że katolik, ale że tak charakterystyczna dla „katolika” zjadliwe pióro.*

Hm, muszę to przemyśleć – myślę sobie.

I jeszcze inny komentarz od Jacka Jasionka: *Nie mogę się powstrzymać Leszek. Niektórym się w głowie nie mieści, że można z rozrzewnieniem wspominać ślub kościelny i jednocześnie opowiadać się za równością dla wszystkich, także osób LGBT... Dziękuję za świadectwo różnorodności i wartości. Wszystkiego dobrego na kolejne wspólne lata dla Was. My z Dawidem raptem 1/3 mamy Państwa wyniku.*

I moja odpowiedź: *A widzisz drogi Jacku. Wtedy to była forma manifestacji wobec opresyjnego państwa i reżimu, stąd też wspomniany opornik w swetrze. I Kościół był wtedy „nasz”, nie mówiąc, że prosty katolik, cokolwiek dziś nieco dalej od religijnej macierzy. A tolerancja to jeden z fundamentów ludzkich wartości (w tym także katolickich, choć może nie zawsze i wszędzie praktykowanych), więc jak widzisz można to jakoś pogodzić. Pozdrawiam serdecznie i życzę dobrego życia.*

Jacek jest gejem i działa w ruchu LGBT, ale od tego czasu często lajkujemy swoje wpisy, a w swoim poście nawiązywał do mojej aktywności w Radzie Powiatu Sztumskiego, kiedy rządząca powiatem pisowska większość wprowadziła Kartę Praw Rodziny przygotowaną przez fundamentalistów z Ordo Iuris. Otrzymałem wówczas wiele słów podziękowania za mój protest od osób związanych ze środowiskiem LGBT, bo to w nich między innymi wymierzona jest rzeczona Karta. Widać, jak mniejszości nadal potrzebują wsparcia z każdej strony w walce o swoje prawa.

Czwarty tydzień bez kontaktu z córką, zięciem i wnuczką Ulką. I dziś w końcu przełamanie. Przyszła bardzo radosna paczka z Gdańska do Sztumu - wino, papier toaletowy i dwa portrety babci i dziadka, autorstwa naszej wnuszki.

No i dzięki temu na koniec dnia pijemy z żoną (rocznicowo) smaczne wino chilijskie. Na początek Bicenenario Merlot 2015, aromatyczne, z nutą dębu z niewielkiej rodzinnej winnicy Doną Javiera. Przodkowie rodziny walczyli o niepodległość Chile, a dziś zaspokajają podniebienia winnych pasjonatów w całym świecie. Ich pięćdziesięciohektarowa winnica znajduje się 45 kilometrów od Santiago de Chile, w słynnej dolinie Maipo, zwanej „małym Bordeaux”. Kolejna butelka to Montepiedra Reserva Carmenere 2017, z winnicy Apaltagua w centralnym Chile, szlachetne, z aromatem owoców, czekolady i przypraw korzennych i jak to mówią fachowcy z „harmonijną budową i długim zakończeniem”. I tak też było przy rocznicowej okazji. Plany na ten dzień były inne, hotel Bryza w Juracie, ale trzeba było odwołać. Może do końca roku się uda, by tak z oddali, powspominać nasz wspólny czas, nie ukrywam – przyjemny.

#### 8.04

357 nowych przypadków zakażenia, zmarło 30 osób.

*Przyczyną pandemii nie jest koronawirus – niezależnie od tego skąd się wziął. Nie jest nią też kara boska ani zemsta przyrody czy reset ekosystemu Ziemi. Pandemię w istocie spowodował katastrofalny spadek wydolności układu odpornościowego większości przedstawicieli naszego ga-*

*tunku, szczególnie tych, którzy mają więcej niż kilkanaście lat* – pisze w swoim ciekawym tekście Wojciech Eichelberger, psychoterapeuta. Na to nakłada się także wszechobecny stres i rozpasana konsumpcja, dodaje psychoterapeuta.

Polecam uważnej lekturze i refleksji, także tym, którzy protestują, że zamyka się miejskie targowiska czy nie wyraża się zgody na wydłużenie czasu pracy supermarketów. Może jeśli już musimy biegać do supermarketów to róbmy to raz w tygodniu, żeby się chronić i nie narzekać, że trzeba stać w długich kolejkach przed sklepami. Można zamawiać towary w internecie od lokalnych producentów, z dostawą do domu lub szukać sklepów, gdzie kolejki są mniejsze. Może, skoro nasze świąteczne przyjęcia będą mniej liczne, warto skorygować listę zakupów. Dla wierzących to ważne święta, których cechą są między innymi powściągliwość i umiar. Nie dajmy się zwariować i zwolnijmy.

A wieczorem, po raz kolejny, film „Wszyscy mają się dobrze”, reż. Kirk Jones (2009). Robert de Niro po śmierci żony wyrusza w podróż po USA żeby odwiedzić-poznać swoje dzieci. Był surowym ojcem, a dzieci zwierzały się matce. Niewiele o nich wiedział. Poznaje ich w życiu dorosłym, niezbyt udanym, być może przez niego, bo był zbyt wymagający. Piękna scena na koniec jak wszyscy się spotykają u ojca, oprócz jednego syna, artysty, który zmarł z przedawkowania (poczucie winy, że nie sprostał?). Mimo oddalenia widać u nich więź rodzinną, refleksję, bliskość, szczerść, miłość. Nie dało się nie poryczeć.

9.04

370 nowych przypadków zakażeń, 15 ofiar śmiertelnych.

Praca zdalna. Wrzucamy na stronę miasta i fejsa informację o tym, że burmistrz nie zgodził się na przedłużenie godzin otwarcia supermarketów, bo nadal obowiązuje uchwała Rady Miejskiej z 2005 roku, że sklepy mogą być otwarte codziennie od 5.00 do 23.00. Wydłużenie pracy sklepów to także zagrożenie dla pracowników supermarketów. Fala krytyki, bo ludzie chcą nocą robić zakupy, żeby uniknąć kolejek. Pod własnym nazwiskiem wpisuję swój komentarz: *Pracuję w Urzędzie Miejskim w Kwidzynie. Mieszkam w Sztumie. Zabieram głos jako obywatel i konsument. Odniosę się do komentarzy przez własne doświadczenie. W Sztumie jest jeden Lidl, jedna Biedronka, Netto, PoloMarket, Żabka, Lewiatan, Sokół i sporo sklepików osiedlowych. Lubię robić zakupy w Lidlu, bo duży asortyment, niezły wybór win, no i ostatnio dinozaury dla wnuczki za naklejki ze zrobionych zakupów. W Biedronce z kolei można trafić na niezły wybór winyli, a w Netto na inne specjalty. Pieczywo i inne drobiazgi kupuję w moim sklepiku osiedlowym. Wczoraj na zakupy wybrałem niewielki sklepik warzywny, w którym kupiłem wszystko potrzebne do wypieków, nabiał, warzywa i owoce, no i żur. Przed 17.00 byłem sam w sklepie. Soki, mleko i parę innych artykułów zamawiam u lokalnego producenta z dostawą do domu. Od czasu do czasu zamawiamy obiad z dowozem z miejscowej restauracji. Mięso zamówiłem u Gzelli (bo u Zielińskiego większe kolejki i nie można zamówić) i dziś po 16.00 odbieram. Jajka kupię jutro na hali targowej, gdzie są trzy stoiska i pojedyncze osoby w kolejce. Jak będzie więcej ludzi to jajka kupię w sklepiku obok, bo tam kolejek w ogóle nie ma. Do każdego sklepu chodzę w rękawiczkach i maseczce. Na świąteczny stół (dla mnie, żony i teścia) przygotowujemy znacznie mniej niż zwykle, bo córka z rodziną izoluje się w Gdańsku i na święta nie przyjeżdżają. Mam nadzieję, że jakoś z rozumą, bezpiecznie,*

*w zdrowiu (z odrobiną zadumy i refleksji) przetrwamy ten trudny czas, czego i Państwu życzę.* Chyba wielu malkontentów przekonałem, bo hejtu nie było.

Kolejna dostawa maseczek trafiła do sztumskiego szpitala. Ponad dwa tysiące maseczek uszły Panie z gminy Sztum i Stary Targ, między innymi z Dąbrówki Malborskiej, Bukowa, Szrop. Im mniejsza gmina, wieś, tym mobilizacja i chęć niesienia pomocy większa. Pełna mobilizacja także wśród mieszkańców gminy Sztum. Maseczki szyją Panie z Białej Góry, Piekła, Barlewiczek, Czernina i Sztumu. Dzięki ich zaangażowaniu powstało 1345 maseczek ochronnych. Część trafiła już do szpitala, a część trafi w poświęteczny wtorek. Szacunek.

Postanowiłem to uczcić szklaneczką ginu z tonikiem. Gin powstał w XVII wieku w Niderlandach, choć swoją prawdziwą popularność, najpierw w niższych sferach społecznych, zdobył w Anglii. Co ważne w tej opowieści, uważa się, że gin z tonikiem pozwolił Brytyjczykom zająć, a przede wszystkim utrzymać, kolonie w Indiach. Żołnierze bowiem chętnie korzystali z tego trunku z tonikiem i nie o wartości smakowe jedynie chodziło, a o chininę zawartą w toniku, która chroniła żołnierzy przed malarią. I tu wracamy do Polski czasu zarazy. Kiedy kilka dni wcześniej udałem się do pobliskiego sklepu by kupić trunek okazało się, że gin jest ale tonik został całkowicie wykupiony i ma być pod koniec tygodnia i lepiej żebym nie szukał w innych sklepach, bo ma informację, że nigdzie w mieście toniku nie ma. Na moje pytanie do sprzedawczynie dlaczego akurat tonik, okazało się, że rozeszła się wieść wśród mieszkańców, że właśnie chinina zawarta w napoju może chronić przed koronawirusem. Trudno powiedzieć z jakim efektem, ale kilka dni później tego napoju było już w sklepie pod dostatkiem. W Sztumie nie było w tym czasie żadnych zachorowań na koronawirusa, ale pewnie nikt nie kojarzył tej kwestii z leczniczymi wartościami toniku czy jałowcówki No i taki to związek Sztumu i koronawirusa z brytyjskim imperializmem kolonialnym.

#### 10.04 piątek

380 nowych zakażeń, 7 ofiar śmiertelnych. Wielki Piątek. Praca zdalna.

Na fejsa wstawiam życzenia od redakcji kwartalnika „Prowincja”: *Empatii, serdeczności, bliskości na miarę możliwości, solidarności, bezpieczeństwa, a nade wszystko zdrowia w tym szalejącym świecie, z nadzieją, że wspólnie przeżyjemy ten trudny czas. Zostańmy w domu, czytamy, piszmy i bądźmy razem. Dobrych Świąt Wielkiej Nocy.* I do tego rysunek Mariusz Stawarskiego, bardzo wymowny - człowiek rysujący swój dom. Dom to dziś nasz azyl bezpieczeństwa.

To także ważne rocznicowe wspomnienie katastrofy smoleńskiej. Kiedy 10 kwietnia 2010 roku samolot z polską delegacją schodził do lądowania w Smoleńsku, ja traślałem do szpitala z utratą mowy i podejrzeniem udaru mózgu. W Smoleńsku skończyło się narodową tragedią. Dla mnie na szczęście jedynie zapaleniem opon mózgowych i wielotygodniowym leczeniem szpitalnym. Zestawienie wyda się może niestosowne, ale właśnie to była moja perspektywa w tym trudnym czasie, kiedy życie i śmierć dla wielu z nas były tak szczególnie blisko siebie. Polska delegacja udawała się złożyć hołd pomordowanym Polakom w Katyniu. Zginęli wszyscy. 96 pasażerów TU-154, współczesna elita Rzeczypospolitej.

Katastrofa w Smoleńsku była poruszającą tragedią w każdym wymiarze. Nie sposób jeszcze racjonalnie, bez żalu, emocji i patosu, o tym myśleć i pisać. Lech Kaczyński, Anna Walentynowicz, Maciej Płażyński, Aram Rybicki. Każdy z tych życiorysów to potężna dawka polskiej historii najnowszej, patriotyzmu, niezłomności ducha i bez wątpienia bohaterstwa, choć wszyscy oni dalecy byli od używania wobec siebie tego rodzaju określeń. Nie było zresztą takiej potrzeby, bo mieliśmy ich na co dzień i nikt nie myślał o spisywaniu ich życiorysów, szczególnie w wersji pomnikowej, a tym bardziej martyrologicznej.

Z Maciejem Płażyńskim byliśmy niemal rówieśnikami. Pamiętam go ze strajku na Uniwersytecie Gdańskim 13 grudnia 1981 roku. Przewodził NZS-owi. Nie znaleźmy się wtedy. Mimo strachu i niepewności towarzyszącym nam w tym czasie, bo w każdej chwili byliśmy narażeni na interwencję ZOMO, to właśnie Płażyński wyraźnie rzucał się w oczy wśród działaczy studenckiego związku. Już wtedy miał w sobie tę siłę spokoju, rozważa i odpowiedzialności. Potem spotykaliśmy się już w wolnej Polsce. Jako lokalny korespondent TVP wielokrotnie relacjonowałem wizyty ówczesnego Marszałka Sejmu w Polsce gminnej. Marszałek, wcześniej jako wojewoda gdański, lubił bywać nawet w najmniejszych miejscowościach, co ze względów polityczno-praktycznych wydawało się mało przydatne, ale dla mieszkańców, szczególnie tych zapomnianych, popegeerowskich osiedli, miało niebagatelne znaczenie. Był otwarty i prawdziwy. Potrafił rozmawiać z ludźmi i zyskiwać ich sympatię. Jeśli było to możliwe za słowami i obietnicami Marszałka szły czyny w postaci doposażenia wiejskiej szkoły, świetlicy czy przyspieszenia budowy drogi, wodociągu i kanalizacji. W 2009 roku pomagałem mu znaleźć sojuszników wśród proboszczów żuławskich kościołów w sprawie stworzenia wspólnego programu ratowania żuławskich zabytków sakralnych za europejskie środki. Zabrakło czasu. Czy na swojej politycznej drodze bliski był Platformie czy PiS-owi, zawsze był człowiekiem kompromisu, mediacji i zgody, choć jasno i dobitnie artykułował swoje, konserwatywne w sferze wartości i liberalne w sferze gospodarczej, poglądy. Niezależnie od partyjnych powiązań był przede wszystkim państwowcem w najlepszym tego słowa znaczeniu. Bardzo zależało mu, by ludzie angażowali się w działania samorządowe, by od podstaw budować sprawne państwo. Samorząd w jego przekonaniu był najlepszą szkołą dla polityków, bo uczył troski o dobro wspólne czyli tego, co jego zdaniem, w polityce było najważniejsze. Kiedy ostatni raz odwiedził mnie w Sztumie, kosztując mojej nalewki orzechowej, zachęcał bym wrócił do działalności samorządowej i zachęcał do tego innych. Wróciłem rok później, ale Jego już nie było.

Przy tej okazji nasuwa się taka refleksja, że w tym dramatycznym momencie katastrofy smoleńskiej, choć na krótko niestety, byliśmy razem. Byliśmy (choć ja zdalnie ze szpitalnego łóżka i w internecie) na pogrzebach, staliśmy na placach, zapalaliśmy znicze, śpiewaliśmy religijne i narodowe pieśni, wywieszaliśmy narodowe flagi, wzruszaliśmy się, płakaliśmy po utracie przyjaciół. Wspólnie odbyliśmy żałobne rekolekcje narodowe. To ważne, nawet jeśli niewiele z tego pozostało. Miałem wtedy nadzieję (a od niej blisko do naiwności), że z takiej żałoby wyjdziemy wzmocnieni, wyposażeni choćby w przesłanie wzajemnego szacunku i życzliwości, że polityka, stanie się bliższa Arystotelesowi i trochę o dobro wspólne, niż ciągłej wojnie, wzajemnej pogardzie i bratobójczej konfrontacji. Że w końcu, za przyjaznymi gestami i słowami sąsiadów pójdą i czyny, a my nie będziemy do-

szukiwać się w nich spisków i manipulacji. Że nie będą potrzebne w naszych modlitwach wersy błagalne, śpiewane niegdyś przez Przemysława Gintrowskiego: *Ale chroń mnie Panie od nienawiści, ocal mnie od pogardy Panie*. Ostatnie lata pokazują jednak, że były to moje pobożne życzenia, bo ta katastrofa, cynicznie wykorzystywana dla politycznych celów, podzieliła nas Polaków, jak nigdy dotąd.

#### 11.04

401 nowych zakażeń, 27 ofiar śmiertelnych.

Przygotowania do świąt wielkanocnych tym razem dość smutne. Cicho, bez gwaru rodzinnego i zwyczajowych kłótni o byleco, które w tej ciszy można wspominać z rozrzewaniem, bo w gruncie rzeczy nigdy nie były destrukcyjne, ot taki koloryt. Znacznie mniej pracy, bo i potrwa mniej, tylko dla trojga - teść, żona i ja. Córka się nie krząta, zięć nie musi co chwilę biegać do piwnicy po kolejne drobiazgi, no i mała Ulka o nic nie pyta. Na szczęście widzimy się na Skypie. Najbardziej brakuje mi wnuczki, która z wielkim zaangażowaniem pomagała mi w moim flagowym mazurku i wklepywała ciasto na blachę. To trzy godziny pracy, bo kajmak robię sam. Mleko trzeba podgrzać, wsypać cukier i trzy godziny powoli mieszać, aż się skarmelizuje. Bez Ulki to nie to samo, jakiś taki bezduszny ten mazurek, choć jak zwykle smaczny i słodki, że gilga w podniebienie.

#### 12.04 Niedziela Wielkanocna

318 nowych zakażeń, 24 ofiary.

Śniadanie wielkanocne inne niż zwykle. Zabraliśmy z żoną garnek żurku, białą kielbasę, jajka, sałatkę, mięsiwa rozmaite i kawałek mazurka i zawieźliśmy na świąteczne śniadanie do dziewięćdziesięcioletniego teścia. Świącimy pokarmy sami, stukamy się jajkiem, oby było lepiej. I on i my w nieustającej izolacji, co drugi dzień na krótkiej wizycie.

Po śniadaniu wspólne polegiwanie, trochę muzyki, gazet, a wieczorem „Boże Ciało”. Poruszający film Komasy. Fałszywy ksiądz w małomiasteczkowym środowisku prowincjonalnej Polski, zamkniętej i nietolerancyjnej po żałobie, mimo wszystko wyzwał dobro, nadzieję i zmianę. Jak się okazuje i z kłamstwa może narodzić się coś dobrego.

Do tego białe wytrawne Montepiedra Reserva Riesling 2018, z chilijskiej winnicy Apaltagua. Rzeżkie, z nutą cytrusową, morelową, etc. Dalej gęsty i intensywny czerwony Roster Merlot 2015 z winnicy Middelvlei, To rodzinna winnica, z najsłynniejszego regionu winiarskiego RPA - Stellenbosch. Obie wersje smaczne i do rozmowy.

#### 13.04 Poniedziałek Wielkanocny

260 nowych zakażeń, 13 ofiar.

Rano żurek, sałatka warzywna i mazurek. Obiad u teścia.

Wspomnienie Katynia. To też moja rodzinna opowieść. Porucznik Zdzisław Gierliński, brat mojej babci był nauczycielem w niewielkiej wsi Kabat, pod Solcem Kujawskim. Był jednym z dziewięciorga dzieci Anieli i Romana Gierlińskich, moich pradziadków. Jego

starszą siostrą była moja babcia Barbara, mama mojej mamy. Zdzisław w 1939 roku walczył w 14 pułku piechoty Ziemi Kujawskiej, który był częścią Armii „Pomorze” kierowanej przez gen. Stanisława Bortnowskiego. Po klęsce wrześniowej w niewyjaśnionych okolicznościach trafił do sowieckiej niewoli. Od tego czasu rodzina straciła z nim kontakt, jak się później okazało, na zawsze. Dalsze jego losy znane są jedynie z polskich i niemieckich gazet z 1943 roku, w których publikowano listę osób odnalezionych w grobach w Katyniu. Z wycinków z niemieckiej gazety „Ostdeutscher Beobachter”, z 15 maja 1943 roku, wynikało, że w odkrytych wówczas w Katyniu masowych grobach, pod numerem 1029 zapisano Zdzisława Gierlińskiego. Miał przy sobie państwową legitymację urzędniczą, książeczkę wojskową i nie wysłaną pocztówkę do rodziny. Wycinki tych artykułów przechowywane były jak relikwie od wielu lat, najpierw przez moją prababcię, babcię i mamę. Teraz są u mnie.

Z jednej strony smutna refleksja, a z drugiej wściekłość na rządzących polityków, którzy wbrew rygorom bezpieczeństwa (które sami zalecają), celebrytują rocznicę katyńską, a właściwie smoleńską. Prezes rządzącej partii łamie zakazy i wjeżdża rządowymi limuzynami na cmentarz powązkowski, by złożyć hołd swemu bratu, prezydentowi i matce. Za nim tabuny ochroniarzy ze zniczami i wieńcami. Okropne. Wszystkim dookoła zabrania się wejścia na cmentarz, by się nie gromadzić i nie zarażać, nawet w pogrzebach może brać udział jedynie pięć osób z rodziny. Himalaje cynizmu, kiedy politycy tłumaczą takie zachowanie obowiązkami służbowymi czy państwowymi.

15.04

380 nowych zakażeń, 23 ofiary. Łącznie zmarło do tej pory 286 osób.

Kiedy urodziła się nasza córka w 1987 roku, jednym z poważnych wyzwień było zdobycie różnych produktów niezbędnych dla dziecka. Najpierw było to Cypisek czyli delikatny proszek do prania dziecięcych rzeczy, a później Bobo Fruty czyli soki owocowe o różnych smakach. Ot takie deja vieu przy okazji „zdobywania” maseczek ochronnych. Kiedyś mówiło się o deficytowych produktach, jak pojawiły się na sklepowych półkach, że właśnie „rzucili”. I tak jest dziś. Właśnie „rzucili” maseczki ochronne. Wczoraj kupiłem w aptecce flizelinowe na niemal 9 zł sztuka, później w innej aptece takie same maseczki za 6 zł. A dziś rano w Żabce sensacyjna cena 1,62 zł za sztukę. „Dają” w pakiecie po 10 sztuk, ale tylko jeden pakiet do jednego paragonu. Za taki sam pakiet w sieci państwowej „Ruch” każą płacić ponad 90 zł. O co tu chodzi. Ponoć, to jakiś biznes kogoś związanego ze sferami rządowymi. Ktoś mi na fejsie przesłał ostrzeżenie w tej sprawie, żeby nie kupować maseczek na poczcie i państwowych stacjach benzynowych, bo to oznacza wspieranie rządu, który nas oszukuje w kwestiach walki z koronawirusem, a w dodatku zarobić na epidemii.

Dziś udałem się w drogę radcy Abła, z kryminalistów Krzysztofa Bochusa. Piękne klimaty przedwojennego Gdańska, Sopotu, mierzei wiślanej i Kwidzyna (Marienwerde). Radca, a zatem oficer śledczy, miał słabość do gatunkowych smaków, a skoro Gdańsk, to nie mogło zabraknąć Goldwassera czyli „złotej wody”. Kiedy studiowałem w Gdańsku nie stać mnie było na takie smaki, zresztą hołdowaliśmy prostszym bukietom, bez takiej historii. Z wiekiem człowiek dojrzewa, bo to nie tylko kwestia ceny (wcale nie wygórowanej), ale

właśnie smaku, nie tego herbertowsko-filozoficznego, ale tego bardziej przyziemnego, żeby nie powiedzieć, spożywczego. A to po prostu likier ziołowo-korzenny, według receptury XVI-wiecznego mennonity Ambrozego Vermoolena, który przed prześladowaniami uciekł do Prus z Niderlandów. Gdańska legenda głosi, że do powstania wódki przyczynili się gdańszczanie wrzucający obficie złote monety do fontanny Neptuna. Kruszec spowodował uszlachetnienie wody i jej przemianę w wódkę, a przetworzenia monet w płatki złota dokonał swoim trójzębem sam Neptun wieńczący fontannę. Ponoć wódka zawiera 20 ziół, między innymi rozmaryn, jałowiec, goździki, cynamon, anyż, kardamon, lawendę, kurkumę. No i te płatki złota pływające w środku, które skusiły ponoć do degustacji nawet Katarzynę Wielką. Według zaleceń radcy Abla trunek musi być mocno zmrożony i wtedy jest najlepszy. Posłuchałem bochusowego bohatera. Sprawdziłem i potwierdzam. Wyjątkowy, choć nie daj Boże się nim upić, bo jak zapewnia tak wytrawny smakosz jak Abel, głowę urywa. Ale z umiarem, daje miłą odmianę.

16.04.

336 nowych zakażeń, 28 ofiary.

Burmistrz Kwidzyna Andrzej Krzysztofiak podjął decyzję, by zakupić maseczki ochronne dla każdego mieszkańca miasta. To w związku z tym, że właśnie od dziś minister zdrowia zarządził, by każdy z nas nosił maseczkę w przestrzeni publicznej. Maseczki spływają z trzech firm kwidzyńskich do urzędu a urzędnicy pakują maseczki w koperty. Dziś udało nam się w ten sposób złożyć 4500 maseczek. Wszyscy w maseczkach na twarzy, w rękawiczkach, w stosownej odległości. Rano pod urzędem czekali na nas policjanci, którzy dowiedzieli się, że burmistrz kupuje maseczki dla mieszkańców i poprosili nas, byśmy dali im trochę maseczek dla miejscowych pijaczków i bezdomnych. Oni w większości nie mają meldunku i żaden z nich maseczki nie dostanie, a zamiast mandatu, można im dać maseczkę. Takiej wrażliwości i uwagi po stróżach prawa się nie spodziewałem. Budujące. Oczywiście przekazaliśmy 100 maseczek, by w ciągu najbliższych dni każdy patrol miał do dyspozycji maseczki.

18.04

365 nowych zakażeń, 15 ofiar.

Z ostatnich dni najbardziej wstrząsające są doniesienia, o tym, że kolejny dom pomocy społecznej jest w dramatycznej sytuacji, bo zarażeni wirusem są zarówno pacjenci, jak i opiekunowie, w tym służby medyczne. Jestem wstrząśnięty i wkurzony słowami ministra sprawiedliwości, który w telewizji straszy lekarzy i pielęgniarki, że jeśli odmówią pójścia do pracy w takim miejscu to wyśle przeciwko nim prokuratorów. Jak można. Trzeba było o tej wyjątkowej służbie myśleć, kiedy pracownicy domagali się podwyżek uposażeń, bo są od wielu lat pomijani.

Po południu kolejna poetycka przesyłka-niespodzianka. Tym razem nowy tom poezji Pawła Nieczui-Ostrowskiego pod tytułem nomen omen „Zakażenie”. Dorzuciłem się na [zrzutka.pl](http://zrzutka.pl) do tej publikacji, bo i Pawła znam z czasów elbląskich, a poza tym lubię poetów.

Może to wynika z mojego niespełnienia w tym zakresie, bo sam kiedyś wiersze pisywałem, ale nigdy tomiku żadnego nie wydałem. To raczej na szczęście, bo nie były to żadne perełki, którymi można by się szczycić, a jak nie pisze się wierszy wybitnych, to lepiej nic nie pisać. Mieliśmy co prawda z moim przyjacielem, świętej już niestety pamięci, Markiem Warzechą, grupę poetycką na studiach, ale żaden z powstających wówczas wierszy (choć wiele spisanych przetrwało w pożółkłych papierach) nie nadawał się do publikacji. Ot taki, dość frywolno-sprośny strumień świadomości. Każdy pisał po kilka linijek i tak się toczyło. Jechaliśmy wtedy ewidentnie Wojaczkim, a wiersze powstawały w tramwaju, akademiku, przy ognisku, najczęściej na wspomaganie. Pawła Nieczuję-Ostrowskiego zdecydowanie jednak polecam.

19.04

545 nowych zakażeń, 13 ofiar.

Postanowienia na czas pandemii: ograniczyć lub rzucić palenie, mniej jeść i się odchudzić, zacząć się ruszać. Nie jest to proste.

Rozmawiałem dziś z psycholożką, która w Kwidzynie od miesiąca obsługuje miejski telefon zaufania. Na początku częstym tematem rozmów była troska o zdrowie, życie i strach przed wyjściem z domu – do sklepu czy pracy. Jak rozmawiać w rodzinie, kiedy wszyscy są skazani na bycie razem i zaczynają działać sobie na nerwy. Problemy mają dorośli i dzieci. Dzieci nie wytrzymują napięcia i niepewności, bo zachwiało się ich poczucie bezpieczeństwa. Rodzice nie zawsze radzą sobie z tymi dziecięcymi lękami, sami boją się utraty pracy i drżą o przyszłość rodziny i bywa tak, że więcej czasu poświęcają swoim firmom. Na początku dzwoniли głównie dorośli, teraz coraz więcej jest młodych osób. Rozmówcom czasem chodzi o „wygadanie się”, odstresowanie, a często o konkretną pomoc. Do tej pory udało się uratować dwie młode osoby – jedną która podjęła próbę samobójczą, drugą która o tym myślała. Obie zadzwoniły na telefon zaufania. Powiem szczerze, że nie dziwię się, że rozmówcy korzystają z tego telefonu, bo ja sam z przyjemnością odbyłem rozmowę z panią psycholog, bardzo empatyczną i uważną, że aż człowiek chce się wygadać.

21.04

263 nowych zakażeń, 21 ofiar.

Matki, żony, babcie, teściowe, panny, córki, kobiety samotne. Dziś łączy je jedno - zostały krawcowymi. Siadły do maszyn, swoich lub pożyczonych, i szyją maseczki ochronne dla tych, którzy od kilku tygodni, w naszym imieniu, znajdują się na pierwszej linii walki z uciążliwą epidemią. To najważniejsza część naszej ekipy wolontariuszy. Żeby nie było, są i faceci, którzy zabezpieczają logistycznie (kierowcy) całość społecznej akcji. Niektórzy z nich także szyją.

Wielu z nas doświadczyło w swoim życiu kontaktu z dobrym lekarzem, wrażliwą pielęgniarką, choć większość z nas pewnie nie ma najlepszej opinii na temat funkcjonowania systemu opieki zdrowotnej (niedoinwestowanie, kolejki do specjalistów, etc.). Dziś jesteśmy jednak solidarni z pracownikami opieki zdrowotnej i wdzięczni za ich pracę. Dla-

tego stajemy na balkonach i bijemy im brawo. Mam nadzieję, że te nieliczne przypadki złego traktowania i stygmatyzowania „medyków”, to przejaw epidemicznego strachu i stresu. Każdy się boi, ale żeby się mniej bać musimy się chronić i ponad podziałami współpracować. Empatia i solidarność mogą zdziałać wiele. Nic dziś nie zaradzimy na wieloletnie zaniedbania w ochronie zdrowia, każdej z politycznych ekip. Nie zwiększymy ilości testów na koronawirusa, choć możemy o to apelować. Nie kupimy drogiego sprzętu najwyższej jakości, by chronić nasze zdrowie, choć możemy uruchomić publiczną zbiórkę. Możemy przede wszystkim pokazać (i pokazujemy), że jesteśmy społeczeństwem obywatelskim. Dlatego szyjemy maseczki.

Jako koordynator tej akcji w powiecie sztumskim (w malborskim Dorota Wiśniewska, w kwidzińskim Ania Strzelczyk) muszę powiedzieć, że jestem dumny z mieszkańców naszego powiatu, mieszkańców Sztumu, Starego Targu, Szrop, Dąbrówki Malborskiej, Bukowa, Czernina, Piekła, Mikołajek Pomorskich, Cieszymowa, Stążek, Starego Dzierzgonia, Mortąga, Dzierzgonia, Telkwic, Waplewa, Linek, Krasnej Łąki, Mirowic, Dworka, Przemarka, Lubochowa, Zielonek, Trop. To już prawie miesiąc, jak to pospolite ruszenie ludzi dobrej woli wspiera Szpital w Sztumie.

Do wczoraj przekazaliśmy naszemu szpitalowi 9136 maseczek ochronnych wielokrotnego użytku. WIELKIE DZIĘKI. I to nie koniec, bo w tej chwili „w szyciu” mamy ponad 14 000 maseczek dla szpitala, które finansuje powiat sztumski, a za chwilę zabieramy się za 20 000 maseczek dla mieszkańców Sztumu, które finansuje Miasto i Gmina Sztum.

23.04

342 nowych zakażeń, 28 ofiar.

Załąpałem się dziś w telewizji na końcówkę koncertu „Gdzie ci artyści szaleni?”, czyli benefis Alicji Majewskiej i Włodzimierza Korcza z okazji 40. rocznicy wspólnej pracy twórczej. Majewska, Korcz, Wodecki, Santor. Zawodowcy, niezależnie od moich artystycznych upodobań. Szacunek. I refleksja okazjonalna. W tym trudnym czasie każdy z nas stara się chronić siebie i bliskich, wspieramy się nawzajem, szyjemy maseczki dla służby zdrowia, bijemy brawo medykom, zamawiamy produkty u lokalnych producentów, etc. Jednym słowem jesteśmy solidarni. To ważne, by w tych chwilach nie zapominać o artystach - muzykach, aktorach, plastykach, poetach, pisarzach, kabareciarzach. To dzięki nim doznajemy wzruszeń, bywamy w niedostępnych na co dzień światach, czujemy się lepsi, bardziej wartościowi, motywowani do refleksji lub po prostu się uśmiechamy. Dlatego kupujemy ich płyty, książki, obrazy, płacimy za kopiowaną twórczość, bo życie, także dzięki nim bywa piękne.

24.04

381 nowych zakażeń, 40 ofiar.

Przedarliśmy się „nielegalnie” na piąte urodziny naszej wnuczki do Gdańska. Niespodzianka, bo przez kilka tygodni mówiliśmy, że nie możemy się kontaktować ze względu na zdrowotnych. Pojechaliśmy. Szał radości. To mocne przytulenie, pod dwóch miesięcy,

zapamiętam chyba do końca życia. Ulka nagle po przywitaniu jeszcze raz podbiega do babci:

- *Co się stało* – pyta babcia

- *Nie wiem, chciałam się jeszcze raz przytulić. Ładnie pachniesz* – odpowiada Ulka.

29.04

422 nowych zakażeń, 28 ofiar.

Wyjątkowy koncert Adama Sztaby i siedmiuset artystów, zdalny, jak wszystko w tych czasach. Wybitna aranżacja piosenki Bajmu i Beaty Kozidrak „Co mi Panie dasz?”. 700 artystów z całej Polski. Niesamowita energia i wyjątkowy kunszt Sztaby, żeby ich wszystkich zdalnie okiełznać i poukładać elektronicznie. Po prostu ciary.

5.05

425 nowych zakażeń, 19 osób zmarło. Łącznie do tej pory 14 431 zachorowań, 716 ofiar.

W cieniu walki z wirusem toczy się polityczna wojna zwana kampanią wyborczą. Już wiemy, że zaplanowane na 10 maja wybory prezydenckie się nie odbędą. Wojna jednak trwa w najlepsze. Socjologowie twierdzą, że nie jesteśmy „dwoma wrogimi plemionami”, a obywatelami, których na co dzień więcej łączy niż dzieli. To między innymi myślenie o przyszłości, szacunek dla rodziny, obowiązek płacenia podatków, a także to, że doceniamy nasze korzyści z wejścia do Unii Europejskiej. Mam jednak spore wątpliwości, bo mimo tego że żyjemy obok siebie, to zaczynamy mówić różnymi językami i często są to języki dość wrogie wobec siebie, niszczące, degradujące, wykluczające. Przy tej okazji przypominała mi się książką niemieckiego Żyda Victora Klemperera – „LTI (Lingua Tertii Imperii) notatnik filologa”. To studium semantyczne języka Trzeciej Rzeszy, języka totalitarnego nazizmu. Książka została wydana oficjalnie po polsku w 1983 roku, 40 lat po niemieckim wydaniu. Zaczytywaliśmy się nią w stanie wojennym, bez trudu odnajdując analogię do ówczesnej komunistycznej dyktatury. Dziś żyjemy w demokratycznym państwie i zapewne nie grozi nam już żaden totalitarny system, choć autorytarne zapędy władzy muszą budzić niepokój. Mój niepokój budzi język, bo od niego zaczyna się zło, zatruwające umysły. Przestrogi Klemperer sprzed prawie osiemdziesięciu lat, brzmią dziś dość uniwersalnie: *Słowa mogą działać jak małe dawki arszeniku. Przyjmuje się je niezauważenie, wydaje się, że nie mają działania, a jednak po jakimś czasie ich trujący wpływ ujawnia się.*

Dziś skupiamy się na fizycznej walce z epidemią koronawirusa i słusznie, bo to dziś konieczność. Prędzej czy później odkryjemy szczepionkę i choroba minie. Czy zdołamy się w porę zaszczepić na niszczącą moc języka? Może znów trzeba wrócić do herbertowskiej „potęgi smaku”, gdzie „nasze oczy i uszy odmówiły posłuchu”, no i że „estetyka może być pomocna w życiu/nie należy zaniedbywać nauki o pięknie”.

9.05

Córka i wnuczka u nas w dobrowolnej kwarantannie. Pracowity i rodzinny weekend. Babcia Małgosia przygotowuje smakowity rosolek, a my z wnuczką sadzimy zioła w ogrodzie (gdzie i jakie okaże się, jak wyrosną, bo trochę nam się pomieszało), pelargonie, begonie. Jak by na życzenie i w podzięce za czas rozstania, zakwitły rododendrony. No i na koniec wspólnie zrobiona szarlotka.

Ulka wieczorem

- Dziadku przeczytasz mi książeczkę na dobranoc?

- Oczywiście

Biorę trzy książeczki – *Kicia Kocia to moje*, *Kicia Kocia na basenie*, *Kicia Kocia sprząta*.

- Którą mam przeczytać?

Wnuczka zaczyna płakać

- Dlaczego płaczesz?

- Nie mogę się zdecydować, bo one wszystkie są takie piękne

- To może wszystkie trzy przeczytam

- Nie. To nie czytaj żadnej, tylko pokaż mi obrazki.

- OK.

Wydaje nam się, że dzieci niewiele rozumieją z tego co się dookoła dzieje, ale emocje nie kłamią i pojawiają się w niespodziewanych momentach i postaciach.

20.05

Dziś 471 nowych zakażeń, 14 ofiar.

Mimo pandemii udało się wydać pierwszy numer kwartalnika „Prowincja”, głównie dzięki temu że wygraliśmy grant z Urzędu Marszałkowskiego w konkursie „Rozwój kultury w województwie pomorskim w 2020 roku”. Dziś odbyła się oryginalna promocja najnowszego numeru w internecie, z udziałem autorów - Wacława Bieleckiego, Janusza Ryszkowskiego, Adama Langowskiego, Bogumiła Wiśniewskiego, Piotra Napiwodzkiego, Andrzeja Kasperka, Mariusza Wiśniewskiego, Kacpra Smolińskiego, a nawet Pawła Zbierskiego, który łączył się z nami z Katalonii. Wyszło niezłe i sporo ludzi oglądało, bo reagowali na bieżąco. Mam nadzieję, że kolejne numery kwartalnika będziemy mogli już opowiadać swoim czytelnikom w normalnych warunkach. To już dziesiąty rok istnienia naszego kwartalnika. Kilkuset wspaniałych autorów, tysiące zadrukowanych stron i te fantastyczne spotkania w Sztumie, z winkiem i smacznymi wypiekami Pani Ingi, Eli, Basi, Bogusi, Majki, Izy i wielu innych życzliwych. Nasze prowincjonalne biesiady to pomysł mojej żony Małgosi, który sprawdza się znakomicie.

A w „Podróży ludzi księgi” (z przykrością kończę) Olga Tokarczuk daje naukę, że wszystko warte jest opisania: *Nie tylko żywoty świętych, wielkie katastrofy, wojny czy małżeństwa królów, ale także narodziny siódmego dziecka w rodzinie tkacza, żniwa w jakiejś biednej wsi, sny obłąkanej staruszki i dzień w przytulku w Mantes...* Każda książka napisana przez człowieka wychodzi poza niego i jest od niego większa. Jak to możliwe? Człowiek, który pisze

*książkę, przekracza siebie, bo czyni odważną próbę określenia siebie i nazwania. Sam jest tylko działaniem i chaotycznym ruchem, książka zaś określa to działanie i ten ruch, nazywa, nadaje mu sens i umieszcza go w relacji z innymi.*

27.05

399 nowych zakażeń i 4 ofiary.

Dzisiaj 30. rocznica pierwszych demokratycznych wyborów samorządowych. 27 maja 1990 odbyły się w Polsce pierwsze demokratyczne wybory do rad miejskich i gminnych. Według nowej ustawy radni stanowili władzę uchwałodawczą w gminie, a prezydenci, burmistrzowie, wójtowie (nie musieli być radnymi), wspierani przez zarządy, stanowili władzę wykonawczą. Samorządy to fundament demokracji. Wierzyliśmy w to 30 lat temu, kiedy zakładaliśmy Komitety Obywatelskie „Solidarność”. Ja wierzę w to nadal i uważam, że właśnie reforma samorządowa, wprowadzona w życie przez rząd Tadeusza Mazowieckiego, udała się w naszym kraju najlepiej. To społeczeństwo miało decydować (i tak jest do dziś) o tym kto będzie sprawował władzę w mieście i gminie.

To był wspaniały czas, nie tylko dlatego, że byliśmy młodzi, ale dlatego, że mogliśmy wziąć udział w budowie podstaw demokracji w naszym kraju. Mimo, że wcześniej opozycja antykomunistyczna była odsądzana od czci, poniewierana, represjonowana, to w naszym przekonaniu etos „Solidarności”, o którym pisał ks. Józef Tischner, polegał właśnie na tym, by mieć szacunek dla innych, by szanować się nawzajem, dostrzegać wartość w każdym człowieku i mimo różnic próbować tworzyć wspólnotę obywateli. Z takim przesłaniem startowaliśmy do wyborów i takie przesłanie próbowaliśmy realizować w trakcie kadencji. Warto o tym dzisiaj pamiętać.

Maria Migda

## KOBIETY SĄ OKRUTNE, czyli Śląsk wynicowany

Kobiety są okropne. Kobiety na Śląsku. Są okropne dla innych kobiet. Bo mężczyznom przychyliłyby nieba.

On może pić, bić, maltretować psychicznie, poniżać, traktować jak służącą i niewolnika. Ona musi być cicha, posłuszna, cierpliwa, zawsze umiejąca wybaczyć i ukryć cierpienie przed całym światem, a zwłaszcza przed matką lub babką. Jeśli tego nie potrafi, to dowie się, że jest „złą żoną, matką, nie umie być cierpliwa, nie umie wybaczać, nie jest dość dobra dla swojego mężczyzny, w ogóle jest z nią coś nie tak, najlepiej, gdyby leczyła się psychiatrycznie, bo przecież rolą kobiety jest znosić wszystkie cierpienia fizyczne i psychiczne bez zająknięcia i najmniejszej skargi oraz bez jakiegokolwiek ostrej reakcji emocjonalnej w stosunku do męża, czy, nie daj Boże!, chęci zemsty”.

On ma prawo do wszystkiego. Ona ma same obowiązki. Jemu może nie podobać się wszystko - obiad, mieszkanie, strój kobiety, jej zbyt niski poziom wytresowania w zakresie wypełniania wszelkich poleceń męża, jej nadmierna nerwowość, jej własne zdanie, zwłaszcza gdy jest odmienne od męża, co jest już przestępstwem ściganym niemal z urzędu.

Ona musi zachwycać się wszystkim i, broń Boże!, aby krytykowała go lub źle o nim mówiła poza domem, a nawet w rodzinie. Spotka się nie tylko z murem niechęci we własnej rodzinie, szczególnie ze strony matki i babki, ale nade wszystko zyska sobie w rodzinie męża opinię furiatki, znerwicowanej kobietki, która ma zbyt wysokie mniemanie o osobie, której się wydaje, że ona pierwsza i ostatnia musi cierpieć i pełnić podrzędną rolę „chłopca do bicia”, otrzyma etykietkę wariatki, z którą nawet się nie rozmawia, bo o czym, skoro ona nie rozumie, jak ten świat funkcjonuje. Nie rozumie, że rolą kobiety jest siedzieć cicho, ćwiczyć się w cierpliwości, łagodności, opanowaniu, pokorze, miłości bliźniego, podczas gdy nad jej głową będzie trwała w najlepsze, bo to stan zupełnie normalny!, burza gradowa z błyskawicami celującymi prosto w jej mózg.

Kobiety na Śląsku są okropne, bo z pokolenia na pokolenie tresują swoje córki, wnuczki i prawnuczki do absolutnej uległości wobec męża, do ukrywania cierpienia psychicznego i fizycznego, do obrony za wszelką cenę dobrego imienia męża, choćby był największym chamem, psychopatą i damskim bokserem, niezależnie od tego, czy ten ostatni bije w rękawicach bokserskich, białych rękawiczkach czy gołymi pięściami albo też wybrał metodę o wiele sprytniejszą, bo nie pozostawiającą sińców na ciele, ale na psychice, doprowadzając do jej głębokich zmian po to, by móc później przed całym światem ubolewać nad tym, jak okrutną i chorą psychicznie ma żonę.

Kobiety na Śląsku są okrutne. Okrutne dla innych kobiet. Na chwilę słabości w ciąży może pozwolić sobie mąż. On ma prawo być wystraszone, zdezorientowany, niepewny czy chce, czy nie chce dziecka. Ona nie ma prawa wychodzić ze swej dotychczasowej roli „chłopca do bicia”. Nadal musi być cierpliwa, łagodna i opanowana wobec humorów, ataków i zaczepki męża, bo przecież coś w tym takiego, że ona jest w ciąży, przed nią pokolenia kobiet rodziły po dziesięciopro dzieci rok za rokiem. Wszystkie milczały, gdy były bite lub prześladowane psychicznie, żadna nie powiedziała złego słowa na swojego męża, który był uosobieniem stwórczej mocy, boskiej nieomyślności i źródłem wszelkiego prawa w domu. Prawo to on. Kobiety nieznajomość aktualnie obowiązujących przepisów i kodu małżeńskiego nie zwalnia z odpowiedzialności!

Kobiety nie zwalnia z przemocy męża nawet stan błogosławiony, a, broń Boże!, by wspomniała swej babce, że w tej trudnej sytuacji jest w ciąży, usłyszy od niej tylko: „No, i co?”, wypowiedziane lekceważącym tonem, jakby mówiła: „No, i co z tego? Czy ty pierwsza? Myślisz, że cię to zwalnia z obowiązku siedzenia cicho i nie narzekania? Weź się w garść i przestań się rozczulać nad sobą! Twój mąż potrzebuje silnej kobiety!”. Jakbym czytała dialog z powieści Marii Klimas-Błahutowej „Przemieście”: „Ucz się, dzioucha, roboty. Czy to cię kiedyś twój chłop zapyta o obrozki? Nie. Ale o to, czy poredzisz uwarzyć i do porządku uprać i uprasować (...)”.

I tylko pojąć nie mogę, skąd się wziął ten patologiczny wzorzec kobiety i jej wychowania przez inne kobiety. Nie mam też pewności, czy ma on swoje lokalne odmiany także w innych częściach Polski i świata. Zapewne ma, choć na Śląsku ma on szczególnie okrutną odmianę, gdyż próbuje się zafalszować rzeczywistość, nie mówiąc o niej lub kreując ją na regionalną kulturę i obyczaje. Tymczasem trzeba sobie powiedzieć prawdę jasno i wyraźnie: to jest ciche popieranie patologii, powiem więcej, to czasami nawet nie jest wcale ciche popieranie, ale wręcz bardzo głośne, medialne, naukowe szukanie argumentów za tym, że za opisanymi zachowaniami stoi regionalna kultura i wielowiekowe zwyczaje, których należy strzec niczym świętości. Nikt nie mówi, że to po prostu patologia, na którą, chcąc nie chcąc, godzą się pokolenia kobiet i ich dzieci. Ale psychiki się nie oszuka. Jeśli ktoś jest stale zmuszany do bycia posłusznym katowi, to musi gdzieś wyładować rodzącą się w nim frustrację. I tu może jest źródło powszechnej na Śląsku przemocy wobec dzieci, o której już niegdyś pisałam, a której szereg przykładów znajdziemy w literaturze, by wspomnieć tylko „Gnoja” Wojciecha Kuczoka, „Beboka” Richarda Antoniusa oraz „Dracha” Szczepana Twardocha.

Skąd zatem wziął się ten patologiczny wzorzec kobiety i jej wychowania przez inne kobiety na Śląsku? Może stąd, że tu wszędzie wręcz chorobliwie tresuje się ludzi do pseudopokory? Bo prawdziwa pokora to nie jest. Śląska wersja tej cnoty polega bowiem na ponizaniu samego siebie, a jeśli nie umiesz tego zrobić sam, to zrobią to za ciebie inni. Może dlatego tak nie podobała się Ślązakom „Ziemia Elżbiety” Poli Gojawiczyńskiej, bo powieść ta, dziś to wreszcie rozumiem, obnażała prawdę o tej patologii, o której pisałam wyżej, i prawdę o pseudopokorze.

Skąd się bierze ten patologiczny wzorzec? Może też stąd, że tutaj po kilku nieprzespanych nocach nad wykonaniem dekoracji na zwykłe, wręcz techniczne, pytanie: „Podobają

się?”, usłyszy się odpowiedź: „Może mam cię jeszcze pochwalić?!”. A kobieta, która jest świadkiem tego zdarzenia, znając wysilek pytającej, czyją weźmie stronę? Oczywiście, ostro ripostującego mężczyzny! Na pytającą natomiast obrazi się na lata (!), że w ogóle śmiała zapytać i ośmieszyć się, bo przecież to był tylko jej „psi” obowiązek. Przez delikatność nie zdradzę, kto jest bohaterem tej scenki. W każdym razie nie jest ona niestety literaturą, a przykładem z życia i to przykładem sprzed ponad 20 lat.

Pozostaje tylko pytanie, czy ktokolwiek ma interes w obaleniu tego mitu rodzinnego Śląska? Raczej nikt, bo z obnażania prawdy w tym wypadku nie będzie dochodów, natomiast dzięki dziesiątkom książek, artykułów, audycji i filmów o śląskiej kulturze, o jej wyjątkowości, dzięki dokopywaniu się w domowych archiwach cikliwych historyjek, biznes się kręci. Kto chciałby słuchać o poniżanych żonach i bitych dzieciach? Tych, którzy mają czelność odezwać się, obnażyć prawdę, trzeba uciszyć, a najpewniejszą metodą jest ośmieszenie i przyprawienie łatki wariata i osoby niepoważnej. *Nota bene* tak działa lokalne środowisko kultury i nauki, ale to już temat do odrębnych rozważań. Co gorsza, tak działa każdy zakład pracy: „Pani coś widziała? Pani się przywidziało! Proszę nie przenosić problemów domowych do pracy! Otrzymuje Pani zakaz komentowania czegokolwiek!”. Wydaje się znajome?

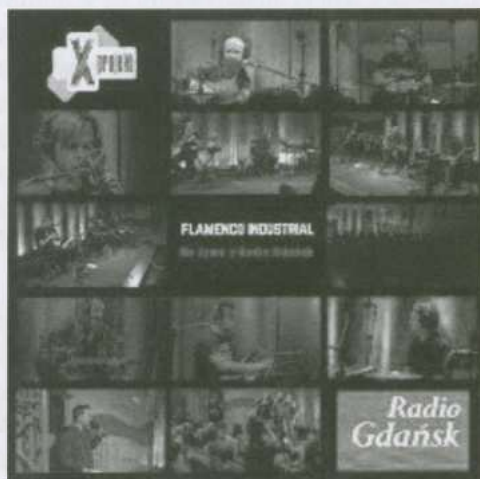
Wacław Bielecki

## INDUSTRIALNE FLAMENCO

*Piotr Podlewski & Co, Flamenco industrial. Na żywo z Radia Gdańsk. Płyta CD nagrana 14 lipca 2019 r. w Studiu Koncertowym im. Janusza Hajduna w Radiu Gdańsk, Produkcja płyty Adam Meryk, X-projekt.*

Zdziwił mnie tytuł omawianej płyty: „Flamenco industrial”. Klasyczna muzyka gitarowa oraz flamenco, to jeden z moich ulubionych gatunków muzyki, ale dotychczas przy słowie „flamenco” nigdy nie napotkałem określenia „industrial”. O co chodzi z tym „industrial” - głowiłem się. W pierwszej chwili przyszło mi skojarzenie z ekonomią, którą niegdyś musiałem zaliczyć na studiach. W tej nauce słowo industrialny znaczy tyle co „uprzemysłowiony”. Ciągle nie mogłem pojąć, jak to „uprzemysłowienie” ma się do „flamenco”. W „Słowniku wyrazów obcych” znalazłem inne jego znaczenia: „pomysłowość”, „przemysłowość”, „pilność”, „czynność”, „celowy wysiłek”. Może o któregoś z tych znaczeń chodziło Piotrowi Podlewskiemu i jego kolegom z zespołu? Miałem nadzieję, że wszystko wyjaśni się po przesłuchaniu płyty.

Płyta została nagrana na żywo w dniu 14 lipca 2019 r. w Studiu Koncertowym im. Janusza Hajduna w Radiu Gdańsk. Ta niewielka salka jest mi znana, choćby z koncertu sekstetu jazzowego Włodzimierza Nahornego. W tradycji gdańskiej rozgłośni jest przyjęte, iż taki koncert jest bezpośrednio transmitowany na antenie i mogą go słuchać wszyscy miłośnicy Radia Gdańsk. Tak było i tym razem. Na scenie pojawił się gitarzysta Piotr Podlewski, jednocześnie kompozytor wszystkich wykonywanych utworów oraz dwaj członkowie zespołu: Adam Meryk



- piano i melodyka oraz Arkadiusz Kozakiewicz - instrumenty perkusyjne. Koncert prowadził redaktor Kamil Wicik. Artyści zaprezentowali 11 utworów o tytułach zapisanych aż w trzech językach: hiszpańskim (5), angielskim (4) i polskim (2).

Usłyszeć flamenco na żywo w Polsce nie jest łatwo, ale kiedyś udało mi się być na koncercie słynnego, rodzinnego zespołu „Los Romeros” z Hiszpanii występującego w Filharmonii Krakowskiej oraz prawdziwego flamenco w wykonaniu grupy Paco Peña w Filharmonii Bydgoszczy, co opisałem w „Prowincji” nr 4 z 2014 r. Piszę tutaj o „prawdziwym” flamenco, bo była to muzyka nie tylko instrumentalna, ale łączyła się ze śpiewem i tańcem. Dopiero to wszystko daje prawdziwe, hiszpańskie flamenco.

A jakie jest industrialne flamenco grane przez trio Piotra Podlewskiego? Od razu trzeba powiedzieć, że skład instrumentów nie jest typowy dla tego rodzaju muzyki. Gitara, chociaż elektryczna i instrumenty perkusyjne, tak, ale już elektroniczne piano i melodyka, raczej nie. Poza tym, w klasycznym flamenco wśród instrumentów perkusyjnych dominuje bębenek baskijski, kastaniety oraz klaszczące ręce i tupiące nogi tancerzy. W tym celu mają oni specjalne buty, odpowiednio podkute, aby można było je dobrze słyszeć. Gitara używana w grze flamenco ma specjalną konstrukcję, a jej także specjalne struny, są położone bliżej podstrunnicy i wydają dźwięk o metaliczny zabarwieniu. Często stosuje się też kapodaster, czyli urządzenie zakładane na szyjkę instrumentu w celu zmiany stroju gitary. Powoduje ono zmianę barwy dźwięku na ostrzejszą, metaliczną. Natomiast Piotr Podlewski gra na gitarze elektrycznej.

Co można powiedzieć o muzyce zarejestrowanej na płycie? W słuchaniu jest bardzo przyjemna. W wielu utworach powtarzają się charakterystyczne melodie i rytmy z muzyki flamenco, ale słuchacza może zmylić pierwszy na płycie utwór, który jest raczej rockowy. Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem termin „flamenco industrial”. Wydaje mi się, że pomogło mi obejrzenie na YouTube klipu z nagraniem utworu „Racices” (hisz. korzenie), gdzie Piotr Podlewski przygrywa trzem urodzonym tancerkom z gdańskiej Szkoły Tańca Flamenco ANDA LU. Tańczą one w industrialnych przestrzeniach, gdzie w tle widać stare dźwigi Stoczni Gdańskiej. Na YT więcej jest solowej gitary niż na płycie, gdzie nieco przeszkadzało mi elektroniczne pianino wybijające uporczywie ten sam rytm, a w tle słyhać perkusyjne szczotki.

Na innym klipie zarejestrowany jest utwór „Lezna” nakręconym razem z „Teatrem Trzy na Pięć”. Zaczyna się on od ujęcia, jak Piotr Podlewski idzie w swoim charakterystycznym kapeluszu z gitarą w futerale przez bezkresne pola Powiśla, sięgające daleko, aż po horyzont. Akcja rozgrywa się zatem nie w przestrzeniach industrialnych, tylko na łonie przyrody. Potem są zdjęcia z sympatyczną parą aktorów na tle jakichś ruin. Utwór zaczyna się od charakterystycznego motywu flamenco, który jest później przetwarzany na rockowo przez gitarę i pianino. W drugiej części zmienia się motyw melodyczny i rytm, by po chwili powrócić do tego co było na początku. Jest to zatem typowa struktura ABA. Charakterystycznie zawieszono zakończenie, to chyba ulubiony sposób kończenia utworu przez muzyków.

Spośród zaprezentowanych jedenastu kompozycji spodobało mi się kilka, ale pominę ich tytuły, żeby niczego nie sugerować potencjalnym słuchaczom płyty. W sumie to przyjemna w słuchaniu muzyka. W większość utworów wykorzystana została nieskomplikowana harmonia oparta - napiszę to uczenie - na kadencji rozszerzonej, obejmującej trzy powtarzające się akordy: tonikę, subdominantę i dominantę, a rytmy nawiązujące do flamenco są też podobne.

Dla mnie jest to muzyka relaksująca, czasem lekko pobudzająca, a czasami wyciszająca. Warto prezentowaną płytę mieć w swojej kolekcji.

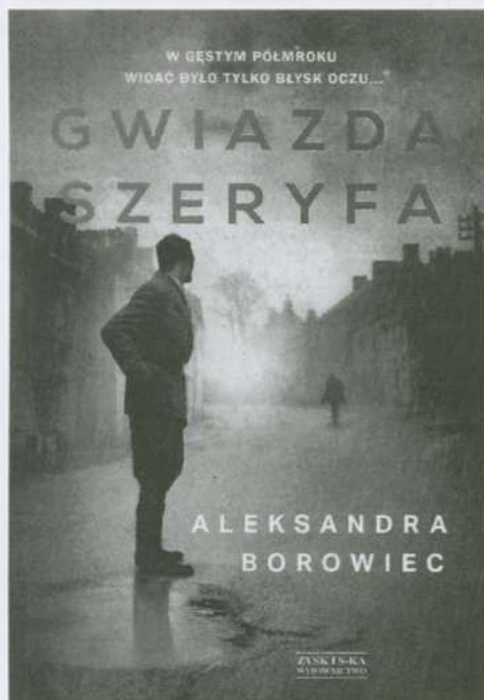
Alicja Łukawska

# GWIAZDA SZERYFA

*Borowiec Aleksandra, „Gwiazda szeryfa. Stefan. Lato”, wyd. Zysk i S-ka, Poznań 2020.*

Mamy oto kolejną polską powieść o Ziemiach Odzyskanych. Akcja debiutanckiego utworu „Gwiazda szeryfa” Aleksandry Borowiec rozgrywa się latem 1945 roku w zrujnowanym działaniach wojennymi Olsztynku położonym na granicy Warmii i Mazur. Tworzy się tam właśnie nowa, powojenna rzeczywistość. Dawni niemieccy mieszkańcy uciekli przed Armią Czerwoną jeszcze zimą, a ci którzy nie zdążyli, pozostali na miejscu i czekają na wywózkę. Z dnia na dzień pojawia się coraz więcej polskich osadników. Przybywają tu zwykli, biedni ludzie szukający szczęścia po wojnie, ale także oszuści, szabrownicy i przestępcy, którzy chcą zrobić jakiś interes albo skryć się przed prawem.

W mieście są już zaczątki polskiej administracji. Jest burmistrz w ratuszu i posterunek Milicji Obywatelskiej. Właśnie do tegoż posterunku MO przybywa delegowany tutaj „z centrali” 25-letni Stefan Malewski, który przed wojną zaliczył kilka semestrów prawa na Uniwersytecie Warszawskim, a w czasie wojny był wywieziony w głąb III Rzeszy na roboty przymusowe w niemieckiej fabryce. Stefan ma wzmocnić posterunek w Olsztynku, którym zawiaduje przedwojenny polski komunista Zdzisław Waligóra. Poza tym, w miasteczku tworzą się zaczątki Urzędu Bezpieczeństwa. No i są jeszcze prawdziwi władcy tej krainy, czyli Sowieci, którzy osiedli w poniemieckich majątkach w okolicy. Wszyscy razem boją się NKWD, ale wkrótce okazuje się, że może być ktoś jeszcze bardziej przerażający niż sowieckie służby specjalne...



Zawiązanie akcji jest takie, że na posterunek w Olsztynku zgłasza się wiejska baba, której dwa dni wcześniej zginął mąż z krową. Chłop jak chłop, ale ta krowa! Żywicielka całej rodziny przepadła! I to jest dopiero prawdziwa tragedia! Krótkie śledztwo w terenie wykazuje, że mężczyzna padł ofiarą morderstwa. W lesie znaleziono jego zwłoki. Został zabity, a potem pogryziony i wypatroszony jak świnia zarżnięta w ubojni. Początkowo wygląda to na dzieło dzikich zwierząt. Sprawa jest rozwojowa, bo wkrótce w ten sam sposób ginie młoda Niemka, kochanka radzieckiego komendanta, a potem jeszcze inne osoby. Wszyscy tak samo zarżnięci i okaleczeni! Ludzie zaczynają

bać się ciemnych lasów wokół miasteczka. Chodzą słuchy, że kryją się tam niedobitki żołnierzy Wehrmachtu, a może członkowie Werwofu. Nastroj grozy potęguje Stara Niemra, czyli szalona niemiecka czarownica (znachorka? szeptunka?), która błąka się po ulicach miasteczka z kartami do wrózenia w rękę i gada od rzeczy, wprowadzając do rzeczywistości element magii i fantazji.

Więcej zdradzić nie można, by nie psuć przyszłym czytelnikom przyjemności płynącej z lektury. A będzie się działo, oj, będzie! Z tym, że to nie jest klasyczny kryminał, w którym chodzi tylko o wyjaśnienie podstawowej tajemnicy, kto zabił. Aleksandra Borowiec pokusiła się bowiem o przedstawienie szerokiego, epickiego wręcz tła społeczno-obyczajowego powieści. Równie ważne jak wątek kryminalny są tutaj liczne szczegóły historyczne związane z tzw. mitem założycielskim Ziemi Odzyskanych.

Widać, że Autorka naprawdę nieźle przygotowała się do pisania tej książki. Jako osoba młoda (rocznik 1988) musiała chyba przeczytać ogromne ilości publikacji historycznych i innych materiałów źródłowych, by zdobyć tak dokładną wiedzę o tamtej powojennej rzeczywistości, którą oddała w sposób mistrzowski, z realistyczną wręcz dokładnością. Bowiem powojenny Olsztynek pani Borowiec naprawdę widać, słysząc i czuć! Sprawia to także wspaniale poprowadzona warstwa językowa, która jest jednym z wielkich atutów tego tekstu. Powiadam Wam, stylizacja językowa w tej powieści to po prostu mistrzostwo świata! Autorka ma niezwykle ucho do dialogów! Szczególnie urzekło mnie to, jak potrafiła scharakteryzować postaci poprzez język, co naprawdę nie jest łatwą sztuką. Brawa za postać jowialnego komendanta Waligóry!

Pochłonęłam tę książkę jednym tchem! Nie mogłam się wręcz oderwać od lektury! Jej akcja kojarzyła mi się ze starymi polskimi filmami jak „Prawo i pięść” (reż. Jerzy Hoffmann i Edward Skórzewski), „Zerwany most” (reż. Jerzy Passendorfer), „Baza ludzi umarłych” (reż. Czesław Petelski) i „Popiół i diament” (reż. Andrzej Wajda). Sięgnęłam po tę lekturę głównie dlatego, że lykam jak pelikan wszystko, co ukazuje się na rynku wydawniczym na temat Ziemi Odzyskanych. Interesuje mnie ich historia, pochodzę wszak z rodu twardych osadników, którzy w 1947 roku przyszli szukać szczęścia na poniemieckich terenach. Bardzo znam dobrze ten trudny powojenny okres z rodzinnych opowieści. Dodatkowo tak się składa, że troje członków mojej rodziny (dwóch braci i starsza siostra mojej mamy Haliny) latem 1945 roku pracowało w Milicji Obywatelskiej w Malborku. Podejrzewam, że pewnie obracali się w podobnych klimatach jak bohaterowie „Gwiazdy szeryfa” Aleksandry Borowiec. Tamtego roku w Malborku trup także siał się gęsto... Tylko, że na razie nikt jeszcze nie napisał o tym żadnej książki.

Jak podaje wydawca, Aleksandra Borowiec, autorka „Gwiazdy szeryfa”, pochodzi z Płocka, mieszka w Warszawie, a wakacje spędza na Warmii i Mazurach. Zdaje się, że można spodziewać się dalszego ciągu historii o powojennym Olsztyнку, bowiem powieść nosi podtytuł „Stefan. Lato”. Być może później będą inne pory roku, czyli kolejne części tego cyklu? Czekam na to z niecierpliwością!

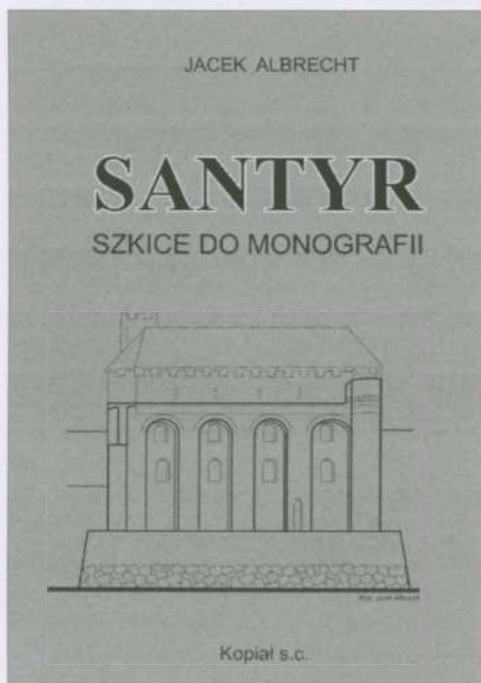
Anna Albrecht

# SANTYR

*J. Albrecht, Santyr-szkice do monografii, Malbork 2020*

Książka Jacka Albrechta „Santyr – szkice do monografii” to pozycja o charakterze naukowym. Stanowi kontynuację wcześniejszych opracowań popularnych Autora na temat dokonanych przez niego odkryć w obszarze średniowiecznej architektury tak zwanej Szkoły Łacińskiej ze Starego Miasta w Malborku i zawiera cały zgromadzony materiał dowodowy do opisanych wcześniej koncepcji. Praca dotyczy zatem nowego rozczytania murów owej „szkoły”, którego Autor dokonał podczas odsłaniania nieznanych dotąd jej fragmentów w roku 2012. Nie jest to więc pozycja łatwa i „lekka” w czytaniu, ale jest też na swój sposób fascynująca, bo odkrywa „kuchnię” badań naukowych, od opisu przyjętej metody, przez opis własnych badań w terenie, analizę powstałych dotąd opracowań, po krytyczny przegląd literatury przedmiotu. Ukazuje, jak w czasie tych prac pojawia się najpierw interpretacja historyczna, a w końcu koncepcja rekonstrukcyjna badanego zabytku oraz jak przebiega proces dowodowy na ów temat. Wciągające jest też to, że Autor proponując własne rozwiązania obala szereg mitów dotyczących badanego obiektu i nawyków historycznych związanych z interpretacją jego dziejów.

Opisuje on więc swoją autorską koncepcję lokalizacji „mitycznego” Santyru w obszarze Starego Miasta i zamku w Malborku. Santyr to dla niego nie tyle nazwa znanego z kronik zamku krzyżackiego, co nazwa obszaru, miejsca, na którym się ten zamek bez nazwy własnej znajdował. Stawia on zatem tu dwie zasadnicze tezy: pierwszą, że



obszar o nazwie Santyr pochodził z czasów wcześniejszych niż krzyżackie i obejmował on polski gród i miasto na terenie późniejszego Malborka i drugą, że zamek krzyżacki w Santyrze nie miał nazwy własnej i przejął miano miejsca, przy którym został wzniesiony, a pozostałością po nim jest ruina tak zwanej Szkoły Łacińskiej ze Starego Miasta w Malborku.

W efekcie praca Jacka Albrechta narusza cały szereg ustalonych „tabu” z zakresu historii czy historii architektury. Mieszkańcy Sztumu na przykład przywiązani są, co zrozumiale, do myśli, że Santyr był koło Białej Góry w pobliżu ich miasta. Także większość dotychczasowej historiografii niemieckiej, a za nią i polskiej, skłania się, mimo ni-

kłych przesłanek, do tej tezy uznając autoritarnie temat za „ostatecznie” zamknięty. Dla Autora jednak nowym materiałem badawczym są odkrycia nieznanych dotąd murów średniowiecznych niosących cały szereg informacji ponownie otwierających dyskusję na temat Santyru. Szczegółowa analiza reliktyw architektury historycznej odsłoniętej w roku 2012 pozwoliła mu rozpoznać w nich pozostałości pierwszego zamku krzyżackiego przy polskim Santyrze. Pozwoliła też rozpoznać obszar o nazwie Santyr zabudowany wówczas grodem pomorskim i miastem biskupim z katedrą.

Badacz podkreśla jednocześnie, że jego opracowanie nie rości sobie pretensji do miana pełnej monografii zabytku, a jest

jedynie sumą wniosków z badania murów. Dla pełnego opracowania monograficznego potrzebny jest tu jego zdaniem wkład historyka w zakresie przekazów piśmienniczych, ponadto geologa, archeologa, geodety czy historyka klimatu i układów wodnych.

Książka Jacka Albrechta, mimo że jest pracą specjalistyczną, napisana jest językiem przystępnym i prowadzi nas przez fascynujący proces odkrywania nieznanego fragmentu historii, co stanowi niewątpliwie o jej dużej wartości zarówno dla świata nauki, jak i wszystkich ciekawych historii czy przygód badawczych i jako taka warta jest polecenia.

# Noty o autorach

**Anna Albrecht** – ur. w Warszawie. Studia wyższe ukończyła na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie. Zajmowała się tkactwem artystycznym. Od 2013 roku realizuje się w malarstwie sztalugowym.

**Wacław Bielecki** – od 1947 r. mieszkaniec Nowego Stawu, a od 1974 roku Sztumu. Absolwent pedagogiki Uniwersytetu Gdańskiego. Pracował jako nauczyciel w Szkole Podstawowej w Nowym Stawie i asystent w Katedrze Pedagogiki UMK w Toruniu. W 1980/1981 roku redaktor naczelny tygodnika „Sztumska Solidarność”, a na przełomie lat 1989/1990 członek kolegium redakcyjnego tego czasopisma. Długoletni dyrektor Liceum Medycznego Pielęgniarstwa w Sztumie. Meloman, autor książki *Zapiski melomana z prowincji*.

**Jan Chłosta** – dr nauk humanistycznych, wiceprezes Towarzystwa Naukowego im. Wojciecha Kętrzyńskiego, autor ponad 30 książek i 500 artykułów, poświęconych przeszłości Warmii i Mazur, w tym piśmiennictwu – *Warmia i Mazury w literaturze polskiej i niemieckiej w latach 1945-1995*, leksykonów - Słownik Warmii, prac o Wydawnictwie „Gazety Olsztyńskiej” i ludziach z nią związanych.

**Krzysztof Czyżewski** – eseista i animator działań międzykulturowych; twórca Fundacji „Pogranicze” i Ośrodka „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów” w Sejnach; redaktor naczelny pisma „Krasnogruda” i szef Wydawnictwa Pogranicze, w którym redaguje m.in. serie „Meridian” oraz „Sąsiedzi”. Autor książek *Ścieżka pogranicza* (2001), *Linia powrotu. Zapiski z pogranicza* (2008), *Małe centrum świata* (2017). Wykładowca m.in. Uniwersytetu Warszawskiego, Uniwersytetu Wileńskiego, New School University (Nowy Jork), Transregional Center for Democratic Studies (Kraków), Boston University. Laureat Medalu św. Jerzego, nagród A. Gieysztora i J. Giedroycia, nagrody Forum Ekonomicznego w Krynicy „Nowa Kultura Nowej Europy”. Laureat nagrody NEPTUNA, przyznawaną przez miasto Gdańsk.

**Tomasz Jagielski** – absolwent historii na Uniwersytecie Gdańskim i studiów podyplomowych z politologii na UG. Nauczyciel w Szkole Podstawowej w Suchym Dębnie. Interesuje się przeszłością ziemi pomorskiej Kociewia i Żuław. Napisał kilka publikacji o charakterze regionalnym: *Ostrowite i Suchy Dąb. Historia wsi żuławskich* (2006), *Jubileusz 50-lecia Szkoły Podstawowej w Suchym Dębnie 1957–2007* (2007), *Stebkowo. Historia wsi żuławskiej* (2008), *Stebkowo. Dawne dzieje* (2012), *Wróblewo. 700 lat wsi żuławskiej* (2012), *Leszkoway w powiecie gdańskim, historia wsi żuławskiej od XIV wieku* (2018). Publikuje w prasie lokalnej: „Pomerania”, „Dziennik Bałtycki”, „Teki Kociewskie”. Od czerwca 2016 r. prezes Oddziału ZKP w Tczewie.

**Adam Kamiński** – ur. 1965 w Kwidzynie. Miłośnik gier mało popularnych – bocce, boules, cornhole. Lubi wędkarstwo, grzybobranie. Od urodzenia lokalny kwidzyński patriota. Miłośnik, laureat i finalistą wielu telewizyjnych teleturniejów – Jeden z dziesięciu, Va banque, Najślabsze ogniwo. Dziennikarz i pasjonat kryminałów. Pracuje w Bibliotece Miejsko-Powiatowej w Kwidzynie.

**Andrzej Kasperek** – ur. 1958, absolwent polonistyki na Uniwersytecie Gdańskim (seminarium prof. Marii Janion), pisarz, badacz literatury, działacz opozycji demokratycznej (jeden z założycieli Niezależnego Zrzeszenia Studentów), doktor nauk humanistycznych; od 1985 zajmuje się pracą nauczycielską (Liceum Ogólnokształcące w Nowym Dworze Gdańskim). Nominowany do Finału Nagrody Literackiej Gdynia 2011 za książkę „Back in the DDR i inne opowiadania” (2010). Autor tomu esejów „Galeria Jacka Kaczmarskiego. Skrzydło wschodnie” (2013) oraz tomu opowiadań pt. „Koroncarka” (2013). W 2018 wydał „Mój płaski kraj Żuławy”. Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (2012). Żuławiak od urodzenia.

**Radosław Kubus** – ur. 1991 w Nowym Dworze Gdańskim. Absolwent historii i archeologii na Uniwersytecie Gdańskim. Specjalista ds. historii regionalnej w Bibliotece Elbląskiej, doktorant w Instytucie Historii Uniwersytetu Gdańskiego. Autor, bądź współautor, artykułów w cza-

sopismach naukowych („Studia z Dziejów Państwa i Prawa Polskiego”, „Medycyna Nowożytna”). Swoje zainteresowania badawcze koncentruje wokół historii medycyny w epoce nowożytnej oraz dziejów prasy z 1. połowy XIX wieku

**Adam Langowski** – ur. w 1981 r. w Sztumie, absolwent LO w Sztumie, ukończył historię na UMK w Toruniu. Pracuje jako nauczyciel historii w Zespole Szkół w Starym Targu. Mieszka w Sztumie.

**Andrzej C. Leszczyński** – nauczyciel akademicki filozofii, eseista. Autor wielu publikacji z zakresu antropologii filozoficznej, estetyki i etyki. Ostatnio wydał: *Ojciec człowieka Szkice afiniczne* (2012), *Owoc tamtego grzechu* (2013), *Najgłębsze, spokojne morskie dno. Próby antropologiczne* (2014). Prowadzi warsztaty ekspresji i komunikacji. Mieszka w Gdańsku.

**Andrzej Lubiński** – ur. 1952 r. w Gniewie. Absolwent historii UMK w Toruniu. Pasjonat historii regionalnej Pomorza i Powiśla. Prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Sztumskiej. Autor książki *W ich smach powracała Polska* (2018). Mieszka w Sztumie

**Alicja Łukawska** – absolwentka filologii polskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Bydgoszczy i pracownik naukowy tejże uczelni, dziennikarka pism lokalnych. Pracowała m.in. w prasie bydgoskiej, gdańskiej, malborskiej i tczewskiej. Od kilkunastu lat stała współpracownikiem miesięcznika „Czwarty Wymiar”. Autorka książki *Duchy kresów wschodnich. Zjawiska paranormalne na dawnej Łotwie, Litwie, Białorusi i Ukrainie*, która ukaże się w tym roku. Mieszka w Malborku.

**Henryk Michalik** – zamieszkały w Kwidzynie. Absolwent Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Działacz turystyczny i krajoznawczy. Organizator wielu imprez turystycznych. Członek PTTK i TMZK (Towarzystwa Miłośników Ziemi Kwidzyńskiej). Autor i współautor wielu wydawnictw regionalnych, m.in. *Przewodnik po Powiślu. Powiat Kwidzyński; Przewodnik „Śladami Mennonitów w Dolinie Kwidzyńskiej”; Kultura materialna Doliny Kwidzyńskiej; Rowerem po ziemi kwidzyńskiej; Obrona polskości na ziemi kwidzyńskiej w latach 1918-1939*. Redaktor „Zeszytów Kwidzyńskich”.

**Grażyna Nawrońska** – ur. w Chodzieży. Absolwentka archeologii UAM w Poznaniu i Studium Podyplomowego Muzealnictwa na Uniwersytecie Warszawskim. Od 1980 do 2010 roku badania archeologiczne na Starym Mieście w Elblągu. Od 2010 roku pracowała w Muzeum Archeologiczno-Historycznym w Elblągu. Autorka kilkudziesięciu publikacji naukowych w Polsce i Belgii, Irlandii, Szwajcarii, Niemczech. W 2010 roku obrona doktoratu na Uniwersytecie we Wrocławiu. Mieszka w Elblągu.

**Paweł Nieczuja-Ostrowski** – ur. 1975 w Elblągu. Doktor nauk o polityce, adiunkt w Instytucie Historii i Politologii w Akademii Pomorskiej w Słupsku. Członek Gdańskiego Klubu Poetów i Stowarzyszenia Autorów Polskich. Współzałożyciel Elbląskiego Kłastru Kultury „BizArt”. Zadebiutował w 2018 roku tomem poezji *Apokalipsa pamięci*. Mieszka w Sopocie.

**Wiesław Olszewski** – ur. w 1957 r. Absolwent Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie, rolnik. Inicjator reaktywacji struktur Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w Nowym Dworze Gdańskim. Przewodnik po Muzeum Stutthof oraz Muzeum Zamkowym w Malborku.

**Piotr Opacian** – podróżnik, kajakarz i fotograf przyrody, zainteresowany głównie Ameryką Południową, gdzie zorganizował już wiele wypraw. Za samotne przepłynięcie kajakiem Rio Madidi znajdującej się w słabo poznanej Amazonii Boliwijskiej otrzymał statuetkę Kolosa 2005 i nagrodę dziennikarzy. Podróżował również do Afryki, w góry Altaju, wyprawy syberyjskie i na Spitsbergen. Instruktor kajakarstwa i członek Rady Kolosów w kategorii Wyczyn Roku. Jedną z ostatnich podróży odbył na Syberię po rzece Oleniok, śladami Aleksandra Czekanowskiego, zesłańca po powstaniu styczniowym, podróżnika i badacza Syberii.

**Janusz Ryszkowski** – ur. w 1955 r. w Opaleniu. Ostatnio opublikował tomik wierszy *Stacja przedostatnia* (2014), *Morauscy – pięć pokoleń i pół. Patchwork historyczno-literacki z Powiśla*

i *Kociewia* (2014), redaktor książki Józefa Borzyszkowskiego i Marka Stażewskiego *Dzieje Sztumu 1806-1945* (2014).

**Leszek Sarnowski** – ur. w 1959 r. w Barcinie na Kujawach. Absolwent historii Uniwersytetu Gdańskiego. Współpracował z „Gazetą Wyborczą”, „Dziennikiem Bałtyckim”, „Radiem Gdańsk”, „Radiem Plus”, „TVP Olsztyn”, „TVP Gdańsk”. Redaktor naczelny „Sztumskiej Solidarności” i „Gazety Sztumskiej” w latach 1989–1993. Pomysłodawca, wydawca i redaktor naczelny kwartalnika „Prowincja”. Autor książki *Sztumska droga do wolności oraz Ocalona pamięć. Żydzi na ziemi sztumskiej*.

**Łukasz Staniszewski** – ur. 1975 w Olsztynie. Absolwent filologii polskiej w UMK w Toruniu. Autor sztuk teatralnych, reportaży radiowych, słuchowisk, wywiadów i bloga artystycznego. Autor zbioru opowiadań *Male grozy*, poświęconego tematyce warmińskiej.

**Mariusz Stawarski** – ur. w 1961 r. Absolwent Wydziału Architektury Wnętrz Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku. Od 1990 r. pracuje w zamku w Malborku, gdzie zajmuje się wystawiennictwem i grafiką użytkową. Od 1986 r. zajmuje się malarstwem liryczno-groteskowym, wystawianym i nagradzonym w wielu krajach i zagranicznych konkursach. Mieszka w Malborku.

**Krzysztof D. Szatrawski** – poeta, prozaik, eseista, profesor Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, badacz historii muzyki i tańca, literaturoznawca, krytyk muzyczny. Opublikował 9 książek poetyckich, powieść *Requiem dla Bohatera* i tom opowiadań *Odjazd. Prezes Olsztyńskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich*. W jego dorobku znalazły się liczne przekłady poezji z języka angielskiego, hebrajskiego, niemieckiego i rosyjskiego. W 2018 uhonorowany tytułem Honorowego Obywatela Kętrzyna, a w 2020 roku Prezydent Olsztyna wyróżnił go Statuetką św. Wojciecha za osiągnięcia w dziedzinie kultury.

**Małgorzata Wątor** – ur. 1988 w Słupsku. Jest z pochodzenia Kaszubką z góralskimi korzeniami. Poetka i publicystka. Publikowała między innymi w „Akancie”, „Autografie”, „Migotania-Gazeta Literacka”, „Odrze”, „Prowincji”, „Pomeranii”. Należy do „Literackiego Klubu Wers w Bytowie”, Gdańskiego Klubu Poetów i do grupy „Wtorkowych Spotkań Literackich” w Słupsku. Mieszka w Gdańsku.

**Bogumił Wiśniewski** – ur. w Kwidzynie. Absolwent archeologii na UMK w Toruniu. Znanca i miłośnik Kwidzyna i okolic. Pracuje w Urzędzie Miejskim w Kwidzynie.

**Radosław Wiśniewski** – ur. 1974 r. Absolwent psychologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Mieszka w Kielczowie, pracuje we Wrocławiu, związany z Brzegiem. Píše wiersze, publicystykę, prozę, krytykę. Autor między innymi: *Inne Bluesy* (2015), *Psalm dla Św. Sabiny* (2016), *Dziennik Zenona Kałuży* (2017). Współzałożyciel Stowarzyszenia Żywych Poetów w Brzegu, redaktor naczelny ex-kwartalnika „Red”, współpracownik „Odry”, „Studium”, „Undergruntu”.

**Paweł Zbiński** – pochodzący z Gdańska scenarzysta i reżyser. Absolwent UJ i łódzkiej filmówki. Emigrant z Polski. Dyrektor artystyczny założonej w Paryżu firmy Fontaine Media. Wspólnie z Aleksandrą Fontaine wystawił w Teatrze w Perpignone w marcu 2018 francuskojęzyczną, kryminalną sztukę *La file a la valise* osnutą wokół wydarzeń związanych z atakiem terrorystycznym na redakcję satyrycznego pisma „Charlie Hebdo”. Od lipca 2018 współzałożyciel wybudowanej w Saint Laurent de Cerdans w Katalonii Galerii „Poray”.

**Krystian Zdziennicki** – ur. w 1992 r. w Sztumie. Absolwent historii oraz prawa na UG. Członek zarządu Towarzystwa Miłośników Ziemi Sztumskiej. Zajmuje się badaniami historycznymi Pomorza ze szczególnym uwzględnieniem Powiśla. Autor bloga: [www.ziemiasztumska.blogspot.com](http://www.ziemiasztumska.blogspot.com).



**Malarstwo Małgorzaty Dobrowolskiej**

